

Diabeł
NA HAWAJACH

NIE TAKI DIABEŁ STRASZNY. TOM 2

ELIZABETH O'ROARK



ELIZABETH O'ROARK

Diabeł
NA HAWAJACH

NIE TAKI DIABEŁ STRASZNY. TOM 2

PRZEŁOŻYŁA
Karolina Bochenek



CHOMIKO_WARNIA

TYTUŁ ORYGINAŁU: *The Devil and the Deep Blue Sea*

Redaktorka prowadząca: Ewelina Kapelewska

Wydawczyni: Joanna Pawłowska

Redakcja: Małgorzata Hayles

Korekta: Justyna Yiğitler

Projekt okładki: Lori Jackson

Opracowanie graficzne okładki: Marta Lisowska

Copyright © 2022. THE DEVIL AND THE DEEP BLUE SEA by Elizabeth O’Roark

Copyright © 2023 for the Polish edition by Niegrzeczne Książki an imprint of Wydawnictwo Kobiece Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Karolina Bochenek, 2023

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2023

ISBN 978-83-8321-376-7-999

Grupa Wydawnictwo Kobiece | www.WydawnictwoKobiece.pl



Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Weronika Panecka

Sallye Clark, najlepszej towarzyszce podróży,

o jakiej mogłam zamarzyć. Dziękuję, że pokazujesz mi,

jak wygląda życie bogatszych ode mnie

CZEŚĆ I

OAHU

„Nie można pominąć tej wyspy,
uznawanej przez wielu za najpiękniejszą”.

– >*Oahu: The Adventure of a Lifetime*

DREW

21 stycznia

Każda historia miłosna przypomina jazdę autobusem. Możesz wybrać krótszą, mniej ekscytującą trasę, która zaprowadzi cię prosto do wytyczonego celu, albo zrobić sobie dłuższą wycieczkę z mnóstwem przesiadek i przystanków, w ślepej nadziei, że doświadczysz po drodze czegoś naprawdę wyjątkowego.

Co do mnie, to nie potrzebuję niczego nadzwyczajnego i nie jestem fanką ślepej nadziei, ale trudno też uznać trzynastogodzinny lot samolotem na spotkanie z byłym chłopakiem za ekspresową podróż.

Dostrzegam zarysy Honolulu z okna samolotu: postrzępione klify Diamond Head, biały piasek oraz wodę o najbardziej intensywnym odcieniu niebieskiego, jaki w życiu widziałam.

„Pojedź ze mną na wakacje na Hawajach”, zaproponował Six po incydencie, po którym spadłam z wyżyn sławy na sam dół hańby. „Niech twoja specjalistka od PR-u zrzuci wszystko na karb wyczerpania”.

Mój były potrafi być bardzo przekonujący. Moja najlepsza przyjaciółka Tali powiedziałaaby raczej: oportunistyczny. Właściwie to dokładnie tego słowa użyła. Ale ona ma znacznie większe oczekiwania wobec mężczyzn niż ja.

Tak oto niewyspana gramolę się z samolotu prosto na jasne słońce i wilgotne powietrze, gotowa dać Sixowi ostatnią szansę. Próbuję zignorować przy tym fakt, że wtajemniczył mnie w pewne istotne szczegóły tej wycieczki dopiero wtedy, gdy nie mogłam się już z niej wycofać. A mianowicie: jego rodzina też ma w niej uczestniczyć.

– O, tu jest! – krzyczy jakiś głos. To mama Sixa, Beth, przepycha się przez tłum, żeby przytulić mnie tak, jakbym była jej zaginioną córką, którą właśnie odnalazła, a nie byłą dziewczyną jej syna, którą spotkała tylko raz w życiu.

To słodkie z jej strony, ale muszę z siebie zrzucić bluzę z kapturem. Na tym lotnisku nie mają chyba klimatyzacji. Albo uważają trzydzieści stopni za przyjemną temperaturę.

– Właśnie przyjechaliśmy – mówi, nadal nie wypuszczając mnie z objęć. – I pomyśleliśmy sobie: Dlaczego by nie zaczekać na Drew?

– Zabawne – odzywa się ponury głos, który rozpoznałabym wszędzie. Głos, pod wpływem którego czuję ścisk w żołądku, jakby nagle się skurczył. – Jakoś inaczej to sobie zapamiętałem.

Podnoszę wzrok na Joshuę Baileya, brata Sixa, który staje przy matce niczym Władca Piekieł – całe metr dziewięćdziesiąt gniewnej męskości. Napotyka moje spojrzenie i oboje krzywimy się na swój widok. Patrzy na mnie z odrazą, jakby się zastanawiał, czy jest jakiś sposób, żeby mnie zamordować, pozorując wypadek.

– Jesteś spocona – zauważa, przeczesując swoje jasnobrązowe włosy palcami, jakby pocenie się przy przegrzaniu była moją osobistą wadą.

– A ty wyglądasz, jakbyś wybierał się na jakiś zjazd kolonizatorów – odpowiadam, przenosząc wzrok z jego spodni w kolorze khaki na elegancką koszulę zapinaną na guziki. Boże,

co za palant.

Ale seksowny palant.

Gdyby życie było sprawiedliwe, Josh wyglądałby odrażająco, ale prawda jest taka, że jakaś słabsza kobieta z łatwością mogłaby się zagubić w jego bladoniebieskich oczach spoglądających spod rzęs tak ciemnych, że niemal wydają się sztuczne. Ma też doskonałe męskie rysy, rozbrajająco pełną dolną wargę i jest niedorzecznie wysoki, barczysty i masywny, przez co należy do tego typu facetów, przy których czujesz się jak przy jakimś wielkim niedźwiedziu.

Oczywiście jeśli ktoś gustuje w takich typach.

Odwraca się do stojącej za nim posągowej blondynki.

– Sloane, pamiętasz Drew. – Akcentuje moje imię, jakbym była dziewczyną, która zatrula studnię w miasteczku albo planowała wykraść jego rodzinne srebro, o co zresztą mnie podejrzewał.

Jak to możliwe, że są jeszcze parą? Byli razem w Somalii, ale Sloane przeprowadziła się zeszłego lata do Atlanty, a jest zdecydowanie zbyt spięta, aby uprawiać seks przez telefon. Prawdopodobnie zamiast własnych nagich zdjęć wysyłałaby mu rysunki jajowodów.

Kobieta wyciąga do mnie wypielęgnowaną dłoń ze sztywnym uśmiechem na twarzy. Jej elegancja bluzka jakimś cudem ani trochę się nie pomięła podczas lotu, który musiał być równie długi jak mój. A w dodatku jest zupełnie sucha. Pewnie jedną z zalet bycia półwęzem, półczłowiekiem jest utrzymywanie niskiej temperatury ciała.

– Przykro mi z powodu Joela – mówi.

Mrugam zakłopotana. Po pierwsze zapomniałam, że rodzina Sixa nadal nazywa go jego zniechęconym imieniem, a po drugie gdzie do diabła jest facet, który zaledwie kilka dni temu przysięgał mi przez telefon, że się zmienił? Próbuję wyrzec za Sixem, ale oni wszyscy są tak cholernie wysocy, że ze swoim metrem siedemdziesiąt wzrostu nic nie widzę.

– O co chodzi?

Wymieniają porozumiewawcze spojrzenia, a ja czuję nagle ciężar w żołądku.

– Wysłałam ci SMS-a – mówi w końcu Beth. – A może się nie wysłał? Och, kurczę. Rzeczywiście, nie wysłał się. Ciągłe tracę zasięg na lotniskach.

Marszczy brwi i zaczyna coś majstrować w ustawieniach telefonu, najwyraźniej wciąż mając nadzieję, że dostanę tę nieszczęsną wiadomość. Jakby miała mi teraz w czymkolwiek pomóc.

– Trafił do więzienia – wyjaśnia beznamiętnie Josh.

Z ust wyrывa mi się śmiech zaskoczenia. Przebycie pół świata na wakacje z rodziną Sixa, ale bez samego Sixa wydaje mi się jakimś złym snem.

– Co takiego?

– To tylko jakaś okropna pomyłka – zapewnia mnie Beth, a Joshua przewraca oczami. – Przeszukano jego zespół na lotnisku w Tokio. Jeden z członków miał w torbie trochę marihuany i wszyscy zostali aresztowani. Ale prawnik Joela mówi, że jutro wyjdzie za kaucją i cała sprawa zostanie załatwiona w ciągu trzech dni.

Wpatruję się w nią zdumiona. Chyba nie próbuje mi powiedzieć, że utknęłam na wakacjach z parą w wieku emerytalnym, którą widziałam raz w życiu, i dwiema osobami, których szczerze nie znoszę? Z których jedna w dodatku zasugerowała swojej matce, aby lepiej zabezpieczyła przede mną ich rodzinne srebro. Chyba miałam tego nie usłyszeć, ale usłyszałam.

A jednak nikt się nie śmieje, a Beth jest wyraźnie zmartwiona, co świadczy o tym, że to raczej nie żart.

Oglądam się za siebie, jakbym szukała jakiegoś sposobu na wdrapanie się z powrotem do samolotu, zanim jeszcze Bai-leyowie mnie zobaczą, ale to wymagałoby podróży w czasie –

umiejętności, której jeszcze nie opanowałam.

Wzrok Josha kieruje się w stronę błysku flesza. Wokół nas zaczynają tłoczyć się ludzie. To te pieprzone włosy. Mam wschodnioeuropejską urodę, jak wiele kobiet w Nowym Jorku – wysokie kości policzkowe, wydęte usta – ale za każdym razem zdradzają mnie moje długie platynowe blond włosy. Zakładam z powrotem kaptur na głowę, ale jest już za późno... Kiedy odkrywają, że jestem na lotnisku, gra jest skończona.

– Musimy iść – oznajmia Josh, rozglądając się dookoła. – Niech ktoś weźmie Drew za rękę, żeby nie została stratowana przez tych wszystkich ludzi normalnego wzrostu.

– Skrajnie wysoki wzrost jest skorelowany z umieralnością w młodym wieku – odpowiadam i odchylam głowę do tyłu, żeby utrzymać z nim kontakt wzrokowy.

– Miałaś chyba na myśli zespół Marfana. – Unosi brew. – Ale sprawiasz wrażenie, jakbyś liczyła na mój szybki zgon.

– Byleby nie zepsuł nam wycieczki.

Zauważam nieznacznie drgnięcie jego ust, ale wcale nie odczuwam tego jako zwyczajstwa. Pewnie lubi po prostu, gdy ludzie wspominają o śmierci.

PRZEDZIERAMY SIĘ przez tłum do pomieszczenia z taśmą bagażową, gdzie czeka na nas Jim Bailey, ojciec Sixa. W przeciwieństwie do swojej żony jest człowiekiem małomównym i – dzięki Bogu – nie lubi się przytulać na przywitaniu. Kładzie mi tylko dłoń na ramieniu, kiwa głową i pyta, jak wygląda mój bagaż, zanim dopadnie nas tłum.

Przekonywałam się wcześniej, że nie będę tu potrzebowała ochrony, ale nie spędziłam jeszcze nawet pięciu minut na Hawajach, a już mam co do tego wątpliwości. Ludzie podnoszą telefony do góry, filmują mnie i podstawiają mi pod nos bilety, książki, paragony i ręce, żebym złożyła na nich autograf. Zauważam pierwsze oznaki narastającej paniki: pot spływający mi po plecach, serce łomoczące w piersi i to wrażenie, że zaraz się uduszę.

– Jak bardzo pijana byłaś w Amsterdamie? – krzyczy ktoś, a ktoś inny pyta, czy poszłam na odwyk. Chyba wszyscy na tym świecie obejrzeliby już filmik, na którym spadam ze sceny. „Drew nurkuje w tłumie” brzmiał jakże inteligentny nagłówek „Daily Mail”. W ciągu kilku godzin TikTok zalały gify, memy, stitche. Naprawdę niewiele doświadczyłeś w życiu, jeśli cały świat nie zjednoczył się, by wysmiewać twoje osobiste kryzysy.

Cofam się o krok przed napierającymi na mnie ludźmi. Powietrze staje się zbyt gęste, żebym mogła zaczerpnąć oddechu, i kiedy już mam dostać ataku paniki, chwyta mnie czyjaś dłoń. Josh wyciąga mnie z tłumy niczym z morskiej toni.

Za chwilę na pewno wrócę do nienawidzenia go, ale w tym momencie, kiedy prowadzi mnie do czekającej na nas taksówki, nikogo nie kocham bardziej od niego.

Drzwi samochodu otwierają się na oścież, a ja wskakuję pospiesznie do środka. Ludzie już nas otaczają i filmują z każdej strony. Kto w ogóle będzie chciał oglądać ich filmiki? „Widziałeś już taksówkę, w której odjechała Drew Wilson?”, zapytają później znajomych. A jeśli ich znajomi zachowali jeszcze resztki rozumu, odpowiedzą: „Po co, u diabła, mielibyśmy to oglądać? I po co filmować odjeżdżającą taksówkę?”.

Zostaję wepchnięta na sam tył, co nie jest idealnym rozwiązaniem z uwagi na fakt, że cierpię na chorobę lokomocyjną. Nie mamy jednak czasu na reorganizację.

Samochód rusza gwałtownie. Szerokie uda Joshuy w spodenkach w kolorze khaki naciskają na moje, a on sam pachnie irytująco dobrze: mydłem i rozkosznie męską skórą. Już zdecydowanie zbyt długo nie uprawiałam seksu, skoro zapach jego skóry aż tak na mnie działa, i to jeszcze w takich okolicznościach. Poza tym przyleciał tu z Somalii. Czy nie powinien cuchnąć samolotem i potem jak ja?

Beth zaczyna nam czytać opisy ze swojego przewodnika po Oahu. Czy człowiekowi

może robić się niedobrze od głosu innego człowieka? Bo tak właśnie działa na mnie jej głos. Poza tym brakuje mi powietrza. Przyciskam twarz do szyby jak pies.

– Opieka medyczna jest tu najwyraźniej znakomita – oznajmia Beth. – Jedna z najlepszych w kraju.

Nie rozumiem, dlaczego nam o tym czyta. Jest tu z nami co prawda trzech lekarzy – Jim, Sloane i Josh – ale celebrytka uciekająca samochodem z lotniska zalicza się chyba do co najmniej równie interesujących osób?

– Niedobrze ci? – pyta mnie Josh, brzmiąc na zbyt zde gustowanego chorobą lokomocyjną jak na kogoś, kto rzekomo jest lekarzem. Przypomina raczej faceta, którego zatrudnia się do likwidacji cywilów za pomocą drona.

– Chyba jakoś to zwalczę. – Oddycham płytko przez nos i mój wzrok pada na jego torbę na laptopa. – Ale otwórz ją na wszelki wypadek.

Jakimś cudem na jego twarzy odmalowuje się jeszcze większa pogarda niż wcześniej, choć wydawało się to już niemożliwe.

– Masz chorobę lokomocyjną – oznajmia sucho. – Dlaczego nic nie powiedziałaś?

– Nie wiem – odpowiadam. – Może miało to związek ze ścigającym mnie tłumem nastolatków?

– Jest taka jak ty, Josh – kwituje Beth, odwracając się z uśmiechem do syna, jakby któreś z nas rzeczywiście miało uznać to za komplement. – Robi to, co należy.

Josh lustruje mnie wzrokiem z pogardą.

– Faktycznie, to tak, jakbyśmy byli bliźniętami – mówi ze zniesmaczoną miną, a potem dodaje pod nosem: – Tylko że ja nie zarabiam na twerkowaniu.

– A ja nie jestem chamska dla osób, które właśnie poznałam – syczę.

– Najwyraźniej nie pamiętasz dnia, w którym się poznaliśmy – mamrocze w odpowiedzi.

Zaciskam szczęki. To nie ja zapytałam go, czy skończył szkołę średnią. I nie ja zasugerowałam po cichu własnej matce, kiedy myślałam, że on mnie nie usłyszy, żeby pilnowała przed nim srebra.

– Włóż głowę między nogi – rozkazuje. – I nie zwymiotuj mi na spodnie.

Pochylam się i opuszczam głowę, jak zasugerował doktor Dobre Maniery. Jak dotąd wakacje na Hawajach wydają się jeszcze bardziej męczące niż moja codzienność.

JOSH

Oto lekcja, którą powinienem był sobie przyswoić z dziecięcych programów telewizyjnych: każde kłamstwo, nawet takie dla dobra drugiej osoby, lub choćby niedopowiedzenie w końcu i tak wyjdzie na jaw i obróci się przeciwko tobie. Nie spodziewałem się, że wszystkie wyjdą mi bokiem naraz.

Jeszcze zaledwie kilka godzin temu, pod koniec bardzo długiego lotu nie mogłem się doczekać wakacji z rodziną na Hawajach. Cóż, w każdym razie z moją matką. Spodziewałem się zobaczyć ją w dużo lepszym stanie po zakończonej chemioterapii, z moim ojcem udającym przyzwoitego człowieka u boku i bratem, który zdecydowanie za dużo pije i zachowuje się jak na samolubnego dupka przystało.

Ale jak dotąd tylko mój ojciec sprostął moim wyobrażeniom, ponieważ mama najwyraźniej nie czuje się dobrze, a mój brat nie raczył się tu nawet zjawić. Zaczynam żałować, że w ogóle wysiadłem z samolotu. Taksówka podjeżdża w końcu pod hotel. Diwa mojego brata jakimś cudem zdołała nie zwymiotować, ale i tak wysiadam najszybciej, jak tylko mogę, i ruszam do hallu Halekulani pod gołym niebem.

Hotel z bielonego kamienia emanuje spokojem i dyskretną elegancją, jak przystało na miejsce, w którym wszyscy mówią szeptem i w którym czujesz się jak jedyny gość. Tylko my stoimy przy recepcji i już po niecałej minucie pracownik hotelu prowadzi nas (oczywiście w milczeniu) labiryntem zadbanych ogrodów i szmerzących cicho fontann do windy w naszym skrzydle. Mama zarezerwowała nam trzy pokoje obok siebie na piątym piętrze. Chce, żebyśmy przez całą tę wycieczkę byli jak najbliżej.

– Spotkajmy się przy barze o osiemnastej – mówi, gdy docieramy do naszych pokoi. – Urządzają tu pokazy o zachodzie słońca.

Otwieram drzwi do naszego apartamentu składającego się z sypialni z luksusowym łóżem małżeńskim, wystarczająco dużego salonu, aby pomieścić stół, biurko i kanapę, oraz długiego tarasu z widokiem na Diamond Head. W Doosze sypiam w namiocie, w którym ledwo się mieszczę na stojąco. Nawet jedna łazienka byłaby tam wielkim luksusem, a tutaj są aż dwie, w komplecie z japońskimi toaletami, które robią za ciebie wszystko oprócz ściągania spodni.

Nie mogę jednak mieć tego mamie za złe. Chciała, żeby te wakacje były doskonałe, i chyba wiem dlaczego. Wolałbym tylko, żeby nie były aż tak... ekskluzywne. W obozie dla uchodźców mamy dzieci na wózkach inwalidzkich zbudowanych z kół rowerowych i krzeseł szpitalnych. Ile sprzętu moglibyśmy kupić za te pieniądze? Ile jedzenia?

– Naprawdę o niczym nie wiedziałeś... – mówi Sloane i nie ma na myśli apartamentu. Nawet nie zwróciła na niego uwagi. Myśli tylko o jednym: o nas, chociaż jeszcze dwie godziny temu nie było żadnych „nas”.

Przezesuję włosy palcami. Jezu, co za pieprzony bajzel.

– Nie – mówię, zmuszając się do uśmiechu. – Ale dobrze cię widzieć.

Tylko że to nieprawda.

Moja mama bez wątpienia mnie zaskoczyła, zapraszając ją tutaj. Łączył mnie ze Sloane jedynie romans, nic więcej, dopóki nie opuściła Somalii, co szczęśliwym zrzędzeniem losu doprowadziło do jego zakończenia. A teraz muszę udawać, że wcale nie poczułem wtedy ulgi,

oprócz całego mnóstwa innych rzeczy, które obecnie udaję.

Sloane zakłada ręce na piersi. Rozgryzła wszystko już w drodze do hotelu.

– Dlaczego pozwoliłeś swojej matce wierzyć, że z nami jeszcze nie koniec, skoro dla ciebie to był koniec? – pyta chłodno.

Wkładam ręce do kieszeni. Trudno wytłumaczyć, jak bardzo mojej mamie zależy na tym, abyśmy z Joelem się ustatkowali. Prawdopodobnie obwinia za naszą niechęć do stałych związków swoje popieprzone małżeństwo, i wcale się nie myli.

– Nie chciałem jej denerwować przed chemią – odpowiadam. Wydawało mi się, że zdołałem taktownie zakończyć relację ze Sloane i równie taktownie pominąć rozmowę o tym z matką. A tymczasem obie złapały mnie w sidła.

Milniemy, gdy do środka wchodzi boy hotelowy i kładzie nasze walizki na ławce u stóp łóżka. Kiedy wychodzi, Sloane podchodzi do swojego bagażu i rozpina go bez słowa. Wnętrze walizki wygląda jak stylizowane na sesję zdjęciową. Wszystko wyprasowane i idealnie złożone. Cała Sloane: czysta, dokładna, metodyczna.

Z kolei torba Drew pewnie pęka w szwach. Wyobrażam sobie, jak ją otwiera i wyskakują z niej jak z armaty kolorowe majteczki, staniki i peniuary. Nie mam pojęcia, dlaczego fantazjuję o bieliznie Drew ani dlaczego jest cała przezroczysta i zupełnie niepraktyczna, ale to niepokojący tok rozumowania.

– I nie masz nic przeciwko mojej obecności? – Sloane otwiera szufladę, a potem ją zamyka.

W tym momencie przytłacza mnie tak wiele rzeczy, że ledwo mogę oddychać.

– Oczywiście, że nie – odpowiadam, bo co miałbym jej powiedzieć? „Słuchaj, niezupełnie, czy mogłabyś wrócić z powrotem do Atlanty?”

– Więc wyświadcz mi, proszę, przysługę i nie nadskakuj dziewczynie swojego brata przez całą tę wycieczkę. – Zaciska usta.

– Nie nadskakuj? – Śmieję się zaskoczony.

– Na lotnisku rozmawiałeś z nią więcej niż ze mną – odpowiada. – A potem w taksówce wszedłeś w tryb lekarza.

– Poprosiłem ją, żeby nie zwymiotowała mi na spodnie. To nie miało dużo wspólnego z opieką medyczną.

Znów zaciska usta, jakby się ze mną nie zgadzała, ale uznała, że dalsza kłótnia nie ma sensu. Wychodzę na balkon. Nagle w tym dużym pomieszczeniu brakuje mi powietrza. Podejrzewam, że tak już będzie do końca tych wakacji.

Chwytam się balustrady i patrzę na rozpościerający się przede mną doskonały widok. Co ja teraz pocznę, do diabła? Już przez samą chorobę matki czuję się, jakbym tonął. Nie potrzebuję jeszcze nieszczęśliwej eks dzielącej ze mną pokój przez następne dwa tygodnie.

Wtedy na sąsiadujący balkon wychodzi Drew i rozpuszcza swoje nieskończenie długie blond włosy z kucyka. Zdjęła już bluzę z kapturem, którą miała na sobie wcześniej, i teraz jest w samej koszulce na ramiączkach. Zauważam szaroniebieskie ramiączka biustonosza i ślad koronki pod cienką tkaniną. Jej obojczyki, usta jakby użądłone przez pszczołę, skóra niemal zbyt odsłonięta... Zawsze sprawia wrażenie, jakby nie mieściła się w swoich ubraniach.

Na jej widok znów odczuwam tę samą dziwną, niepożądaną iskrę, którą poczułem już wcześniej. Moje spojrzenie przeskakuje na ślad koronki pod jej koszulką, po czym odwracam szybko wzrok.

Potrafię zapanować nad instynktami, przekonuję się w myślach, ale wiem, że przez następne dwa tygodnie będę musiał się bardzo postarać.

– Udawaj, że mnie tu nie ma – mówi, spoglądając na mnie tymi swoimi brązowymi

oczami, które zdają się przewiercać mnie na wylot.

– Tak właśnie zamierzam – odpowiadam sucho.

DREW

Joshua.

Spodziewałam się, że będzie dupkiem, ale... Boże, ten facet przechodzi samego siebie.

Zostawiam go stojącego na balkonie i wpatrującego się w Diamond Head tak, jakby coś mu zrobiła. Wyobrażam sobie, jak w myślach tworzy listę rzeczy, których nienawidzi:

1. Drew
2. Osoby, które mogą wykraść srebro jego matki
3. Uśpione wulkany
4. Znowu Drew.

W pokoju kusi mnie łóżko – białe, puszyste i o wiele za duże – ale nie śmiem się na nim położyć. Jestem tak zmęczona, że już bym się z niego nie podniosła, a mam się jeszcze spotkać z Baileyami w barze nad oceanem. Biorę więc prysznic i błąkam się po hotelu, żeby nie zasnąć. Kiedy mijam jeden z hotelowych sklepów, telefon brzęczy mi w kieszeni. Jeszcze zanim spoglądam na ekran, wiem, że to Tali. Należy do osób, które zapisują sobie godziny przylotów swoich bliskich i zawsze sprawdzają, czy bezpiecznie wylądowali. Będzie wspaniałą matką.

– Doleciałaś cała i zdrowa? – pyta. Wychodzę na zewnątrz i siadam na ławce ze stęknieniem. Jak to możliwe, że jestem tak sztywna od samego siedzenia przez cały dzień?

– Ledwo. Zgadnij, co wypalił Joshua, jak tylko mnie zobaczył.

– Nie kradnij srebra?

Oczywiście opowiedziałam jej wcześniej o tym, co powiedział, kiedy go poznałam. Rozchmurzam się nieco, słysząc jej chichot.

Zrzucam jedną japonkę i zanurzam palce stóp w trawę. Nawet trawa w Halekulani jest spokojniejsza i piękniejsza niż gdziekolwiek indziej.

– Pewnie by to powiedział, gdyby je ze sobą zabrali. Ale poważnie, kto w tych czasach w ogóle wyjeżdża jeszcze z rodzowym srebrem? Ludzie na tym jedzą i wkładają to sobie do ust. Skoro nie chcę diamentu, który wkładasz sobie do ust, to tym bardziej nie chcę też żadnego metalu. W każdym razie... Nie, nie wspomniał o srebrze. Powiedział „Jesteś spocona”, jakbym krwawiła albo jakby to była rzecz, która nie przystoi przyzwoitym ludziom.

Tali się śmieje. Jest jedną z najbardziej energicznych osób, jakie znam, a teraz gdy nosi w swoim łonie coś, co taktownie określa się jako owoc miesiąca miodowego (choć pojawiło się przed ich miesiącem miodowym), wręcz tryska entuzjazmem.

– Jestem pewna, że zareagowałaś ze swoją zwykłą powściągliwością – komentuje.

Gapię się z roztargnieniem na śliczną białą sukienkę w oknie wystawowym. Jest delikatna i dziewczęca, czyli dokładnie taka, jakiej nigdy bym nie włożyła.

– Byłam czarująca – odpowiadam. – A przynajmniej tak mi się zdaje. Nie jestem pewna, bo padam z nóg, ale prawie na sto procent zachowałam się, jak przystało na dojrzałą osobę. Zresztą nieważne. Jak się miewa mój przyszły chrześniak?

– Jesteś równie nieznośna jak Hayes. Nie wiadomo, czy to chłopiec. Ale odpowiadając na twoje pytanie, moja córka najwyraźniej jest potworem, bo według ekspedientki z Whole Foods kradnie mi urodę. Dokładnie tak to ujęła. „Widać, że to dziewczynka, bo kradnie pani urodę”. Powiedziałaś Davisowi, że nie idziesz na odwyk?

Och, racja. Mój menedżer pociągnął za wiele sznurków, aby ulokować mnie w jakimś eleganckim ośrodku odwykowym w Utah. To brzmi, jakby był prawdziwym księciem z bajki, tylko że zrobił to bez konsultacji ze mną, a ja nie potrzebuję żadnego odwyku. Jestem właśnie w trakcie sześciotygodniowej przerwy w trasie koncertowej, więc nie może mi zarzucać naruszenia warunków umowy.

– Prawdopodobnie się domyśli, kiedy nie wysiądę z tamtego samolotu. – Odgarniam włosy z twarzy.

– Powinnaś go zwolnić. Dlaczego w twoim życiu jest tylu mężczyzn, których mam ochotę spoliczkować? – pyta.

Już się szykuję na pytanie o Sixa. Będę musiała jej powiedzieć, że się tu nie zjawił (co może usprawiedliwić tylko coś takiego jak więzienie), ale ona nadal skupia się na moim okropnym menedżerze.

– Proszę, zadzwoń do Bena. Jest genialnym prawnikiem. Na pewno wyciągnąłby cię ze współpracy z Davisem. Poza tym mój mąż mu ufa, a wiesz, że Hayes nie ufa nikomu.

– Oprócz ciebie – przypominam.

– To chyba dobrze, skoro jestem jego żoną. – Słyszę uśmiech w jej głosie.

Tali i Hayes to para, która wybrała tę dłuższą trasę. Nie zrażają ich żadne niewiadome na ich drodze. Małżeństwo ich uszczęśliwia, a mnie przeraża nawet, gdy na nich patrzę.

Bo wszystko, co wzbudza ekscytację, sprawia znacznie większy ból, kiedy się zakończy.

BAILEYOWIE SĄ JUŻ W KOMPLECIE, kiedy docieram do baru nad oceanem na pokaz o zachodzie słońca. Sloane nadal jest ubrana tak, jakby przyjechała tu wypytać o luki podatkowe dla bogatych dupków, ale Josh przebrał się w koszulkę i szorty khaki. Nie pojmuję, dlaczego serce podskakuje mi na jego widok. Jest rozciągnięty na zbyt małym dla niego krześle, z tymi dobrze zarysowanymi bicepsami. To trochę tak, jakbym usłyszała o czymś fetyszu i była tym jednocześnie zniesmaczona i podniecona.

Siadam na krześle obok Beth, która uśmiecha się do mnie, jakbym była jej ulubioną osobą na całym świecie.

– Jakieś wieści od Sixa? – pytam.

Kręci głową, a w jej oczach pojawia się cień zmartwienia.

– Nie będzie mógł się z nami skontaktować, dopóki nie wyjdzie jutro za kaucją – odpowiada. – Ale jego prawnik jest z nami w kontakcie. Mam tylko nadzieję, że nie ominie go cały nasz pobyt w Oahu. No nic, coś wymyślimy.

Mrugam zakłopotana. Na lotnisku mówiła, że powinni wypuścić Sixa w ciągu trzech dni, a w Oahu mamy spędzić sześć. Zaczynam się martwić, że Beth jest jedną z tych beznadziejnych optymistek, które uparcie robią sobie próżne nadzieje tylko po to, by ostatecznie dojść do wniosku, że wszystko ułożyło się możliwie najlepiej, kiedy znów nic nie pójdzie po ich myśli.

– A nawet jeśli ominie go Oahu, zwiedzicie razem kolejne wyspy! – mówi Beth, klepiąc mnie po ręce. – Będzie dobrze. Cieszymy się, że przyleciałaś.

Kiwam głową, ale jestem tak zmęczona, że czuję się wręcz odrętwiała, a moje ciało wydaje się wyłączać z wyczerpania (jest dwadzieścia pięć stopni, a ja drzę). W dodatku jestem tu sama, na wakacjach z nieznanymi.

No i nadal dochodzę do siebie po rozmowie z Davisem, którą odbyłam przed wyjściem z pokoju. „Nie obchodzi mnie, czy naprawdę potrzebujesz odwyku, czy nie, Drew”, oznajmił. „Dla mnie liczy się tylko, jak to wygląda z zewnątrz. Wsadź więc lepiej swój tyłek do tego samolotu i przyleć na miejsce”.

Krótko mówiąc, jest nieco gorzej, niżbym chciała.

Kelner przynosi mi mai tai, a Sloane unosi brew, jakby chciała powiedzieć: „Czy to na

pewno dobry pomysł?”. Zastanawiam się, czy Baileyowie nadal będą się cieszyć z mojej obecności, jeśli zepchnę ją do wulkanu.

Beth składa zamówienie i opowiada o licznych atrakcjach, które dla nas zaplanowała w ramach tej wycieczki. Jest zupełnym przeciwieństwem mojej matki: ciepła, tolerancyjna, zawsze gotowa wybaczyć sporadyczne potknięcia. Six ma żal do swojego ojca, który uważa, że gra na gitarze to tylko głupie hobby, bez względu na to, ile Six na tym zarabia, ale niewiele mówi o swojej mamie. Może to właśnie najlepszy dowód na to, że jest dobrą matką? Beth przypomina fundamenty budynku: podtrzymuje go, nie zwracając na siebie przy tym zbyt wiele uwagi.

To jednak tylko domysły. Tak naprawdę niewiele wiem o dobrych matkach.

Beth zauważa, że drzę, i próbuje mi wcisnąć swój szal, a wtedy uwaga Josha też skupia się na mnie. Jego wzrok się wyostreza, jakby nagle przypomniał sobie o moim istnieniu i było to dla niego nieprzyjemne, a potem wykrzywia usta z czystą pogardą. „Wsadźcie ją do taksówki, a zwymiotuje”, myśli. „Zabierzcie ją na świeże powietrze, a nie będzie potrafiła wyregulować temperatury. Do czego się właściwie nadaje poza wykradaniem srebra?”.

Za bardzo przypomina mi to spędzanie czasu z moją rodziną – czego generalnie nie robię. I w normalnych okolicznościach zlekceważyłabym jego podejście, ale nie teraz, kiedy jestem tak zmęczona i zniechęcona. Teraz sprawia mi to przykrość. Odnoszę wrażenie, że jestem skazana na rozczarowywanie ludzi.

Czuję ulgę, gdy w końcu rozchodzimy się do swoich pokojów. Wpadam do swojego spragniona snu, ale ciągnie mnie jeszcze na balkon. Księżyc w pełni wisi nisko nad Diamond Head. Powinam go sfotografować i opublikować zdjęcie na Instagramie, aby udowodnić całemu światu, że bywam trzeźwa, ale jestem na to zbyt zmęczona. Ziewam i odwracam się, aby wejść do środka, kiedy coś nagle przykuwa moją uwagę: samotna postać stojąca przy falochronie.

Joshua. Pewnie się zastanawia, jak wykorzystać potęgę oceanu do czynienia zła na świecie. A jednak czuję coś na kształt troski, kiedy spuszcza wzrok i wpatruje się w swoje ręce, jakby ciężar całego świata spoczywał na jego ramionach.

Co go tak rozpraszało dziś wieczorem? I dlaczego, do diabła, nie jest teraz ze swoją dziewczyną, której nie widział od miesięcy?

Wygląda na to, że nie jestem jedyną osobą, która czuje się samotna podczas tych romantycznych wakacji dla par.

DREW

22 stycznia

Przez dwadzieścia trzy godziny na dobę jestem gotowa iść na całość. Mogę wciągnąć kreskę koki z rogalika na śniadanie, walczyć w zapasach w wannie z galaretką, a nawet zeskoczyć z klifu do oceanu, podczas gdy wszyscy inni będą się zastanawiać, czy woda poniżej jest wystarczająco głęboka.

Ale przez tę jedną godzinę na dobę nie jestem tamtą dziewczyną i ta godzina właśnie nadeszła. Jest czwarta rano. O tej porze w domu jest dziesiąta, więc pewnie dlatego się budzę. Zresztą nie sposób się nie obudzić, kiedy serce bije ci tak mocno. Zawsze jest tak samo: otwieram oczy i przerażona skanuję wzrokiem ciemny i najczęściej nieznanymi mi pokój. Czuję się przerażająco samotna i mam poczucie, że zawiodłam we wszystkim, nawet w tym, za co mnie chwala.

To godzina, w której przyznaję przed samą sobą, że jestem oszustką, a ta osoba, która pojawia się w czasopismach i występuje dla tysięcy fanów, nie jest mną. Nie ma mojego imienia, już prawie nie przypomina mnie z wyglądu i nawet jej nie lubię... A jednak udawanie jej jest jedynym sposobem, w jaki mogę odnieść w życiu sukces. Jediną drogą, bym uzyskała to, czego chcę.

Po trzydziestu minutach leżenia w łóżku i zastanawiania się, czy jeszcze kiedyś będzie lepiej, wstaję i ubieram się, żeby pobiegać. Nie lubię biegać, ale jest tutaj sporo dobrego jedzenia, a Davis mnie zabije, jeśli przytyję.

Zjeżdżam windą i kieruję się krętymi ścieżkami na ulicę. Na terenie hotelu panuje niemal zupełna cisza, jeśli nie liczyć szmeru fontann i szeptów na recepcji. Jest coś kojącego w tym miejscu, mieście, a może nawet i całej wyspie. Panuje tu łagodny klimat, a drzewa owocują. Można by tu żyć nawet bez pieniędzy. Mam ich więcej, niż potrafię wydać, ale podoba mi się ten pomysł.

– Proszę, powiedz mi, że nie planujesz biegać przed piątą rano w obcym mieście – mówi niski głos, który rozpoznałabym wszędzie, głównie dlatego, że tylko jedna osoba na świecie aż tak bardzo mną gardzi, dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Odwracam się i widzę Josha wpatrującego się we mnie w snopie księżycowego światła. Jego oczy są jak letnia burza, a zmarszczka między brwiami głęboka jak Rów Mariański. Czuję przedziwne szarpnięcie w brzuchu na jego widok, ale je ignoruję.

Nie pozwolę Joshowi dołączyć do tej licznej grupy osób, które uzurpują sobie prawo do pouczania mnie i krytykowania. Co go w ogóle obchodzą moje poczynania? Czyżby się martwił, że zamierzam grasować po ulicach i płądrować tutejsze kawalerki?

– Nie – odpowiadam z najśłodszy uśmiechem na twarzy. – Skądże.

A potem się odwracam i zaczynam biec.

Nakładam słuchawki, kierując się w stronę głównej ulicy. Mijam bardzo długi rząd absurdalnie drogich sklepów – z rzeczami, na które teraz z łatwością mogłabym sobie pozwolić, gdybym tylko nie nienawidziła zakupów.

Słucham dość spokojnej muzyki zespołu z Sacramento. Głównie gitara akustyczna, ale

uwielbiam sposób, w jaki przechodzą od subtelnych, przyjemnych dźwięków do mocniejszych, przyprawiających mnie o gęsią skórkę.

To taka muzyka, którą sama kiedyś tworzyłam, zanim podpisałam kontrakt na pierwszą płytę i przekonałam się, że nigdy nie będę wykonywała własnych utworów. Teraz nawet nie gram już na gitarze na koncertach. „Jesteś zbyt seksowna, żeby tylko stać i grać na instrumencie”, wyjaśnił na początku mój menedżer. „Ludzie pragną show”.

Pewnie powinnam była się upierać przy swoim, ale miałam zaledwie dwadzieścia lat, byłam spłukana i bałam się, że jeśli będę domagać się więcej, skończę z pustymi rękami. Wątpię, aby wielu ludzi uznało to za błąd z mojej strony, biorąc pod uwagę to, gdzie teraz jestem.

Rząd sklepów zastępuje mały park przy plaży, gdzie tuż przy chodniku rośnie masywne, powykęcane drzewo. Zatrzymuję się, by dokładniej mu się przyjrzeć. W blasku księżycy w pełni wygląda magicznie, jak z bajki Disneya.

– To banian – mówi głos za mną. Wydaję z siebie zduszony okrzyk zaskoczenia i odwracam się do Joshuy.

– Śledziłeś mnie?

Wypycha językiem policzek.

– Przecież nie biegłbym w takim tempie z własnej woli.

– Po co? – warczę, a moja stopa zaczyna stukać o ziemię. To miał być mój czas tylko dla siebie. A przynajmniej z dala od ludzi, którzy oskarżają mnie o wykroczenia. – Przecież tu nawet nikogo nie ma.

– Faktycznie. Zapomniałem, jak bezpiecznie jest na ulicach, kiedy jest ciemno i nie ma potencjalnych świadków. – Wzdycha ciężko, ściskając grzbiet nosa. – Zdajesz sobie sprawę, że większość ataków na biegaczki ma miejsce z rana?

Opieram się o latarnię i zaczynam rozciągać. Już zaczęłam przy nim sztywnieć.

– Czyżbyś szukał najlepszego sposobu na zaatakowanie biegaczki? Poza tym właśnie minęliśmy sklepy Tiffany i Jimmy Choo. To najprawdopodobniej ty jesteś najbardziej zepsutym i najniebezpieczniejszym facetem w okolicy.

– Aha. Ale gdybyś się myliła, Drew, jak właściwie miałabyś się obronić? Masz jakiś metr wzrostu.

– Metr siedemdziesiąt – warczę. – I jestem w świetnej formie. Spokojnie pokonałabym dziesięciu facetów twojej postury.

To lekka przesada, ale bez wątpienia skopałam tyłek Maxowi Greenbaumowi. Choć nie brzmi to zbyt imponująco, zważywszy na to, że mieliśmy tylko po dziewięć lat, a on był naprawdę drobny jak na swój wiek.

– Dziesięciu facetów, tak? – Unosi brwi.

– Co najmniej. Oczywiście wszystkich naraz. Filmy Tarantina wypadają cholernie słabo przy moich umiejętnościach walki.

– No to pokaż, na co cię stać – mówi, podchodząc bliżej z rozluźnionymi ramionami. – Pokaż mi, jak byś się obroniła.

Świerszcze cykają, wieje lekki wiatr, a światło księżycy oświetla jego zadowoloną z siebie doskonałą twarz.

– Moje ręce to śmiercionośna broń. A ty najwyraźniej nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak bardzo chcę cię kopnąć w jaja – odpowiadam. – Lepiej, żebyś mnie nie prowokował.

Unosi podbródek, a jego usta prawie układają się w mniej surowym grymasie niż zwykle.

– Ach tak? Bo sprawiasz wrażenie kogoś, kto nie jest pewien swoich możliwości.

Teraz, kiedy zarzucił mi błąd, nie mam innego wyboru jak go zaatakować. O dziwo, uświadamiam sobie, że tak naprawdę wcale nie chcę go skrzywdzić tak bardzo, jak mi się

zdawało. To znaczy oczywiście nadal chcę go zranić, ale... nieco mniej. Poza tym jest jakieś trzydzieści centymetrów wyższy ode mnie. To będzie jak próba pobicia sekwoi.

– Ostatni facet, z którym walczyłam, zoczył spodnie. Naprawdę chcesz zaryzykować?

– Przyznaj, że jesteś słabsza ode mnie – mówi, krzyżując ręce na swojej szerokiej piersi. –

I możemy kontynuować bieg.

Dobra, wycofuję swoje poprzednie oświadczenie. Oczywiście, że chcę zrobić mu krzywdę. Wyrzucam nogę w górę z prędkością błyskawicy. Dawno już nie walczyłam, ale potrafię jeszcze wymierzyć przyzwoitego kopniaka z półobrotu. Zanim jednak moja stopa dotyka Josha, on chwytą mnie mocno za nogę. Dwie sekundy później leżę na ziemi, a on klęczy nade mną. Nie mam pojęcia, jak to zrobił, ale mocno nadszarpnęło to moją dumę ze zwycięstwa nad Maxem Greenbaumem. Josh pomaga mi wstać, ciągnąc mnie za rękę.

– Chciałabyś coś powiedzieć?

– Tak – odpowiadam, otrzepując się. – Trochę za bardzo podoba ci się rzucanie kobiety na ziemię. Nic dziwnego, że Sloane wygląda na tak nieszczęśliwą.

Jego twarz znów przyjmuje ten sam surowy wyraz. Może zastosowałam cios poniżej pasa, ale to nie ja ją tu zaprosiłam.

– Potraktuję to jako mowę przegranej – mówi. – A tak w ogóle, powinnaś trochę przystopować. Odpoczynek na wakacjach nie jest w stylu Baileyów.

– Dam sobie radę – odpowiadam. – Martw się lepiej o siebie.

Dotykam kieszeni z inhalatorem, chociaż nie mam zamiaru go przy nim użyć, żeby nie dodał „astmatyczka” do wciąż rosnącej listy moich wad. A potem odwracam się do Diamond Head i zaczynam biec, wiedząc, że będę musiała pokonać znacznie dłuższą trasę, niż planowałam, i to znacznie szybciej, tylko po to, żeby udowodnić Joshui Baileyowi, że nie potrzebuję jego rad.

JOSH

Na pewno nie zamierzała przebiec dziesięciu kilometrów tego ranka. Wygląda, jakby miała się przewrócić z wyczerpania, gdy zatrzymujemy się w końcu przed hotelem.

– Zamierzasz mnie tak codziennie prześladować? – pyta, oddychając tak ciężko, że ledwo może mówić.

– Wolałbym nie – odpowiadam. – Trudno to nazwać porządnym treningiem.

Pochyla się z dłońmi przyciśniętymi do ud, próbując złapać oddech. Podnosi wzrok, żeby na mnie spojrzeć, a ja mimowolnie zwracam uwagę na jej bardzo głęboki dekolt.

– Słuchaj... Wystarczy, że obiecasz, że nie będziesz już biegała sama o piątej rano.

Prostuje się. W świetle wczesnego poranka, zarumieniona, z odsłoniętą twarzą i sarnimi oczami wygląda dużo młodziej i niewinniej.

– Za bardzo boisz się grasujących na ulicach przestępców. I chciałabym zaznaczyć, że z prawnego punktu widzenia takie zapewnienie nie miałyby najmniejszego sensu. Oznaczałoby to, że mogę wyjść jutro pobiegać pięć po piątej.

– To naprawdę cud, że nikt cię jeszcze nie zabił – odpowiadam ze znużeniem. – I nie mówię o przestępcach, tylko o ludziach, którzy znają cię najlepiej.

Pokazuje mi środkowy palec z uśmiechem i odchodzi. W końcu się od niej uwolniłem, ale nie mogę jeszcze pójść do pokoju, bo Sloane śpi – nie żebym chciał tam pójść, gdyby nie spała. W nocy położyłem się na kanapie, co nie poprawiło sytuacji między nami, ale po prostu wydało mi się właściwe. Teraz, kiedy wiem, że traktowała nasz romans poważnie, nie mogę tak po prostu wrócić do tego, na czym skończyliśmy zeszłego lata. Tym bardziej że pod koniec tej wycieczki gorzko bym ją rozczarował, przez co zachowałbym się jak mój ojciec czy brat.

Podchodzę do leżaków przy basenie i myśląc o tej pogmatwanej sytuacji, patrzę na słońce wylaniające się powoli zza Diamond Head. Te wszystkie tajemnice ciążyą mi jeszcze bardziej niż wczoraj.

Nie potrzebuję na dodatek niańczyć nieznośnej dziewczyny mojego brata.

Wyobrażam ją sobie biegającą samotnie nad ranem i tłumię cichy jęk. Powiedziała, że mogłaby odeprzeć atak dziesięciu facetów naraz, a ledwo udało się jej musnąć moją klatkę piersiową. Mój brat przedstawiał nam już wcześniej denerwujące kobiety, ale Drew Wilson jest – bez dwóch zdań – najgorsza.

GODZINĘ PÓŹNIEJ JEMY ŚNIADANIE, kiedy podchodzi do nas Drew z talerzem pełnym węglowodanów.

– Dzień dobry, Joshua, Sloane – mówi z przesadną serdecznością, stawia talerz naprzeciwko Sloane i wysuwa dla siebie krzesło. – Nie jecie śniadania?

– Mam filozoficzne obiekcje wobec bufetów – odpowiadam.

Przewraca oczami.

– Nie zdążyłam jeszcze nawet usiąść do stołu, a tobie już udało się mnie zanudzić. Co jest nie tak z bufetami? Za dużo przyjemności?

– To marnowanie jedzenia – wyjaśniam. – Połowa z tego wylądzuje na śmietniku.

Wiem, że tego nie zrozumie. To nie tak, że ten bufet faktycznie odbiera komuś pożywienie. Ale wolałbym na to wszystko nie patrzeć. Nie myśleć o dzieciach w obozie i o tym,

że jedno takie śniadanie byłoby dla nich uczcą, którą zapamiętałyby do końca życia.

Drew posyła mi najbardziej fałszywy uśmiech na świecie, wpychając sobie do ust pół czekoladowego rogalika.

– W takim razie w tym tygodniu będę jeść znacznie więcej niż normalnie, żeby nie musieli aż tyle wyrzucać.

– Amerykańskie luksusy są odrażające dla ludzi, którzy na własne oczy widzieli prawdziwą biedę – oznajmia protekcjonalnym tonem Sloane, wpatrując się wymownie w talerz Drew.

– Ach, tak? – pyta Drew, przenosząc wzrok z drogiej torebki zwisającej z oparcia krzesła Sloane na kubek w jej dłoniach. – A jak ci smakuje to wielkie cappuccino? Amerykańskie luksusy są całkiem smaczne, nieprawdaż?

Świetnie. Sloane uderza w krytykanckie tony, a Drew ją gasi. Tylko tego mi jeszcze brakowało na tych gównianych wakacjach.

Moi rodzice podchodzą do nas z talerzami z bufetu, nieświadomi rosnącego napięcia przy stole, a mama wyciąga swój zaufany przewodnik: *Oahu: The Adventure of a Lifetime*. Otwiera go i podsuwa mi pod nos.

– Dzisiaj wybierzemy się do dawnych bunkrów wojskowych – mówi. – To świetne punkty widokowe. Czekają nas naprawdę niesamowite widoki.

Baileyowie nigdy jeszcze nie spędzili wakacji na wylegiwaniu się na plaży, więc nie dziwi mnie ten pomysł, ale szlak wygląda cholernie stromo. Co prawda wydaje się do przejścia, ale mama nie powinna się w tym momencie narażać na aż taki wysiłek.

– Mamo... – zaczynam ostrożnie. – Obawiam się, że to może być zbyt wiele. Może się dziś zrelaksujemy?

– Dam sobie radę – odpowiada, unikając mojego wzroku. – To pierwsze zdjęcie na pewno jest zwodnicze.

Szukam wsparcia u ojca. Jest ostatnią osobą, z którą mam ochotę się jednoczyć, ale tonący brzytwy się chwyta. Tylko że jest zbyt zajęty sprawdzaniem poczty, by zwrócić uwagę na cokolwiek innego.

Sloane stuka w zegarek ze zmarszczonymi brwiami.

– Chyba będę musiała spasować. Zaplanowałam manicure na dziesiątą.

Drew napotyka moje spojrzenie i się uśmiecha. „Och, więc bufet to amerykański luksus, ale nie manicure w hotelowym spa?”, mówi jej mina, a wzrok pada na nadgarstek Sloane. „I nie ten smartwatch za czterysta dolarów?”. Wiedziałem, że nie odpuści, i chociaż trudno mi to przyznać, to jednak ma rację.

– Tato... – Staram się mówić spokojnym głosem. – Co o tym myślisz?

Zerka na mnie, a potem na przewodnik i wzdycha.

– Beth, Josh ma rację. Przyjrzymy się szlakowi na miejscu, ale nastawmy się raczej na spędzenie dnia na plaży.

Po twarzy mamy przemyka jakiś cień. Wolałbym, żeby nie potwierdzał moich najgorszych podejrzeń. Mama tłumi go szybko, ale mi zostaje on w głowie. W międzyczasie Sloane znów wodzi wzrokiem między mną a Drew, jakbyśmy byli jakąś niezwykle trudną zagadką, którą zamierza rozwiązać.

– Przełożę jednak swój manicure i dołączę do was – oznajmia.

Światło słoneczne uderza w stół w oślepiającym rozbłysku ciepła i kilka ptaków podlatuje, próbując ukraść nam jedzenie z talerzy. Mój ojciec nie zwraca na nie najmniejszej uwagi, siedząc z nosem w telefonie, a matka z jakiegoś powodu akurat teraz nie potrafi zebrać w sobie energii, żeby je przegonić. Tylko Sloane podrywa się od stołu, jakby te trzy małe ptaszki

były straszidłami z filmu Hitchcocka, i od razu wyciąga z kieszeni żel antybakteryjny.

Drew śmieje się z tego wszystkiego i zlizuje czekoladę ze swoich idealnych ust.

Zamykam oczy, zastanawiając się, czy istnieje jakiś sposób, żeby wymigać się z tych naszych luksusowych wakacji i po prostu wrócić do pracy.

DREW

Tym razem siedzę z przodu, kiedy jedziemy samochodem na szlak, co ma sens ze względu na moją chorobę lokomocyjną oraz fakt, że jestem piątym kołem u wozu na wycieczce dla par. Beth każe kierowcy wysadzić nas w Kailua, chociaż to wcale nie stamtąd mieliśmy rozpocząć wędrówkę. Jej zdaniem czeka nas jednak niezwykle malowniczy spacer. To zbyt duży wysiłek dla każdego z nas, a Beth skończyła ostatnią rundę chemioterapii ledwie dwa miesiące temu. Nie rozumiem, dlaczego się tak nadwyręża. Jeśli nie chce, żeby ją coś ominęło, zawsze może tu wrócić, kiedy poczuje się lepiej. Na pewno ich na to stać.

Przez dwadzieścia minut wędrówki mijamy tylko plażę z białym piaskiem. Przed nami wystają z wody dwie małe góry – wyspy Mokulua, według Beth i jej przewodnika. Wszyscy oprócz mnie popijają wodę. Postanowiłam jej ze sobą nie brać tylko dlatego, że Joshua mi o niej przypomniał i mnie tym zirytował. Mam nadzieję, że kwaśne żelki Sour Patch Kids okażą się przyzwoitym substytutem.

W końcu schodzimy z głównej drogi, by stanąć twarzą w twarz z górą. Jest niezaprzeczalnie piękna z tymi wysokimi, postrzępionymi, zielonymi klifami, ale nie mam najmniejszej ochoty iść nawet o krok dalej. Moją jedyną nadzieją na wymiganie się od tego jest przekonanie wszystkich, żebyśmy się na nią nie wspinali.

– Ta góra jest stroma – zaczynam.

– W przeciwieństwie do większości gór – oznajmia Josh, jeszcze bardziej szyderczo niż zwykle, a ja wyobrażam sobie, jak rzucam się na niego, chwytam go za szyję i duszę.

„Drew, nie mogę oddychać”, wykrztusiłby do mnie.

„Wiem”, odparłabym. „To część mojego przebiegłego planu kradzieży waszego srebra”.

– Nie miałabym nic przeciwko spędzeniu dnia na plaży – sugeruje Sloane.

Kiedy Jim i Beth się z nią zgadzają, odczuwam ulgę. Upiecze mi się i nie będę musiała przyznawać Joshui, jak bardzo jestem zmęczona.

– Zgadzam się na wszystko, co zdecydujecie – wtrącam.

– Ja akurat zamierzam tam wejść – zwraca się do mnie Joshua z błyskiem w oku, który wydaje się jakieś dwadzieścia procent bardziej nikczemny niż zwykle. Wyciąga jedną z czterech butelek wody, które schował sobie do plecaka, i polewa nią sobie kark. – Ale po dzisiejszym wyczerpującym poranku jesteś pewnie zbyt zmęczona, żeby mi towarzyszyć. Powinnaś odpocząć.

– W ogóle nie jestem zmęczona. – Krzyżuję ręce na klatce piersiowej.

To wierutne kłamstwo. Wzięłam dziś rano tyle ibuprofenu, że zaryzykowałam przedawkowanie, a nadal czuję się okropnie.

Josh wykonuje ręką gest „ty pierwsza”, więc wchodzę na ścieżkę. Szlak jest stromy jak diabli. Brnę przed siebie najszybciej jak potrafię, żeby tylko od niego uciec, ale on i tak z łatwością mnie dogania. To niesprawiedliwe, ale tymi swoimi długimi nogami robi jeden krok na moje trzy.

– Jak tam, mistrzyni sztuk walki? – pyta po jakichś pięciu minutach.

– Świetnie – odpowiadam, przyspieszając kroku. Żar spływa na mnie, a koszulka przykleiła mi się już do skóry. Marzę, żeby dał mi jedną z tych swoich cholernych butelek

wody. – A tobie jak idzie? To znaczy w twoim wieku... Nie martwisz się, że coś sobie uszkodzisz?

– Mam trzydzieści dwa lata – prycha.

– Ha! – odpowiadam zdyszana, wykonując tak duży krok, że muszę się przytrzymać drzewa, żeby się nie przewrócić. – Myślałam, że jesteś starszy. Może to dlatego, że ty i Sloane wydajecie się tacy martwi w środku.

– Skoro już mówimy o starości... – odzywa się, gdy znów zaczynamy iść równym tempem. – Ładna saszetka. Kupiłaś ją razem z czterokołowym skuterem elektrycznym czy nie sprzedają ich w zestawie?

– To na mój inhalator, dupku.

Milknie i przez jedną błogą chwilę nie słyszę żadnego dźwięku poza chrzęstem kamyków pod naszymi butami. Kiedy znów się odzywa, nie słychać już w jego głosie pogardy.

– Masz astmę? Dobrze sobie radziłaś dziś rano.

– Nie martw się – odpowiadam. – To nie jest trudny szlak, więc prawdopodobieństwo, że tu zejdziesz, jest raczej niewielkie.

– Spokojnie, to dopiero początek wycieczki – zauważa radosnym tonem. – Moja mama zaplanowała dla nas sporo wędrówek.

Tłumię śmiech, a potem wzdycham ciężko, gdy z rozpędem mija punkt widokowy. Mogłam się domyślić, że w wędrówce z Joshuą nie czeka mnie nic przyjemnego. Pokazuje mi środkowy palec i przypadkowo nawiązuję kontakt wzrokowy ze schodzącymi na dół dwiema dziewczynami. Widzę po ich twarzach, że mnie rozpoznały, i natychmiast sztywnieją. To znowu te pieprzone włosy. Równie dobrze mogłabym nosić neonowy napis: „Halo, zauważcie mnie”.

– Przepraszam – zagaduje jedna z nich, a ja zmuszam się, by się do niej odwrócić, ignorując nasilający się ścisk w żołądku. – Czy ty nie jesteś czasem Drew Wilson?

Istnieją tylko dwa scenariusze tej interakcji: jeśli oznajmię im grzecznie, że jestem w trakcie wędrówki i nie mogę się zatrzymać, przez resztę życia będą opowiadać o tym, jaką jestem suką, każdemu, kto tylko zechce ich słuchać, a jeśli dam im to, o co mnie poproszą, rozpowiedzą po świecie, jaka jestem miła, chociaż myślały, że będę szczuplejsza.

Czyli tak naprawdę nie mam wyboru.

Przyklejam do twarzy uśmiech, podczas gdy Josh przewierca mnie od tyłu spojrzeniem z mocą tysiąca słońc.

– Tak, cześć.

Pytają, czy mogą sobie zrobić ze mną zdjęcia. Każda z nich chce oczywiście osobne, a ja się zgadzam, podczas gdy zarzucają mnie pytaniami na temat mojego kolejnego albumu – o którym nie wiem nic poza tym, że będzie do bani. Dziewczyny nie wykazują żadnych chęci oddalenia się, dopóki Josh nie chrząka za mną zniecierpliwiony.

– Czy to twój chłopak? – pyta jedna z nich, omiatając go wzrokiem z uznaniem.

– On? Nie. Jak wiem, szatanowi nie wolno się wiązać ze śmiertelnikami.

W końcu odchodzą, a ja odwracam się do Joshui, który – dzięki Bogu – wręcza mi butelkę wody z uniesioną brwią.

– Szatanowi nie wolno się wiązać ze śmiertelnikami, tak?

– Tak słyszałam – odpowiadam niedbałym tonem. – Ale sam wiesz najlepiej, jakie są zasady.

Wysuwa język i dotyka nim górnej wargi. Widzę błysk rozbawienia w jego oczach, ale ze stoickim spokojem udaje mu się go stłumić.

Kiwa głową w stronę dziewczyn i wzdycha.

– Już publikują te idiotyczne zdjęcia w internecie.

– Też chcesz takie? – Wzruszam ramionami. – Mógłbyś je wrzucić na Instagrama i wspomnieć o tym, jaka byłam miła, a potem dodać, że w prawdziwym życiu nie jestem aż taka ładna.

Prześlizguje się wzrokiem po mojej twarzy i zatrzymuje na ustach.

– Nie mam Instagrama.

– O Boże. – Uderzam się dłonią w czoło. – Poważnie? Przypomnij mi, ile masz lat? Bo nawet mój pradziadek ma Instagrama. Chociaż wypełnia swój profil infografikami na temat rewolucji bolszewickiej, więc nie dostaje zbyt wielu lajków.

Stęka i rusza pod górę.

– Po jaką cholere miałbym mieć Instagrama?

– Mógłbyś tam zamieszczać zdjęcia z Somalii – podpowiadam. – „Oto piękny zachód słońca”, „Oto dziecko z raną postrzałową”.

– Zachody słońca zdarzają się tylko raz dziennie, w przeciwieństwie do postrzałów – komentuje ponuro. – Ale cieszę się, że cię to bawi.

– Jezu – wdycham, gramoląc się za nim. – Czy ktoś ci kiedyś zasugerował, żebyś się trochę rozchmurzył?

Kamienie osuwają się w dół, gdy odwraca się gwałtownie w moją stronę.

– Mam swoje zmartwienia.

– Zauważyłam – odpowiadam, biorąc kolejny łyk wody. – Nie możesz zdzierżyć zwyczajnych przyjemności i postępu społecznego. Co jeszcze?

Odwraca się i spogląda na mnie z góry tak, że czuję się nagle jak Calineczka.

– Zepsute księżniczki zawsze wyśmiewają się z cudzych nieszczęść – oznajmia, po czym odchodzi, zostawiając mnie w mgiełce kurzu i lekkiego żalu.

Six roześmiałyby się z mojego żartu, bronię samą siebie w myślach, próbując zignorować mały supeł w żołądku, który sugeruje, że Joshua może mieć rację. Czekam na mnie przy pierwszym bunkrze, patrząc na rozpościerający się przed nim widok tak, jakby planował obłączenie wyspy.

– Przepraszam – mówię cicho, bo nie znoszę przepraszać. – To było wredne z mojej strony.

Patrzy na mnie przez dłuższą chwilę.

– To prawda. Ale nie jesteś pierwszą osobą, która zasugerowała, że powinienem się rozchmurzyć.

– Więc oboje się myliliśmy? To właśnie próbujesz mi powiedzieć?

– Tak. – Jego usta drżą lekko od tłumionego uśmiechu. – Dokładnie to chciałem powiedzieć.

– Uśmiechnij się! – Podnoszę telefon, żeby zrobić mu zdjęcie dla Beth.

Josh składa ręce na piersi, zaciska usta i unosi brew w górę, jakby mówił: „Po jaką cholere chcesz mnie fotografować? Pozuję tylko do zdjęć paszportowych”.

Ignoruję to jednak, żeby zrobić mu na złość. Wygląda jak ponury, krzepki wiking tuż przed spłodowaniem wioski lub wyegzekwowaniem prawa pierwszej nocy.

– Jesteś odrażający, ale muszę przyznać, że można by ci zrobić przyzwoite zdjęcie, gdybyś tylko potrafił się uśmiechnąć.

– Myślisz, że nie potrafię się uśmiechać? – Ponownie unosi brew.

– Nie potrafisz tego zrobić nawet teraz, kiedy oskarżam cię, że tego nie potrafisz. Twoja twarz przybiera tylko dwa wyrazy: lekko zniesmaczony i bardzo zniesmaczony.

Z jego gardła dobiega jakiś niski, ciepły dźwięk. Taki, który prawie można by pomylić z cichym śmiechem. Wolałabym, żeby mnie aż tak nie cieszył.

– Nie popełniaj tego błędu i nie zakładaj, że patrzę na ciebie tak, jak na wszystkich innych – mówi, kierując się w górę do drugiego bunkra.

Dupek.

Wspinamy się przez kolejne dziesięć minut, a kiedy w końcu docieramy do celu, jestem już kompletnie wyczerpana i gotowa rzucić się ze szczytu, byleby tylko nie podejmować już żadnego wysiłku. Zamiast tego odwracam się jednak i zaczynam wspinać na bunkier.

– Co ty wyprawiasz, do cholery? – pyta z irytacją.

Nie zamierzam się jednak zatrzymać, chociaż nie jestem obdarzona szczególną siłą w górnych partiach ciała, a podciąganie się na rękach opartych w dużej odległości od siebie jest sporym wysiłkiem.

– Chcę sobie zrobić selfie z góry – odpowiadam. – Żeby móc udowodnić, że jestem zdrowa, i pokazać tym wszystkim dupkom twierdzącym, że potrzebuję odwyku.

– Tak, to zdecydowanie brzmi zdrowo – mamrocze, podążając za mną bez żadnych oznak wysiłku.

Docieram na szczyt i podziwiam widoki. Pod nami rozpościera się ocean o najgłębszym odcieniu koloru niebieskiego, jaki można sobie tylko wyobrazić. Wygląda, jakby ktoś narysował go kobaltową kredką, a potem ożywił. W oddali jakiś kajak płynie w stronę malutkich jak ziarnka ryżu wysp Mokulua. Zamykam na chwilę oczy i wyobrażam sobie, że słyszę jedynie dźwięk wiatru, i nikt się na mnie nie gapi. Są chwile, kiedy myślę, że mogłabym tak żyć: samotnie na jakiejś zapomnianej wyspie. Przynajmniej połowa świata nie mówiłaby wtedy, że potrzebuję odwyku, gdyby zdarzyło mi się upaść, a gazety nie sugerowały, że jestem w ciąży, za każdym razem, gdy mam wzdęcia przed miesiączką.

Otwieram oczy i odkrywam, że Josh stoi zdecydowanie zbyt blisko mnie.

– Co robisz?

– Pilnuję, żebyś nie spadła – odpowiada oschle. – Słyszałem, że czasem ci się to zdarza.

Opuszczam telefon i patrzę na niego spod byka. Łudziłam się, że jest jedyną osobą na świecie, która nie słyszała o Amsterdamie.

– Czekalesz z tym od rana, co?

– Właściwie to od samego początku. – Śmieje się cicho.

– Cieszę się w takim razie, że mamy to już za sobą.

Próbuję zachować powagę, ale już po chwili wybucham śmiechem.

Chociaż Joshua jest pieprzonym dupkiem, to jednak chciałabym się z nim przyjaźnić. Oczywiście gdyby nie tamten jego komentarz o srebrze.

JOSH

Człowiek nie jest wcale aż tak rozwiniętym gatunkiem, jak chciałby sądzić – jeśli chodzi o seks, jesteśmy zasadniczo marionetkami z prymitywnymi mózgami zaprogramowanymi na dążenie do reprodukcji za wszelką cenę. Nawet niemowlęta wpatrują się w zdjęcia symetrycznej twarzy dłużej niż w zdjęcie własnej matki. Pokaż mężczyznom z różnych stron świata różne kobiece ciała, a bez względu na to, jakie preferencje zgłaszają, fizycznie i tak zareagują na dokładnie te same porcje.

Przyznaję więc, że Drew Wilson na okładce „Maxima” przyciągnęła moją uwagę. Nie wyobrażam sobie ani jednego heteroseksualnego mężczyzny, który potrafiłby zignorować jej wdzięki. Dlatego nie potraktowałem tego poważnie, gdy zamiast myśleć o operacji, jaką miałem wykonać tamtego wieczoru, myślałem jedynie o jej nagiej skórze, miękkich ustach i pełnych piersiach, ledwo zakrytych w krótkiej różowej sukience.

Ale nie muszę się na nią gapić za każdym razem, gdy pojawia się w moim polu widzenia.

Siedzę przy basenie obok ojca, który gędzi o nikczemnościach opieki medycznej, kiedy pojawia się Drew. Dzięki Bogu ma na sobie zwykłą koszulkę i szorty zamiast skąpego bikini, a długie blond włosy ukryła pod kapeluszem.

Moja matka poklepuje leżak obok siebie.

– Wyglądasz, jakbyś potrzebowała drzemki, młoda damo – mówi do niej czule.

Z jakichś niezrozumiałych dla mnie powodów Drew wzbudza w niej skrajnie matczyne uczucia.

Drew się uśmiecha, ale jest w tym coś niepewnego i kruchego. Jakby nie wiedziała, jak zareagować, kiedy ktoś jest dla niej miły.

– Wstałam dzisiaj przed piątą, żeby pobiegać – mówi. – Po wędrownicy jestem już całkiem skonana.

Czytająca obok mnie Sloane sztywnieje. Nie wspomniałem jej, że biegałem dziś z Drew, bo i tak jest już o nią absurdalnie zazdrosna. Teraz wygląda, jakby składała fakty do kupy.

– To usiądź sobie tutaj i odpocznij troszkę, kochanie – mówi moja mama.

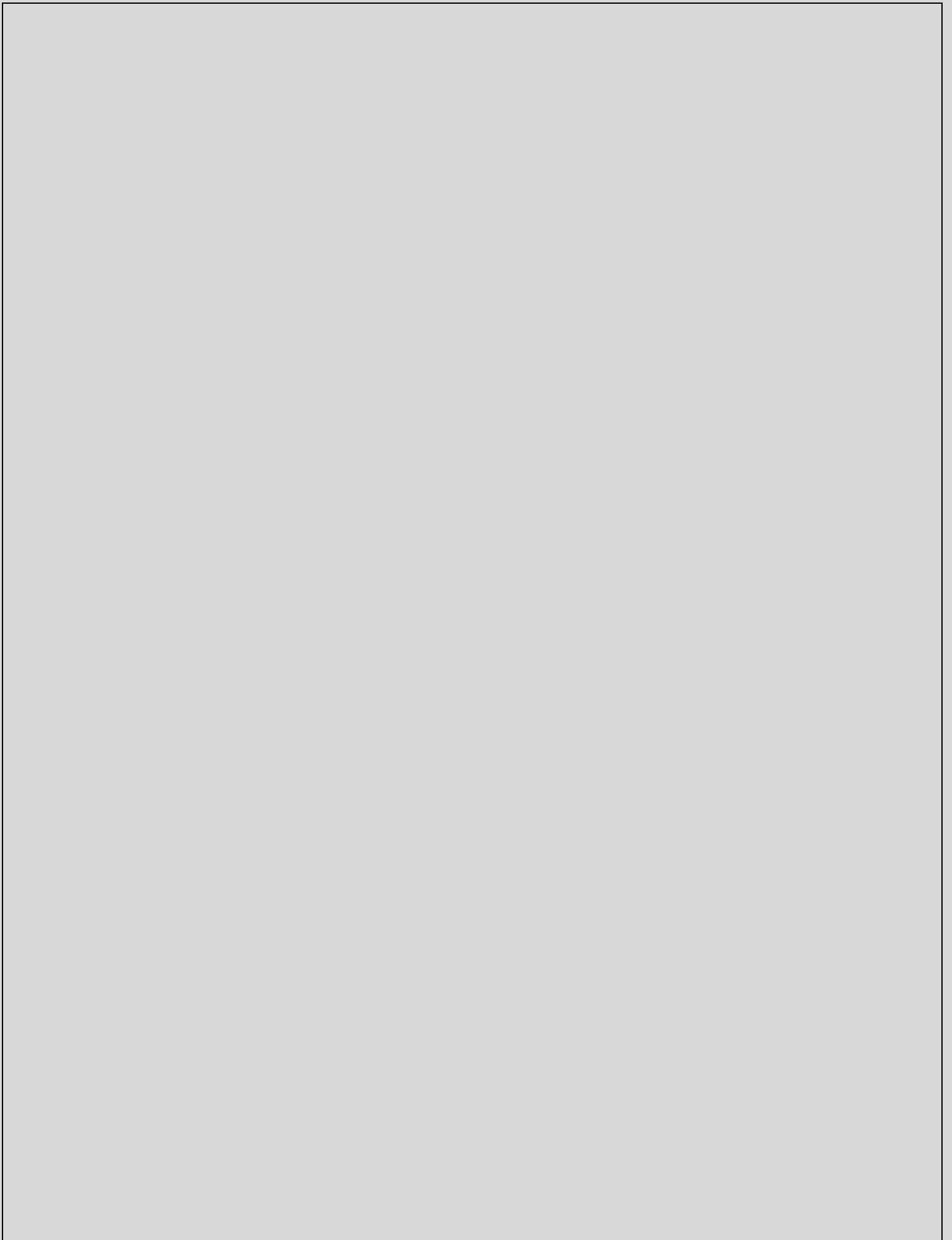
Drew kiwa głową, a potem jej ręce sięgają do paska, a ja sztywnieję w nagłej panice. Zdejmuje ubrania i... Jezu Chryste. Powinienem odwrócić wzrok dla własnego zdrowia psychicznego, ale po prostu nie mogę go od niej oderwać.

Zsuwa spodenki, a moje spojrzenie wędruje mimowolnie po gładkiej, brązowej skórze jej jędrnych ud i w górę, aż do najkrągłego tyłka, jaki kiedykolwiek widziałem. Ma białe majtki od bikini zawiązywane sznurkiem. Wystarczyłoby jedno pociągnięcie, żeby z niej opadły.

Potem zdejmuje kapelusz, a włosy rozsypują się po jej plecach. Ściąga koszulkę przez głowę, odsłaniając górę od bikini, w której ledwo mieszczą się jej piersi. Ma tak seksowne kształty, że zanim zdołałem się powstrzymać, już wyobrażam ją sobie pode mną. Pragnę jej tak mocno, że byłbym gotów oddać wszystko za spędzenie z nią nocy.

Rzucam książkę na kolana, aby ukryć fakt, że mój penis reaguje na nią, jakbym wchodził dopiero w wiek dojrzewania.

Zaciskam powieki, ale jej obraz został chyba wypalony w moim mózgu. Obawiam się, że zostanie tam już na zawsze.



DREW

23 stycznia

Udaje mi się pospać trochę w nocy, ale jest jeszcze ciemno, kiedy wychodzę pobiegać. Drzwi sypialni Josha zamykają się z trzaskiem, gdy podchodzę do windy. Nie jestem prawnikiem, ale to z pewnością podpada pod prześladowanie.

Josh opiera się o tylną ścianę windy i zamyka oczy.

– Dlaczego jesteś taki zmęczony? – pytam. – Proszę, powiedz mi, że zamordowałeś Sloane i przez całą noc zajmowałeś się ukrywaniem jej ciała.

– Dlaczego miałoby mi to zająć całą noc? – Otwiera jedno oko.

No proszę. To już chyba drugi żart Joshuy Baileya w ciągu dwudziestu czterech godzin. Śmieję się, ale chyba bardziej z tego, że mnie zaskoczył, niż z samego dowcipu.

– To musi zajmować sporo czasu – kontynuuję. – W filmach wydaje się to proste, ale przecinanie kości wymaga chyba trochę siły.

– Jezu Chryste. – Wysiada z windy i rusza przed siebie. – Twój umysł mnie przeraża.

Na zewnątrz panuje absolutna ciemność. Nie słychać też żadnych dźwięków oprócz cykania świerszczy, szumu fontann i naszych miękkich, równych kroków. Dochodzimy do drogi i zaczynamy biec. Tym razem nawet już nie próbuję go wyprzedzić. I tak by mi się to nie udało, a szczerze mówiąc, miewałam już gorsze towarzystwo. Kiedyś Davis pobiegł ze mną i przez cały czas nawijał o tym, jak ważne jest utrzymanie odpowiedniej wagi.

– Rozumiem, naprawdę. Też się zastanawiałam nad zamordowaniem Sloane – kontynuuję wątek niezrażona. – Tylko nie wiem, czy wiesz: chęć zamordowania kogoś nie jest wystarczającym argumentem dla obrony. Sprawdziłam już po naszym pierwszym spotkaniu.

– Za dużo mówisz o mordowaniu. – Krzywi się zniesmaczony. – Powinnaś na jakiś czas odstawić seriale kryminalne.

– Nie muszę oglądać seriali kryminalnych – odpowiadam. – Moja matka i ojczym specjalizują się w prawie karnym.

– Twoja matka? – Jego wzrok kieruje się w moją stronę.

Wzdycham. Wszyscy zakładają, że skoro czasem śpiewam o seksie, zapewne pochodzę z rodziny zastępczej lub zostałam wychowana przez prostytutkę.

– Naprawdę pochlebia mi twoje zaskoczenie.

– Po prostu myślałem, że wychował cię ktoś... nieco płytszy. – Wzrusza ramionami. – Na przykład starzejąca się modelka lub królowa licealnego konkursu piękności. Ktoś, kto zaciągał cię na castingi dla pięcioletnich modelek reklamujących stroje kąpielowe dla seksownych maluchów.

– Czyżby to takie reklamy zastępowały ci porno w Somalii?

– Tylko wtedy, gdy internet zbyt wolno działa – odpowiada, a ja znów się śmieję. Właśnie rzuciłam najbardziej niesmaczny żart pod słońcem, a on odpowiedział jeszcze gorszym. Nieźle!

– Wow.

– Chyba sam się tym obrzydziłem – komentuje z szyderczym uśmieszkiem.

Mijamy drzewo figowe. Dziś rano surferzy ściągają już deski z dużego stojaka na piasku i kierują się ku ciemnej wodzie.

– Nie przychodzi mi do głowy nic bardziej przerażającego niż surfowanie w takich ciemnościach – mówię.

– Nigdy nie obudziłbym się tak wcześnie z własnej woli – odpowiada, przez co znów zastanawiam się, co nie pozwalało mu spać. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że Sloane nie poświęciłabym całej nocy na seks. Pewnie uprawia go zawsze o stałej porze, nie pozwala się zbyt dotykać i trzyma w pogotowiu ręcznik, żeby się nim jak najszybciej wytrzeć.

„Czy to było zadowolające?“, zapytałaby Josha pod koniec.

On nie zadałby jej takiego pytania, ponieważ jej orgazm nie odgrywa krytycznej roli w przedłużaniu gatunku.

– Próbuję sobie wyobrazić ciebie i Sloane uprawiających seks – oznajmiam, głównie po to, by go zawstydzić.

– Co? – Potyka się, ale szybko odzyskuje równowagę.

– Nie martw się, nie ma w tym nic podniecającego. Przypomina to raczej stosunek Kena z Barbie, ocierających się o siebie swoimi gładkimi ciałami. Albo dwa roboty w jakiejś symulacji obserwowane przez naukowców. Tylko nie bardzo wiem, po co naukowcy mieliby obserwować pieprzące się roboty... Jeszcze tego nie rozgryzłam.

– Zamknij się już, błagam – mówi, ale jego usta drżą od tłumionego uśmiechu.

Nie mam pojęcia dlaczego, ale ten jego tłumiony uśmiech to jedyna rzecz, która cieszy mnie na tej wycieczce.

KIEDY ZBLIŻAMY SIĘ DO HOTELU, zaczyna świtać, a ja jestem skonana. Josh i tak starał się biec wolno ze względu na mnie, a ja byłam zbyt dumna, aby przyznać, że nigdy nie biegam w taki szybkim tempie.

Docieramy do przynależących do hotelu ogrodów, a on kieruje się w stronę basenu.

– Ja idę w tę stronę. Lubię patrzeć na słońce wschodzące nad Diamond Head.

– Nie możesz obejrzeć wschodu słońca z balkonu?

Po jego twarzy przemyka cień jakiegoś zmartwienia, którym nie chce się dzielić.

– Sloane ma lekki sen.

Nie proponuje, żebym mu towarzyszyła, ale i tak idę za nim do leżaków, z których rozpościera się widok na Diamond Head i zatokę. Zerka na mnie wyraźnie zirytowany, że psuję mu jednoosobową imprezę o wschodzie słońca, ale jego irytacja tylko mnie zachęca. Kiedy się usadawiamy, słońce dopiero wypęza zza wulkanu, a ja zaczynam się już trząść z zimna w porannym chłódzie. Przemoczony stanik sportowy przykleja mi się do skóry i z każdą chwilą wydaje się coraz bardziej lodowaty. Gdybym była teraz sama, po prostu bym go zdjęła. Zamiast tego obejmuję się tylko ramionami.

– Dlaczego nigdy nie nosisz ze sobą wystarczająco dużo odzieży? – Spogląda na mnie ze zmarszczonymi brwiami. – Zeszłego ranka też było ci zimno.

Przewracam oczami. Powinam była się domyślić, że nie obejdzie się bez krytyki nawet przy podziwianiu wschodu słońca.

– Miałam biec ze swetrem i ubraniem na zmianę?

Wstaje z leżaka, smukły i pełen wdzięku jak na swój wzrost. Nie mam pojęcia, jakim cudem utrzymuje tak świetną formę, mieszkając tam, gdzie mieszka. Wątpię, aby w Somalii mieli siłownie.

– Mogłaś zostawić bluzę w recepcji – marudzi. – Poczekaaj tu.

Kiedy odchodzi, natychmiast zabieram się za zdejmowanie mokrego stanika pod koszulką (ten skomplikowany manewr nie jest wystarczająco doceniany), ale Josh wraca akurat w chwili,

gdy przeciągam go przez górną część tułowia.

Spogląda na moją szyję na ułamek sekundy, ale zaraz podnosi wzrok.

– Zmarzłam – wyjaśniam.

– Trudno tego nie zauważyć. – Jego wzrok opada na moją klatkę piersiową, ale szybko odwraca głowę.

– Może nie powinieneś się tak gapić na moje piersi.

Wypuszcza powietrze z płuc, wpatrując się w Diamond Head.

– Poproszenie mężczyzny, aby nie patrzył na piersi, przypomina proszenie go, aby odwracał głowę od wybuchających wulkanów. Rasa ludzka wyginęłaby, gdybyśmy potrafili ignorować takie rzeczy.

Feministka we mnie chce się z nim kłócić, ale czuję zaciskającą się w moim wnętrzu małą pięść pożądania, o którego istnieniu prawie zapomniałam. Powinnam się czuć nieswojo na myśl, że Josh ogląda mój biust, ale o dziwo, jest zupełnie odwrotnie. Sama mogłabym wymyślić wiele fantazji seksualnych z jego udziałem, gdybym tylko sobie na to pozwoliła. Wyobraziłabym sobie na przykład, jak przygniata mnie na łóżku swoim ciężarem. To jednak nie jego wielkie ciało tak na mnie działa, ale on sam i coś, co wrze w nim tuż pod powierzchnią. Chciałabym sprawdzić, co by się stało, gdybym zdjęła pokrywkę.

Podchodzi dziewczyna z obsługi z tacą i stosem ręczników. Wręcza ręczniki Joshowi, a on mi je przekazuje. Kiedy owijam się nimi od stóp do głów jak mumia, kobieta stawia dwie filiżanki cappuccino na stoliku między nami. Dziękuję i chwytam filiżankę w dłonie, delektując się jej ciepłem, podczas gdy Josh podpisuje rachunek.

Kiedy jestem już rozgrzana i szczęśliwa, słońce w końcu przebija się przez chmury na wschodzie.

– Ale pięknie – wzdycham. – Nawet ten głupi wschód słońca.

– Tak się cieszę, że księżniczka popu w końcu jest usatysfakcjonowana. Bałam się, że nic cię nie zadowoli.

– Jesteś pewien, że dasz radę znieść tyle szczęścia naraz? – Uśmiecham się do niego. – Czy to nie zbyt wiele „amerykańskich luksusów” jak na ciebie? Może powinieneś jednak bardziej pocierpieć, aby lepiej się przysłużyć głodującym Somalijczykom?

– Potrafisz chować urazę, co? – Wzdycha ze znużeniem.

Śmieję się smutno. Nawet nie wie, jak bardzo.

BAILEYOWIE JADĄ DZIŚ POGRAĆ W GOLFA, a potem wybierają się do Pearl Harbor. Nie wyobrażam sobie niczego nudniejszego – chyba że w międzyczasie skoczyliby jeszcze do kościoła lub na seminarium na temat mikrofinansów – więc grzecznie rezygnuję z dotrzymania im towarzystwa na rzecz masażu gorącymi kamieniami i wylegiwania się przy basenie.

Właśnie leżę sobie na leżaku, kiedy dzwoni mój telefon. To Six chce ze mną nawiązać połączenie wideo. Najwyraźniej w końcu wypuścili go z więzienia.

– Skarbie – mruczy, przesuwając dłonią po swojej przystojnej, ale bardzo już zarośniętej twarzy. – Tak mi przykro.

Przewożenie marihuany w Azji jest błędem nowicjusza i powinien był to wiedzieć, ale trudno się na niego złościć, kiedy właśnie spędził ponad dobę w więzieniu, omijając go rodzinne wakacje i wygląda na tak nieszczęśliwego.

– Chyba ci wybaczę – odpowiadam, zsuwając okulary przeciwsłoneczne na czubek głowy. – Bardzo było źle?

– Przede wszystkim nudno. – Wzrusza ramionami. – Więc co mnie omija?

– Jest wspaniale. – Odwracam kamerę, pokazując mu basen z morzem za nim.

– Super. Ale teraz pokaż mi lepszy widok. Pozwól mi na siebie popatrzeć.

Uśmiecham się i niechętnie odwracam telefon twarzą do siebie.

– Masz na sobie strasznie dużo ubrań – marudzi sugestywnie.

– Jestem w samym w bikini. – Przewracam oczami. – Nie rozbiorę się publicznie.

– To idź do pokoju i tam się rozbierz. Właśnie spędziłem całą dobę w więzieniu za granicą. Czyż nie zasługuję na nagrodę?

Zwlekam z odpowiedzią, aż kelner przejdzie obok.

– Nagrodę za porzucenie mnie na wycieczce z twoją rodziną? W żadnym razie. Poza tym coś uzgodniliśmy. Żadnego seksu na tym wyjeździe, pamiętasz?

To jedyny warunek, który postawiłam, przyjmując jego propozycję. Co prawda nie jestem pewna, czy obejmuje on również seks przez telefon, ale lepiej nie ryzykować.

– To przynajmniej opuść telefon niżej. – Kręci głową. – Pokaż mi moje drugie ulubione rzeczy na świecie.

– A co jest pierwsze? – pytam. – Zakładam, że mój mózg?

– Oczywiście, że nie – mówi z zarożumiałym uśmiechem. – Przynajmniej dopóki nie wymyślę, jak włożyć tam penisa.

Parskam śmiechem. To zawsze był problem z Sixem. Jest zbyt czarujący, żeby się na niego złościć, nawet kiedy czeka na sprawę w sądzie.

I właśnie dlatego jest dla mnie idealny: mogę się z nim dobrze bawić, nie obawiając się, że za bardzo mu zaufam.

JOSH

24 stycznia

Następnego ranka budzę się na kanapie, uświadamiając sobie, że właśnie usłyszałem trzaśnięcie jej drzwi. Zwykle jest bardzo głośna, więc nie mam pojęcia, jakim cudem nie obudziła mnie wcześniej. Z jej pokoju ciągle dobiegają jakieś łomoty, piski lub zduszone: „Cholera!”, co jest zarówno zabawne, jak i irytujące. Ubieram się i myję zęby, planując dogonić ją po drodze. Nie będzie to trudne: jest absurdalnie powolna.

Schodzę na dół i ku mojemu zdziwieniu zauważam, że wciąż tu jest – opiera się o filar w holu.

– Czekaałaś na mnie? – pytam.

Podskakuje zaskoczona, a ja chwytam ją za rękę, żeby ją podtrzymać.

– Oczywiście, że nie czekałam – prychna, odwraca się do filaru i zaczyna rozciągać. – Lubię sobie czasem zrobić małą rozgrzewkę.

Bzdura. To jasne, że na mnie czekała. I nie mogę znieść myśli, że tak mnie to cieszy. Towarzyszę jej przecież jedynie z obowiązku, a ona znosi moje towarzystwo, bo nie ma innego wyboru. Nie zostaniemy przyjaciółmi po zakończeniu tej wycieczki.

Biegniemy tą samą trasą co poprzednio, mijając sklepy i park, a potem kierując się w stronę Diamond Head. Wiem, że pierwszego dnia biegła znacznie szybciej i dłużej, niż planowała, żeby tylko zrobić mi na złość, ale jest chyba jedyną znaną mi kobietą gotową codziennie to powtarzać.

Po biegu znów kierujemy się do leżaków przy basenie. Nie mam pojęcia, dlaczego idzie ze mną, ale mam nadzieję, że jakoś się powstrzyma od gadania o uprawiających seks robotach, których teraz nie mogę przestać sobie wyobrażać.

Znów zamawiam dla niej ciepłe ręczniki, bo oczywiście nie pamiętała o zabraniu ze sobą bluzy, a ona owija się nimi, popijając swoje cappuccino i podziwiając wschód słońca.

– Myślisz, że ktoś tam mieszka? – pyta, kiwając głową w stronę Diamond Head. – Pewnie rosną tam palmy i ananasy. Można by tam zbudować jakąś chatkę i żywić się owocami.

– Znacznie bardziej ciekawi mnie, dlaczego w ogóle o tym myślisz. – Zerkam na nią.

Spogląda na mnie spod byka, a potem znów patrzy na górę przed nami.

– Po prostu byłoby fajnie, gdyby w końcu nikt o mnie nie plotkował – wyznaje. – Mam dość bycia miłą dla wszystkich.

– Dla wszystkich? – pytam. – To jest dla ciebie bycie miłą?

– No dobrze. – Śmieje się. – Wszystkich oprócz ciebie. Trolle nie zasługują na życzliwość.

Podążam za jej wzrokiem i patrzę na wzgórza, myśląc o nieszczęśliwej kobiecie czekającej w moim pokoju i o problemach z mamą.

– Chyba rozumiem, czemu to do ciebie przemawia – przyznaję cicho. – Tylko raczej nie ma tam kwaśnych żelków.

Nadal nie mogę uwierzyć, że zamiast wody wzięła ze sobą w góry cukierki.

– Oczywiście, że są. – Patrzy na mnie z grymasem na twarzy. – Na tych wzgórzach rośnie

mnóstwo drzew z kwaśnymi żelkami. Zupełnie się nie znasz na hawajskim rolnictwie. Wspomnisz moje słowa.

I tak po prostu włączyła mnie do swojej fantazji o życiu na Hawajach. Nie wiem, czy w ogóle zdała sobie sprawę, że to zrobiła, ale wolałbym, żeby ten pomysł aż tak mi się nie spodobał.

KIEDY WRACAM DO POKOJU, Sloane jest już ubrana.

– Nie było cię przez długi czas – zauważa. Nie mam pojęcia, czy coś insynuuje, czy po prostu czuję się winny, że jej unikam.

– Bałem się, że cię obudzę, jeśli wrócę za wcześnie.

Nie reaguje. Jak zawsze nie okazuje żadnych emocji. To właśnie z powodu tej jej obojętności nasz romans wydał mi się nieistotny i nadal nie jestem pewien, czy ona naprawdę traktowała go poważnie. Jej zainteresowanie moją osobą wydaje się napędzane moim brakiem zainteresowania.

– Czy wiadomo już, kiedy twój brat tu przyleci? – pyta.

Teoretycznie powinien odzyskać paszport lada dzień, chociaż prawda jest taka, że z Joelem nigdy nic nie wiadomo. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby okazało się, że tak naprawdę wcale nie był w Japonii, tylko cały ten czas spędził w hotelu opodal.

– Prawdopodobnie jutro.

– To dobrze. – Pociera dłońmi o siebie, jakby udało jej się rozwiązać jakiś drażliwy problem.

Tylko że to ja jestem tu problemem i przyjazd Joela niczego między nami nie naprawi.

DREW

Zastanawiam się, jak niewiele robiłabym na tych wakacjach, gdybym nie odczuwała potrzeby udowadniania innym czegokolwiek.

Mój poranny bieg? Gdyby nie Josh, przebiegałabym co najwyżej pięć kilometrów. Śniadania? Jadłabym połowę tego, co teraz, gdybym nie postawiła sobie za cel ostentacyjnego rozkoszowania się amerykańskimi luksusami na oczach Sloane. Kiedy więc Beth mówi, że zaaranżowała dla nas wszystkich surfing – wynajęła deskę dla Josha, a dla mnie i Sloane załatwiła instruktora – zgadzam się na to tylko dlatego, że Sloane znów oznajmia: „Chyba to sobie daruję” tym nadętym tonem.

Szczerze mówiąc, doskonale rozumiem jej niechęć do tego całego surfingu. Ocean to dla mnie przede wszystkim żywioł, z którym się nie zadziera i nad którym nie próbuje się zapanować, a tutaj surfuje się na falach jakieś dwa kilometry od brzegu, co wydaje mi się niemal samobójcze. W życiu nie chciałabym się znaleźć tak daleko od lądu, chyba że w grę wchodziłoby pływanie jachtem wypełnionym szampanem. Ale nie mogę patrzeć, jak Beth opuszcza ramiona, gdy Sloane jej odmawia, i chcę być fajniejsza od Sloane, chociaż w zasadzie nie muszę z nią konkurować w tej dziedzinie. Ma teraz na sobie lnianą sukienkę do łydek i szpilki. Oto jak postanowiła się ubrać na wakacyjne śniadanie. Gdyby miała stylistkę, zapewne poinstruowałaby ją, aby dobierała jej stroje według dwóch kategorii: „nudne” i „jeszcze nudniejsze”.

Idziemy z Joshem na plażę o wyznaczonej godzinie. Ma na sobie tylko czarne spodenki kąpielowe, wciąż wilgotne po pływaniu w basenie i przylegające mu do ud. Zsunęły mu się na wąskie biodra, wystarczająco nisko, bym mogła zobaczyć jego idealnie umięśniony brzuch bez grama tłuszczu. Rusza w stronę wody z wypożyczoną deską pod pachą, zostawiając mnie samą. Czekam na instruktora, który przybywa na miejsce spóźniony i nic sobie z tego nie robi. Normalnie doceniłabym fakt, że traktuje mnie jak resztę śmiertelników, ale w tych okolicznościach wolałabym kogoś, kto wydaje się przynajmniej odrobinę zaangażowany w utrzymanie mnie przy życiu.

Pokazuje mi, jak wskoczyć na deskę. Powtarzam to dwa razy, a on ziewa, po czym oznajmia: „Nieważne, to proste”, i prowadzi mnie do wody. Josh jest teraz maleńką plamką na horyzoncie zbliżającą się do innych maleńkich plamek.

– Ale nie popłyniemy aż tak daleko, prawda? – szepczę do Stana, bo tak się nazywa mój instruktor, ale on ledwo się powstrzymuje od przewrócenia oczami.

– Popłyniemy, chyba że odkryłaś nowy sposób surfowania bez udziału fal.

O rany, mam nadzieję, że nie spodziewa się napiwku.

Wiosłujemy i wiosłujemy – co wymaga znacznie większej siły w górnych częściach ciała niż ta, którą dysponuję.

Gdyby był miłszy, wyznałabym mu, że ocean trochę mnie przeraża, podobnie jak to, co w nim żyje (w końcu to na Hawajach nakręcono film o surferce, której bestia odgryzła rękę). Wspomniałabym też, że chciałabym zachować wszystkie swoje kończyny, co wydaje się oczywiste, ale wolałabym się upewnić, że o to zadba.

Fala uderza mnie w głowę po raz setny, wybijając deskę spode mnie i wyrzucając w ocean. Odnoszę wrażenie, że w ogóle nie posuwamy do przodu, i chce mi się już płakać z bólu

w rękach, kiedy Stan wzdycha i chwyta moją deskę palcami u stóp.

– Będę cię holować – mówi, nie ukrywając, jak bardzo jest zniesmaczony moimi trudnościami w poruszaniu rękoma w wodzie przez dłuższy czas.

Kiedy w końcu się zatrzymuje, jesteśmy naprawdę daleko od brzegu i prawie tak samo daleko od Josha.

– Dobra, połów się płasko na desce – rozkazuje. – Złapiemy następne fale.

– My?

– Jasne, będę surfować z tobą – mówi. – Dlatego wykonuję tę pracę.

– A jeśli spadnę? – pytam.

– Nie spadniesz. – Wzrusza ramionami. – Ta deska jest jak transatlantyk. Ale jeśli jednak spadniesz, po prostu utrzymaj się na powierzchni, dopóki nie wrócę.

Jasne. Będę tak po prostu unosić się samotnie na środku oceanu pełnego rekinów, aż wrócisz. Świetny plan, Stan.

Popycha mnie, wykrzykując chaotyczne instrukcje dotyczące stanięcia na desce. Udaje mi się jedynie na niej uklęknąć, bo wcale nie przypomina transatlantyku, a raczej cienki kawałek płyty pleksi pędzący Bóg jeden wie jak szybko po nierównej tafli wody.

Na szczęście Stan wciąż jest ze mną, choć wygląda na zde gustowanego.

– Właśnie przegapiłaś idealną falę.

– W takim razie postaram się przestać być tak kiepska w surfowaniu – odpowiadam. – Którego nigdy wcześniej nie próbowałam.

Patrzy w dal, nie słuchając nawet, co do niego mówię.

– Kładź się – mówi. – Szybko. To będzie dobra fala.

Tym razem udaje mi się wstać na całe dwie sekundy. Stan unosi kciuki w górę, mijając mnie na swojej maleńkiej desce, a ja spadam do wody na sam jego widok.

Kiedy wynurzam głowę, jestem zupełnie sama, a wokół mnie rozpościera się nieskończony ocean. Brzeg jest tak odległy, że wydaje się wręcz mirażem, a ja czuję narastającą panikę.

O Boże. Tylko nie tu, błagam samą siebie w myślach. Nie rób tego tutaj. Biorę płytki oddech i staram się ignorować swój stan – chociaż po Amsterdamie powinnam już wiedzieć, że ta taktyka nie zadziała. Utrata przytomności przed kamerami i na oczach tysięcy ludzi była naprawdę do dupy, ale nie aż tak bardzo, jak na środku oceanu.

Próbuję ustawić deskę właściwą stroną do góry, ale kiedy to robię, zaskakuje mnie kolejna fala. Porywa moją deskę i szarpie niebezpiecznie za smycz przymocowaną do kostki. Deska wzbija się w powietrze, a ja zakrywam głowę rękami, kiedy się zanurzam. Co się stanie, jeśli dostanę w głowę i stracę przytomność? Nikt się nawet nie dowie. Nikt mnie nie zobaczy.

Nie panikuj, napominam się w myślach. Moja głowa wyłania się na powierzchnię i rozglądam się desperacko dookoła. Nikogo nie ma w pobliżu. W oddali dostrzegam Josha, ale nawet nie patrzy w moją stronę, a już nadchodzi kolejna fala. Stan kazał mi nurkować pod nimi, ale nie zdążam się nawet wspiąć na deskę. Tym razem moja smycz nie wytrzyma. Kiedy się wynurzam, deska odpływa beze mnie, kierując się prosto do wspaniałych brzegów hawajskiej wyspy, do których nie mogę dotrzeć. Oddech mi się skraca, a bez inhalatora mogę zemdleć w wodzie i nikt się nawet nie zorientuje.

Moja głowa znów się zanurza, a kiedy wynurzam się na powierzchnię, widzę Josha wiosłującego w moją stronę. Jest naprawdę szybki. Nie mam pojęcia, jak to robi, ale w ciągu kilku sekund znajduje się już przy mnie. Wskakuje do wody i chwyta mnie od tyłu, jedną ręką trzymając deskę, a drugą obejmując mnie w talii, żeby utrzymać mnie bezpiecznie nad powierzchnią.

– Co się stało? – pyta.

– Spanikowałam – szlocham, kładąc rękę na jego desce i desperacko próbując wciągnąć powietrze do płuc. Jest ostatnią osobą, przed którą chciałabym panikować, ale nic na to nie poradzę. – Dostaję ataków astmy, kiedy wpadam w panikę. – Głęboki wdech. – Zawsze zdarza się to w najgorszych momentach. A teraz moja deska zniknęła i...

Wciąż nieudolnie próbuję wciągać i wypuszczać powietrze. Zaciskam mocno powieki, próbując opanować drżenie dolnej wargi.

– Nic ci nie jest – mówi mi do ucha niskim i spokojnym głosem. – Wszystko w porządku. Jeśli możesz mówić, to znaczy, że masz wystarczająco dużo powietrza. Zabiorę cię teraz z powrotem na brzeg, dobrze?

Uspokaja mnie jego pewność, chociaż kryzys wcale nie został jeszcze zażegnany. Josh kładzie mnie na swojej desce, obejmując w pasie.

– Po prostu tu siedź – instruuje. – Każę ci się położyć płasko, kiedy nadejdzie fala.

– Ale... – zaczynam.

Kładzie mi na kolanie ciepłą, wielką i uspokajającą dłoń.

– Jedyne, co musisz robić, to siedzieć. Udawaj, że wylegujesz się przy basenie.

– Z drinkiem? – pytam, choć nadal płaczę i jestem cholernie zawstydzona. Josh się śmieje.

– Tak, masz w ręku margaritę, ale kelnerka zapomniała o soli. Dlatego teraz każesz ją zwolnić.

– Oczywiście – szepczę. – Sól to najlepszy element tego drinka.

Znowu się śmieje, a potem zaczyna płynąć w stronę brzegu, ciągnąc mnie za sobą. Nadal próbuję wciągnąć powietrze w płuca, zastanawiając się, co się stanie, jeśli tu zemdleję. Stan pod pływa w naszym kierunku, ciągnąc za sobą moją deskę.

– Zajmę się nią – oznajmia Joshowi, jakbym była jakimś niegrzecznym męczącym zwierzakiem, którego miał przypilnować.

– Chyba, kurwa, śnisz – odpowiada Josh, kładąc rękę na moich plecach. – Podaj mi jej deskę.

– Człowieku, mówię ci, że się nią zajmę.

– Dawaj tę pieprzoną deskę – warczy Josh, wyciąga rękę i wrywa mu ją. – I następnym razem nie zostawiaj kogoś, kto nigdy w życiu nie wypływał na morze, kilometr od brzegu w wysokich falach.

– Wal się, człowieku – mówi Stan.

– Chodź, powtórz to na brzegu, dupku – odpowiada Josh.

Stan pokazuje mu środkowy palec i odpływa, a ja śmieję się cicho i wciąż jeszcze trochę płaczę, kiedy Josh wspina się na deskę i zaczyna mnie holować.

– Rozbawiona?

Przytakuję. Nadal nie mogę normalnie oddychać, ale gdybym mogła, śmiałabym się w głos z tego, jak Josh utarł temu dzieciakowi nosa.

W końcu docieramy do brzegu. Josh pomaga mi stanąć na nogi, wyciąga nasze deski na plażę, a potem pochyla się, jakby chciał mnie podnieść. Wszędzie dookoła są ludzie, którzy się na nas gapią, i wiem, co się stanie, jeśli mu na to pozwolę.

– Nie rób tego – błagam. – Powiedzą, że byłam pijana.

Napotyka moje spojrzenie i patrzy na mnie, jakby coś zaczynało mu się układać w głowie.

– Dobra. – Obejmuje mnie w pasie i pomaga mi wyjść z wody. Nogi mi się trzęsą i pewnie osunęłabym się na kolana, gdyby mnie nie podtrzymawał. Kuśtykam po piasku

w kierunku Halekulani, a on nie odstępuje mnie na krok.

W pewnym momencie podchodzi do nas grupa nastolatków.

– Nawet o tym nie myślcie – warczy na nich Josh, a ja jestem mu za to dziwnie wdzięczna, chociaż wyniknie z tego kolejna opowieść o tym, jaką jestem suką.

Wchodzimy na teren Halekulani i Josh prowadzi mnie do leżaków, na których siedziała wcześniej jego rodzina, a teraz jest tam tylko Sloane.

– Gdzie twój inhalator? – pyta, wciąż mnie obejmując.

– Już mi lepiej – odpowiadam. Prostuję się i próbuję zachować dystans między nami. Już z odległości dziesięciu metrów czuję ziejącą w moją stronę absurdalną niechęć Sloane. To nie tak, że Josh by mnie wybrał, gdyby nie było jej w pobliżu. Nie ukończyłam nawet szkoły średniej i jestem znana jedynie z ładnego tyłka i śpiewania banalnych piosenek o seksie.

– Zostań tu – instruuje mnie Josh, przytrzymując mocniej. – Pójdę po twój inhalator. Nadal masz bardzo płytki oddech.

– Jest na górze, w mojej kosmetyczce.

Kiedy docieramy do Sloane, opadam na leżak. Nie wytrzymałabym już na nogach ani sekundy dłużej.

– Co się stało? – pyta Sloane. – Nie było was ledwie pół godziny.

Josh wyciąga do mnie rękę po klucz do mojego pokoju, a ja kładę go w jego dłoni.

– Instruktor zostawił ją na środku oceanu, żeby sobie posurfować – mówi twardo Josh. – Zaraz wracam.

Sloane podnosi okulary przeciwsłoneczne i spogląda na mnie, a potem na odchodzącego Josha. Wygląda na zirytowaną moją niezdolnością do przetrwania samej na oceanie w odległości kilometra od brzegu.

– Dlaczego musiał z tobą wrócić? – pyta.

Wypycham językiem policzek. Nie chcę jej nic mówić, ale Josh wróci za chwilę z moim inhalatorem, więc i tak nie ma sensu kłamać.

– Dostałam ataku astmy – przyznaję, zamykając oczy. – Albo paniki. Czasem trudno mi je rozróżnić.

Sloane wstaje i podchodzi do mnie.

– Siadaj – mówi znużonym tonem. Reguluje mój leżak tak, bym mogła na nim usiąść z wyprostowanymi plecami, a jednocześnie przywołuje ręką kelnerkę.

– Czy możemy dostać filiżankę kawy? Tak szybko, jak to możliwe?

– To naprawdę nie jest konie... – zaczynam.

– Daruj sobie – przerywa mi. – Zauważyłam, że masz sine usta, ale myślałam, że po prostu zrobiło ci się zimno. Dlaczego poszłaś tam bez inhalatora?

– Nie byłam pewna, czy jest wodoodporny. – Wzruszam ramionami.

– Nie jest – mówi. – Trzeba go włożyć do wodoodpornej torebki. Albo wziąć wcześniej dawkę salbutamolu.

Kelnerka przynosi nam kawę i Sloane mi ją podaje.

– Pij – warczy.

Jej podejście do pacjenta pozostawia wiele do życzenia, ale doceniam jej starania.

– Dzięki – szepczę.

– Nie ma za co – odpowiada z westchnieniem rezygnacji i rozczarowania. Nie wiem, czy to ja nie spodziewałam się po niej ludzkich odruchów, czy jednak ona nie sprawia wrażenia, jakby było ją na nie stać. – To, że jakoś szczególnie mi na tobie nie zależy, nie oznacza, że chcę, żebyś tu umarła.

Mogłabym się obrazić, ale rozumiem ją. Byłam już kiedyś w podobnej sytuacji –

pragnęłam być z kimś, kto wcale mnie nie chciał. Wiem, jak bardzo jest to przykre, tylko nie potrafię zrozumieć, dlaczego traktuje mnie jak rywalkę.

Joshua wraca zdyszany z moim inhalatorem. Wygląda, jakby biegł.

– Jezu, ile ty masz tam kosmetyków – mówi, wręczając mi inhalator. Biorę go od niego, potrząsam i zaciskam usta na ustniku, czując, jak przyływ chłodnego powietrza wnika mi do gardła i otwiera płuca. Powtarzam to ponownie i wreszcie zaczynam się odprężyć.

Josh spogląda na kawę obok mnie.

– Dziękuję – mówi do Sloane.

– Zupełnie jak za dawnych czasów, co? – Spogląda na niego.

– Tylko w Doosze kelnerki się tak szybko nie uwijają. – Josh się śmieje.

Uśmiechają się do siebie jak starzy, dobrzy przyjaciele, a ja się zastanawiam, czy ten incydent pomoże im się do siebie zbliżyć.

Nie wiem dlaczego, ale martwi mnie ta perspektywa.

JOSH

Minęło już pół godziny od chwili, gdy zobaczyłem tonącą Drew, a wciąż czuję ścisk w żołądku.

Wraca do swojego pokoju, a ja wołam kelnerkę i zamawiam szkocką. Potrzebuję czegoś, co złagodzi nieznośne napięcie w mojej klatce piersiowej.

Nie walczyłem z nikim na pięści od co najmniej sześciu lat, ale wciąż próbuję wybić sobie z głowy stłuczenie tego surfera na kwaśne jabłko. Powinienem zachować się dojrzałe i zadowolnić się złożeniem na niego skargi, kiedy Sloane już pójdzie i nie będzie mogła tego usłyszeć. Tylko że nie wiem, czy wystarczy mi zwolnienie go z pracy.

Przynoszą mi szkocką i biorę porządny łyk, żeby się uspokoić. Drew ma się dobrze, mówię do siebie w myślach. Obiecała, że się położy.

Zamykam oczy i wyobrażam ją sobie. Pewnie weźmie prysznic i opadnie mokra na łóżko. Nago. Wygląda na taką. Pozwoli, żeby jej włosy zmoczyły poduszkę. Gdybym dzielił z nią pokój, zapomniałaby, że jej poduszka jest mokra, a potem wieczorem błagałaby mnie, żebym się z nią zamienił. Spoglądałaby na mnie spod tych długich rzęs, uśmiechała się i mówiła: „Proszę, nie jest aż taka mokra”. Dwuznaczność byłaby przypadkowa, ale Drew wypowiedziałaby to ostatnie słowo jak obietnicę. I to by mnie cholernie podnieciło.

Sloane patrzy na moją szklankę, w której został już tylko lód.

– Za dużo adrenaliny? – pyta.

Stawiam szklankę na stole, zastanawiając się, jak źle by to wyglądało, gdybym zamówił kolejną.

– Tak – mówię z długim westchnieniem. – To było zaskakująco stresujące przebywać kilometr od brzegu z kimś, kto nie może oddychać.

Chciałem to powiedzieć pół żartem, pół serio, ale wcale nie jest mi do śmiechu. Sloane uśmiecha się blado.

– Ma astmę oraz ataki paniki? – pyta. – Może tylko myli jedno z drugim?

Nie mam jej za złe tego pytania. Sam zadałem je już w SMS-ie Michaelowi, jednemu z moich najlepszych przyjaciół ze studiów, który jest teraz pulmonologiem.

– Wygląda na to, że ludzie z astmą są bardziej podatni na ataki paniki i jedno może wywołać drugie – odpowiadam.

Sloane unosi swoje okulary przeciwsłoneczne i obdarza mnie jednym z tych swoich wymownych spojrzeń.

– Ta dziewczyna to kłopoty – komentuje cicho.

Mógłbym zaprotestować, że niesprawiedliwie ją ocenia. W końcu wielu ludzi wpadłoby w panikę w takiej sytuacji, a Sloane od początku uwzięła się na Drew. A jednak rozumiem, co ma na myśli: Drew jest znacznie bardziej skomplikowana, niż się wydaje, bardziej krucha i skrzywdzona.

Odbieram słowa Sloane jako ostrzeżenie i nic nie odpowiadam.

Nie chcę słyszeć, dlaczego jej zdaniem musi mnie ostrzec.

Gdy Sloane w końcu idzie do naszego pokoju, chwytam za telefon, żeby obejrzeć nagranie ze spadającą ze sceny Drew. Nie chciałem tego wcześniej oglądać, ale teraz nie mogę

wyrzucić z głowy tego, co powiedziała. „Zawsze zdarza się to w najgorszych momentach”.

Jest ubrana w krótką, białą sukienkę, a jej kucyk w kolorze platynowego blondu kołysze się w rytm jej ruchów. Z całym tym makijażem wygląda bardziej jak lalka niż dziewczyna, którą poznałem. Tłum domaga się, żeby zaśpiewała *Naked*, a ona się uśmiecha, ale widać, że to wymuszony uśmiech, chociaż kamera nie robi zbliżenia na jej twarz.

Na początku jeszcze trzyma się na nogach. Zerka tylko na bok z szeroko otwartymi oczami, jakby myślała o ucieczce. Potem następuje zbliżenie na jej twarz, na której odmalowuje się panika, a jej klatka piersiowa unosi się i opada zdecydowanie zbyt szybko.

Rozbrzmiewa muzyka, ale Drew nie zaczyna śpiewać, kiedy przychodzi kolej na wokal. Robi tylko dwa kroki na podium, jakby się zgubiła lub nie wiedziała, dokąd ma iść, a potem jej oczy się zamykają. Mikrofon spada z piskiem na scenę, a ona się przewraca.

Miała atak paniki.

I wolała, żeby cały świat myślał, że jest pijana, niż poznał prawdę.

DREW

Mówisz, że Joshua rzucił się przez ocean, żeby wziąć cię w swoje krzepkie ramiona i uratować? – podsumowuje moją opowieść Tali.

– O Boże. Przestań.

Wzięłam już prysznic po incydencie w oceanie, ale wciąż jestem wstrząśnięta. Musiałam usłyszeć czyjś przyjazny głos, a Tali jest właściwie jedynym przyjaznym głosem, jaki znam. Zdejmuję szlafrok i wchodzę nago do łóżka.

– I po raz pierwszy w życiu poczułaś się naprawdę odnaleziona i zobaczona, a jakiś ukryty kawałek ciebie, o którego istnieniu nawet nie wiedziałaś, rozpoznał, że to Josh jest tym jedynym, którego zawsze pragnęłaś – kontynuuje moja niezrażona przyjaciółka.

Tali opublikowała swoją pierwszą książkę zeszłego lata, a teraz pracuje nad drugą. Potrafi przedstawić w romantycznym świetle niemal wszystko.

– Jezu – jęczę. – Czyżbyś właśnie cytowała swoją kolejną książkę?

– Nie, jest jeszcze gorsza – mówi z niechętnym śmiechem. – Jest tak zła, że nawet byś nie uwierzyła. Cięża mnie ogłupia. Niedawno nie mogłam sobie przypomnieć naszego numeru telefonu, a Hayes powiedział: „Cóż, miejmy nadzieję, że chłopiec odziedziczy mózg po mnie, a wygląd po tobie”. Ale chcę się dowiedzieć więcej o Joshui.

Ściągam ręcznik z głowy i opadam z powrotem na poduszki.

– Topiłam się. I proszę, nie zamieniaj tego w metaforę. Josh po prostu postanowił nie pozwolić mi umrzeć, chociaż pewnie się wahał, czy tego nie zrobić. Nie było w tym nic romantycznego.

Tyle że nie mogę zapomnieć tej czystej determinacji na jego twarzy i przerażenia w oczach, kiedy do mnie podpływał. Przypuszczam, że gdyby Tali to zobaczyła, upierałaby się przy romantyzmie.

– Jest przystojny?

– Nie jest odpychający. – Wzdycham ciężko.

– O Boże, ale ściemniasz! Już go sprawdzam. Joshua... Jak ma na nazwisko?

– Nie powiem ci.

– Ha! Bailey. Dziecko nie zabrało mi jeszcze wszystkich komórek mózgowych. Bailey, doktor, Somalia... Och. Och. Wow. – Zaczyna się śmiać. – Cholera jasna. Rzeczywiście „nie jest odpychający”. Ale z ciebie kłamczucha.

Też chciałabym zobaczyć to, co ona, ale lepiej, że tego nie widzę. To pewnie jakieś zdjęcie, na którym stoi jak ponury wiking z dzieckiem na jednym ręku i szczeniakiem na drugim.

– Może akurat dobrze wyszedł. – Prycham.

– Nie wyobrażam sobie, żeby taki facet jak on kiedykolwiek wyszedł źle. – Słyszę, jak się śmieje i mówi: „Tak, Hayes, ty też jesteś przystojny”, a potem znów zwraca się do mnie: – Nie wspomniałaś nawet jeszcze o Sixie. Nadal jest w więzieniu?

Wypuszczam powietrze z płuc i drapię się po karku.

– Podobno jutro będzie mógł już wyjechać. I nie rób z niego seryjnego mordercy. Popęłił tylko drobny błąd. Nie ma ludzi bez wad, Tali. Ty jakoś tolerujesz fakt, że Hayes jest

Brytyjczykiem, a ja znoszę przemykanie trawki przez Sixa w futerale na gitarę.

– Jasne, ale Hayes jest także czarujący, kochający i przystojny, co zdecydowanie rekompensuje fakt, że jest Brytyjczykiem. – Słyszę w tle okrzyk, a ona tłumi śmiech. – A jakie zalety Sixa rekompensują jego niezliczone wady?

Wzruszam ramionami, chociaż mnie nie widzi. To tak, jakbym próbowała przekonać samą siebie, że jest mi to wszystko obojętne.

– Jest wyluzowany.

– Six nie jest wyluzowany, Drew – protestuje delikatnie Tali. – On o nikogo nie dba, a to naprawdę spora różnica.

– Nie każdy jest taki jak Hayes – oponuję. – Ale jeśli nie zjawi się przed naszym wyjazdem do Lanai, wrócę do Kalifornii.

– Albo mogłabyś spędzić więcej czasu z seksownym Jo-shem, któremu nie układa się z dziewczyną i który właśnie uratował ci życie w dramatycznej akcji ratunkowej na oceanie.

– Nawet jeśli Sloane jest wredną żoną, nigdy nie wystartowałam do czyjegoś chłopaka. I ty też nie – odpowiadam. Włosy przemoczyły mi już poduszkę, więc sięgam po tę z drugiej strony łóżka. – A poza tym, Tali, to ten sam Josh, który oskarżył mnie o potencjalną kradzież rodzinnego srebra.

Śmieje się.

– Nigdy mu tego nie darujesz, co? Odsuść mu trochę. Może poprzednia dziewczyna Sixa ich okradła. Albo ktoś w sieci napisał, że jesteś kleptomanką.

Tylko że nawet jeśli istnieje jakiś dziwaczny powód, dla którego Josh był takim chamem zeszłego lata, nadal jest bratem Sixa. Mieszkającym w Somalii. Trzymanie się mojej niechęci do niego wydaje się więc w tym momencie całkiem rozsądne.

WIECZOREM, zgodnie z sugestią Sixa, jemy „razem” kolację, chociaż nie przebywamy nawet na tym samym kontynencie.

Łączymy się o dwudziestej pierwszej mojego czasu, a o szesnastej jego – ja w moim pokoju, a on w hotelowym barze z telefonem podpartym na środku stołu.

Ziewam już na początku rozmowy.

– Przepraszam. Obudziłam się w środku nocy i nie mogłam już zasnąć.

Unosi z uśmiechem pustą szklankę do kogoś, kogo nie widzę.

– Najważniejsze, żebyś mnie nie budziła, kiedy już tam dotrę. Wiesz, jak się wkurzam, kiedy ktoś przerywa mi sen dla urody, a najwyraźniej Sloane jest już marudna za nas wszystkich.

– Nie wydają się cieszyć z Joshem z ponownego spotkania – komentuję.

– Pewnie dlatego, że związki na odległość nigdy się nie sprawdzają. – Six wkłada do ust kawałek łososia.

Ta uwaga jest naprawdę nie na miejscu, zważywszy na to, że nasza praca zmusza nas do częstych rozstań.

– Chyba się zapomniałeś – odpowiadam ze skrzywioną miną. – Zaprosiłeś mnie na te wakacje, bo chciałeś spróbować związku na odległość ze mną.

– To zupełnie inna sprawa – przekonuje. – W normalnych okolicznościach Josh może wyjechać z Somalii tylko raz w roku. Jaki związek by to przetrwał, do diabła? Był w domu zeszłego lata tylko dlatego, że musieli wszystkich ewakuować.

– Ewakuować? – Odstawiam szklankę na stół.

– Jakaś eksplozja w obozie – odpowiada, już znudzony tym tematem. – Wielu członków ich zespołu nie wróciło do domu, ale oczywiście święty Joshua musiał przeżyć.

Skręca mnie w żołądku. Wiedziałam, że Josh nie pracuje w luksusowych warunkach, ale nie sądziłam, że wydarzają się tam eksplozje.

– Więc... tam jest niebezpiecznie? Może mu się coś stać?

Six wydaje z siebie głośny jęk, bierze drinka od kelnerki i wypija połowę za jednym zamachem.

– Proszę cię, Drew, przynajmniej ty nie dołączaj do fanklubu Joshui Baileya. Jest tam bezpieczny, a ja potrzebuję tej jednej osoby w moim życiu, która nie stanie po jego stronie, okej?

– Nie staję po niczyjej stronie – odpowiadam. – Zachowujesz się tak, jakbyś z nim rywalizował, a przecież nawet cię tu nie ma.

– Dokładnie – odpowiada. – Nie ma mnie tam. A wiesz, o kim muszę słuchać przez telefon podczas rozmowy z matką? O biednym Joshui i Sloane i o tym, jak bardzo mama chciałaby, żeby się dogadali, podczas gdy mój ojciec w zasadzie tylko po mnie jeździ, a potem dodaje, jak bardzo się cieszy, że przynajmniej Josh wyszedł na ludzi. To ja objechałem właśnie świat i zagram wkrótce na South by Southwest, ale i tak za żadne skarby nie dorównam Joshowi.

Wiem, jak to jest być dzieckiem, które nigdy nie jest wystarczająco dobre i nie może podbić serca rodzica bez względu na to, jak bardzo się stara. Moje pragnienie aprobaty ze strony mamy i ciągle porażki na tym polu są tak stałym elementem mojego życia, że w zasadzie nie potrafię sobie go bez nich wyobrazić. Dotykam palcem ekranu, jakbym dotykała jego twarzy.

– Twój rodzice cię kochają – mówię mu. – I jestem pewna, że są z ciebie dumni. Może po prostu twój tata lepiej dogaduje się z Joshem, bo obaj są lekarzami?

Przez chwilę oczy Sixa są tak ponure, że łamie mi to serce. Mimo całej jego buntowniczości już nie raz dostrzegłam w nim zagubionego chłopca, który oddałby wiele za uwagę ojca.

– Ale on nawet nie stara się ze mną dogadać.

Dopóki nie dostanie uznania ze strony ojca, nic go nie zadowoli. A próba udowodnienia swojej wartości komuś, kto już spisał cię na straty, przypomina próbę rozwiązania równania algebraicznego za pomocą geometrii: nigdy ci się to nie uda, bez względu na to, ile wysiłku w to włożysz.

Chciałabym rozwiązać ten problem. Dla nas obojga. Ale zastanawiam się, czy Six nie potrzebuje wsparcia kogoś zdrowszego i mniej pokrzywdzonego niż ja i czy ja też kogoś takiego nie potrzebuję.

JOSH

25 stycznia

Lubię tu biegać – oznajmia Drew następnego ranka, oddychając ciężko przed wejściem do hotelu. Teraz, kiedy wiem o jej astmie, nie bawi mnie już to jej sapanie. Powoli się prostuje i idziemy ramię w ramię w stronę basenu. – Będzie mi tego brakowało, kiedy stąd wyjedziemy.

Mnie też. Te wczesne poranki z nią, których z początku tak nie znosiłem, są teraz moim ulubionym elementem wakacji i, szczerze mówiąc, po wczorajszej kolacji bez Drew zastanawiam się, jak nieznośne by były, gdyby nie przyjechała.

Wszyscy to odczuliśmy. Bez niej mamie nie udało się zbyt długo zachować pogody ducha, a napięcie między mną a Sloane było wręcz namacalne, podobnie jak napięcie między mną a tatą. Nie wiem, co było gorsze: nieustanne wysiłki mojej matki próbującej udawać, że wszystko jest w porządku, czy też całkowita obojętność mojego ojca.

– Po innych wyspach też możesz biegać – odpowiadam, gdy zajmujemy miejsca przy basenie. – Nie istnieją przepisy, który by tego zabraniały.

– Tak, wiem, że nie ma zakazu biegania na innych wyspach. – Kopie mnie w nogę. – Chodziło mi tylko o to, że lubię tutejszy krajobraz. Lubię patrzeć na księżyc nad wodą, palmy, surferów zmierzających na pewną śmierć.

Śmieję się i wstaję, by poprosić kelnerkę o ręczniki i cappuccino, których Drew lada chwila będzie potrzebować. Wolałbym, żeby nie zdejmowała w międzyczasie stanika, ale nawet kiedy ma go na sobie, z trudem udaje mi się odwrócić wzrok od jej pełnych piersi i stwardniałych od zimna sutków. Wyobrażam sobie, że pochylam się i pociągam za jeden z nich przez materiał, zanim zdołam się powstrzymać.

To musi się skończyć. Szczerze mówiąc, przy niej zapominam już czasem, kim, do cholery, jestem. Podchodzę do kosza z ręcznikami, myśląc o amputacjach i próbując się opanować.

Kiedy wracam, stanik jest już zdjęty i wiem, że jeśli spojrzę na jej klatkę piersiową, to nawet wyobrażenia o najmakabryczniejszych amputacjach na świecie nie pomogą mi zapanować nad moim penisem. Skupiam uwagę na jej twarzy i zauważam malutką bliznę na grzbiecie nosa.

– Skąd to masz? – pytam, stukając się w nos.

– Pojedynek w klatce – mówi z szerokim uśmiechem na twarzy, tak sztucznym, jak kolor jej włosów. Najwyraźniej nie zamierza udzielić mi odpowiedzi na moje pytanie. Jakby zaciągała zasłonę przed moimi oczami. – Ja wygrałam.

„Kłopoty”, słyszę w głowie ostrzeżenie Sloane, ale w tym momencie mam wrażenie, że problem jest raczej we mnie niż w niej. Za każdym razem, gdy Drew się na mnie zamyka, mam ochotę drążyć dalej, przekopywać się przez wszystkie jej sekrety, aż dotrę do tego małego kawałka w jej wnętrzu, który nigdy nie został zraniony.

– Trudno będzie przebić ten widok – zmienia temat, patrząc na Diamond Head zabarwioną teraz na krawędziach na jaskrawopomarańczowo.

– Inne wyspy mogą być jeszcze piękniejsze – mówię. – Wkrótce się przekonamy.

– O proszę, jaki z ciebie optymista – dokucza mi, przyjmując cappuccino od kelnerki

z wdzięcznym uśmiechem. – Może jednak masz w sobie coś z matki.

– Mam nadzieję, że więcej niż tylko „coś”. – Zamykam oczy.

– Myślałam, że dogadujesz się z ojcem. W zasadzie rozmawia tylko z tobą.

Tak. Rozmawia ze mną o refundacjach i rozliczeniach finansowych, a także o tym, jak bardzo jest to irytujące, że pacjenci nie mogą zapłacić mu za jego pracę z własnej kieszeni. A to nawet nie z jego praktykami biznesowymi mam największy problem.

– Gdyby nie moja matka, prawdopodobnie już bym się do niego nie odezwał – odpowiadam w nagłym przypiływie szczerości. – Ale przejechałem pół świata, żeby udowodnić, że nigdy nie będę taki jak on.

– Jeszcze tego nie udowodniłeś? – Drew przygryza wargę. – Nie mógłbyś już... wrócić do domu?

W jej głosie wyłapuję coś niepewnego, pełnego zarazem nadziei i troski. Podoba mi się to, ale wiem, że muszę to zdusić w zarodku.

– To mało realne – mówię. – Obóz, który prowadzę, miał parę problemów zeszłego lata. Mamy tak poważne braki personelu, że nie potrafię sobie już wyobrazić, aby mogło być lepiej.

Niszczę tę nadzieję dla nas obojga, bo jakaś część mnie chciałaby oznajmić: „Tak, wracam wkrótce do domu!”. Muszę pamiętać o tym, że to niemożliwe. Mój ojciec zajął się medycyną, żeby dużo zarabiać, a pacjenci mają dla niego w najlepszym razie drugorzędne znaczenie. Ja chcę być innym lekarzem i innym człowiekiem niż on, a wyszedłbym na jeszcze gorszego drania, gdybym porzucił teraz tysiące bezbronych ludzi.

Robi się już zupełnie jasno. Dopijamy cappuccino, wstajemy i kierujemy się w stronę naszego skrzydła. Po drodze jak zawsze spojrzenie Drew pada na białą sukienkę na wystawie sklepowej.

– Nie wiem, czy pojedę z wami do Lanai – mówi, gdy wchodzimy do windy. – Nie chcę być piątym kołem u wozu na waszych rodzinnych wakacjach, jeśli Six się tu w końcu nie zjawi.

Sciska mnie w żołądku. Najwyraźniej nie rozumie do końca naszej rodzinnej dynamiki i nie zdaje sobie sprawy, jak ważna jest jej obecność na tej wycieczce. Przede wszystkim jednak nie chcę, żeby wyjechała.

Docieramy na nasze piętro i idziemy razem korytarzem.

– Hej, Drew? – wołam do niej, gdy otwiera drzwi do swojego pokoju, a kiedy na mnie spogląda, mówię: – Nie jesteś tu piątym kołem u wozu. Jesteś klejem, który trzyma nas razem.

Otwieram drzwi i wślizguję się po cichu do środka. Mam poczucie, że powiedziałem za dużo. Tak naprawdę nie jestem pewien, czy trzyma nas wszystkich razem, czy tylko mnie pomaga się nie rozpaść.

DREW

Niegdyś myślałam, że sława uchroni mnie przed krytyką. Łudziłam się, że doprowadzi mnie do miejsca, w którym nikomu już nie będę podlegać. Ale wystarczył pisany wielkimi literami SMS od Davisa, którego dostałam przy śniadaniu („NATYCHMIAST DO MNIE ZADZWON”), aby mój żołądek się zacisnął i przypomniał, że tak się nie stało.

Gdybym nadal nie rozkoszowała się słowami, które usłyszałam od Josha dziś rano, pewnie wpadłabym w panikę. Zamiast tego jednak przypominam sobie, jak powiedział: „Nie jesteś piątym kołem u wozu. Jesteś klejem”. A potem się uśmiecham i jem dalej, jakby nigdy nic, postanawiając zadzwonić do Davisa dopiero po powrocie do pokoju – taki mały akt buntu, który zdecydowanie za bardzo mi się podoba.

Wychodzę na balkon i czekam, aż Davis odbierze. Znów przywołuję w myślach słowa Josha. Po raz pierwszy od dziesięciu lat ktoś zasugerował, że nie jestem źródłem wszystkich jego problemów i w jakiś niezrozumiały dla mnie sposób łączę ze sobą ludzi. Chcę się pławić w tych słowach, wytatuować je sobie na klatce piersiowej i pamiętać je już zawsze. Wiem, że to nie potrwa długo, ale podoba mi się to, jak postrzega mnie Josh. Prawie mam ochotę wyjechać, zanim go zawiodę.

A rozczarowanie go wydaje się nieuniknione. W końcu nadal jestem sobą.

– Wszędzie są zdjęcia ciebie pijanej z wczoraj! – Davis kipi z wściekłości, co słychać nawet w jego oddechu.

– Mm, co? – pytam. Byłam przygotowana na zasadną krytykę, bo nie zaprzeczę, że popełniam wiele błędów, ale tym zupełnie mnie zaskoczył.

– Nie mam pojęcia, jak to teraz odkręcę – cedzi przez zęby. – Byłaś pijana.

Znów czuję się jak dziecko i cofam do czasów, kiedy mój przyrodni brat oskarżał mnie o coś, czego nie zrobiłam, i to z taką pewnością, że zaczynałam się zastanawiać, czy aby nie ma racji. Davis i mój przyrodni brat mają ze sobą wiele wspólnego. Obaj potrafią sprawić, że czuję się jak gówno, nawet gdy nie zrobiłam nic złego.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – odpowiadam. – Nigdzie nawet nie wysłam wieczorem.

– W takim razie twoją bliźniaczkę jednojajową trzeba było wczoraj podtrzymywać, bo nie mogła się utrzymać na nogach, wychodząc z oceanu – komentuje złośliwie.

Nagle czuję ciężar w żołądku – powinnam się już przyzwyczaić do tego, że ludzie kradną wszystkie chwile mojego życia, jakby należały do nich, jak i do słuchania zupełnie wypaczonych interpretacji wszelkich moich ruchów, ale w takich momentach jak ten mam poczucie, że nic nigdy nie mogłoby mi tego wynagrodzić.

– Surfowałam i prawie utonąłam, Davis. Nie byłam pijana.

– Cóż, jestem właśnie w trakcie planowania twoich oficjalnych przeprosin prasowych – kontynuuje. – Musisz zwracać uwagę na to, jak wyglądają twoje poczynania. Ostatnią pieprzoną rzeczą, jakiej teraz potrzebuję, jest twój brak skruchy.

– Po pierwsze jakie przeprosiny? Komu właściwie jestem je winna?

– Wszystkim nastoletnim fanom, którzy patrzyli, jak ich idolka spada ze sceny. I tym, którzy zakupili bilety na koncerty w Paryżu i Berlinie, a nie mogli ich zobaczyć. A także

wszystkim rodzicom, którzy wspierali obsesję swoich nastoletnich córek na twoim punkcie tylko po to, byś potem przeobraziła się na ich oczach w potencjalną klientkę ośrodka odwykowego. Czy muszę kontynuować, czy już rozumiałaś mój punkt widzenia?

– Nie byłam pijana i dobrze o tym wiesz.

– Nie obchodzi mnie, czy byłaś, czy nie – mówi Davis. – Próbuję to dla ciebie naprawić, więc mogłabyś przynajmniej zrobić absolutne minimum i nie wzniecać kolejnych pożarów, które będę musiał gasić.

Wpatruję się w Diamond Head i znów myślę o ucieczce od swojego życia. Może Davis potrzebuje delikatnego przypomnienia, że beze mnie nic nie działo?

– Może powinnam po prostu zacząć żyć z ziemi – oznajmiam. – Odejść, póki jeszcze jestem na topie.

– Właśnie zrobiłaś z siebie publicznie idiotkę – odpowiada, jakby nie wyłapał mojej groźby lub ją zignorował. – Nie powiedziałbym, że jesteś na topie.

Rozłączam się i otwieram drzwi z moskitierą tylko po to, by ujrzeć Josha siedzącego na balkonie. Spogląda na mnie z zaciśniętymi ustami, wyglądając jednocześnie na winnego i zmartwionego.

– Wszystko słyszałeś, prawda? – pytam.

– Trudno było nie usłyszeć. – Wzrusza ramionami. – Jesteś bardzo głośna.

Opadam na krzesło po swojej stronie balkonu.

– Tak, oczywiście – mamroczę, zbyt zmęczona, żeby się bronić.

Milczymy przez chwilę, a potem Josh odwraca się do mnie.

– Dlaczego pozwalasz mu tak do siebie mówić?

Brzmi na wkurzonego, a jednocześnie oburzonego, co przypomina mi, jak źle musi to wyglądać dla kogoś z zewnątrz, kto nie jest do tego przyzwyczajony. Zasłaniam oczy ręką przed słońcem, żeby na niego spojrzeć.

– No cóż, przede wszystkim wiąże mnie z nim kontrakt. Musiałabym zbankrutować, żeby się go pozbyć, a to on zatrudnił całą moją ekipę, więc narobiłabym niezłego bałaganu, próbując się z tego wyplątać.

Wypowiedziawszy to na głos, mam wrażenie, że moja sytuacja jest jeszcze bardziej beznadziejna, niż mi się zdawało.

– Tyle że nie byłaś pijana, kiedy upadłaś – zauważa Josh. – To był atak paniki, prawda? Dlaczego więc pozwalasz jemu i wszystkim innym zachowywać się, jakbyś była problemem?

Chwytam się za ramię, zamiast odpowiadać. Nie przeszkadza mi, że zna prawdę, ale cała ta sprawa jest dla mnie krępująca.

– Wolę, żeby wszyscy myśleli, że jestem pijaczką niż kompletną wariatką. Alkoholików przynajmniej można leczyć.

– Napady paniki nie czynią z ciebie wariatki – protestuje. – Są gorsze sposoby radzenia sobie ze stresem. A tak przy okazji jestem naprawdę ciekaw, co według ciebie oznacza „żyć z ziemi”. Bo szczerze wątpię, żeby obejmowało to masażę gorącymi kamieniami i mai tai.

– Kamienie pochodzą z ziemi i mogłabym je rozgrzać w ogniu – odpowiadam z uśmiechem. – Nie pozwolę ci zabić mojego marzenia już w powijakach. Dla jasności, nie mówię o jakimś scenariuszu *Cast Away*, w którym piłka do siatkówki byłaby moim jedynym przyjacielem. Korzystałabym trochę ze swoich pieniędzy.

– Żyjąc z ziemi. – Unosi brew. – Masz na myśli ziemię taką jak ten luksusowy hotel z obsługą?

– Chyba jest zbudowany na ziemi, nieprawdaż? – odpowiadam z uśmiechem.

Śmieje się. Nie widzę ani śladu pogardy w jego błyszczących, niebieskich oczach, a jego

uśmiech jest szeroki i niemalże czuły. Zastanawiam się, co by zrobił, gdybym obudziła go o czwartej nad ranem spanikowana, że mój świat się rozpada. Nie jestem pewna, czy ktokolwiek mógłby mi w tym pomóc, ale podejrzewam, że Josh zrobiłby wszystko, co w jego mocy.

O DZIESIĄTEJ TRZYDZIEŚCI spotykam się z Baileyami przy stanowisku parkingowego. Wybieramy się razem do Diamond Head. Jim wynajął wielkiego jeepa dla nas wszystkich, ale to właściwie jedyna część podróży, która przebiega zgodnie z planem.

W sklepie spożywczym oblegają nas domagające się autografów nastolatki. Josh odciąga mnie od nich, przedzierając się przez tłum niczym napastnik. W końcu docieramy do Diamond Head, która – ku mojemu rozczarowaniu – nie jest uśpionym wulkanem, ale kraterem wulkanicznym, co oznacza, że nie ma co liczyć na wybuch. Nie zdążyliśmy nawet ruszyć ścieżką, a ja znów pozuję do zdjęć i składam autografy, słuchając cierpliwie jakiejś dziewczyny, która wymienia piosenki z mojego ostatniego albumu, które się jej nie spodobały.

– W telewizji twoja twarz wygląda na szczuplejszą – zauważa inna. – Czy to kwestia makijażu? A może używają Photoshopa?

– Możemy już iść? – warczy Josh, stając między nami. Z powodzeniem oddziela mnie od tłumu i prowadzi z dala od niego, po czym idzie dalej ze Sloane. Ja idę z tyłu z Beth, która porusza się w żółtym tempie, podczas gdy Jim podąża za nami jeszcze wolniej. Kiedy dostrzegam na szlaku grupę nastolatków, czuję w piersi tę zbyt znajomą mi panikę. Przy wejściu na szlak mogłam jeszcze jakoś uciec, ale na szlaku, który za chwilę się zwęzi, wszystko może się zdarzyć. Pot wypływa mi na czoło i spływa między łopatkami.

– Nie dam rady – szepczę.

Nie mogę znieść bycia otoczoną przez ludzi bez żadnej możliwości ucieczki. Nie zniosę kolejnego ataku paniki na oczach wszystkich zgromadzonych.

– Co się stało? – Beth się zatrzymuje.

– Nie dam rady – szepczę. – Pójdźcie dalej beze mnie, dobrze? Nic mi nie będzie. Spotkamy się w hotelu.

Schodzę z powrotem szlakiem, mijam wejście na niego i pędzę przed siebie, aż w końcu znajduję się na jakiejś uliczce, na której, dzięki Bogu, nikogo nie ma.

Nie mogę już dłużej tak żyć, myślę.

Kiedy ta myśl pojawiła się w mojej głowie tamtego wieczoru w Amsterdamie, była dla mnie paraliżująca, a teraz wydaje się po prostu... uwalniająca. Wyciągam telefon i dzwonię do swojej asystentki.

– Ashleigh, potrzebuję strzyżenia i koloryzacji w Waikiki – oznajmiam.

Milczy przez chwilę.

– Rozmawiałaś z Davisem? – pyta w końcu. – Prawdopodobnie ma konkretną wizję twojego wyglądu na oficjalne przeprosiny.

Nadal nie mogę uwierzyć, że organizują dla mnie konferencje prasowe, na których mam przepraszać swoich fanów.

– Które z nas ci płaci, Ashleigh? – pytam. – I do kogo należą moje włosy?

– Do ciebie – odpowiada ponurym tonem. – Dobrze. Kiedy chcesz to zrobić?

– Teraz – odpowiadam. – Natychmiast, do cholery.

JOSH

Wygląda na to, że wszyscy zobaczyli już zdjęcia, na których wyprowadzam Drew z wody.

Co parę minut dostaję SMS-a od jakiegoś znajomego ze studiów. To niesamowite, ilu z nich zażartowało w podobny sposób, przesyłając coś w stylu: „Życie w Somalii nie jest takie złe, jak mówią”. Za to moi koledzy z Somalii piszą: „Widzę, że nie marnujesz czasu, korzystasz z życia” lub „Teraz to nigdy do nas nie wrócisz, co? Nie będziemy mieć ci tego za złe”.

Mógłbym jeszcze znieść te drwiny, ale nie wiem, czy znieść nastawienie Sloane do całej sprawy, ponieważ ona też dostaje SMS-y. I chociaż wie, że te zdjęcia nic nie znaczą – bo przecież była z nami przez większość czasu – to jednak aż zieje gniewem.

Kiedy docieramy do Diamond Head, cały jej intelekt jest skupiony na uzyskaniu odpowiedzi na pytanie, czy zwracam uwagę na dziewczynę mojego brata. To trochę nie fair, bo Drew stanowi część tej wycieczki i byłbym chyba socjopatą, gdybym jej nie zauważył, ale najwyraźniej powinienem ignorować fakt, że na każdym kroku otacza ją tłum szakali ciągnących ją za ubrania i włosy i komentujących jej wagę. Jeśli ktoś zapyta: „Nie idziesz na odwyk?”, a ktoś inny powie: „Myślałam, że będziesz szczuplejsza”, mam siedzieć cicho, z nosem w cholernym telefonie, czytając artykuł o kryzysie zadłużenia w Grecji lub sprawdzając recenzje restauracji, w której jemy kolację.

Nie zrobiłem nic wielkiego dla Drew, żeby wyciągnąć ją z tarapatów, ale Sloane i tak jest wkurzona.

– Spójrzcie tylko, kto nagle zamienił się w rycerza – mamrocze pod nosem.

Przez dziesięć minut maszeruję naprzód z impetem, gotów poradzić sobie jakoś z sytuacją, w której nie znalazłem się nawet z własnej woli, a kiedy w końcu się zatrzymuję, doganiają nas moi rodzice.

Sami.

– Gdzie Drew? – warczę. Zdaję sobie sprawę, że brzmię na zbyt wściekłego i zatroskanego, niż powinienem, ale nic na to nie poradzę.

Moja matka mruga zakłopotana, jakby coś przetwarzała, ale natychmiast to od siebie odrzuciła.

– Biedactwo – odpowiada. – Zobaczyła te schodzące tłumy i spanikowała. Powiedziała, że nie da rady.

– I tak po prostu pozwoliliście jej odejść? – pytam.

Mój ojciec unosi brew. To małomówny człowiek, ale wiem, co oznacza to spojrzenie: „Uważaj na swój ton”. Tak jakby był wzorem człowieka traktującego moją matkę jak należy.

– Powiedziała, że nic jej nie jest – tłumaczy się mama.

I co ja mam teraz zrobić? Jestem w towarzystwie trojga dorosłych, którzy uważają, że przesadzam ze swoją troską o Drew. I może rzeczywiście tak jest. Ale gdyby to zależało tylko ode mnie, wróciłbym się za nią.

Kończymy tę nieszczęsną wspinaczkę: wejście na szczyt i tak jest zamknięte, więc podziwiamy tylko jeden przyzwoity widok – i wracamy do hotelu.

Biorę prysznic i wychodzę na basen, modląc się, żebym znalazł tam Drew, ponieważ nie

było jej w pokoju. Nagle drzwi windy się otwierają i wychodzi z niej kobieta, która sprawia, że cały świat milknie wokół mnie na pół sekundy. Ma kości policzkowe supermodelki, kobiece kształty i ciało składające się w co najmniej siedemdziesięciu procentach z odsłoniętych nóg ubranych tylko w krótkie spodenki.

Dopiero gdy podnosi wzrok znad telefonu i widzę najjaśniejsze brązowe oczy, jakie stworzył Bóg, uświadamiam sobie, że to Drew.

Tylko że teraz jej włosy sięgają obojczyków i są koloru ciemny blond. Wcześniej była piękna – jak drogocenny przedmiot, do obejrzenia którego trzeba się ustawić w kolejce, a teraz jest piękna w inny, zaskakujący sposób – jak skarb, którego nie spodziewałaś się odnaleźć, a który odmieni twoje życie.

– Obcięłaś włosy.

– Twoja zdolność obserwacji nie przestaje mnie zadziwiać. – Uśmiecha się sztucznie.

– Ładnie – mówię, ale to stwierdzenie wydaje mi się zarazem niewystarczające, jak i przesadne. – Wyglądasz... to znaczy... do twarzy ci.

– Och – mówi i przełyka ślinę, jakby miała się rozplakać. – Dziękuję.

Dopiero gdy odchodzi, uświadamiam sobie, że spodziewała się z mojej strony jakiegoś wrednego komentarza. Przygotowywała się na cios jak bokser wchodzący na ring, bo nauczyła się już, że ten pieprzony świat nigdy nie przestanie jej ranić.

Pewnie też miałbym ataki paniki, gdybym tak żył.

DREW

Po spotkaniu Josha w holu wpatruję się w lustro. Ledwo się rozpoznaję, chociaż znów przypominam siebie: dziewczynę, którą kiedyś znałam i która miała swoje pomysły na życie, zanim wszystkie zostały zmodyfikowane. Davis dostanie szału. Wszyscy dostaną. A mnie nie obchodzi to wcale aż tak bardzo, jak myślałam.

Przypominam sobie wyraz twarzy Josha, kiedy powiedział: „Ładnie”, i czuję, jak coś się otwiera w mojej klatce piersiowej. Patrzę w lustro i zauważam, że jednocześnie płaczę i się uśmiecham.

PRZYGOTOWUJĘ SIĘ na wspólne oglądanie zachodu słońca z Baileyami, kiedy dzwoni Sandra. To żona mojego przyrodniego brata Richarda, która ma jeszcze większy i dłuższy kij w tyłku niż on.

– Organizuję małą uroczystą kolację z okazji rocznicy ślubu Stevena i Marii – mówi znużonym głosem, jakby musiała się zmuszać do wypowiedzenia tych słów. – Będziesz mogła przyjechać do Nowego Jorku osiemnastego lutego?

Nie mam najmniejszej ochoty świętować ich pieprzonej rocznicy i każde spotkanie z rodziną kończy się moim bólem, a jednak gdzieś w środku nadal się łudzę, że może tym razem będzie inaczej. Jakaś dziecięca część mnie myśli: „Może teraz potraktują mnie dobrze i nie będę już pośmiewiskiem: członkiem rodziny, na którego patrzą z niesmakiem?”. Tylko że to się nigdy nie wydarza i pewnie dlatego za każdym razem tak boli.

– Będę musiała to skonsultować z moim zespołem, ale się postaram.

– Świetnie – mówi, choć jej ton sugeruje coś przeciwnego. – Byłabym bardzo wdzięczna, gdybyś tym razem zachowała trzeźwość.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki jej słowa naciskają guziki, które zawsze bezbłędnie naciska we mnie rodzina. Natychmiast ogarnia mnie złość.

– A ja byłabym naprawdę wdzięczna, gdybyś nie zachowywała się jak wredna suka – odpowiadam. – Ale nie zawsze dostajemy to, co chcemy.

Przez jakieś pół sekundy cieszę się jej zszokowanym milczeniem, a potem znów czuję ciężar w żołądku. Posunęłam się za daleko, jak zawsze. Moja rodzina od lat tworzy listę „okropnych rzeczy, które zrobiła Drew”, a ja dodałam do niej kolejną. Jakbym nie mogła przestać.

– Wiesz co... – cedzi w końcu przez zęby tym głosem, którego używa, gdy ogarnia ją zabójcza wściekłość. – Staram się dbać o twoją rodzinę, podczas gdy ty nawet nie kiwniesz dla nich palcem, a kiedy próbuję cię w to włączyć, zachowujesz się w ten sposób. Odpychasz wszystkich od siebie. Nie zdziw się, jeśli w końcu przestaniemy wyciągać do ciebie ręce, Drew.

Rozłącza się i pewnie już biegnie się poskarżyć Richardowi. Siedzę z telefonem w ręku, wkurzona, a zarazem zawstydzona. Niecałe dwie sekundy później przychodzi wiadomość od mojego przyrodniego brata. Są tak niewiarygodnie przewidywalni.

RICHARD: Nazwałaś moją żonę suką, bo zaprosiła cię na rodzinną kolację?

Oczywiście, że tak właśnie zrelacjonowała mu naszą rozmowę: „Zaprosiłam Drew na kolację, którą urządzam dla twoich rodziców, a ona nazwała mnie wredną suką”.

Jakby to była normalna kolejność wydarzeń: uprzejme zaproszenie spotkało się

z wulgaryzmami i nic się nie wydarzyło pomiędzy.

Ja: Nie. Zapytałam, czy mogłaby się tak nie zachowywać PODCZAS kolacji. Spora różnica.

Śmieję się z mojej odpowiedzi, doskonale zdając sobie sprawę, że tylko pogarszam sytuację. Ale, szczerze mówiąc, o ile gorsza mogłaby być?

RICHARD: Jeśli jeszcze raz nazwiesz tak moją żonę, z nami koniec.

JA: A konkretnie to z czym koniec? Ze wszystkimi tymi szczerymi rozmowami, które ze sobą prowadzimy? Jakoś przeżyję bez kartki na Boże Narodzenie, które mi wysyła co roku.

RICHARD: Wiesz co? Nie przychodź na przyjęcie. I tak byś je zepsuła.

Chciałabym, żeby na tym się skończyło, ale tak się nie stanie. Richard poskarży się mojemu ojczymowi Stevenowi, który poskarży się mojej matce, która zadzwoni do mnie, żeby skarcić mnie za złe zachowanie. Dokładnie taki scenariusz powtarza się, odkąd wprowadziłyśmy się do mieszkania Stevena w Upper East Side, kiedy miałam dziewięć lat. Richard studiował wtedy w college'u, ale w weekendy wracał do domu i wściekał się na mnie o byle co. Ciągle oskarżał mnie o gmeranie mu w telefonie, wypijanie jego gatorade albo kradzież jego ładowarek. A moja matka zawsze stała po jego stronie. Ani razu nie zasugerowała, że Richard jest rozpieszczonym, żalonym dupkiem, który miał znacznie więcej szczęścia ode mnie. Nigdy, ani razu nie powiedziała „Przepraszam, że zniszczyłam naszą rodzinę. Przepraszam, że ci to zrobiłam”. Bo dlaczego miałyby to powiedzieć? Wcale nie było jej przykro. Wołała zrzucić całą winę na mnie. Tak było jej łatwiej.

Nadal to robi. Dlatego już spodziewam się jej telefonu i przygotowuję na to, jak bardzo mnie zaboli.

DREW

26 stycznia

Powiedz mi coś prawdziwego, Drew – mówi cicho Josh, patrząc przed siebie.

Baileyowie wyjeżdżają jutro do Lanai, a ponieważ wczoraj wieczorem Six zapewniał, że odzyska dziś swój paszport, planuję pojechać z nimi. Zastanawiam się tylko, co będzie z porannymi biegami z Joshem i cappuccino o wschodzie słońca, kiedy dołączy do nas Six. Może i tak dalibyśmy sobie z tym spokój? Nie, szczerze w to wątpię. Przyzwyczailiśmy się do zmiany czasu, a jednak dalej to powtarzamy.

Odwracam się, by na niego spojrzeć, i przez krótką chwilę podziwiam tę doskonałą męską szczękę i zmysłową dolną wargę. Boże, ten facet naprawdę mógłby mieć każdą.

– Coś prawdziwego... To może: niebo jest niebieskie? – odpowiadam. – Ten wschód słońca jest piękny? Nie wiem, czego ode mnie oczekujesz.

– Powiedz mi coś, czego nikt inny nie wie – wyjaśnia. – Na przykład skąd masz tę bliznę na nosie.

Kiwam głową.

– Tornado wyrzuciło rekiny w powietrze, więc nagle zaczął padać deszcz rekinów i...

– No dobra, sama coś wybierz – przerywa mi z łagodnym uśmiechem, patrząc na mnie tak, że nie mogę skłamać ani go zignorować i brakuje mi tchu w piersiach. Sięgam odruchowo do kieszeni, żeby się upewnić, że mam przy sobie inhalator. To tak, jakby mógł zajrzeć pod moją skórę lub przejrzeć mnie na wylot i poprzez to, jak postrzega mnie świat, dotrzeć prosto do mojej duszy.

– Nie znoszę *Naked* – oznajmiam, ale Josh unosi brew, zmuszając mnie do przypomnienia, że jest robotem i prawdopodobnie słucha jedynie muzyki klasycznej, i to tylko dlatego, że poprawia aktywność układu limbicznego czy z innego równie nudnego powodu. – To moja najpopularniejsza piosenka. Ja...

Śmieje się. Szczerze.

– Słyszałem twoją piosenkę. Nie musisz mi tego wyjaśniać. Czasem odnoszę wrażenie, jakbyś myślała, że mieszkam w jaskini.

– Raczej w kostnicy – poprawiam go. – Albo w magazynie dla robotów. W każdym razie to coś, czego nikt o mnie nie wie. Mój głęboki, mroczny sekret. Kurewsko nienawidzę tej piosenki. Nie chciałam jej na pierwszym albumie, ale odpuściłam, żeby nie wkurzać wytwórni. Okazało się, że mieli rację, a ja byłam w błędzie, więc może się nie znam. Ciągłe muszę ją śpiewać na bis i za każdym razem jest to coraz trudniejsze. Czasem, kiedy muszę ją zaśpiewać, dostaję ataku paniki.

– Ja też jej nie znoszę – oznajmia. – Jeśli to jakaś pociecha.

– Boże, ale z ciebie dupek. – Śmieję się. – To teraz ty mi coś powiedz. Coś, o czym nikt inny nie wie.

– Jestem robotem, nie pamiętasz? – Krzywi się. – Możesz ze mnie czytać jak z otwartej książki.

Doskonale wiem, że to nieprawda. Chciałabym otworzyć jego mózg i przejrzeć jego

zawartość. Pod warunkiem że nie jest zabójcza.

– Dobra, w takim razie już nic ci więcej nie powiem.

Milczy przez chwilę. Wypija łyk cappuccino, przełyka ślinę i odwraca się do mnie.

– Nie chciałem tu przyjeżdżać. Tak naprawdę to jakaś część mnie w ogóle nie chciała wracać do domu.

– Dlaczego?

Przygryza swoją zmysłową wargę zębami.

– Trudno mi przebywać w pobliżu ojca... Nie traktuje mojej matki, jak należy.

Zerkam na niego, czekając, aż rozwinie temat, ale nic już nie mówi. Zakładam, że Jim zdradza Beth, i jakoś mnie to nie dziwi. Pewnie dlatego, że jest w Jimie coś niespokojnego, co przypomina mi trochę jego syna – nie Josha, ale tego, z którym rzekomo się zeszałam.

– Już samo bycie tutaj jest dla mnie trudne – dodaje Josh. – Ludziom żyje się tu nieporównywalnie lepiej. Nie mogę patrzeć na te wszystkie rzeczy... – Macha rękami.

– Amerykańskie luksusy? – pytam, przedrzeźniając Sloane.

Śmieje się.

– Jezu, nigdy tego nie zapomnisz. Ale tak, luksusy. I nie tylko w Stanach. Gdziekolwiek nie spojrzysz, ludzie nie doceniają całego mnóstwa jedzenia, usług, sklepów i pieniędzy, które mają do dyspozycji. Ale po kilku dniach przestaje mnie to aż tak szokować – przyzwyczajam się do tego jedzenia, dobrego internetu, pięciuset kanałów w telewizji i miękkiego łóżka. Przyzwyczajam się do tego, że życie jest proste. I to właśnie wtedy muszę tam wrócić i się od tego odzwyczaić.

– Przykro mi. – Wzdycham. – Dlaczego nie powiedziałaś tego mamie?

Odwraca głowę i opiera się o oparcie szeszlona twarzą do mnie, a jego usta wykrzywiają się w smutnym uśmiechu.

– Bo jest moją mamą. Chce mi dogadzać i mnie uszczęśliwiać. Nie mogę jej tego odebrać.

To nie wracaj, myślę. Niech ktoś inny pojedzie. Ale nie mówię tego na głos, ponieważ zabrzmiałoby to jak prośba ze strony kogoś, komu na nim zależy, a mi przecież nie zależy. Za tydzień zupełnie zapomnę o Joshu.

Wypiliśmy już cappuccino, nasze ręczniki ostygły, słońce weszło na niebie, a pierwsi goście zaczęli schodzić na dół do bufetu, ale żadne z nas nie rusza się z miejsca. Zamykam oczy i nucę bezwiednie, dopóki Josh nie pyta, co to za melodia.

– Nie wiem. – Wzruszam ramionami. – Po prostu piosenka, którą wymyślam w swojej głowie.

– Nie wiedziałem, że piszesz własną muzykę.

– Bo nie piszę – odpowiadam. – A właściwie to jej nie nagrywam. Z początku chciałam pójść w zupełnie innym kierunku, ale potem odkryłam, że fajnie jest mieć za co kupić jedzenie i opłacić rachunki.

– Podoba mi się – mówi. – Lepsza niż *Naked*, mimo że to symfoniczne arcydzieło.

Śmieję się niechętnie. Może jednak wcale go tak szybko nie zapomnę.

Kierujemy się do windy. Moje oczy znów wędrują ku białej sukience na wystawie sklepowej, a Josh szturcha mnie łokciem.

– Wpatrujesz się w nią każdego ranka – zauważa cicho miłym głosem. – Dlaczego jej nie kupisz?

Nie zdawałam sobie sprawy, że tak otwarcie się na nią gapię. Jest długa i luźna, z delikatnymi ramiączkami. Chyba rzeczywiście mi się podoba, ale kręcę głową na sugestię Josha. Jest dla mnie zbyt niewinna, dziewicza i dziewczęca. Czułabym się, jakbym odgrywała

jakąś rolę. „Oto ja, ubrana jak dziewczyna, z którą umawiałby się Josh. Mam dyplom lekarza, ale nie jestem żoną jak Sloane. Prawdopodobnie wkrótce rzucę praktykę, aby urodzić mu dzieci. I nigdy nie nazwałabym swojej szwagierki suką”.

Chyba myślałam o tej sukience więcej, niż mi się wydawało.

– To nie mój styl – mówię. – Głupio bym się w niej czuła.

– A mi się wydaje, że właśnie jest w twoim stylu. – Przygryza wargę zębami.

Uśmiecham się do niego, a moje serce podskakuje dziwnie, kiedy odwzajemnia mój uśmiech. Przy Joshu mam czasem wrażenie, że jeszcze mogę wszystko zmienić.

Wchodzę do swojego pokoju dziwnie ożywiona, jakbym unosiła się nad ziemią, kiedy nagle zauważam stertę bagaży i dwie gitary na środku podłogi.

– Niespodzianka! – mówi Six, podchodzi do mnie i bierze mnie w swoje wytatuowane ramiona.

– Wow. Przyjechałeś!

Z jakiegoś powodu nie potrafię sprawić, aby mój głos zabrzmiał wystarczająco entuzjastycznie. Six odsuwa się, ujmuje moją twarz w dłonie i mi się przygląda.

– Skarbie, co ty, do cholery, zrobiłaś z włosami? – pyta i natychmiast spadam z tej chmury, na której się unosiłam, lądując z powrotem na ziemi z ostrym, nieprzyjemnym tąpnięciem. – Chodź tutaj. – Kładzie się na łóżku i wyciąga do mnie ręce.

Zawsze podobała mi się w nim jego uczuciowość, ale teraz myślę, że dla niego to po prostu nic nie znaczy. Czuję się niezręcznie, kiedy wchodzę na łóżko i kładę głowę na jego klatce piersiowej.

Six całuje mnie w czoło.

– Tęskniłem za tobą – mówi. – Tak się cieszę, że zostałam.

Całuje mnie w usta i przewraca na plecy, po czym kolaniem odpycha mi na bok nogę. Był czas, kiedy bym mu uległa, ale dziś mam wrażenie, jakbym miała nogi z ołowiu, a moją klatkę piersiową zakrywałaby ciasna zbroja. Nie chcę tego. Gdy tylko to sobie uświadamiam, wpadam w panikę, jakby sprawy już zaszły za daleko.

– Six – mówię, odpychając od siebie jego klatkę piersiową. – Przestań.

– Skarbie, daj spokój. – Śmieje się cicho, a ja czuję jego oddech na swojej szyi. – Czy chodzi o tę głupią zasadę?

Nie chodzi o nią, ale... Postawiłam mu tylko jeden warunek, kiedy namawiał mnie na tę wycieczkę, i on go zaakceptował. Powiedziałam mu, że nie przyjadę tu jako jego przyjaciółka do pieprzenia.

– Obiecałeś – przypominam, znów próbując go od siebie odepchnąć. Jest niemożliwie ciężki i ani drgnie. – Łamiesz obietnicę już w pierwszej minucie naszego spotkania?

Wzdycha z irytacją i zsuwa się ze mnie.

– Te wakacje trwają już pięć dni – przekonuje. – A ty powiedziałaś, że zobaczymy, jak nam będzie razem.

– Przecież nawet cię tu nie było – odpowiadam sztywno, wstając z łóżka. – Trudno uznać trzy rozmowy przez FaceTime jako spędzanie ze sobą czasu. To nie wystarczy do podjęcia takiej decyzji.

– Dobra – mówi ponuro, też schodząc z łóżka. – Niech ci będzie. Spędzimy razem trochę czasu.

Jest tu dopiero od kilku minut, a ja już zaczynam żałować, że przyjechałam.

W KOŃCU cała rodzina spędza pierwszy dzień przy basenie. Beth jest tak uradowana przyjazdem Sixa, że ledwo może usiedzieć w miejscu. Ciągłe się wzrusza i powtarza: „Tak się cieszę, że ci się udało”, jakby to były ich ostatnie wspólne wakacje. Ale za każdym razem, gdy

Josh spogląda na swojego brata, widzę oznaki napięcia, a patrząc na to wszystko Sloane jest wyraźnie nieszczęśliwa. Nadal nie rozumiem, co Josh miał na myśli, mówiąc, że jestem klejem, który trzyma ich wszystkich razem, ale Six na pewno nim nie jest. Jego przybycie zdaje się jedynie wzmacniać napiętą dynamikę rodziny Baileyów.

Kiedy emocje już opadają, Jim wraca do odzywiania się wyłącznie do Josha, a Beth rozmawia z Sixem z jakąś desperacją w głosie, jakby próbowała odwrócić uwagę płaczącego malucha od zagubionej zabawki, ale wie, że jej się to nie uda.

W końcu Josh wstaje i idzie sam do basenu. Podejrzewam, że chce po prostu odpocząć od ojca. Nie mogę oderwać od niego wzroku. Potem patrzę, jak wychodzi z wody po drabince, a promienie słońca oświetlają jego piękne szerokie ramiona i odbijają się w kroplach wody spływających po jego idealnie płaskim brzuchu. Ma kąpielówki opuszczone nisko na biodrach i moją uwagę przyciąga ten szlaczek włosów poniżej pępka, blada skóra pod opalenizną i fragment tatuażu po lewej stronie. Wyobrażam sobie, jak ściągam mu kąpielówki, żeby się lepiej przyjrzeć, i nagle przy dwudziestu siedmiu stopniach dostaję gęsiej skórki.

Zamawiamy lunch i akurat gdy kończymy jeść, dzwoni moja mama. Nie jestem zaskoczona – w końcu taki jest schemat. Zdenerwowałam Richarda, a on musiał się jej jak najszybciej poskarżyć.

Odchodzę na bok i opieram się o balustradę nad brzegiem morza. Nie chcę, żeby Baileyowie usłyszeli, że nawet kobieta, która sprowadziła mnie na ten świat, uważa mnie za bezużyteczną niedojdę.

Mama nie zawraca sobie głowy przywitaniem się ze mną i przechodzi od razu do sedna.

– Naprawdę nazwałaś Sandrę słowem na „s”? – pyta.

– Masz na myśli skunksa? – Przyciskam się mocno do balustrady, kiedy obok przechodzi jakaś rodzina, ale turyści nie zwracają na mnie uwagi. Zastanawiam się, jak długo jeszcze potrwa moja anonimowość.

– Doskonale wiesz, jakie słowo mam na myśli.

– Tak, obie wiemy – odpowiadam oschle. – Bo tylko jedno słowo na „s” do niej pasuje.

Moja matka wzdycha ciężko. To jej westchnienie jest mi tak znajome, że słyszę je nawet we śnie. Usłyszałam je w głowie, gdy tylko odzyskałam przytomność w Amsterdamie. Kiedy umrę, nad moim grobem nie rozlegnie się płacz bliskich pogrążonych w żałobie, tylko udręczone westchnienie mojej matki, jakby moja śmierć była kolejnym nietaktem z mojej strony.

– Być może twoja podchmielona banda odmieńców rzuca tym słowem beztrąsko na lewo i prawo, ale normalni ludzie tego nie robią. Wybuchasz, a potem tak po prostu zakładasz, że wszystko ci wybaczymy, Drew. Ale cierpliwość ma swoje granice. W końcu przestaniemy ci odpuszczać.

Opadam na ten sam leżak, na którym siedziałam rano z Joshem, podziwiając wschód słońca.

– Tak, zauważyłam, jak wszyscy mi odpuszczacie. Prawdopodobnie dlatego Sandra poprosiła mnie, abym „tym razem zachowała trzeźwość”, jakbym się zataczała na każdym rodzinnym spotkaniu. I nie zakładam, że wszystko zostanie mi wybaczone. Po prostu mam to w dupie.

Nie pierwszy raz mówię jej coś takiego. Jakaś część mnie marzy, aby dała już sobie ze mną spokój. Zablokowała mój numer, odcięła się ode mnie, przestała próbować nawiązać ze mną kontakt. Tak byłoby łatwiej. Mniej boleśniej.

– Nie będę z tobą rozmawiać w ten sposób. Ale pozwól, że wyjaśnię ci tę jedną rzecz: staczasz się. To oczywiste dla wszystkich oprócz ciebie. A kiedy twoja kariera się skończy, będziesz mogła polegać tylko na nas. Powinnaś uważać, kogo od siebie odpychasz.

Rozłączam się. Boli mnie serce, a w głowie kotłują mi się te same myśli o zemście, które mam od lat: Już ja im pokażę. Ten album odniesie tak oszałamiający sukces, że udławiają się tymi wszystkimi słowami, które kiedykolwiek wypowiedzieli, i już nigdy więcej nie otworzą swoich pieprzonych ust.

Tylko że... nie mam jeszcze żadnego albumu. Nie podobają mi się dema, które podesłała wytwórnia, a nawet gdyby mi się spodobały, to i tak nie byłyby moje. Nie ma tam moich słów ani mojego serca. Nawet gust muzyczny się nie zgadza.

Mój ojczym Steven wysłał mi SMS-a niecałą minutę po zakończeniu rozmowy z mamą.

Steven: Rozmawiałem z twoją matką. Podobno „masz w dupie” naszą rodzinę. Nie mam pojęcia, kto ci powiedział, że to w porządku rozmawiać z rodzicem w ten sposób, ale to karygodne zachowanie.

JA: A ja nie wiem, kto ci powiedział, że to w porządku pieprzyć czyjąś żonę, ale to też nie jest godne pochwały.

Śmieję się. Josh mówi, że jestem dobra w chowaniu urazy. Nie ma pojęcia, jak bardzo.

Ktoś ciągnie po betonie stojący obok mnie leżak. Odwracam głowę i widzę Sixa.

– Mam ochotę się upić – oznajmia. – Moja rodzina działa mi na nerwy.

W końcu się co do czegoś zgadzamy.

SIX ZNA LUDZI DOSŁOWNIE WSZĘDZIE – co jest równie ciekawe, jak męczące. Katapultujcie go w sam środek Amazonii, a odnajdzie tam starego przyjaciela, który wie, gdzie w dżungli organizują imprezę. I dotrzesz z nim na nią, nawet jeśli oznacza to brnięcie dwa kilometry przez rzekę pełną piranii i jazdę ciężarówką prowadzoną przez handlarza ludźmi.

Nie dziwię się więc, że wie o jakiejś imprezie na Hawajach: jakieś ważne zawody surfingowe odbywają się akurat po drugiej stronie wyspy.

Po bardzo drogiej przejażdżce uberem, która trwa znacznie dłużej, niż się spodziewałam, docieramy do jakiegoś domu nad oceanem, z którego roztacza się widok na Banzai Pipeline.

– Lepiej napisz do mamy, że nie zdążymy na kolację – mówię. – Zarezerwowali stolik na dziesięć, ale powrót zajmie nam godzinę.

– Nie pojedziemy na żadną cholerną kolację. – Six klepie mnie w tyłek. – Dam jej znać.

W domu i na tarasie aż roi się od muzyków. Jeśli miałabym się kiedykolwiek przeobrazić w prawdziwego muzyka – takiego, jakim zawsze chciałam być – to pewnie powinnam z nimi zagadać, ale podejrzewam, że nikt tutaj nie potraktowałby mnie poważnie.

Wypijam drinka i wychodzę na taras, żeby obejrzeć zawody. Ten ocean to jedna wielka wznosząca się i opadająca fala. Patrzą na surferów, którzy wyglądają na nim jak mrówki, i moje serce bije z przerażenia na ten widok. Moja reakcja wydaje się jak najbardziej uzasadniona. Nigdy wcześniej nie widziałam tak niebezpiecznych fal – znaki na plaży ostrzegają, aby osoby bez doświadczenia w surfingu nie zbliżały się nawet do brzegu.

Opieram się o balustradę, gdy podchodzi do mnie jakiś facet i mi się przedstawia. Okazuje się, że jest perkusistą formacji The Sweat Monkeys, o którym nigdy nie słyszałam.

– W przyszłym roku wystąpimy pewnie na festiwalu Coach-ella – rzuca z udawaną obojętnością i zerka na mnie, żeby sprawdzić, czy udało mu się mi zaimponować.

– To wspaniale – odpowiadam, starając się być miłą. Najwyraźniej nie ma pojęcia, kim jestem, ale fajnie jest znów być anonimową seksowną kobietą, której próbuje zaimponować nieznany perkusista.

– Mogę zabrać cię za kulisy, wiesz, jeśli zostaniemy zaproszeni – proponuje.

W zeszłym roku byłam gwiazdą tego festiwalu.

– Byłoby super – odpowiadam, tłumiąc uśmiech,

Mówię mu, że idę po kolejnego drinka, ale zamiast tego kieruję się na wydmy, gdzie

siedzą z lornetkami zagorzali widzowie zawodów.

A wśród nich Juliet Cantrell.

Ostatnimi czasy niewiele gwiazd mi imponuje, ale ona tak. Zazdrość jej kariery – ma dokładnie to, co chciałabym mieć i o co powinnam była walczyć. Sama pisze swoją muzykę i wybiera producenta. Nikt nie każe jej brać kokainy przed występem, żeby się ożywiła. Nikt nie zapisuje jej na odwyk bez pytania.

Przygląda się zawodom całkowicie na nich skupiona. Powinnam chyba zostawić ją w spokoju, ale łapię się na tym, że podkradam się bliżej, aż w końcu stoję tuż przy niej, a ona mruga na mnie, zasłaniając dłonią oczy przed słońcem.

– Hej, jestem Drew. – Macham do niej nieśmiało.

– Jasna cholera. – Jej oczy się rozszerzają. – Drew Wilson? Nie poznałam cię. Jestem Juliet.

– Wiem, masz moją wymarzoną karierę. – Śmieję się.

Unosi brew na te słowa.

– Lepiej trzymaj się swojej. Gwarantuję, że twoje konto bankowe prezentuje się znacznie lepiej niż moje.

Zerkam na miejsce na piasku obok niej, a ona przesuwając się, żeby zrobić mi miejsce.

– Odpoczywasz na Hawajach w środowe popołudnie – odpowiadam, siadając po turecku. – Na pewno całkiem nieźle sobie radzisz.

– Słuszna uwaga. – Śmieje się.

Bierze do ręki lornetkę i spogląda przez nią, po czym mi ją podaje.

– To przerażające – mówię bardziej do siebie niż do niej. Ci surferzy są tak małutcy na tych wielkich falach. Wyglądają, jakby zaraz mieli się na nich rozbić, ale jakimś cudem żadnemu się to nie przytrafia.

– To prawda – mówi z westchnieniem i przygryza wargę, wyraźnie zmartwiona. Tylko że wydaje się martwić o kogoś konkretnego.

– Przyszłaś tu kogoś zobaczyć, tak? – pytam.

Spogląda na mnie nieufnie i milczy przez chwilę.

– Tak, ale on tego nie wie. – Wzdycha. – Wiem, brzmie jak stalkerka, ale to ktoś, z kim dorastałam.

– Nie sądzisz, że chciałby wiedzieć, że tu jesteś?

Jej oczy się zamykają, jakby już samo to pytanie było dla niej bolesne.

– Na pewno nie – odpowiada.

– To pewnie dlatego twoje piosenki są takie niespokojne – mówię, a ona się śmieje.

– Ciekawi mnie, czego mi tak zazdrościsz w mojej karierze – odzywa się po chwili. – Zarabiasz znacznie więcej ode mnie i cieszysz się większą sławą.

Zastanawiam się przez chwilę nad odpowiedzią. Chciałabym być mniej sławna, ale nie tego jej zazdrość.

– Wolalabym być znana ze śpiewania własnej muzyki – odpowiadam w końcu. – Teraz nawet nie gram sama na gitarze, służy mi tylko jako rekwizyt.

– Na tym etapie musisz mieć wystarczająco dużo pieniędzy, aby robić to, co chcesz. – Unosi brew.

Opuszczam ramiona. Powiedziała to tak, jakby to było oczywiste i banalnie proste. Ale nie jest.

– Trudno się z tego wyplątać. Nawet gdybym mogła się wycofać z kontraktu menedżerskiego i nagraniowego, nie wiedziałabym, od czego zacząć.

Wygląda, jakby chciała się ze mną spierać, ale po chwili wzrusza tylko ramionami.

– Zadzwoń do mnie, jeśli zmienisz zdanie. Chyba znam ludzi, którzy mogliby ci pomóc. Pada na nas jakiś cień i kiedy podnoszę wzrok w górę, widzę stojącego nad nami Sixa.

– Hej, Juliet – mówi, wyciągając do mnie rękę. – Skarbie, już czas na nas. Mój przyjaciel urządza hawajską ucztę luau w Honolulu.

Był czas, kiedy poszłabym za nim wszędzie i rzuciłabym wszystko, żeby tylko się z nim zobaczyć. Teraz, chwytając go za rękę, mam ochotę zasugerować, żeby poszedł sam.

JEST PÓŹNO, a ja jestem pijana.

Six zignorował moje wcześniejsze sugestie, abyśmy spróbowali jeszcze wrócić na jego rodzinną kolację, i chociaż powtarzam mu już od kilku godzin, że chcę pojechać do hotelu, to jednak wciąż pijemy. Straciłam rachubę, ile przystanków zrobiliśmy po drodze – zaliczyliśmy przeróżne bary i sklepy, a nawet piezonego prosiaka na plaży, którego upiekła jakaś rodzina. Teraz jesteśmy w jakimś klubie, a od błyskających świateł boli mnie głowa. Jestem tak zmęczona, że ledwo po raz setny wypowiadam słowa: „Chodźmy już”, ale Six nadal stawia wszystkim shoty.

– Jestem śpiąca – powtarzam.

– Barman! – krzyczy. – Potrzebuję red bulla i wódki dla mojej ślicznej przyjaciółki.

Skręca mnie w żołądku na samą myśl o kolejnej dawce alkoholu.

– Idę do łazienki – bełkoczę.

– Weź jednego na drogę. – Podaje mi shota. – Mam co do ciebie plany na później.

Już mi to mówił. Jestem zbyt pijana, żeby znów mu przypominać, że nie tak się umawialiśmy, i zbyt wyczerpana, by wyjaśniać, że mi na nim zależy, ale nic między nami nie będzie, a ja nie chciałabym rozbudzać u jego matki nadziei na coś, co się nigdy nie wydarzy.

Może jednak powinnam z tym jeszcze zaczekać? Jest tu dopiero niecałą dobę, a ja obiecałam, że dam mu szansę. Dobrze się razem bawiliśmy, aż... przestaliśmy. Przynajmniej chce mnie czasem przy sobie, myślę. To więcej, niż mogę powiedzieć o mojej rodzinie.

Wychodzę z toalety, ale robi mi się niedobrze, więc przepycham się szybko przez wyjście na świeże powietrze i staję z głową przyciśniętą do ściany, oddychając płytko.

Kiedy w końcu mi się poprawia, odwracam się, żeby wrócić do środka, i nagle uświadamiam sobie, że Six ma mój dowód.

Wyjaśniam sytuację bramkarzowi, ale i tak nie chce mnie wpuścić.

– To niech chłopak przyniesie ci dowód – mówi. – Bez niego nie wpuszczamy.

Chociaż uwielbiam być anonimowa, bycie rozpoznawalną miało swoje niezbywalne zalety. Wyciągam telefon, żeby zadzwonić do Sixa, a kiedy nie odbiera, wysyłam mu SMS-a. Oczywiście nie odpisuje. W końcu pewnie go zobaczy.

Opadam na najbliższą ławkę i przeglądam telefon. Zauważam SMS-a z nieznanego numeru i z dziwną ekscytacją odkrywam, że jest od Josha. Mam teraz jego numer, myślę. To jak dar, z którego najprawdopodobniej zrobię niewłaściwy użytek.

JOSH: Wszystko z wami porządku? Nie zjawiliście się na kolacji i mama się martwi. Odpisz, kiedy to odczytasz.

Pieprzony Six. Prosiłam go, żeby zadzwonił do mamy, a on obiecał, że da im znać. Żałuję, że w ogóle z nim pojechałam. Szczerze mówiąc, znacznie lepiej bawiłabym się z Beth i Jimem, a nawet z Joshem i Sloane. No dobra, może „zabawa” to nie jest do końca trafne określenie, ale gdybym z nimi została, nie musiałabym przez ostatnie kilka godzin powtarzać Sixowi, że potrzebuję położyć się spać, i nie byłoby mi tak niedobrze.

DREW: Przepraszam.

To wszystko, na co mogę się w tej chwili zdobyć.

Nagle telefon w mojej dłoni zaczyna dzwonić. Ten sam nieznanym numer. Numer Josha.

– Hej – szepczę. Szkoda, że nie siedzimy teraz razem przy basenie, podziwiając wschód słońca. Albo że przynajmniej nie siedzi teraz obok mnie na tej ławce.

– Gdzie jesteście? – pyta zmartwionym tonem.

Nie wiem, dlaczego chce mi się płakać.

– Utknęłam pod klubem – mówię. – Six ma mój dowód i nie chcą mnie wpuścić do środka.

– Siedzisz na ulicy? – pyta. Teraz brzmi na wściekłego. Ale to tylko dlatego, że z jakiegoś niezrozumiałego powodu uważa mnie za delikatną. Po tym, jak rzuciłam szkołę, przez trzy lata spałam na podłodze u znajomych lub na stacjach kolejowych. Siedzenie na zewnątrz w Waikiki jest dla mnie dziecinną igraszką w porównaniu z tamtym życiem.

– Wysłałam mu SMS-a – odpowiadam i zamykam oczy. – Nic mi nie jest. Zaraz pewnie po mnie wyjdzie. Albo wrócę uberem.

– Jesteś pijana? – pyta. Słyszę odgłos zamka od spodni. Czyżby się właśnie rozbierał? Przez chwilę wyobrażam sobie, jak zdejmuje szorty i wygląda tak dobrze, jak wyobrażałam sobie wcześniej. Podziwiałabym jego mięśnie brzucha niczym dzieło sztuki. I ten delikatny szlaczek włosów prowa-dzący do bokserek...

Jezu, Drew, nie mogę uwierzyć, że tak dokładnie przyjrzałaś się tym włoskom.

– Niedobra Drew – mówię na głos.

– Nie mam pojęcia, czy to znaczy „tak”, czy „nie” – komentuje.

– Co? – Mrugam.

– Nieważne. Twoja niezdolność do ułożenia sensownego zdania jest wystarczającą odpowiedzią na moje pytanie. Gdzie jesteś?

Wydaje się lekko zadyszany, roztargniony. Zastanawiam się, czy wypytuje mnie o to wszystko, zajmując się Sloane. To nie jest pociągająca myśl.

– Naprawdę nie umiem wyobrazić sobie Sloane uprawiającej seks – oznajmiam.

Pewnie przed rozpoczęciem współżycia zażądałaby przetrarcia wszystkich powierzchni wybielaczem lub amoniakiem i przeprowadzenia kilku badań, aby się upewnić, że oboje są zdrowi.

– Drew – powtarza surowym tonem – gdzie, do cholery, jesteś?

Pochyliam się, żeby spojrzeć na oświetlony znak nade mną, i prawie spadam przy tym z ławki.

– Tik Hut – Spoglądam raz jeszcze na napis i zauważam, że jedno „i” nie jest podświetlone. – Tiki Hut. Chcę się tylko napić wody. Nie pozwalają mi nawet zamówić szklanki wody. To Ameryka. Powinnam móc dostać wodę.

Josh z kimś rozmawia, a ja siedzę i słucham wydawanych przez niego dźwięków – jego głębokiego głosu, zamykających się drzwi samochodu, odgłosu zapinania pasów. Założę się, że gdziekolwiek jest, powietrze nie jest tam takie parne. I na pewno ma przy sobie butelkę wody. A gdybym to z nim tu przyjechała, już dawno zaczęłyby mnie szukać.

– Opowiedz mi, co się stało – prosi łagodnie.

– Z czym? – pytam. Jutro będę miała zbyt dużego kaca, żeby móc biegać. A to może być nasza ostatnia szansa.

– Skup się, Drew – mówi. – Co się dzisiaj stało? Dlaczego nie przyjechaliście na kolację? Spodziewałbym się tego po Joelu, ale nie po tobie.

– Bo nazwałam swoją szwagierkę suką – szepczę.

– Co takiego? – Josh się śmieje, ku mojemu zaskoczeniu.

– Nazwałam swoją szwagierkę suką. Ale ona naprawdę nią jest. Nie uwierzyłyś, jaką jest straszną suką, Josh.

Znowu się śmieje.

– Więc postanowiłaś wystawić moich rodziców i zaszaleć, bo użyłaś słowa „suka”? Bez urazy, ale wyobrażałem sobie, że wypowiadasz to słowo regularnie i z łatwością.

Grupa facetów zwalnia, przechodząc obok mnie, a ja spuszcza głowę.

– Właściwie to nie nazwałam jej suką, tylko poprosiłam, żeby nie zachowywała się jak suka. To była tylko zwykła prośba. A potem... – Moje oczy napełniają się łzami. Cholerne shoty. To jedyne wyjaśnienie, dlaczego już chyba po raz trzeci od rozpoczęcia rozmowy z nim zbiera mi się na płacz.

– A potem... – podpowiada.

Chcę mu wszystko wyznać: że zdaniem mojego przyrodniego brata zepsułabym im imprezę, a według mojej mamy moja kariera dobiega końca i wkrótce będę miała tylko ich. I nawet mój wredny ojczym, który zniszczył moją rodzinę, przyznaje sobie prawo do wtrącania swoich trzech groszy. Chciałabym powiedzieć to wszystko Joshowi i przekonać się, że chociaż jedna osoba na tym świecie bierze moją stronę, ale prawda jest taka, że kiedy wszyscy powtarzają, że jesteś do niczego... to im wierzysz. Milczę długo, więc znów zachęca mnie do mówienia.

– Moja rodzina mi trochę dołożyła – szepczę.

– Wsiadaj do samochodu – rzuca.

Podnoszę głowę i widzę przed sobą wynajętego przez Bai-leyów jeepa. Przyjechał tu po mnie! Słyszałam odgłos zapinanego zamka od spodni, bo się ubierał. Leżał już w łóżku, a mimo to zebrał się i tu przyjechał. Nie wiem, dlaczego znów czuję narastającą gulę w gardle. Wsiadam do jeepa po stronie pasażera.

– Nie musiałeś tego robić.

Podaje mi butelkę wody, a potem pochyla się, żeby zapiąć mi pasy.

– Tak, musiałem. Czy ktoś zwrócił ci już kiedyś uwagę, jak bardzo niepokojąco o siebie nie dbasz? Bóg jeden wie, co mogło ci się tu stać o tak późnej porze.

– Nikt mnie nawet nie rozpoznaje po tym, jak obciąłam włosy.

Wzdycha.

– Nie chodzi o to, że jesteś sławna, Drew, tylko o to, że jesteś ładna.

– Nie wierzę. – Śmieję się. – Czyżbyś właśnie powiedział mi komplement?

– Daj spokój. – Przewraca oczami. – Nie powiedziałem niczego, czego nie słyszałaś od dnia swoich narodzin, więc to żaden komplement. Po prostu wymieniałem jedną z twoich zalet.

– Skomplementowałeś mnie.

– Niech ci będzie. – Śmieję się.

Wiatr przedziera się przez jeepa, więc odchylam głowę do tyłu i patrzę w niebo spotykające się z wodą. Powietrze jest lodowato zimne. Josh jest naprawdę świetnym facetem, myślę. Zastanawiam się, czy mu tego nie powiedzieć, ale na-wet teraz nie jestem wystarczająco pijana, żeby uznać to za dobry pomysł.

A jednak fakt, że po mnie przyjechał, wzbudza we mnie podobne odczucia jak te pierwsze promienie słońca wschodzącego zza Diamond Head rozgrzewające zimne szare niebo. Mam nadzieję, że jutro uda mi się przywołać to uczucie i będę pamiętać, jak to jest, kiedy ktoś naprawdę się o mnie troszczy. A potem wsiadę do samolotu i wrócę do domu, bo wiem, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Josh nie należy do mnie i nawet gdybym nie była z jego bratem, a on ze Sloane, jest zbyt mądry i dobry, żeby zakochać się w kimś tak zepsutym jak ja.

JOSH

Nie mogę uwierzyć, że mój pieprzony brat nie zauważył nawet jej zniknięcia. I że Drew znosi faceta, który tak ją traktuje. Czy istnieje jakiś uprzejmy sposób na zasugerowanie dziewczynie twojego brata, że zasługuje na kogoś znacznie lepszego? Albo zapytanie, co ona sobie, do cholery, myśli?

– Mój tata miał jeepa – mówi z zamkniętymi oczami. – Był stary i rozklekotany, ale bardzo go lubiałam.

Nigdy wcześniej nie wspomniała o swoim ojcu. Mam wrażenie, że w końcu pozwala mi zajrzeć za zasłonę, i nie chcę, żeby ponownie ją zaciągnęła.

– Tak? – pytam i skręcam w lewo, chociaż powinienem skręcić w prawo. Nie chcę jednak zbyt szybko wracać do hotelu.

– Jeździliśmy razem na przejażdżki. On śpiewał głupie piosenki, a ja trzymałam sześciopak. Moim zadaniem było otwierać dla niego kolejne puszki, a potem wypijaliśmy razem ostatnią.

Serce zatrzymuje mi się na chwilę. Spodziewałem się usłyszeć jakąś uroczą anegdotkę z dzieciństwa. O maleńkiej Drew z warkoczykami wożonej na trening piłki nożnej albo do McDonalda.

– Wypijaliście razem? Ile miałaś lat?

– Dziewięć? – Wzrusza ramionami. – Dziesięć?

Zerkam na nią i znów skręcam w złą stronę.

– Drew, to brzmi... trochę strasznie.

– Niekoniecznie. – Kręci głową, wciąż nie otwierając oczu. – Po prostu patrzysz na to z perspektywy odpowiedzialnego dorosłego. Picie – złe, szpinak – dobry. Coś w tym stylu. Ale ja traktowałam to jako dobrą zabawę. Tata lubił ze mną przebywać, a ja czułam się... Nie wiem. Wyjątkowo. Był jedynym członkiem rodziny, który lubił mnie taką, jaka jestem.

– Mówisz o nim w czasie przeszłym.

– Nie żyje – wyjaśnia bez cienia emocji, jakby podawała jego rok urodzenia albo kolor oczu. – Wypadek podczas jazdy pod wpływem alkoholu.

– Ja...

– O Boże, twoja mina! – Zaczyna się śmiać. – Żartuję! To znaczy nie do końca. Mój tata naprawdę nie żyje, ale nie zginął za kółkiem, jeżdżąc po pijanemu.

Postanawiam odczekać chwilę, na wypadek gdyby śmierć jej ojca też miała się okazać żartem.

– Drew, tak mi przykro – mówię w końcu. – Nie miałem pojęcia.

– To było dawno temu. – Wzrusza ramionami, opiera się o siedzenie i znów zamyka oczy.

W końcu skręcam w stronę Halekulani, czując lekkie mdłości i myśląc o ostrzeżeniu Sloane: „Ta dziewczyna to kłopoty”. Coś w tym jest. Zagłądanie do wnętrza Drew przypomina sięganie na ośle po kawałki potłuczonego szkła. Czasem zachowuje się, jakby o nic nie dbała, co wydaje się niefrasobliwe, ale to chyba raczej pewien przejaw siły psychicznej. To mechanizm obronny, który ma chronić jej uczucia. Martwi mnie to, ale jednocześnie wzbudza mój podziw.

Podjeżdżam do parkingowego i otwieram jej drzwi. Gdyby to zależało tylko ode mnie,

zaniósłbym ją do pokoju na rękach, ale się powstrzymuję. To, że nie poznałem jej wcześniej w nowej fryzurze, nie oznacza, że inni jej nie rozpoznają. Kładę jej dłoń na ramieniu, żeby ją obudzić, i pochylam się, żeby odpiąć pas.

Unosi powoli swoje długie rzęsy i nagle nasze twarze wydają się znajdować zbyt blisko siebie. Mimowolnie wpatruję się w jej usta i wyobrażam sobie, że pochylam się jeszcze bliżej i ją całuję. Przez chwilę w jej oczach widzę coś, co mówi mi, że by mi na to pozwoliła.

Kurwa. Fantazuję o wykorzystaniu pijanej dziewczyny mojego brata. Czy można upaść jeszcze niżej?

Cofam się o krok.

– Dasz radę iść? Mógłbym zanieść cię do pokoju, ale obawiam się, że ktoś może zrobić nam zdjęcie.

– Teraz jestem niewidzialna – mówi teatralnym szeptem. Mogliby ją usłyszeć w sąsiednim mieście.

– Tak, superniewidzialna. – Śmieję się do siebie.

Pomagam jej wysiąść z jeepa i obejmuję ją ramieniem. Nawet z moją pomocą nie może iść prosto, więc zamiast przez hol prowadzę ją w stronę basenu, gdzie jest teraz ciemno i pusto.

– Będziemy pływać? – pyta i chichocze.

Podnoszę ją jak dziecko.

– Nie, próbuję tylko zaprowadzić cię do pokoju bez świadków. Masz klucz?

Kręci głową przecząco i kładzie głowę na moim ramieniu. Wącha moją koszulę, a potem znów zaciąga się jej zapachem.

– Zawsze pachniesz tak cholernie dobrze – mruczy i moje ciało reaguje na to wbrew mojej woli. – Muszę się wykapać we wrzącej wodzie.

– Jezu, robisz się dziwna, kiedy się upijasz – mówię z uśmiechem. – Nie spodziewałem się tego po tobie.

– Myślałeś, że po alkoholu zachowuję się obleśnie, co? – pyta. – Tańczę nago z zamazanymi intymnymi częściami jak w teledysku *Naked*?

Niepotrzebnie przypomniła mi o tym klipie. Tak, nie znoszę tej piosenki, ale żaden heteroseksualny mężczyzna nie mógłby znienawidzić teledysku do niej. Jeszcze tego brakowało, abym myślał o jej nagim ciele, kiedy trzymam ją w ramionach, z ręką zaledwie kilka centymetrów od jej piersi, a ona mruczy mi przy szyi, jak cholernie dobrze pachnę.

Docieramy do drzwi mojego pokoju i stawiam ją delikatnie na ziemi.

– Musisz być naprawdę cicho, okej? Sloane śpi na łóżku, więc położę cię na kanapie.

Kiwa głową, ale moje ostrzeżenie okazało się niepotrzebne – w sypialni pali się światło. Sloane nie śpi i prawdopodobnie się zorientowała, że wyszedłem, za co pewnie będzie suszyć mi głowę, jak za wszystko, co zrobiłem w tym tygodniu.

Drew pada na kanapę, nie zauważając nawet znajdującego się tam koca i poduszki. Zwija się w kłębek, zrzuca buty i tak po prostu zapada w sen. Wyjmuję drugi koc z szafy i przykrywam ją nim akurat w chwili, gdy do pomieszczenia wchodzi ubrana Sloane.

– Pachnie jak gorzelnia – mówi, krzyżując ręce na piersi.

– Myślałem, że śpisz.

Idzie do sypialni, a ja za nią. Jestem zbyt zmęczony na kłótnię, ale wiem, że nie uniknę poważnej rozmowy. Wyjęła z szafy walizkę i się spakowała.

– Sloane. – Przesuwam dłonią po twarzy. – Co ty wyprawiasz?

– Wracam do domu. – Przetyka ślinę.

– Jest środek nocy – argumentuję. – Połóż się spać. Porozmawiamy rano.

– Muszę stąd wyjechać. Nienawidzę tej kobiety, w którą się zamieniam. Nie powinienam

była tu przyjeżdżać.

Jej ramiona opadają z rezygnacją. Czuję się cholernie źle z tym wszystkim.

– Przepraszam – mówię. – Tak mi przykro, że nie mogę dać ci tego, czego chcesz.

– Nie przepraszaj. – Kręci głową i zmusza się do bladego uśmiechu. – Wiedziałam, na czym stoję, już od samego początku tych wakacji. Powiedziałeś mi, co czujesz, ale to zignorowałam.

– Wydawałaś się taka obojętna w Somalii. – Opadam na krawędź łóżka. – Nie miałem pojęcia, że nasz romans coś dla ciebie znaczył.

– Wiem. Sama nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopóki nie wróciłam do Atlanty. Zaczęłam rywalizować z Drew, zamiast przyznać się przed sobą, że nie powinnam była tu w ogóle przyjeżdżać. A konkurowanie z Drew nie ma najmniejszego sensu, bo i tak nigdy z nią nie wygram.

– Ona nie ma z tym nic wspólnego – spieram się. – To chyba oczywiste. Przyjechała tu z moim bratem.

Sloane bierze do ręki zestaw przyborów toaletowych i chowa go do bagażu podręcznego.

– Czyżby? Miałam nadzieję, że sytuacja się zmieni, kiedy twój brat w końcu tu dotrze, ale tak się nie stało – mówi. – Tylko na nią zwracasz uwagę i tylko o niej mówisz. Niczego poza nią nie zauważasz.

– Sloane... – zaczynam, przeczesując włosy palcami. Jej sugestie są niedorzeczne. – Nie wiem, co twoim zdaniem dzieje się między mną a Drew, ale się mylisz. Nic nas nie łączy.

Kładzie swoją torbę na podłodze i ciągnie ją za sobą. A potem zatrzymuje się i przytula mnie na pożegnanie, przyciskając chłodne usta do mojego policzka.

– Wiem, że naprawdę w to wierzysz. Mam tylko nadzieję, że to sobie rozpracujesz, zanim sprawy przyjmą jeszcze gorszy obrót.

Najwyraźniej nie ma sensu się z nią sprzeczać, ale chyba i tak już bym nie oponował. Bo prawda jest taka, że lubię przebywać z Drew i mieć ją tylko dla siebie. I żałuję, że mój pieprzony brat się pojawił.

DREW

27 stycznia

Kiedy się budzę, zwisam w połowie z kanapy, a przez okno przedostaje się słońce.

Przez chwilę zastanawiam się, czy nie jestem w trasie, bo czuję się jak w poranki po koncercie: jakbym miała piasek w ustach, a w głowie wyło mi zranione zwierzę, które prosi o skrócenie jego cierpienia.

Ale nie, nie jestem w trasie. To Hawaje.

Przeklinam swoje życie.

Co się wczoraj wydarzyło, do diabła? W mojej głowie pojawiają się przebłyski wspomnień: jedzenie taco w totalnej speluncie z grupą surferów, picie piwa z naszym kierowcą z Ubera i jedzenie pieczonego prosiaka z jakąś hawajską rodziną. Chyba zaproponowałam nawet komuś urządzenie ceremonii zaślubin w domu Tali na plaży. I pokazywałam zdjęcia z jej ślubu.

Chowam głowę w dłoniach i jęczę.

– Na stoliku obok ciebie leży ibuprofen – mówi czyjś głos.

Otwieram jedno oko i widzę Josha stukającego przy biurku w swój nieodłączny laptop.

– Co ty tu robisz? – pytam głosem ochrypłym, jakbym wypaliła karton papierosów.

– Co robię w swoim pokoju? Świetne pytanie.

– Cholera – szepczę. Z trudem zrzucam z siebie ciężki koc i siadam, po czym znów chowam głowę w dłoniach. Jestem brudna, spocona i marzę o wejściu w śpiączkę farmakologiczną i wyjściu z niej dopiero, gdy alkohol zniknie z mojego organizmu. – Cholera.

Wracają do mnie kolejne wspomnienia z ostatniego wieczoru. Jechałam z Joshem naszym wypożyczonym samochodem i wspomniałam tatę śpiewającego mi te głupie rosyjskie piosenki w swoim rozklekotanym jeepie. W dodatku chyba wyznałam Joshowi, że mój ojciec pił przez całą drogę.

Sięgam po wodę, którą postawił dla mnie na stoliku.

– Cokolwiek ci powiedziałam... Czy możemy udawać, że tego nie słyszałeś?

Zamyka laptopa i odwraca się na krześle, żeby na mnie spojrzeć.

– Dlaczego?

– Ja... – Przymykam oczy. – Nie rozmawiam o moim ojcu, okej? Z nikim. A to wszystko... Nie chcę, żeby to gównu wyszło na jaw.

– Dobra – mówi. – Spróbuję zatrzymać ten telegram, który wysłałem właśnie do „New York Timesa”.

Roześmiałabym się, gdybym nie czuła się tak okropnie.

– Nie mów Sixowi – szepczę. – I proszę, nie mów o tym Sloane. Już i tak jest na mnie cięta.

– Nie powiedziałaś niczego wartego powtórzenia, Drew. Nie martw się tym. A poza tym Sloane już tu nie ma.

– Jak to „nie ma”? – Podnoszę głowę, żeby na niego spojrzeć.

W jego oczach pojawia się cień zmartwienia, ale odwraca wzrok.

– Wróciła do Atlanty. Tak będzie lepiej. Na pewno zauważyłaś napięcie między nami.

– Skąd – mówię z półuśmiechem. – Naprawdę dobrze to ukrywaliście.

Ale Josh nie odwzajemnia uśmiechu.

– Moja matka jest zdruzgotana. Wybuchła płaczem, kiedy jej powiedziałem.

Nagle czuję ciężar w sercu i to nie tylko dlatego, że trudno mi znieść smutek Beth. Ja też chciałam stąd wyjechać. Jak jednak miałabym to zrobić, skoro Beth już jest załamana z powodu wyjazdu Sloane?

– Nie widzi, że to wyjdzie wam na dobre? Po co marnować czas na coś, z czego i tak nic nie będzie?

Kręci głową i przez chwilę dostrzegam w jego twarzy coś ponurego – coś, czym nie zamierzał się dzielić.

– Mama chce, żebyśmy znaleźli sobie żony – mówi cicho. – Chyba obwinia się za to, że żaden z nas nie jest skłonny się ustatkować. Dzięki Bogu, że przynajmniej ty zostajesz.

Przełykam ślinę, unikając jego wzroku, ale on wpatruje się we mnie, jakby odczytywał moje myśli.

– Drew, obiecaj mi, że zostaniesz. Nie mogę wchodzić w szczegóły, ale... te wakacje są bardzo ważne dla mojej mamy. Jeśli ty też wyjedziesz, będzie załamana.

Teraz jest mi jeszcze ciężej na sercu. Żadna rozsądna osoba nie upierałaby się chyba, że lepiej nie znać prawdy. Ale wyobrażam sobie, jak Beth stara się zachować entuzjizm przez resztę tej podróży, choć ma poczucie porażki, że żaden z jej dorosłych synów nie ma dziewczyny, i nie mogę znieść tej myśli.

– Proszę – dodaje Josh.

– Dobrze – szepczę. – I przykro mi... Z powodu Sloane.

Zwilża wargę językiem, a potem przygryza ją zębami. Boże, nienawidzę, kiedy to robi. Tak cholernie tego nienawidzę.

– A mi nie jest przykro. Żałuję tylko, że mama się zdenerwowała.

– Ale chyba jest ci trochę smutno? Spotykałeś się z tą dziewczyną przez jakiś czas. Nawet tak bezduszny facet jak ty musi coś czuć.

– Bezduszny, tak? – Na jego twarzy pojawia się coś na kształt uśmiechu. – To tak mnie postrzegasz?

Staję chwiejnie na nogi. Nie, myślę. W ogóle cię już takim nie widzę.

KIEDY PRACOWNIK HOTELU wpuszcza mnie do mojego pokoju, wchodzę do środka i znajduję ubrania Sixa rozrzucone po podłodze niczym okruszki Jasia i Małgosi i prowadzące prosto do łóżka, gdzie leży w samych bokserkach.

Kiedyś ten widok mógłby mi się spodobać.

W tym momencie jednak Six wydaje mi się po prostu brudnym egoistą. Sprawdzam telefon: odpisał mi na SMS-a dopiero po dwóch godzinach. Zajęło mu dwie godziny, żeby zauważyć moje zniknięcie i sprawdzić telefon, do cholery.

Tylko że tego właśnie chciałam: kogoś, kto nigdy nie będzie polegał na mnie i na kim sama nigdy bym nie polegała. A jednak wracam myślami do ostatniej nocy – do momentu, kiedy Josh po mnie przyjechał – i przypominam sobie, jak się wtedy czułam: odnaleziona i bezpieczna. To było znacznie przyjemniejsze niż odczucia, które wzbudza we mnie Six.

Śpi jak zabity, więc zamykam drzwi od sypialni i siadam na kanapie z jedną z jego gitar. Irytuje mnie, że nie jest dobrze nastrojona, ale ignoruję to w końcu i zaczynam grać piosenkę, która chodziła mi po głowie przez ostatnie kilka poranków. Nie mam jeszcze dopracowanego tekstu, ale refren przyprawia mnie o dreszcze. Trochę już zapomniałam, jak to jest czuć ten dreszcz, kiedy coś tworzę i kocham to na tyle, że nie obchodzi mnie w zasadzie zdanie innych.

Na godzinę przed zejściem na dół odkładam gitarę Sixa i idę go obudzić.

– Hej – mówi chrapliwym głosem. – Co się z tobą stało zeszłej nocy? Gdzie spałaś?

Okazuje mi troskę z dwunastogodzinnym opóźnieniem. Mogłabym mu wygarnąć, jak się przyczynił do tego całego ambarasu, ale nadal jestem zmęczona i w tym momencie nie ma to dla mnie już większego znaczenia.

– Josh po mnie przyjechał. Miałaś klucz do naszego pokoju, więc spałam na ich kanapie.

– Zadzwońska do Josha? – Siada, nagle cała zeszytniały i spięty. – Jezu Chryste, Drew, jedyne, co musiałaś zrobić, to...

– Nie zadzwoniłam – odpowiadam zirytowana. Podchodzę do szafy i wyjmuję z niej walizkę. – To on zadzwonił do mnie, bo nie mógł się do ciebie dodzwonić. Miałaś dać znać mamie, że nie przyjedziemy. Martwiła się.

– Jasne – mówi Six, przewracając oczami. – Zapomniałem. Dzięki Bogu święty pieprzony Joshua wkroczył do akcji i uratował sytuację.

Nie zliczę, ile razy byłam na jego miejscu – ile razy coś schrzaniłam, a potem ktoś to dla mnie naprawiał, dając mi to wyraźnie odczuć. Bycie nieudacznikiem jest do bani. To cholernie przykre, gdy ludzie przewracają oczami, mówiąc o tobie, i powtarzają tylko: „No cóż, czego innego można się po niej spodziewać?”

Ale nie mam ochoty zgadzać się z nim, że jego brat jest dupkiem, tylko dlatego, że Josh po mnie przyjechał i rozwiązał problemy, do których przyczynił się Six.

– Hm – odpowiadam – ale on naprawdę uratował sytuację.

Kładę walizkę na łóżku i wychodzę na balkon, żeby popatrzeć na Diamond Head. Nie mogę znieść myśli, że wkrótce zapomnę o tej podróży. Wspomnienia są jak dzieła sztuki: pozostawione na deszczu rozmywają się i rozmazują, aż pozostaje tylko twoja interpretacja, jedynie blade wyobrażenie na temat tego, co się wydarzyło. Pewnego dnia powiem tylko, że oglądałam tu wschody i zachody słońca, ale prawdopodobnie nie będę już pamiętała, jak Josh mnie rozśmieszał. Ani jak mówił: „Powiedz mi coś prawdziwego”, jakby to, co myślę i czuję, naprawdę miało znaczenie.

Będę za tym tęsknić, myślę, chłonąc ostatnie chwilę w tym pięknym miejscu.

Bez Josha nic już nie będzie takie samo.

– O, TU JESTEŚCIE – wita nas Beth, kiedy schodzimy do holu. – Martwiliśmy się o was. Six wzrusza tylko ramionami. Nie potrafi nawet udawać, że się przejmuje sprawieniem komuś kłopotu.

– Przepraszam – mówi, choć widać, że wcale nie jest mu przykro. – Straciliśmy poczucie czasu.

– Chyba ty straciłaś – poprawia go Josh. – To nie Drew miała dać znać mamie.

– Joel, zarezerwowaliśmy stół w restauracji, a to jest wycieczka rodzinna – zaczyna jego ojciec. – Oczekujemy, że nasz syn...

Beth przerywa mu wykład, dotykając delikatnie jego przedramienia.

– Nic się nie stało, Jim. Popełnił błąd i już tego nie powtórzy. Poza tym prawdopodobnie przesadziliśmy z planowaniem dzieciom czasu. Zasługują na kilka wieczorów bez nas, staruszków.

Usprawiedliwia Sixa i szybko mu wybaczają, aby nikt inny nie mógł go pociągnąć do odpowiedzialności. Przez cały ten czas myślałam, że jadę z nim na tym samym wózku i tak jak ja jest niekochaną czarną owcą w rodzinie wyolbrzymiającej każdy jego błąd, obracającej jego sukcesy przeciwko niemu i ciągle przedstawiającej go w złym świetle.

Nasza sytuacja jest jednak diametralnie różna. Tak, oboje jesteśmy czarnymi owcami, ale Beth tak bardzo kocha swojego syna, że nie pozwala mu nawet ponieść konsekwencji za własne błędy, a moja matka nigdy nie kochała mnie nawet na tyle, żeby mnie chronić, kiedy to inni

zachowywali się źle wobec mnie.

Six uśmiecha się teraz do mnie szeroko, jakby coś uszło nam na sucho.

– Może potrzebuję żony, która sprowadzi mnie na dobrą drogę – mówi, obejmując mnie ramieniem w talii. – Co o tym myślisz, mamó? Czy powinienem ją zatrzymać?

Sztywnieję. Odkąd się znamy, Six nawet jednym słowem nie wspomniał o małżeństwie, więc nie rozumiem, dlaczego teraz to robi. Nikt nie postanawia przecież poślubić kobiety, o której istnieniu zapomniał kilka godzin wcześniej.

Josh nieruchomieje i wpatruje się w brata, jakby był jeszcze bardziej oszołomiony i zniesmaczony ode mnie.

Otwiera drzwi samochodu i warczy do Sixa, który chce zająć miejsce z przodu:

– To miejsce Drew. Ma chorobę lokomocyjną.

Zaczynam się zastanawiać, czy decyzja o pozostaniu tu z nimi nie była czasem poważnym błędem.

CZEŚĆ II

LANAI

„Najmniejsza ze wszystkich wysp
i zarazem najśliczniejsza”.

Lanai: The Tiny Jewel

DREW

W najszerszym miejscu ma średnicę zaledwie trzydziestu kilometrów. – Beth czyta nam na głos swój nieodłączony przewodnik. – I nie ma tam nawet świateł ulicznych. Możecie to sobie wyobrazić? Żadnych świateł.

Uśmiecham się zażenowana do naszego kierowcy – miejscowego, który prawdopodobnie nie lubi słuchać, jak turyści traktują jego dom jak jakieś dzikie pustkowię.

– I nie mają szpitala – kontynuuje Beth. – O Boże. Czterdzieści cztery procent populacji żyje poniżej ustawowej granicy ubóstwa. Czyż to nie smutne?

– Mamo – słyszę łagodny, ale stanowczy głos Josha.

– Po prostu mi ich szkoda – argumentuje Beth. – Kobiety w trzydziestym szóstym tygodniu ciąży nie mogą pozostawać na wyspie. To prymitywne!

Wzdrygam się i odwracam do niej.

– To jakie mamy tu plany? – zagaduję w akcie desperacji, zanim Beth zdąży powiedzieć coś jeszcze gorszego. Podnosi z uśmiechem wzrok znad książki, szczęśliwa, że ktoś wreszcie o to zapytał.

– Dziś wieczorem odpoczniemy, a jutro pogramy w golfa. Na pewno nie chcesz do nas dołączyć?

Czy jestem pewna, że nie chcę zmarnować całego dnia na Hawajach na uderzanie w piłeczkę w idiotycznym stroju? Tak.

– Organizują też wędrowkę o wschodzie słońca – mówi. – Hotel zapewnia latarkę i mapę.

Nic na to nie poradzę – mimowolnie napotykam spojrzenie Josha. Oglądanie wschodu słońca to teraz nasze wspólne hobby. Unosi brew, jakby chciał powiedzieć: „No jasne, że się na to piszę”.

– Przede wszystkim jesteśmy tu po to, aby trochę odpocząć i się zrelaksować przed backpackingiem na Kauai – podsumowuje Beth.

Mrugam zaskoczona. Musiałam się przesyłścić, bo przecież nie mogła wspomnieć o wyprawie z plecakiem. Nie sądzę, aby kiedykolwiek zatrzymała się w jakimkolwiek innym miejscu niż hotel pięciogwiazdkowy, a – o ile mi wiadomo – spanie pod namiotem nie należy do pięciogwiazdkowych doświadczeń.

– Hm... backpackingiem?

– Joel ci nie powiedział? – pyta. – Zarezerwowałam dla nas wspaniałą dwudniową wyprawę szlakiem Kalalau w Kauai. To podobno jedna z najbardziej malowniczych tras na świecie.

– Mamo... – zaczyna Josh, ściskając grzbiet nosa. – Nie wiem, czy to dobry pomysł. Taka wędrowka to... spory wysiłek.

Spogląda na matkę twardo, ale ona nie chce mu spojrzeć w oczy.

– Zobaczymy – mówi tylko cicho.

– Czy ktoś w ogóle ma na to ochotę? – pyta Six. – To brzmi jak męka, a nie zabawa.

Entuzjazm Beth wyraźnie gaśnie. Całe popołudnie przeżywała wyjazd Sloane, a niechęć Sixa tylko dołała oliwy do ognia. Czuję się zmuszona to naprawić.

– Myślę, że to wspaniały pomysł – wtrącam pospiesznie. – Tylko niczego ze sobą nie

wzięłam.

– Och – podłapuje ożywiona Beth. – Wypożyczyłam już wszystko na miejscu. Musisz tylko wziąć przybory toaletowe i ubrania na zmianę.

– Świetnie – odpowiadam słabym głosem. Chociaż chciałabym się z tego wymigać, to jednak w to wejść, skoro tyle to znaczy dla Beth. Od początku tej po-dróży jest dla mnie tak miła, że zniósłabym dla niej znacznie gorsze rzeczy. Biwakowanie nie może być aż takie złe, jak mi się zdaje, inaczej nikt by tego nie robił.

– I mają tam szpital, na wypadek gdyby któremuś z nas coś się stało – dodaje, ponownie otwierając swój przewodnik. – W przeciwieństwie do Lanai.

Zerkam do tyłu, ale nie patrzę na Sixa, tylko na Josha. Jego usta poruszają się lekko, jakby próbował stłumić śmiech. Nagle perspektywa tej wyprawy nie wydaje mi się już wcale taka okropna.

HOTEL FOUR SEASONS w Lanai jest dokładnie taki, jak można by się spodziewać po hotelu na Hawajach stworzonym przez miliarderów dla ich znajomych miliarderów. Otacza nas drewno i bujna roślinność przypominająca dżunglę. Sztuczna laguna wypełniona tropikalną florą i fauną dyskretnie wije się przez teren kompleksu i wokół niego, egzotyczne ptaki śpiewają w klatkach i chociaż korytarze są otwarte na zewnątrz, nigdzie nie ma ani śladu brudu. Tropikalna bryza jest delikatna, nie za ciepła i nie za zimna. Wyobrażam sobie, że jakimś cudem udało im się tutaj zawrzeć niezwykle korzystną umowę z matką naturą.

Nasz pokój wychodzi oczywiście na ocean. Już z progu widzę bawiące się w nim delfiny, dające lepsze przedstawienie niż w SeaWorld.

Six chce pograć chwilę na gitarze, więc zakładam bikini i wybieram się sama na plażę. Nikogo tam nie ma o tak późnej porze – poza Joshem.

Biorę ręcznik od pracownika hotelu i zbywam go machnięciem ręki, kiedy proponuje, że przyniesie mi leżak.

– Przyszłam tu tylko komuś poprzeskadzać – mówię.

Josh zerka na mnie, lustruje wzrokiem od stóp do głów i szybko odwraca wzrok, jakby chciał mnie tutaj, a jednocześnie nie chciał.

– Mama poszła właśnie na górę – mówi.

– Chcesz tu posiedzieć sam? – pytam.

– Nie, nie przeszkadza mi twoje towarzystwo. – Kręci głową. – Pod warunkiem że nie będziesz mi w kółko powtarzać, jak bardzo nie możesz przeboleć tego, że Sloane wyjechała i zostawiła mnie samego.

– Przykro mi z tego powodu.

Nie żebym żałowała, że Sloane wyjechała, ale doskonale wiem, jak to jest być piątym kołem u wozu.

– To nie twoja wina – mówi.

Zerkam na niego. Wcześniej nie przyszłoby mi nawet do głowy, że to mogłaby być moja wina, ale ton jego odpowiedzi i fakt, że unika teraz mojego wzroku, mówi mi, że jego zdaniem jest inaczej.

– Wiem. Próbowалаm tylko wyrazić współczucie, robocie. Ludzie tak robią.

– Ach, więc zakładamy, że jesteś człowiekiem? Nic na to dotąd nie wskazywało.

To trochę cios poniżej pasa. W ciągu ostatnich dni zbliżyłam się do niego bardziej niż do pozostałych członków jego rodziny, ale teraz, gdy Six do nas dołączył, najwyraźniej powrócił do traktowania mnie jak znieawidzonej nieznajomej.

– Dobrze – odpowiadam, wstając. – Pozwolę ci się dąsać samemu.

– Hej. – Chwyta mnie za nadgarstek. – Zostań. Przepraszam. Jestem tylko trochę...

poirytowany tym wszystkim. Nie ma nic gorszego niż słuchanie matki rozpaczającej nad twoim nieudanym życiem miłosnym.

Siadam z powrotem. Jeśli Josh już tutaj czuje się z tym tak źle, to w Kauai będzie pewnie jeszcze gorzej. Na pewno nie chce być jedynym członkiem naszej wycieczki śpiącym samotnie w namiocie, a Six nie powstrzyma się przed dokuczaniem mu z tego powodu.

– Dobrze – odpowiadam cicho. – Jeśli jest coś, co mogę zrobić, tylko powiedz. Na przykład jeśli chcesz, żebym siedziała poza namiotem na kempingu czy coś w tym rodzaju...

– Jezu, nie. – Uderza się dłonią w czoło. – Jeszcze tylko tego mi brakowało w tej głównianej wycieczce. Nie potrzebuję twojej litości.

I to by było na tyle. Ta po prostu wrócił do bycia dupkiem. Wydaję z siebie tak ostry i gorzki śmiech, że straszę nim ptaki.

– Jasne – odpowiadam. – Dziewczyna tak żałosna, że mogłaby ukraść wam srebro. Doświadczenie litości z jej strony byłoby sięgnięciem dna, tak?

– Co? – Otwiera szeroko oczy.

– Słyszałam cię zeszłego lata. Zmieszałeś mnie z błotem, a potem kazałeś matce pilnować srebra. Nawet nie próbuj się teraz z tego wykiąć, bo wyraziłeś się wystarczająco jasno.

Zamyka oczy i wypuszcza powietrze z rezygnacją.

– Przepraszam – mówi. – Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Podejrzewam, że nie naprawię sytuacji, tłumacząc się tym, że nie wydawaliście się do siebie pasować z moim bratem.

W głębi duszy miałam nadzieję, że istniał jakiś tajemniczy powód, dla którego wtedy tak na mnie zareagował. Nawet Tali zasugerowała, że tak naprawdę wcale nie ocenił mnie źle. Ale nie – dokładnie tak się stało.

Przez chwilę patrzymy na uderzające o brzeg fale. Próbuję przeboleć tę wzmiankę o srebrze. Nie zabolowałyby mnie to aż tak bardzo, gdybym przez tyle lat nie była przedmiotem zaciekłych oskarżeń Richarda. Wystarczyło, że powiedział: „Ta mała rosyjska złodziejka znów była w moim pokoju”, aby zepsuć mi cały tydzień. Może dlatego, że miałam tylko dziewięć lat, kiedy to się zaczęło?

A może poniekąd zasłużyłam sobie na pogardę Josha? Bo prawda jest taka, że tamtego wieczoru, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy – stojącego po drugiej stronie sali balowej – zaparło mi dech w piersiach. Pod jego spojrzeniem poczułam się jak wstrząśnięta gwałtownie butelka szampana. Wiedziałam, że to niewłaściwe, jeszcze zanim odkryłam, kim jest: bratem faceta, z którym przysłałam.

– Naprawdę mi przykro, Drew – powtarza. – Przysięgam, że to nie miało z tobą nic wspólnego.

– W porządku – odpowiadam. Chciałabym, żeby to była prawda.

– Na swoją obronę przypomnę: stwierdziłaś tamtego wieczoru, że nie mam za grosz charakteru. – Jego usta wyginają się w krzywym uśmiechu.

– Na swoją obronę stwierdzam ponownie: twój charakter nie jest twoją mocną stroną. – Śmieję się bez przekonania.

Wystarczy, napominam się w myślach. Josh ma teraz wystarczająco dużo problemów. Nie potrzebuje, żebym mu jeszcze dorzucała. Zresztą miał je już wcześniej, wnioskując po zaścienionej zeszłej nocy kanapie w jego pokoju.

Nie wiem, dlaczego czuję ulgę, że spał na tej kanapie, a nie w łóżku ze Sloane. Na myśl o tym, że mógł ją rozbierać, a nawet z nią flirtować, w moim sercu pojawia się ukłucie, któremu nie chcę się nawet przyglądać.

– Ty i Sloane... – przerywam, nie wiedząc, jak sformułować to pytanie, aby nie wyjść na zazdrosną. – Dlaczego ona? To znaczy jest ładna, przyznaję. Ale po prostu... Zupełnie do ciebie

nie pasuje.

Zamyka oczy.

– Obóz dla uchodźców przypomina trochę przebywanie w kosmosie. Jesteś zupełnie odizolowany od świata, co bywa cholernie stresujące. W dodatku niewielu ludzi rozumie, przez co przechodzisz, a w twoim otoczeniu nie ma prawie nikogo mówiącego po angielsku. W takich okolicznościach ludzie mogą się do siebie zbliżyć.

– Biorąc pod uwagę zaścieloną kanapę zeszłej nocy, zakładam, że przestaliście być sobie bliscy. – Śmieję się ponuro.

– To prawda. – Krzywi się. – Moja mama zaprosiła ją tu w ramach niespodzianki dla mnie, co od początku było cholernie niekomfortowe, bo wiedziałem, że nic z tego nie wyjdzie. Musiałaś się zdziwić, kiedy weszłaś do naszego pokoju zeszłej nocy.

– Nie. – Kręcę głową. – Domyśliłam się już, że uznajesz seks tylko w celu prokreacji i w miarę możliwości wolałbyś załatwić całą sprawę za pomocą probówek.

– Tak uważasz? – Jego szelmowskie spojrzenie i delikatne drżenie ust wnikają prosto do mojego wnętrza. Wygląda teraz, jakby pragnął seksu i często o nim myślał. Wyraz jego oczu i ton głosu mówią mi, że wcale nie jest chłodny i obojętny, a seks z nim byłby gorący, namiętny, dziki i doskonały. Nigdy nie zznałabym po nim niczego podobnego.

I chyba lepiej byłoby, gdybym tego nie poczuła.

– Nie – szepczę, po czym wstaję i rzucam na odchodne: – Niezapełnie.

KIEDY WRACAM DO POKOJU, Six odkłada gitarę i poklepuje łóżko obok siebie.

– Jestem cała w piasku – protestuję.

– Nie przeszkadza mi to. – Uśmiecha się szeroko.

– Ale mi tak – odpowiadam. – Nie chcę w nim spać. Usiądźmy lepiej na balkonie.

Ku mojemu zdziwieniu wstaje i idzie za mną na balkon. Siadamy obok siebie i Six chwyta mnie za rękę. Słońce prawie już zaszło za horyzont, a na szarym niebie migocze maleńki sierp księżycy.

– Wspaniały widok, co?

– Tak. Inny niż na Waikiki, ale mi się podoba.

– Ale nie ma tu opieki medycznej – zauważa Six i oboje się śmiejemy.

– Boże, myślałam, że twoja mama nigdy nie przestanie.

– A ja wcale nie chciałem, żeby przestała – mówi z uśmiechem. – Lada moment zasugerowałaby, że tutejsza ludność to „dzikusy” i miałbym z tego niezły ubaw.

Uśmiecham się do niego. Taki właśnie był, kiedy się poznaliśmy za kulisami w Glastonbury: wyluzowany i zabawny. Poza tym spodobało mi się w nim to, że nie próbował mi zaimponować. Od razu się dogadaliśmy. Przyszło nam to zupełnie naturalnie.

– Fajnie było wczoraj, prawda? – pyta.

Zerkam na niego. Tak, było... Dopóki nie przestało.

– Nie mogę już tyle pić, Six. I to nie tylko z powodu tych wszystkich plotek na mój temat. Po prostu nie jestem już w stanie pić przez osiem godzin bez przerwy.

Podnosi moją prawą stopę i kładzie ją sobie na kolanach. Wbija kciuki w podbicie, a mnie ogarnia czysta błogość.

– To chyba dobrze. Przynajmniej jedno z nas musi w końcu dorosnąć, prawda? Kto zaplanowałby dla nas te wszystkie podróże na starość, gdybyśmy oboje wciąż byli wstawieni?

Nie wiem, co na to odpowiedzieć. Jeszcze rok temu byłabym zachwycona. Od razu napisałabym do Tali, żądając, by przyznała, że poczyniliśmy z Sixem postępy. A teraz nawet sama tak nie myślę. I nie chcę składać Sixowi obietnicy, której nie będę mogła dotrzymać.

Wiatr wzmaga się, jakby mnie ostrzegał, że powinnam się szybko z tego wyplątać, zanim

będzie za późno.

– Możesz planować te podróże z kimś, kto nie ma skłonności do znikania lub kogo zniknięcie zauważysz – odpowiadam, łagodząc nieprzyjemną prawdę śmiechem. – Zwłaszcza na wyspie, na której nie ma szpitala.

Przełyka ślinę.

– To było słabe z mojej strony. To nie tak, że nie zauważyłem twojej nieobecności. Po prostu założyłem, że tańczysz albo z kimś rozmawiasz. Czasem zapominam, że nie jesteś taka jak ja, tylko bardziej zamknięta w sobie. Postaram się poprawić.

To najszczęśliwsze wyznanie, jakie kiedykolwiek od niego usłyszałam. A jednak zamiast przepełnić mnie nadzieją, wzbudza ono we mnie lęk. Nie jestem pewna, czy chcę, żeby Six się dla mnie starał.

JOSH

28 stycznia

Następnego ranka czekam na nią w holu z latarką. Joel zapowiadał, że do nas dołączy, więc odczuwam ulgę, gdy pojawia się sama.

– Gotowa? – pytam.

– Wydajesz się podejrzanie entuzjastyczny – odpowiada. – Nie planujesz chyba rzucić mnie z klifu?

– To nie jest coś, do czego się można tak po prostu zobowiązać. Najpierw trzeba ocenić sytuację. – Wzruszam ramionami.

Hotelowy przewodnik wyprowadza naszą małą grupę na zewnątrz, gdzie świat spowija głęboka ciemność. Mijamy lagunę i baseny, oświetlając sobie drogę latarkami, i docieramy do ścieżki prowadzącej na plażę. Gdy dochodzimy pod wzgórze i zaczynamy się wspinać, niebo rozjaśnia się już w różnych odcieniach szarości, a na horyzoncie jaśnieje najdelikatniejsza smuga jasnopomarańczowego światła.

Wspinamy się w górę, mijając postrzępione skały i rozbijające się o nie fale. Zamiast jednak podziwiać krajobraz, koncentruję się na pilnowaniu, czy Drew nie podchodzi za blisko krawędzi. Przez całą drogę nuci sobie pod nosem beztrzesko i nie wydaje się wystarczająco ostrożna. W końcu niebo się rozjaśnia i dostrzegam zakrzywioną linię brzegową w oddali i wielką skałę wystającą z oceanu. Jakiś samotny hawajski kajak kieruje się w stronę wschodzącego słońca na spienionych falach. Wyciągam rękę, kładąc dłoń na biodrze Drew, żeby zwrócić jej uwagę.

– Spójrz – mówię, kiwając głową w jego stronę, po czym opuszczam rękę, chociaż lepiej jej było tam, gdzie ją trzymałem.

– Jak tu spokojnie. Co trzeba zrobić, żeby dostać tę fuchę? – pyta.

Śmieję się. Jak na kogoś niewyobrażalnie bogatego poświęca mnóstwo czasu na rozmyślaniach o ucieczce od swojego życia.

– Wracamy do twojej fantazji o życiu z ziemi?

– Może. – Uśmiecha się szeroko. – Mogłabym co rano wypływać sobie łodzią i mieszkać w Four Seasons jak nasi przewodnicy.

– Tak – odpowiadam. – Jestem pewien, że wszyscy mieszkają w luksusowym hotelu. A rano idą na wzgórze, żeby zebrać sobie kwaśne żelki z drzew na śniadanie.

Uśmiecha się i chociaż jej włosy są upięte w niedbały kok, a drobna postać tonie w za dużej bluzie, nigdy nie wyglądała pięknie.

W końcu docieramy do punktu widokowego i siadamy obok siebie. Czekamy, aż słońce wszędzie nad sąsiednim Maui, choć nie zapowiada się, aby miało to wkrótce nastąpić.

– Lepiej, żeby to był cholernie piękny wschód słońca, skoro nie dostaniemy tu nawet cappuccino.

Sięgam do plecaka i podaję jej butelkę z napojem ze Starbucksa.

– Tylko to udało mi się zorganizować na ostatni moment – odpowiadam. – W sklepie z pamiątkami nie było kwaśnych żelków.

– Pieprzone Four Seasons – mruczy, ale uśmiecha się do kubka, jakby zawierał coś drogiego. Tak niewiele potrzeba, żeby ją uszczęśliwić. Zastanawiam się, czy w ogóle ktoś w jej życiu próbował to zrobić.

– Jesteś dobrym facetem, Joshuo Baileyu. – Spogląda na mnie.

W słabym świetle poranka jej oczy mają kolor whisky. Spoglądam na jej usta, ale zaraz odwracam wzrok. Jak, do diabła, Drew może być z moim bratem? Z każdą chwilą, którą z nią spędzam, coraz bardziej mnie to zdumiewa.

– Odpowiedziałbym ci tym samym, ale nie znam nawet twojego prawdziwego imienia. Stawia kubek obok i opiera się dłońmi o skałę.

– Dlaczego zakładasz, że nie nazywam się Drew Wilson?

Uśmiecham się pod nosem. Potrafi się kłócić dosłownie o wszystko.

– Cóż, przede wszystkim Drew to męskie imię.

– Niekoniecznie. Na pewno jest lepsze od Joshui. Wiesz, co oznacza twoje imię? „Niewyparzona gęba”. Sam sprawdź, jeśli mi nie wierzysz.

Przygryzam wargę, próbując stłumić śmiech. Jej wzrok podąża za moim ruchem jak rekin, który zwęszył krew, i czuję w brzuchu nagły skurcz pożądania.

Zmuszam się do odwrócenia wzroku. Przez chwilę siedzimy w milczeniu, obserwując słońce, które zaczyna ogrzewać horyzont.

– Tak naprawdę nazywam się Ilina Andreyev – mówi cicho, nie patrząc na mnie. – Według mojego menedżera brzmiałoby to trochę zbyt egzotycznie. Andreyev oznacza syna Andreja, więc przyjąłem imię Drew.

– Jesteś Rosjanką?

– Mój ojciec był Rosjaninem. – Wzrusza ramionami. – Mama wyjechała po studiach do Rosji, a on tu potem z nią przyjechał.

Czuję, że w każdej chwili znów może zaciągnąć przede mną tę zasłonę, którą właśnie odsłoniła. Muszę postępować ostrożnie i nie zaglądać zbyt głęboko, a i tak nie mam gwarancji, że się przede mną nie zamknie.

– Czy on też był prawnikiem? – pytam.

– Boże, nie. – Śmieje się. – Muzykiem. To był pierwszy błąd mojej matki... Muzycy są najgorsi.

Niektórzy z nich, myślę, uśmiechając się niemrawo. Jak ten, z którym się spotykasz.

– I jak się skończyło?

– Ona chciała być śpiewaczką operową, a on grać w zespole, ale żadne z nich nie było wystarczająco dobre, aby móc z tego żyć. – Drew wciska tenisówkę w ziemię i kopie kamień, który stacza się w dół. – Ostatecznie więc mama zatrudniła się jako praktykantka w firmie prawniczej, a potem poszła na studia. Tata miał jej to za złe, jego męskość bardzo na tym ucierpiała. Jeździł taksówką, aż zapił się na śmierć.

– Przykro mi. – Moja dłoń trąca jej dłoń.

– W porządku. Nie mogę się wczuć w to, jak zarabia na życie moja matka. – Wzrusza ramionami i się śmieje. Ja też, choć jestem pewien, że nie powiedziała mi wszystkiego. Niewiele wspomniała o matce, a jednak odnoszę wrażenie, że była bardziej związana z ojcem i zbyt wcześnie go straciła. Kłopoty, przypomina mi znów głos Sloane w mojej głowie. Siła psychiczna, myślę.

Słońce wschodzi w końcu na niebie, a my podziwiamy je w milczeniu, siedząc obok siebie, noga przy nodze. Drew podpira się ręką o skałę tuż za mną, co jakiś czas ocierając nią o moje plecy.

Jeden z uczestników naszej wędrowni chce nam zrobić wspólne zdjęcie.

– Josh ma pewną specyficzną przypadłość – wyjaśnia mu Drew, gdy podaję mu telefon. – Nie potrafi się uśmiechać. Założyłam już zbiórkę pieniędzy w jego imieniu, ale nic nie działałiśmy, bo na zdjęciach wygląda jak zrzęda.

W końcu dziękujemy mężczyźnie za sfotografowanie nas, a ja zerkam na zdjęcie, kiedy Drew nie widzi.

Uśmiechałem się.

DREW

W godzinę po naszym powrocie próbuję obudzić Sixa na golfa, ale on rzuca: „Jeszcze tylko pięć minut” i zakrywa głowę poduszką. Idę więc na śniadanie bez niego.

Rodzice Josha nakładają sobie jedzenie, a ja siedzę już z nim przy stole, próbując się nie śmiać z jego idiotycznych butów do gry w golfa, spodenek z paskiem i koszulki polo.

Nie chodzi o to, że on wygląda w nich głupio, tylko o to, że wszyscy w nich tak wyglądają.

– Chcesz coś powiedzieć? – pyta, unosząc brew. – Śmiało. Ulżyj sobie.

– Wyglądasz jak idiota – odpowiadam, nie mogąc powstrzymać śmiechu. – Dlaczego ubrania do golfa są takie idiotyczne?

Jego usta drżą od tłumionego uśmiechu.

– Strój do gry w golfa jest oznaką dobrych manier. Wiedziałybyś o tym, gdybyś pochodziła z lepszej rodziny.

– Wow – mówię, podnosząc bułkę i przymierzając się do rzucenia nią w jego głowę. – Nie mogę uwierzyć, że się do tego posunąłeś.

– A ja nie mogę uwierzyć, że celujesz we mnie jedzeniem w samym środku Four Seasons, jakby to miało dowieść twoich racji.

Zamykam oczy, śmiejąc się, a kiedy je otwieram, przy stole stoi Six.

– Co mnie ominęło? – pyta, a ja czuję się, jakbym została przyłapana na robieniu czegoś niestosownego, chociaż to nie ma najmniejszego sensu. W końcu komu jak komu, ale Sixowi spodobałoby się obrzucanie się jedzeniem w ekskluzywnej restauracji.

– Właśnie mówiłam Joshowi, że wyglądacie jak idioci w tych swoich strojach golfowych.

– Josh tak – stwierdza Six. – Jest cholernie wielki i nie ma tatuaży.

– Ależ ma – odpowiadam o wiele za szybko.

– Tylko jeden – mówi Six. – Na ramieniu. Wielka mi rzecz.

Właściwie to Josh ma dwa tatuaże, ale nic już nie mówię, ponieważ nie wiedziałabym o tym drugim, gdybym przez ostatnie kilka dni nie gapiała się na niego, jak wychodzi z basenu.

– Co będziesz robić przez cały dzień beze mnie, skarbie? – pyta Six, po czym siada obok mnie na krześle i obejmuje mnie ramieniem.

Wzrok Josha zatrzymuje się na chwilę na ręce brata i zauważam pulsującą żyłę na jego skroni.

– Powinnaś popracować nad swoją piosenką – mówi Josh, patrząc mi w oczy.

– Jaką piosenką? – Six marszczy brwi. – Ona nie pisze własnej muzyki.

Nie bardzo wiem, dlaczego powiedziałam o niej Joshowi zamiast facetowi, z którym się spotykam i który w dodatku jest muzykiem.

– To tylko dla zabawy – odpowiadam.

– Skarbie – mówi Six ze śmiechem – ty nawet nie grasz na instrumencie. Zostaw pisanie piosenek profesjonalistom.

Coś zimnego i srebrzystego wślizguje się do moich żył na te słowa. Six doskonale wie, że wykonywałam kiedyś własne utwory. Niewiele rozmawialiśmy o naszej przeszłości, ale to akurat mu powiedziałam i albo o tym zapomniał, albo odczuwa jakąś dziwną potrzebę, by sprowadzić

mnie do parteru. Odnoszę wrażenie, że to chyba to drugie.

- Właściwie to potrafiłam grać na gitarze i pianinie, zanim jeszcze zaczęłam czytać.
- W szkole średniej? – śmieje się Six.

To wredne z jego strony. I przykre. A jednak od razu besztam się w myślach: Nie przesadzaj.

„Nie histeryzuj”, powtarzała tysiące razy moja matka, ilekroć byłam zdenerwowana czymś, co zrobili Richard lub jego ojciec.

Ale Josh znieruchomiał niczym wąż przymierzający się do ataku. Nigdy nie widziałam go tak rozwścieczonego. Może więc moja reakcja wcale nie jest przesadna?

– Chyba się właśnie przesłyszałam. Nie wierzę, że mogłeś się tak do niej odezwać – warczy do brata, ściskając filiżankę z kawą w dłoni tak mocno, że niemal ją kruszy.

– Wyluzuj. To tylko żarty – mówi do niego Six, a potem zwraca się do mnie: – Skarbie, wiele osób twierdzi, że umie grać, ale to nie znaczy, że naprawdę to potrafią. Rozumiesz więc chyba, o co mi chodzi.

Podnoszę się z krzesła. Beth i Jim akurat się do nas zbliżają, ale jestem zbyt wściekła, żeby się powstrzymać.

– Właściwie to gram równie dobrze jak ty – odpowiadam. – A tak przy okazji, nigdy nie zagrałeś poprawnie akordu F-dur na żywo. Ani razu.

I z tymi słowami odchodzę od stołu. W takich sytuacjach zwykle się martwię, że posunęłam się za daleko, ale tym razem nie mogę wyrzucić z głowy reakcji Josha na słowa brata. Sprawiał wrażenie, jakby nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. To właśnie z tego powodu zastanawiam się, czy aby posunęłam się wystarczająco daleko. Może od dawna pozwalam ludziom po sobie deptać, bo najgorsze rzeczy, które o mnie mówią, i tak nie są tak złe, jak to, co sama sobie powtarzam?

Pozwolę więc sobie jeszcze trochę się powściekać. A potem wyjmę jedną z tych drogocennych gitar Sixa, których nigdy nie stroi jak należy, i napiszę tę pieprzoną piosenkę.

PO POŁUDNIU leżę na plaży, na wpół śpiąca, kiedy słyszę dźwięk rozwijanego obok mnie ręcznika.

To Josh, już bez tych swoich głupich golfowych ciuchów. I bez koszulki. Przez chwilę jedyne, co widzę, to jego naga skóra. Jego klatka piersiowa wygląda jak wyrzeźbiona, a brzuch wydaje się składać z twardych kamieni ułożonych jeden na drugim, z idealną, prostą linią pośrodku, biegnącą do jego pępka, pod którym przebiega w dół ten cienki szlaczek włosków, który chciałabym... Grr. Przestań, Drew, na miłość boską. Przestań, karcę się w myślach. Przewracam się na bok, twarzą do niego, ale pilnuję się, żeby nie patrzeć tam, gdzie nie trzeba.

– Czy twój brat jest na mnie bardzo zły?

Josh wzrusza ramionami.

– Rano był wściekły, a potem się upił podczas gry w golfa. Pewnie śpi teraz w waszym pokoju i zapomni o wszystkim do kolacji.

Zaciskam usta i powieki.

– Nie powinnam była tego mówić – szepczę. – Często to robię: wybucham, gdy ludzie ranią moje uczucia. Co może mieć coś wspólnego z faktem, że nikt z mojej rodziny obecnie ze mną nie rozmawia.

– Wyzwałaś ich wszystkich od wrednych suk? – pyta z półśmiechem.

Wiatr się wzmaga, a ja naciągam czapkę bejsbolową na czoło.

– Można tak powiedzieć. – Wzdycham ze znużeniem. – Przepraszę Sixa.

Josh przejeżdża rękami po głowie, jakby był sfrustrowany. Przez chwilę rozprasza mnie drganie jego tricepsa.

– Nie rób tego. Nie ma prawa tak do ciebie mówić, nawet jeśli jest zazdrosny o twoją karierę i sławę. Nie może ci tak umniejszać. Nigdy.

– Nie jest zazdrosny. – Śmieję się. – Po prostu nie ma szacunku dla mojej kariery i nawet nie mogę go za to winić, skoro ja też jej nie szanuję.

– Nieprawda. Chciałby mieć to, co ty – upiera się Josh. Od-wraca głowę w moją stronę. – Tylko nie rozumiem dlaczego. Dopóki nie ufarbowałaś włosów i nie zyskałaś odrobiny prywatności, twoje życie było nie do zniesienia i wkrótce pewnie znów takie będzie. Ale nie mam wątpliwości, że Joel by tego chciał. A ty nie powinnaś pozwalać ludziom się tak traktować.

Marszczę brwi. Nie powiedziałabyś tego, gdyby spędził choć chwilę ze mną i moją rodziną.

– Nie uważam, żebym pozwalała ludziom się źle traktować.

– Jemu pozwalasz – mówi. – Na tamtej imprezie zeszłego lata znajomy mojego taty poprosił cię o autograf. Six rzucił jakimś gównianym poniżającym komentarzem, a ty po prostu się roześmiałaś.

„Spójrz tylko na jej zderzaki”, powiedział. „Jeśli chcesz wiedzieć, czego potrzeba, aby zyskać sławę w tym kraju, oto dowody rzeczowe A i B”. I tak, roześmiałam się. Głównie dlatego, że żartował i w zasadzie nie powiedział niczego, co nie byłoby prawdą. Nie łudzę się nawet, że zyskałam sławę wyłącznie dzięki swojemu talentowi.

– Po prostu za dużo wypił. Po alkoholu rzuca głupimi, niestosownymi żartami. Ale podoba mi się w twoim bracie to, że nie dba o moją sławę i pieniądze. Stąd wiem, że kiedy jest dla mnie miły, to jest to szczerze. I muszę ci przypomnieć, że sam poprosiłeś mnie wczoraj, żebym tu została.

Wypuszcza powietrze z płuc i szczypie grzbiet nosa.

– Wiem. Nie powinienem był tego robić. Zaslugujesz na kogoś, kto nosiłby cię na rękach, Drew. Kogoś, na kim mogłabyś się oprzeć. Kogo bardziej obchodziłoby twoje szczęście niż własne.

Przełykam ślinę. Nie jestem pewna, czy ktoś taki w ogóle istnieje, ale i tak nie ma to większego znaczenia, bo tego nie chcę. Życie jest znacznie łatwiejsze, gdy nie jesteś w niczym zależna od drugiej osoby i zachowujesz pewien dystans w relacjach.

– Tylko że ja wcale tego nie szukam – mówię. – Związki są jak podróże. Niektórzy wybierają długą, krętą drogę bez żadnych gwarancji, że dotrą w jakieś piękne miejsce, a inni wsiadają w ekspres. Nie zabierze on ich w żadne wyjątkowe miejsca, ale przynajmniej wiedzą, czego mogą się spodziewać.

Wygląda, jakby chciał się ze mną kłócić. Odczuwam ulgę, że tego nie robi.

Jest jedyną osobą na świecie, która mogłaby mnie przekonać do zmiany zdania i podjęcia ryzyka, a ja nie mogę znów pokochać kogoś, kogo potem stracę.

KIEDY WRACAM DO POKOJU, Six jeszcze nie śpi. Przeciwnie: patrzy na mnie, jakbym była dzikim zwierzęciem czającym się w pobliżu jego kurczaków.

– Hej – mówię cicho, odkładając torbę plażową na stolik.

– Hej – odpowiada i podchodzi do minibaru. Mam wielką ochotę zapytać, czy naprawdę potrzebuje teraz alkoholu, ale nie robię tego. W końcu nie jestem jego matką.

Jestem cała lepka i brudna od piasku. Chcę tylko wziąć prysznic i nie wdawać się z nim w bezsensowną kłótnię. Podchodzę do walizki i biorę ubranie na zmianę.

– Grałaś dzisiaj na mojej gitarze – mówi.

Podnoszę głowę i napotykam jego spojrzenie. Nie zamierzam za to przeproszać. To jedna z jego zapasowych i nikt nie uznałby jej za świetną.

– Nastroiłam ją dla ciebie.

– Nie potrzebowałem, żebyś ją dla mnie stroiła – warczy.

Och, uwierz mi, Six, potrzebowałeś.

– Nawiasem mówiąc, Josh spędził całe śniadanie i połowę gry w golfa opieprzając mnie za to, co powiedziałem. Więc było zabawnie.

Czuję ciepło rozlewające się po mojej klatce piersiowej. Nie chciałam, żeby Sixowi się oberwało, ale jestem szczęśliwa, że chociaż raz w życiu ktoś stanął po mojej stronie. Choć nie wiem, czy na to zasłużyłam.

– Nie powinnam była tego mówić – odpowiadam, chwytając ubrania. – Ale ty też nie powinieneś.

Przez chwilę mam wrażenie, że będzie się dalej kłócić, ale odstawia szklanę, podchodzi bliżej i przyciąga mnie do siebie. Ja mam na sobie bikini, a on tylko szorty, więc to najbardziej intymny moment, jaki mieliśmy od rozpoczęcia tych tak zwanych wakacji. Twardnieje, a ja staram się to zignorować.

– Masz rację – mówi. – Ja tylko...

– Nie pogarszaj sytuacji, proszę, i nie usprawiedliwiał tego, co powiedziałeś – odpowiadam, odsuwając się od niego. – Po prostu tego nie rób.

– Dobrze, skarbie. – Śmieje się i przyciąga mnie z powrotem do siebie. – Niech ci będzie. Jesteś najlepszą gitarzystką na całym pieprzonym świecie. Czy teraz już wszystko gra?

Nie, nie sądzę.

Zamykam oczy i widzę szare niebo, nagie drzewa i kierowcę zerkającego na mnie w lusterku. Myśli, że jestem zdecydowanie za młoda, żeby wybrać się sama w tak długą podróż autobusem. To wspomnienie zawsze do mnie wraca, kiedy czuję się zagubiona i się boję.

Albo kiedy mam poważne podejrzenia, że wkroczyłam na niebezpieczną ścieżkę. Tak jak teraz. Nie wiem tylko, czy to Six jest tym niebezpieczeństwem, czy jego brat.

CZEŚĆ III

KAUAI

„Ze swoimi oszałamiającymi widokami
i bujną roślinnością Kauai jest bez wątpienia
najpiękniejszą z hawajskich wysp”.

– >*Kauai: The Garden Isle*

DREW

29 stycznia

Kauai jest uważana za najpiękniejszą ze wszystkich wysp – czyta Beth, podczas gdy Josh wiezie nas z lotniska do Princeville położonego na północnym wybrzeżu Kauai.

Patrzę przez okno na senne wybrzeże po naszej prawej stronie, próbując zwalczyć pragnienie gapienia się na Josha, pokazywania mu różnych rzeczy za oknem i zerkania na jego szerokie dłonie na kierownicy i bicepsy.

– Och, nie – narzeka Beth. – Nie ma tu pełnej opieki medycznej. W razie czego transportują pacjenta do Oahu. To rozczarowujące.

Josh łapie moje spojrzenie i oboje się uśmiechamy. Jest opalony po całych dniach spędzonych na słońcu, jego włosy lśnią złotem, a zmysłowa warga wygląda, jakby została stworzona do całowania.

– Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć wyspę – mówi Beth. – Żałuję tylko, że Josh jest tu sam. Drew, masz może siostrę, z którą mogłabyś go umówić?

– Tylko bratową – odpowiadam. – Ale obawiam się, że okazałaby się zbyt wredna nawet dla Josha. Jeśli założymy, że by się rozwiodła.

– Chyba już o niej wspomniałaś – mówi Josh, a jego usta drżą od tłumionego uśmiechu. – Jak ją nazwałaś?

– Agresywną? – Przygryzam wargę.

– Nie, to było coś innego. – Śmieje się. – Próbuję sobie przypomnieć...

– Nie próbuj za dużo – odpowiadam. – Lepiej, żebyś nie przepalił sobie styków tuż przed naszym backpackingiem, bo będziemy cię musieli przetransportować do Oahu.

Oboje się śmiejemy i dopiero po chwili przypominam sobie, że nie jesteśmy w samochodzie sami. Odwracam do Beth.

– To co nas czeka na tej wyprawie? – pytam.

– Są dwie trasy. Zapisalam was na dłuższą. Jim i ja pójdziemy krótszą. To podobno jedna z najbardziej malowniczych tras na świecie.

– Mamo, czy na pewno tego chcesz? – pyta Josh ze skrzywioną miną. – Malownicze trasy zwykle oznaczają wspinaczkę. A wspinanie się pod górę z czterdziestokilogramowym plecakiem w niczym nie przypomina przyjemnej wędrówki.

– Nic mi nie będzie – upiera się Beth i zaciska usta.

– A może pojedziemy dzisiaj na szlak? – pyta Josh, patrząc na nią w lusterku. – Lepiej sprawdzić go zawczasu, bo jak potem zajdziesz za daleko, może być ci trudno wrócić.

Wymieniają kolejne porozumiewawcze spojrzenia i Beth ustępuje niechętnie.

Six, który przez cały ten czas rozmawiał przez telefon, podnosi w końcu wzrok i przez chwilę mam nadzieję, że stanie po stronie Josha w kwestii tego backpackingu. Sama nie wiem, czy mu podołam, a tym bardziej Beth. Ale on patrzy tylko na mnie.

– Skarbie, mamy to – mówi. – „Pitchfork” chce o nas napisać.

Otwieram szeroko oczy i uśmiecham się do niego szczerze. Pojawienie się w takim magazynie jak „Pitchfork” może być naprawdę wielkim krokiem dla jego zespołu – dokładnie

takim, jakiego potrzebowali. A jednak wszyscy pozostali mają zupełnie obojętny wyraz twarzy, jakby ogłosił coś tak przyziemnego jak: „Skarbie, przy basenie podają piña coladę” lub „Musimy dziś kupić koszulki”.

– To wspaniale – odpowiadam, ściskając jego dłoń, po czym zwracam się do jego rodziców: – „Pitchfork” to naprawdę duża sprawa.

– Cóż, to nie „Rolling Stone” – kwituje Jim, a ja mam ochotę udusić go gołymi rękami za umniejszanie sukcesu Sixa.

– „Rolling Stone” nie jest poświęcony jedynie muzyce, tak jak „Pitchfork”. To po ten drugi magazyn sięgają prawdziwi miłośnicy muzyki. – Zauważam twardo, jakbym mówiła: „Nawet nie próbuj z tym dyskutować”, a kiedy Jim się nie odzywa, pytam Sixa: – To kiedy wywiad?

Przezesuje włosy palcami i patrzy na mnie zmartwionym wzrokiem.

– Chcą go przeprowadzić w tym tygodniu.

Trwa walka o to, kto zostanie twarzą zespołu: Six, jego założyciel, czy Brian, wokalista. Gdyby Six nie wziął udziału w wywiadzie, Brian na pewno skorzystałby z okazji, żeby przejąć pałeczkę. Six nie będzie chciał mu na to pozwolić, zwłaszcza że nie ma szacunku dla ludzi, którzy nie umieją grać na żadnym instrumencie, i to prawdopodobnie dlatego jego komentarze w Lanai tak mnie zabolowały.

– Możesz się z nimi połączyć zdalnie – mówię. – To częsta praktyka.

Kiwa głową, ale jego nozdrza się rozszerzają i wpatruje się uporczywie w telefon. Już wiem, o czym myśli. Ma to wypisane na twarzy.

Tylko nie rób tego swojej matce, myślę. Beth tak bardzo chciała się z nim zobaczyć, spędzić razem ten czas.

– Mógłbym tam polecieć na jeden dzień – sugeruje. – Wróciłbym następnego dnia wieczorem.

– Ale już przegapiłeś połowę podróży – zauważa Beth. – Przegapiłbyś backpacking.

Six wybucha śmiechem.

– Przepraszam, mamo, ale nie uznałbym tego za wielką stratę.

Spogląda na mnie błagalnie. Chce, żebym go wsparła, ale tego nie zrobię.

– Nie wiem, czy wyjazd do Los Angeles jest wart zachodu, skoro możecie porozmawiać na Zoomie – zauważam chłodno. – To też liczy się jako wywiad.

Kiwa głową niezadowolony z mojej odpowiedzi i mam wrażenie, że to jeszcze nie koniec.

Josh skręca w długą drogę. Mijamy pole golfowe i docieramy do St. Regis. Six dzwoni do Briana, gdy tylko wychodzimy z samochodu. Kłóci się z nim głośno, podczas gdy ja idę za Baileyami do środka.

W hotelu nie ma otwartej przestrzeni jak w dwóch poprzednich, ale przez okna sięgające od podłogi do sufitu z tyłu kompleksu roztacza się wspaniały widok na zielone klify nad ciemnoniebieskim oceanem. Nigdy czegoś takiego nie widziałam, choć całkiem sporo podróżuję.

Chwilę później wyczuwam przy sobie obecność Josha.

– Za każdym razem, gdy przyjeżdżamy do kolejnego hotelu, myślę, że nic już go nie przebije – mówię cicho.

Spogląda na mnie z jakąś czułością. Nie zauważyłam, żeby patrzył tak jeszcze na kogoś innego.

– Znowu myślisz o życiu z ziemi?

– Zobaczę jeszcze, jak mi pójdzie ta wyprawa z plecakiem. – Śmieję się.

Przygryza wargę.

– Dzięki za przywołanie Joela do porządku – mówi. – W samochodzie. Mama byłaby

zdruzgotana, gdyby wyjechał.

– Sama zabiłabym go gołymi rękami, gdyby to zrobił – odpowiadam. – Nie powinnam chyba mówić tego na głos, ale moja mama jest naprawdę dobra w swojej pracy. Już ona by się postarała, żebyś wyszedł na niewiarygodnego świadka.

Beth podchodzi do nas, machając kluczami.

– Czyż nie jest tu cudownie? – zagaduje.

– Widoki zapierają dech w piersiach – odpowiadam. – Bardzo dziękuję za zorganizowanie tego wszystkiego. Wybrałaś dla nas najwspanialsze hotele i cieszę się, że mogę to wszystko zobaczyć.

Uśmiecha się i mnie obejmuje.

– Tak się cieszę, że przyjechałaś. Nie masz pojęcia, jak bardzo. Poczekaj tylko, aż zobaczysz jutrzejsze widoki.

– Skoro już o tym mowa... – Josh unosi brew. – Sprawdźmy jeszcze ten szlak, dobrze?

Uśmiecha się do mnie nad jej głową, podczas gdy Beth wzdycha głośno i rusza w stronę drzwi wejściowych. Josh jest naprawdę dobrym synem. I człowiekiem. Gdyby jego brat był choć trochę bardziej do niego podobny, mogłoby się nam udać.

JOSH

Moją mamę trudno zirytować, a jednak mi się to udało.

Nie chce sprawdzać szlaku. Nie chce stawić czoła swoim ograniczeniom. Dotychczas jej uparte realizowanie niewłaściwych planów jakoś się sprawdzało, choć trudno uznać małżeństwo moich rodziców za udane. Ale pozwalałem jej udawać. Ponośłem konsekwencje jej głównianych wyborów i robiłem, co mogłem, aby mimo wszystko była szczęśliwa.

Tym razem to jednak co innego. Czytałem o tej wyprawie w samolocie. Nawet ta krótsza, mniej niebezpieczna trasa byłaby dla mamy zbyt trudna do przejścia ze względu na śliski i stromy szlak i chociaż chcę, aby ta podróż była spełnieniem jej marzeń, nie mogę pozwolić, aby zrobiła sobie krzywdę w ostatniej lekkomyślnej próbie zwiedzania świata.

Dojeżdżamy na parking i ruszamy w drogę. Mama jest zmęczona już po przejściu pół kilometra, a jednak maszeruje dzielnie naprzód w gęsty las. Przypomina mi w tym trochę zawziętą Drew podczas naszej pierwszej wędrowki.

Śmieję się cicho na wspomnienie Drew z tamtego dnia, tak zmęczonej i spragnionej tylko dlatego, że nie chciała zabrać ze sobą wody.

Matka spogląda na mnie przez ramię, a jej wyraz twarzy delikatnieje. Nie potrafi się zbyt długo złościć na mnie ani Joela, co stanowi dużą część problemu. Gdyby to potrafiła, być może mój brat nie wyrósłby na takiego dupka.

– Co cię tak bawi? – pyta ze słabym uśmiechem. – Chyba nie śmiejesz się ze mnie?

– Wspominałem Drew z tamtego dnia, kiedy wspinaliśmy się razem do tamtych bunkrów – mówię, a szeroki uśmiech nie schodzi mi z twarzy. – Była tak zawzięta, że nie chciała nawet przyznać, jak bardzo jest wyczerpana i spragniona. Gdybym powiedział jej, żeby nie skakała z bunkra do wody, rzuciłaby się z niego tylko po to, żeby zrobić mi na złość.

Mama się śmieje. Minęło zaledwie pięć minut naszej wędrowki, a ona już dyszy ciężko.

– Uwielbiam tę dziewczynę – oznajmia. – Mam nadzieję, że twój brat tego nie schrzeni.

Czuję napięcie w klatce piersiowej. Matka jest zbyt ślepa na błędy Joela, żeby zobaczyć, jak okropny jest dla Drew.

– Podejrzewam, że już to zrobił.

– I tak będą razem – mówi, zbywając mnie machnięciem ręki. – Zapamiętaj moje słowa. Drew to dobra partia dla Joela.

Ale on nie jest dobrą partią dla niej. Przypominam sobie, jak wczoraj w Lanai powiedziała, że wcale nie szuka nikogo, na kim mogłabym się oprzeć, kiedy zasugerowałem, że na kogoś takiego zasługuje. Cokolwiek się jej przydarzyło w okresie dorastania, związek z Joelem nie pomoże jej tego przetrwać, a ja chciałbym pomóc jej wyjść z tego zakłętą kręgu.

Matka brnie uparcie naprzód, chociaż ścieżka jest błotnista i trudno będzie schodzić po niej w dół w drodze powrotnej. Między innymi dlatego ten szlak jest tak zdradliwy.

W końcu jednak zwalnia i musimy zejść na bok, żeby przepuścić innych. Widzę rezygnację w jej oczach i choć ciężko mi z tym na sercu, wyjdzie jej to na dobre

– Wiem, że to trudne – mówi. – I wiem, że bardzo się od siebie różnicie, ale proszę, postaraj się dogadać z bratem. Będzie cię potrzebował, kiedy mnie zabraknie.

Zamykam oczy, czując napływ frustracji. Joel jest ostatnią osobą na ziemi, której chciałbym pomagać, ale poza tym jednym niewiele mogę dla niej zrobić. Zostaje mi tylko być uprzejmym dla ojca, który nawet nie próbuje ukryć, że ją zdradza, i miłym dla brata, którego mam ochotę uderzyć w twarz.

– Wiem, mamo – odpowiadam. – Staram się.

Docieramy do pierwszego punktu widokowego, z którego widać klify rozciągające się na wiele kilometrów i fale rozbijające się setki metrów pod nami. Mama patrzy na to wszystko i przełyka ciężko ślinę, a jej oczy wypełniają się łzami.

Obejmuję ją ramieniem. Już w dniu przyjazdu do Honolulu wiedziałem, że ma przerzuty. Była słaba i zauważyłem objawy żółtaczki wskazujące prawdopodobnie na to, że rak zaatakował wątrobę. Mama nie chce jednak, aby ta ostatnia wspólna wycieczka była naznaczona ciężarem tego, co ją czeka. Próbuję jej to dać.

– To naprawdę piękny widok – szepcze.

– Tak. – Przełykam ciężko ślinę.

– Zróbmy sobie zdjęcie – proponuje, ocierając łzy.

Wyciągam aparat przed siebie, żeby objął nas dwoje i wybrzeże. Oboje się uśmiechamy.

Mam nadzieję, że kiedy zobaczę później to zdjęcie, będę mógł sobie wmówić, że byliśmy szczęśliwi.

DREW

Siedzę z Sixem na małej plaży z widokiem na zatokę Hanalei i klify wybrzeża Na Pali.

Chciałabym popłynąć kajakiem po tej małej rzece wijącej się w kierunku Hanalei, ale Six boi się rozstać ze swoim telefonem, a jeszcze bardziej przeraża go perspektywa utraty komórki, w razie gdybyśmy wpadli do wody.

– Nie pozwolę, żeby Brian mnie wydymał – wypala. – Doskonale wiesz, że spróbuje to zrobić.

Przychodzi mi do głowy, że gdybym to ja była na jego miejscu, powiedziała by tylko: „Skarbie, wyluzuj”.

– Twojej mamie było naprawdę przykro, że przegapiasz te wakacje – mówię, ale on jest całkowicie skupiony na odświeżaniu swojej skrzynki pocztowej i kiwa tylko z roztargnieniem głową. Odkładam menu z drinkami i pytam: – Six, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Podnosi wzrok gwałtownie, lekko zirytowany.

– Tak, tak – odpowiada, jakbym zawracała mu głowę głupotami. – Mamie było przykro. Ale teraz tu jestem. Nie wiem, czego ode mnie chcesz.

Nagle całe moje cierpliwość do niego wyparowuje. Nie mam pojęcia dlaczego, ale ta podróż jest dla Beth bardzo ważna i odnoszę wrażenie, jakbyśmy wszyscy ją zawiedli, nawet ja. Chce zjednoczyć swoją rodzinę, pragnie, żeby jej synowie się ustatkowali, a Jim szanował Sixa tak jak Josha. Ale to wszystko przypomina łapanie bezdomnych kotów... Im bardziej się stara, aby uczynić z nich zgodne stado, tym bardziej rozprzeczają się w różnych kierunkach.

– Chcę, żebyś przestał być palantem – odpowiadam.

– Co? – W końcu napotyka moje spojrzenie.

– Six, spójrz na swoją matkę. – Nagle ściska mnie w gardle. – Zdajesz sobie sprawę, jakie masz cholerne szczęście? Jedyne, czego ona chce, to spędzać z tobą czas i cię uszczęśliwiać. Niczego więcej.

Muszę przerwać, bo zaraz naprawdę się rozplaczę. Tylko nie bardzo rozumiem, co mnie aż tak porusza. Jestem już za stara, żeby wciąż w głębi duszy liczyć na matczyną miłość ze strony własnej matki.

Six marszczy brwi. Przez chwilę przypomina mi Josha i czuję osobliwy przyptyw uczucia dla tego małego wgłębienia między jego brwiami. Tylko że w przeciwieństwie do swojego brata Six powinien się trochę pomartwić. O ile wiem, robi to zdecydowanie zbyt rzadko.

– Tak – mówi. – Wiem. O co ci chodzi?

– Chodzi mi o to, że jej nie doceniasz – odpowiadam. – Zaplanowała całe te wakacje dla ciebie i Josha, a ty przegapiłeś większość z nich, a teraz jeszcze chcesz wyjechać z Kauai. Powinieneś chociaż ten jeden raz postawić kogoś innego na pierwszym miejscu.

Przewraca oczami i chwyta menu z drinkami.

– Nadal tu jestem, tak? Zachowujesz się, jakbyś za wszelką cenę chciała się do czegoś przyczepić.

– Nie. Chcę, żebyś przestał wspominać o ewentualnym powrocie do domu na dwa dni specjalnie na ten wywiad. I przestał siedzieć z nosem telefonie, kiedy matka do ciebie mówi. Miała raka. Zwalczyła go. Pokaż jej w jakiś sposób, że cieszysz się z jej obecności.

Jego nozdrza się rozszerzają. Przywołuje kelnerkę.

– Robisz ze mnie jakiegoś dupka.

– Bo tak właśnie się zachowujesz.

Wstaję z krzesła i zmiierzam w stronę brzegu. Głazy i skały wulkaniczne utrudniają mi brodzenie w wodzie. Muszę być przez to bardzo uważna, ale przynajmniej mam się na czym skupić poza Sixem i Joshem oraz faktem, że cała ta wycieczka wydaje się coraz bardziej pokręcona. A najbardziej pokręcone jest w niej to, że chciałabym przebywać tylko z tym niewłaściwym Baileyem.

Nadal brodzę w wodzie, kiedy dostrzegam Beth i Josha. Idą długą ścieżką prowadzącą na plażę, a Josh pilnuje, żeby nic jej się nie stało na trudniejszych odcinkach. Serce rośnie mi na ten widok.

„Podoba mi się wszystko w twojej twarzy”. Prześlizguję się po nim wzrokiem i mój umysł szaleje. „Uwielbiam twój nos, surowe brwi i tę pełną dolną wargę, która rzadko układa się w uśmiechu. Ale jeszcze bardziej uwielbiam ją za to, że uśmiecha się dla mnie. I uwielbiam sposób, w jaki twoje oczy się rozświetlają, kiedy na mnie patrzysz, nawet gdy nie wykonujesz przy tym żadnego ruchu. Kocham w tobie to, jak dbasz o wszystkich i zawsze starasz się postępować właściwie. Dzięki Bogu, że jesteś zupełnie poza moim zasięgiem”.

Josh pomaga mamie usadowić się na leżaku i podchodzi do mnie. Prześlizguje się po mnie wzrokiem, a potem szybko przenosi go na moją twarz, jakby się na chwilę zapomniał.

– Chciałem się tylko upewnić, czy nie potrzebujesz pomocy – mówi.

– Oczywiście, że nie. – Uśmiecham się szeroko. – Jestem w świetnej formie.

Jego wzrok przeskakuje na chwilę na moje biodra, a potem odwraca głowę.

– Jak daleko zaszliście z mamą?

– Wspinaliśmy się przez jakieś trzydzieści minut, zanim w końcu przyznała, że nie da rady. – Marszczy brwi. Wydaje się zanurzony w jakimś smutku. Chciałabym się przez niego przebić. – Czeka nas jutro długi dzień, więc, ekhm, starannie dobierz swój strój. Podejrzewam, że jeśli cały szlak jest taki, jak na początku, rozbijemy namioty dopiero w porze kolacji.

Robię ostrożnie krok do przodu, próbując ominąć skały. Mam wrażenie, że łatwo można się tu przewrócić przez fale i śliskie głazy.

– Chyba nie myślałeś, że wybieram się na tę wyprawę w sukni balowej i szpilkach? Nie jestem Sloane.

Wydaje z siebie sarkastyczny śmiech.

– Kobieta jest już tysiące kilometrów stąd, a ty nadal jej nie odpuszczasz. Chodziło mi tylko o to, żebyś nie zakładała tych głupich koronkowych stringów, które ciągle pochodzą ci do góry.

– Chyba zbyt wiele uwagi poświęcasz moim majtkom. – Spoglądam na niego przez ramię.

Mruga zaskoczony. Przez chwilę ma poczucie winy wypisane na twarzy, jak mały chłopiec złapany z ręką w słoiku z ciasteczkami, ale szybko powraca do swojej obojętnej miny.

– Dobra. Nie przychodź do mnie z płaczem, kiedy cię podrażnią.

– Naprawdę sądzisz, że gdybym podrażniła sobie genitalia, przyszedłabym do ciebie z płaczem? Och, Josh, możesz spojrzeć na moją waginę? – pytam cienkim, dziecięcym głosem. – Tak bardzo mnie boli.

– Jezu – warczy, brnąc głębiej w wodę. – Zapomnij, że o tym wspomniałem.

– Nie musisz się martwić o moje majtki! – krzyczę za nim. – Nie założę żadnych.

Wypuszcza powietrze z płuc, ale nie ze znużeniem czy pogardą. Brzmi to raczej tak, jakby nagle uszło z niego powietrze. Kiedy nurkuje w wodzie, mam nadzieję, że ominął już

skafy.

DREW

30 stycznia

Miałam dziewięć lat, kiedy moja matka ogłosiła, że zostawia mojego ojca dla Stevena, swojego szefa, który mieszka w Nowym Jorku. Obiecywała, że nasze życie zmieni się na lepsze, ale tak naprawdę chodziło jej tylko o nią samą.

Bo ja wcale nie chciałam opuszczać New Jersey, swojego pokoju i szkoły. Przede wszystkim jednak nie chciałam opuszczać ojca.

– Oddałbym wszystko, żeby ją powstrzymać – powiedział mi ostatniego wieczoru przed wyjazdem. – Ale nic nie mogę zrobić.

Moja matka i Steven mieli wykształcenie prawnicze i pieniądze. Poza tym oboje urodzili się w Stanach, więc mój ojciec nie miał z nimi szans. Przez następne dwa lata ciągle powtarzał: „Oddałbym wszystko...” albo „Zrobię, co w mojej mocy” i za każdym razem łamało mi to serce. Bo mu wierzyłam, ale nic z tego nie wychodziło.

Ostatni raz usłyszałam te zapewnienia tamtego wieczoru, kiedy do niego zadzwoniłam i powiedziałam, że matka odbiera mu prawo do widzenia się ze mną.

– Powiem im, że chcę mieszkać z tobą. Porozmawiaj ze swoim prawnikiem, proszę – błagałam go szeptem, modląc się, żeby mama i Steven mnie nie podsłuchali.

– Oddałbym wszystko, aby ci to umożliwić, Lino – powiedział ojciec. – Zrobię, co w mojej mocy.

Teraz już wiem, że nigdy nie powinnam była mu wierzyć, a kiedy ktoś mówi takie rzeczy, tak naprawdę ma na myśli: „Nie zamierzam nawet próbować”.

Dlatego gdy Six przyrzeka, że zrobi wszystko, aby dołączyć do naszej wyprawy, przeczuwam, że nic z tego nie będzie.

Oczywiście przez cały czas zachowywał się tak, jakby zamierzał wziąć w niej udział. Rankiem, kiedy nie było mnie w pokoju, gorączkowo przepakowywał nasze rzeczy, prosząc kogoś z zespołu o przełożenie wywiadu dla „Pitchfork”.

Teraz przyjechał z nami na szlak, ale nie wysiadł nawet z samochodu.

– Odwróć się – mówi Josh, uśmiechając się szeroko, i zakłada mi o wiele dla mnie za duży plecak, jakbym była małą dziewczynką, która po raz pierwszy idzie do szkoły.

– Z czego próbujesz się nie śmiać? – pytam.

– Przewrócisz się na grzbiet jak żółw z tym czymś na plecach i już nigdy się nie podniesiesz – mówi.

– Lepiej się nie śmieć. Jeśli upadnę, zamierzam pociągnąć cię za sobą – odpowiadam.

Nasze spojrzenia się spotykają.

– Oczywiście – szepcze.

Wtedy Six wysiada z samochodu i oznajmia nam, że wywiad z „Pitchfork” odbędzie się za trzydzieści minut.

– Muszę się już z nimi połączyć – dodaje. – Dogonię was.

Patrzę na niego przez chwilę. Myślałam, że nie mam wobec Sixa żadnych oczekiwań, ale zdaję sobie sprawę, że to jednak nie może być prawda, bo wciąż udaje mu się mnie rozczarować.

– Dogonisz? Nawet nie wiesz, dokąd masz iść.
– Przecież jest tylko jeden szlak – odpowiada. – Pewnie będę musiał trochę przycisnąć, ale zrobię, co w mojej mocy.

Gdy tylko wypowiada te słowa, nie mam już najmniejszych wątpliwości, że z nami koniec. Był czas, kiedy uwielbiałam zbuntowanego Sixa. Sama nie potrafiłam mieć gdzieś innych ludzi, a on robił to za nas oboje. Traktowałam go jak środkowy palec, którego nie potrafiłam nikomu pokazać – ani mojej matce, ani wytwórni płytowej, ani Davisowi, mojemu agentowi, czy specjalistce od PR-u.

Ale dzisiaj to mnie pokazał środkowy palec.

Tak, zdecydowanie był ekspresem – dokładnie takim, jakiego chciałam. Ale nie jechał tam, gdzie chciałam.

Nawet na niego nie patrzę, tylko odwracam się w stronę szlaku. Ze względu na Beth postanawiam to oficjalnie zakończyć dopiero po naszym powrocie do LA, ale w tym momencie w swoim sercu zostawiam Sixa na dobre.

NASZA SIEDMIOOSOBOWA GRUPA zbiera się na początku szlaku, około pół kilometra od parkingu. Przewodnik Kai, Anna i Die-trich, małżeństwo z Belgii, oraz dwie kobiety z Seattle: Kathy i Samantha, które, jak sądzę, też są parą, choć nie jestem tego pewna. Przedstawiam się jako Lina, choć ci ludzie wydają się raczej miłośnikami natury niż mojej muzyki i mogliby mnie nie rozpoznać nawet z platynowymi włosami. Z przerażeniem uświadamiam sobie, że w przeciwieństwie do nas brali już wcześniej udział w podobnych wyprawach i mają na plecach swoje własne plecaki z mnóstwem przymocowanych do nich przydatnych rzeczy, takich jak butelki z wodą czy suche buty na zmianę. Razem z Joshem wydajemy się przy nich rażąco nieprzygotowani.

– Kto jest gotowy pobrudzić się błotem? – pyta Kai, a reszta grupy wydaje entuzjastyczne okrzyki. Ja nie. Jestem z miasta. My, miastowi, nie gustujemy aż tak bardzo w błocie. – Wszyscy podpisaliście oświadczenia, więc to wiecie, ale powtórzę to raz jeszcze: to trudna wspinaczka. Osiemnaście najtrudniejszych i najbardziej malowniczych kilometrów, jakie kiedykolwiek przemierzycie, a potem tyle samo z powrotem. Większość ludzi pokonuje ten szlak w cztery dni. My zrobimy to w dwa.

Rozlegają się kolejne wiwaty. Zerkam na Josha, zastanawiając się, na co, u diabła, się zdecydowaliśmy i co sobie, u licha, myślała Beth. Jasne, Josh, Six i ja jesteśmy w przyzwoitej formie, ale daleko nam do doświadczonych wspinaczy.

– Mój kumpel Chris poprowadzi na razie z innym przewodnikiem grupę, która pójdzie łatwiejszą, krótszą trasą. Poznacie go podczas lunchu. Stamtąd pójdzie z nami do miejsca, którego pewnie nie możecie się już doczekać... Do Krawędzi Padalca.

Krawędź Padalca? Żadne z tych słów nie brzmi dobrze w moich uszach, a w zestawieniu brzmią jeszcze gorzej. Teren już jest mokry i błotnisty. Patrzę przed siebie na bardzo stromy szlak i zastanawiam się, co czeka nas dalej, skoro już teraz wygląda to tak źle.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnia mnie Josh, kładąc mi lekko dłoń na ramieniu. – Nie pozwolę, żeby coś ci się stało, żółwiku.

– To nie jest mój nowy pseudonim.

– Twarda skorupa, miękkie wnętrze – wyjaśnia. – Musisz przyznać, że pasuje.

Tak, w obu naszych przypadkach. Josh jest z pozoru twardy i nieprzystępny. Jego uśmiechy są rzadkie jak sucha ziemia w porze deszczowej. A jednak w głębi serca troszczy się o innych znacznie bardziej niż ktokolwiek, kogo znam. Zastanawiam się, czy nie założył tej twardej skorupy po to, by nieco zobojętnieć na świat, bo nie mógłby już znieść przejmowania się kolejną rzeczą. Rozumiem go.

Ledwo ruszamy, a już zewsząd otacza nas dżungla: wilgotna, gęsta, zielona. Skąły i kłody, po których wspinamy się po stromym klifie, są śliskie i błotniste. Co chwilę muszę przytrzymać się gałęzi, żeby nie upaść. Nawet nie wyobrażam sobie schodzenia po tak śliskim wzgórzu. Za każdym razem, gdy robię duży krok i tracę równowagę, Josh podtrzymuje delikatnie mój plecak dłonią, pomagając mi zachować balans.

Po około trzydziestu minutach docieramy do pierwszego punktu widokowego. Jestem złana potem, ale piękny widok wynagradza mi cały wysiłek. Podziwiamy klify na północy i błękitne fale rozbijające się pod nami.

– Patrzcie, wieloryb! – woła jakiś głos, a potem wszyscy tłoczą się dookoła, próbując zobaczyć zwierzę. Josh wsuwa palec w pasek moich szortów, żeby mnie przytrzymać. Przypominam sobie, jak byłam na niego zła, kiedy pierwszego dnia w Oahu zasugerował, by ktoś potrzymał mnie za rękę, żebym się nie zgubiła w tłumie. Teraz jednak uwielbiam jego troskę.

Wyciągam z torby butelkę wody. Josh wrzucił do niej wcześniej lód, dzięki czemu jest teraz lodowata. Nic nigdy nie smakowało mi lepiej.

– Czyż nie jestem geniuszem? – pyta zadowolony z siebie, widząc moją wniebowziętą minę.

– Przyznaję, że nie jesteś aż tak nudny, jak początkowo sądziłam.

Kącik jego ust unosi się w półuśmiechu.

– Muszę to dodać do swojego profilu na Tinderze – mówi.

– Jesteś na Tinderze? – pytam, czując nagle absurdalny ciężar w żołądku. Nawet gdybym nie była z jego bratem, a on nie mieszkał w Somalii, nie ma na świecie bardziej niedopasowanych do siebie ludzi. Zaczynając chociażby od tego, że moja edukacja zakończyła się w połowie jego edukacji. Prześlizguje się wzrokiem po mojej twarzy.

– A istnieje jakiś powód, dla którego nie powinienem być?

Wzruszam ramionami.

– Właściwie to domyśliłam się, że korzystasz z jakiejś usługi, która zapewnia ci zastępczego robota, gdy poprzedni się zużyje. Najważniejsze, żeby miał kijek w tyłku i manicure.

Odwracam się, utraciwszy nagle całe zainteresowanie tym durnym widokiem. Klify, woda, nieważne. Już to widziałam.

– Nie jestem na Tinderze – mówi cicho za mną. – Nie miałbym czasu na randki w Somalii, nawet gdyby to było możliwe.

I moje ramiona się rozluźniają, jakby to miało jakieś znaczenie.

A przecież nie ma. Nie może mieć.

KIEDY DOCIERAMY NA PLAŻĘ HANAKAPIAI, musimy odpiąć plecaki, żeby nie porwał nas rwący strumień. Nie rozumiem, po jaką cholerę robić coś, co mogłoby choć odrobinę narazić mnie na porwanie przez prądy, ale jest już za późno, żeby się z tego wycofać.

Brnę w wodzie, a Josh idzie tuż za mną, trzymając mi rękę na ramieniu. Ta jego opiekuńczość jest zarówno denerwująca, jak i słodka. Wdrapujemy się na brzeg po drugiej stronie strumienia, a Josh uśmiecha się do mnie. Z każdym kilometrem jest coraz szczęśliwszy, jakby mniej mu ciążyły problemy tego świata.

– Podoba ci się to! – zarzucam mu, ale on tylko uśmiecha się szerzej.

– Jestem teraz zbyt zmęczony, żeby się o cokolwiek martwić – wyjaśnia, zapinając mi plecak.

Szkoda, że nie wiem, czego potrzebuje, żeby przez cały czas być tak wolnym, szczęśliwym i nieobciążonym. Przysięgam, że dałabym mu to, gdybym tylko mogła.

Podążamy za Kaiem niewielką doliną, a następnie zaczyna się prawdziwa wspinaczka pod górę. Wspinaczka, która zdaje się nie mieć końca, a w dodatku po drodze nie ma żadnych

pięknych widoków. Zresztą nawet gdyby były, pot spływający mi po twarzy i tak by je przesłonił.

Zatrzymujemy się na najwyższym punkcie na szlaku: Space Rock, dwieście metrów nad poziomem morza. Przeszliśmy dopiero pięć i pół kilometra z osiemnastu. Po lodowatej wodzie nie zostało ani śladu, bolą mnie plecy i żałuję, że nie zdecydowaliśmy się na krótszą trasę.

Dopiero po przebyciu półtorej kilometra schodzimy do doliny Hanakoa, gdzie Beth i Jim zatrzymaliby się na nocleg, gdyby wyruszyli na swoją wyprawę. Przekraczamy ostatni strumień, a potem zrzucam plecak, opadam na trawę i wyciągam ręce nad głowę.

– Idź dalej beze mnie. Będę tu na ciebie jutro czekać.

– Nie, dobrze mi tutaj. – Josh kładzie się obok. – Co sobie, do diabła, myślała moja matka?

A potem oboje się śmiejemy, bo Beth i Jim za żadne skarby nie doszliby tak daleko.

– Kocham twoją mamę – wyznaję.

– Ja też – odzywa się po chwili smutnym głosem. – Ale naprawdę zaczynam kwestionować jej osądy.

W końcu podają lunch. Rzucamy się na kanapki i frytki w chwili, gdy dołącza do nas Chris z drugą grupą, która zostanie tu na noc.

– Wiesz, do kogo jesteś podobna? – zagaduje do mnie kobieta z tamtej grupy. – Do tej piosenkarki. – Zwraca się do męża: – Jak ona się nazywa? Kojarzysz *Naked*? – Wykonuje groteskowy, sugestywny ruch z mojego klipu, który jest już teraz ze mną kojarzony.

Czasami nienawidzę swojego życia.

– Drew Wilson – odpowiada jej facet, przyglądając mi się z przechyloną głową. – Cholera jasna, tak! To znaczy ona zawsze ma ten dziwkarski makijaż, ale macie dokładnie takie same oczy.

Nozdrza Josha rozszerzają się z irytacji.

– Lino, chodź, usiądź w cieniu – mówi.

Idę za nim, wdzięczna, że mogę od nich uciec. Siada na trawie z zaciśniętymi mocno szczękami.

– Co jest? – pytam.

– Tych dwoje... – mówi, wypuszczając gwałtownie powietrze. – Nie wiem, jakim cudem to znosisz.

– Jestem chodzącą parodią. – Śmieję się smutno. – Już się do tego przyzwyczaiłam. A to nie było wcale takie złe. Ten facet nie wiedział, że to ja. Nie uwierzyłbyś, ile osób mówi przy mnie takie rzeczy.

– Nie rozumiem cię. Davis każe ci śpiewać gówniane piosenki, których nienawidzisz, nie możesz nawet pisać własnej muzyki i nie masz z tego nic dla siebie. Po co właściwie wciąż w tym siedzisz?

Chwytam za źdźbła trawy i szarpię za nie mocno. Prawie wrywam je z ziemi z korzeniami.

– Wszyscy mówią, że jestem jak mój tata – mówię mu, wzruszając ramionami. – A on poniósł porażkę. Wiódł żałosne życie. Nie mogę się wycofać. Nie chcę pójść w jego ślady. Albo nadal będę odnosić sukcesy, albo będę równie żałosna jak on.

– Na pewno istnieje jeszcze trzecia możliwość – podpowiada.

– Tak powtarza sobie każdy przegrany.

Kai podchodzi do nas i kuca.

– Zostało nam jeszcze dziewięć i pół kilometra. Nie mogę już dłużej czekać na twojego brata – zwraca się do Josha, który z kolei zerka na mnie.

Dopiero wtedy przypominam sobie, że Six ma nasz namiot, co oznacza, że dziś w nocy będę dzielić namiot z Joshem. To nie jest jakaś wielka sprawa, a jednak czuję podenerwowanie.

– W porządku – mówię im.

– Jesteś pewna? – pyta Josh, a ja patrzę na niego.

– Oboje wiedzieliśmy, że z nami nie pójdzie.

Wygląda na zaskoczonego. Jakby rzeczywiście spodziewał się, że Six do nas nie dołączy, ale nie sądził, że ja się tego domyślłam. Czy naprawdę wierzy, że przez cały ten czas pozwalałam się Sixowi oszukiwać? Albo byłam zbyt głupia, żeby się rozeznąć, jaki jest naprawdę? Prawda jest taka, że miałam po prostu niskie oczekiwania, a dostawałam jeszcze mniej, niż oczekiwałam.

Kai zwołuje nas minutę później i już po chwili wspinamy się dalej. Szlak szybko się zwęża i teraz już rozumiem, dlaczego zeszłego wieczoru musieliśmy podpisać całe mnóstwo dokumentów, w których zrzekliśmy się ewentualnych roszczeń o odszkodowanie. Przesuwamy się wzdłuż urwiska, a zrobienie choćby piętnastocentymetrowego kroku w prawo grozi nam śmiercią.

– To chyba jakieś żarty – mówi Josh, a kiedy się odwracam, żeby na niego spojrzeć, warczy: – Patrz przed siebie! Proszę, nie spuszczać oczu z tego pieprzonego szlaku.

Przez następne dwie godziny boimy się o swoje życie. Idąc z boczem góry z duszą na ramieniu w silnym wietrze, zastanawiam się, kto, do cholery, pisze się na coś takiego z własnej woli i dlaczego ludzie w ogóle tu wracają.

Dopiero tuż przed zachodem słońca docieramy do naszego ostatniego przystanku: plaży Kalalau. Choć jestem wyczerpana, obolała i brudna, chyba nigdy w życiu nie byłam tak zachwycona. Wszyscy jesteśmy. Nawet Josh uśmiecha się do mnie szeroko, szczęśliwszy i wolny.

Podskakujemy i wiwatujemy, a potem rozstawiamy namioty tak szybko, jak to tylko możliwe. Pozostali członkowie grupy zrzucają ubrania i buty, po czym biegną radośnie do wody. Patrzę na Josha, a on na mnie, a potem oboje biegniemy za nimi, zdejmując po drodze koszulki i rzucając je za siebie na piasek.

Woda w styczniu jest tu cieplejsza niż w LA w środku lata. Przyjemnie się w niej zanurzyć, a kiedy wracam na powierzchnię, zauważam obok siebie Josha. Patrzę, jak woda spływa mu po pięknej klatce piersiowej i doskonałych ramionach i nagle ta cała wyprawa przestaje być najgłupszą rzeczą, na którą się kiedykolwiek porwałam.

Jesteśmy zbyt zmęczeni i zbyt szczęśliwi, żeby czuć się teraz nieswojo. On jest bez koszulki, a ja w samym sportowym staniku i szortach. Pluskamy się jak dzieci – te niegrzeczne, które mają w nosie zachodzące słońce, chłodną bryzę i fakt, że o zmierzchu prawdopodobnie pływają tu gdzieś rekiny.

W końcu powietrze wyraźnie się ochładza, a Chris woła do nas, że kolacja jest gotowa.

– Kto dotrze do namiotu pierwszy? – pytam.

– Ścigamy się! – Oczy Josha się rozjaśniają.

– To nie wydaje się sprawiedliwe. Jesteś o jakieś trzydzieści centymetrów wyższy.

Dżentelmenie...

– Daję ci dziesięć sekund przewagi. To moja ostateczna oferta.

Rzucam się przed siebie z piskiem. Doskonale zdaję sobie sprawę, że nawet z tą przewagą nie mam z nim szans, ale to nie ma najmniejszego znaczenia. Chcę tylko więcej takich wspólnych chwil, w których Josh jest tak szczęśliwy i wolny.

Z łatwością mnie dogania, ale pod koniec zwalnia, pozwalając mi pierwszej dotrzeć do głazu przed naszym namiotem.

– Wygrałam! – krzyczę, wyrzucając ręce w powietrze, skacząc po trawie i celowo

ignorując fakt, że pozwolił mi wygrać. – Zwy-cię-stwo! Zwy-cię-stwo!

– Ale z ciebie zołza – mówi ze śmiechem.

Nie mam pojęcia, dlaczego to robię, ale znów wyrzucam nogę w górę, chcąc mu wymierzyć kopniak z półobrotu, tak jak tamtego pierwszego ranka, kiedy biegliśmy razem.

A on znów łapie mnie za nogę i powala na ziemię w ten sam sposób. Tyle że tym razem kiedy ląduję plecami na trawie, Josh obejmuje mnie za szyję, żeby złagodzić upadek, a jego oczy są utkwione we mnie. Jest bez koszulki, a przez nasze przylegające do ciała szorty czuję go całego: ciepłego, twardego i wygłodniałego. Wyobrażam sobie, co by się teraz stało, gdybyśmy byli innymi ludźmi w innych okolicznościach: jego ręka ześlizgnęłaby się z mojego karku w dół, do pasa, a potem wsunęła się w moje szorty, a on przygniótłby mnie swoim ciężarem.

Wpatruję się w jego usta – jego cudowne, miękkie usta. Oddałabym wszystko, by poczuć je na swoich.

Trwa to tylko sekundę, ale czuję, jakby mieściła się w niej nieskończoność. Widzę dokładnie, kim mogliśmy dla siebie być. Widzę, czego pragniemy i jak bardzo przerażałoby mnie, gdyby spełnienie naszych pragnień było w ogóle możliwe. Josh byłby dla mnie kimś znacznie więcej. I jestem prawie pewna, że z nim mogłabym zaryzykować długą podróż w nieznane.

JOSH

Wieczorem siedzimy przy ognisku, jedząc to, co przyrządził dla nas Chris. Wszyscy jesteśmy skorzy do śmiechu, wyczerpani i szczęśliwi. Drew i ja rozłożyliśmy już nasze materace trekkingowe w odpowiedniej odległości od siebie i tak naprawdę nie ma o czym dyskutować, ale nie mogę przestać myśleć o tym, że będę dziś spać obok niej.

Mój brat to idiota. Gdybym to ja był z Drew, nigdy nie puściłbym jej samej na taką wyprawę i na pewno nie pozwoliłbym jej dzielić namiotu z innym facetem. Joel pewnie nie traktuje mnie jako zagrożenia, ale to błąd z jego strony.

Po kolacji wszyscy ziewamy. Drew jest cała opatulona, ale w nasilającym się wietrze i tak zbliża się coraz bardziej do ognia. Chris i Kai na zmianę grają na ukulele, ale w końcu nawet im zaczynają przeszkadzać wzburzone fale. „Deszcz” – mówią do siebie bezgłośnie i wszyscy zmierzamy do naszych namiotów.

– Chcesz się przebrać? – pytam Drew, nie patrząc jej w oczy. Staram się, jak mogę, żeby ani przez chwilę nie myśleć o niej nagiej w naszym namiocie. – Mogę poczekać na zewnątrz.

– Jest mi za zimno. – Kręci głową. – Położę się w tym, w czym jestem. Muszę jeszcze tylko umyć zęby.

Oboje wchodzimy do środka. Ja chwytam za szczoteczkę do zębów, a ona przeszukuje swój plecak. A potem słyszę, jak przeklina cicho.

– Cholera. Cholera.

Odwracam się do niej. Porzuciła już po namiocie zawartość swojego plecaka. Z jakiegoś powodu wzięła ze sobą aż dwa śpiwory i parę butów, które nie mogą należeć do niej.

– Wszystko w porządku?

– Nie – szepcze i chowa głowę w dłoniach, biorąc powolne, odmierzone oddechy, jakby próbowała się uspokoić. – Six przepakował nasze plecaki. Włożył swój śpiwór do mojego plecaka i zabrał moją kosmetyczkę. Razem z inhalatorem.

Moje serce się zatrzymuje. Znajdujemy się w odległości osiemnastu kilometrów od cywilizacji. Nikt nie ma tu nawet zasięgu w telefonie. Widzę po jej twarzy, że już zdała sobie z tego sprawę i teraz stara się nie wpaść w panikę.

– Nie martw się – uspokajam ją stanowczym i spokojnym głosem, choć mam ochotę zamordować swojego brata, ożywić go, a potem zabić ponownie. – Może nie będziesz go nawet potrzebować.

– A jeśli będę?

Już wydaje się mieć trudności z oddychaniem. Zastanawiam się gorączkowo nad rozwiązaniem. Jakaś część mnie chce ją natychmiast stąd wydostać. Gdybyśmy zostawili plecaki, mógłbym ją nieść, ale ścieżka wzdłuż klifu nawet w słoneczny dzień była zdradliwa. Bóg jeden wie, co mogłoby się nam stać w nocy, zwłaszcza podczas burzy.

– Na pewno mają jakiś sposób, żeby wezwać pomoc – mówię. To chyba prawda.

Drew wydobywa z siebie śmiech, który przypomina jednak bardziej szloch.

– I co by to dało? Jak długo wytrzymałabym bez tlenu?

Zaciskam powieki. Pieprzony Joel. Bezmyślny, beużyteczny, narcystyczny dupek. Jak mógł jej to zrobić? Mam ochotę wyładować na kimś złość, ale jedyne, co się teraz liczy, to żeby

Drew zachowała spokój. Jeśli uda mi się ją utwierdzić w przekonaniu, że nic jej nie będzie, może rzeczywiście wszystko skończy się dobrze.

Chcę, by pozostała w wyprostowanej pozycji, dopóki jej oddech się nie ustabilizuje, więc podchodzę do niej i przyciągam ją do piersi.

– Oto najgorsze możliwe scenariusze – zaczynam wyważonym, pewnym i niemalże znużonym głosem, chociaż moje serce wali jak młot. – Jeśli dostaniesz ataku astmy i nie będziemy mogli go powstrzymać, wezwiemy pomoc. Jeżeli nie zjawi się tu wystarczająco szybko, wykonam awaryjną tracheotomię. Nie jest to idealne rozwiązanie, ale mam wszystko, czego mi potrzeba. Po prostu zrobię małą dziurkę w twojej tchawicy, żeby tlen docierał do płuc, zanim nadejdzie pomoc.

Drew śmieje się i szlocha jednocześnie.

– Wykonywanie na mnie prowizorycznej operacji na plaży to bardzo zły scenariusz.

– Nie – odpowiadam. – Uwierz mi, radziłem sobie w gorszych sytuacjach.

To prawda, ale żadna z nich nie przerażała mnie jak myśl, że mogłoby się coś stać właśnie jej. Nie wiem, jak miałbym potem z tym żyć.

– Poleciałbym z tobą helikopterem – kontynuuję. – Nawet gdybyśmy musieli lecieć na Oahu. Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale tutejsza opieka medyczna nie jest rewelacyjna.

Śmieje się i przestaje płakać. Znowu oddycha normalnie. Złączam nasze materace i rozkładam na nich śpiwór jak prześcieradło.

– Chodź tutaj – mówię. Kładę się i przyciągam ją do piersi. Drew poddaje się temu, a jej drobna dłoń chwyta bezwiednie za moją koszulę, jakby szukała we mnie pocieszenia, podczas gdy jej ciało idealnie dopasowuje się do mojego. Opiera głowę na mojej piersi, tuż pod moim ramieniem. Naciągam na nas jeden z pozostałych śpiworów. – A potem, kiedy wrócimy do Oahu i zamówię ci cappuccino i trochę Sour Patch Kids, zapytam, dlaczego, u diabła, spotykasz się z moim bratem, a ty mi to wyjaśnisz. Zakładam, że w grę wchodzi jakaś magia, ponieważ nie znajduję na to innego logicznego wytłumaczenia.

Deszcz uderza w płótno namiotu, a Drew przytula się do mnie mocniej.

– Twoim pierwszym błędem było założenie, że kieruję się logiką.

Nie, moim pierwszym błędem było to, że nie upewniłem się, czy ma ze sobą inhalator. Może wciąż w jakiś sposób ufa mojemu bratu, ale ja nie mam co do niego żadnych złudzeń. Powinienem był się spodziewać, że Joel wywinie taki numer. Podnoszę rękę i wyłączam latarkę.

– Dziękuję – mówi cicho.

– Nie molestuję cię – mówię, przesuwając rękę na jej biodro. – Ale nie zasnę z ręką wyprostowaną z boku.

– A to ciekawe – odpowiada. – Nie tak sobie wyobrażałam twoją pozycję w trakcie snu.

– Ciekawe jest to, że w ogóle ją sobie wyobrażałaś.

– Tylko gdy chciałam poczuć obrzydzenie. Przede wszystkim wyobrażałam sobie siebie w pozycji trupa.

– A więc myślenie życzeniowe? – Uśmiecham się do siebie w ciemności.

– Właśnie. – Śmieje się.

Sloane się myliła. To nie Drew jest problematyczna, tylko moje uczucia do niej. Jest małą wojowniczką, silną i doskonałą, taka, jaka jest.

Wkrótce zasypia z moim oddechem na jej włosach i deszczem smagającym nasz namiot, ale ja długo nie mogę zmrużyć oka.

Nigdy nie wybaczę tego bratu. Zamierzam zachować jutro spokój, dopóki nie doprowadzę jej do celu, a potem prawdopodobnie zrobię dobrą minę do złej gry ze względu na matkę. Ale za

cholere mu tego nie odpuszczę.

DREW

31 stycznia

Budzę się, czując ciepłe, twarde ciało przyciśnięte do moich pleców i erekcję wielkości pomnika Waszyngtona przy pośladkach.

Wiem, jakie to uczucie, gdy wtula się we mnie Six, i to na pewno nie jest on. Jezu Chryste, to nie Six!

To Josh obejmuje mnie mocno, trzymając dłoń płasko na moim brzuchu, i nawet we śnie oddycha równo i powoli. Nigdy bym nie przypuszczała, że jest typem przytulacza. Gdybym się kiedykolwiek nad tym zastanawiała, pewnie założyłabym, że ma całkiem spore przyrodzenie, głównie ze względu na to, że jest dużym facetem.

Kogo ja oszukuję? Oczywiście, że się nad tym zastanawiałam.

Ale co ja mam teraz zrobić? Nie chcę go budzić, bo wtedy oboje musielibyśmy sobie jakoś poradzić z tą niezręczną sytuacją. Jak uśmiercić erekcję? Poza mówieniem o swoich uczuciach nic nie przychodzi mi do głowy.

Domyślam się, że się budzi, kiedy przez ułamek sekundy przyciska się do mnie mocniej, a zaraz potem syczy: „Cholera jasna” zbyt blisko mojego ucha i się odsuwa.

Pewnie mogłabym udawać, że śpię, ale nie byłabym wówczas sobą.

– Cieszysz się na mój widok z rana, co? – pytam.

– Nie schlebiaj sobie zbyttnio – odpowiada ponuro. – Po prostu muszę się wysikać.

– Nie schlebia mi to. Założyłam, że to awaria jednej z twoich części. Chociaż wizja złe działającego robota seksualnego wydaje mi się dziwnie podniecająca.

– Drew, to mi nie pomaga – cedzi przez zęby.

Choć przyjemnie jest fantazjować o Joshu z wielkim wzwodem, którego nie może się pozbyć, to jednak był dla mnie tak miły wieczorem, że postanawiam choć raz w życiu zachować się przyzwoicie.

– A co mogłoby pomóc?

– Chyba lubisz rozmowy o śmierci – przypomina. – To powinno zadziałać.

– Hm. – Próbuję wymyślić coś związanego ze śmiercią. – Szczerze mówiąc, tak naprawdę lubiałam mówić o zamordowaniu Sloane, ale pozwól mi się chwilę zastanowić. Dobra, mam. Twój pierwszy pogrzeb?

– Pogrzeb mojej babci – odpowiada. – Miałem wtedy dziesięć lat. Wyglądała, jakby nie była prawdziwa. A twój?

– Mojego taty, kiedy miałam jedenaście lat. – Wpatruję się w sufit namiotu, gdzie zebrały się krople wody. – Trumna była zamknięta. To chyba po części dlatego tak trudno mi było się z tym pogodzić.

Spogląda na mnie przez ramię.

– Dlaczego trumna była zamknięta?

– Ty i twoje seksowne pytania. – Szturcham go, w duchu myśląc sobie: „Ale z niego urodzony lekarz”. – Samobójstwo, więc widok byłby okropny. Kawałki mózgu i te sprawy. Nadal jesteś podniecony? Bo jakoś by mnie to nie zaskoczyło.

– Nie. – Wydaje z siebie krótki, cichy śmiech.

– W każdym razie wmówiłam sobie, że tak naprawdę wcale nie było go w tej trumnie. Przez pierwszy rok myślałam, że po mnie wróci, i wyobrażałam sobie, jak wchodzi do mojego pokoju przez okno albo podjeżdża swoim jeepem i trąbi klaksonem. Ale potem obudziłam się w rocznicę jego śmierci i w końcu do mnie dotarło, że to się nie wydarzy. Byłam w szoku, a jednocześnie byłam już na tyle już duża, żeby wiedzieć, jakie to głupie z mojej strony. Mama zapytała: „Co się z tobą dzieje?” takim tonem, jakby była na mnie zła, więc nie śmiałam jej nawet niczego wyjaśniać.

Od początku tej wycieczki wracam przy Joshu do trudnych wspomnień.

– Jezu – mówi. – Przykro mi.

– To było piętnaście lat temu. Już sobie z tym poradziłam. Jak tam twój członek?

– Wspaniale – odpowiada, szczerząc do mnie zęby. – Dzięki, że pytasz.

Nie byłam smutna, ale wyraz współczucia w oczach Josha budzi we mnie dawny żal, który muszę wepchnąć z powrotem do małego pudełeczka głęboko w swoim wnętrzu.

– Lepiej idź się wysikać, zanim zdejmę z siebie ten śpiwór. Nie chcę, żebyś znów się podniecił.

– Tak, nie można ci się oprzeć w tych trzech parach spodni dresowych i trzech bluzach. A tak przy okazji, to, że coś wydarzyło się dawno temu, nie oznacza, że nie możesz się z tego powodu smucić.

Przełykam ciężko ślinę. Byłoby głupio płakać z powodu wydarzeń sprzed piętnastu laty. Zwłaszcza że mam teraz wiele innych powodów do smutku.

Josh podnosi się jednym zwinnym ruchem i otwiera namiot, żeby wyjść się wysikać. Wychodzę za nim, tylko znacznie bardziej pokracznie, bo moje obolałe mięśnie krzyczą w proteście od zakwasów.

– Cholera – mówimy dokładnie w tym samym momencie. Niebo jest niepokojąco szare, a klify spowite mgłą. Wszystkie nasze rzeczy są przemoczone. Chris i Kai rozmawiają z kimś przez krótkofalówkę. Obaj wyglądają na zaniepokojonych, gdy chwilę później wyjaśniają nam sytuację: szlak będzie zdradliwy, ale jedzenia wystarczy nam tylko na dziś, a jeśli jutro też będzie padać, mamy przerabane.

Decyzję zostawiają nam i cała nasza grupa głośnie za powrotem. Nikt z nas nie chce tu utknąć na kilka dni, w razie gdyby pogoda się nie poprawiła. Zgadza się pominąć śniadanie, na wypadek gdyby szlak okazał się nie do przejścia i trzeba było tu wrócić.

Teraz pada tylko lekka mżawka, ale po spakowaniu wszystkich rzeczy i złożeniu namiotu jestem przemoczona pomimo kurtki przeciwdeszczowej, a Josh jest tak zestresowany sytuacją, że stresuje tym mnie.

– Nie podoba mi się to – mówi. – Zostawmy tu twój plecak. Ja zostawię swój śpiwór i namiot, a ty możesz wrzucić do mojego plecaka to, co chcesz zatrzymać.

Przez chwilę wpatruję się w niego zdumiona i moja klatka piersiowa powoli zaczyna się rozgrzewać. Nie martwi się szlakiem ani o siebie. Martwi się o mnie.

– Nic mi nie będzie – uspokajam go. – Poza tym jeśli utkniemy gdzieś po drodze, możemy potrzebować namiotu i śpiworów.

Po jego twarzy widzę, że próbuje wymyślić inne rozwiązanie, ale wie, że mam rację.

– Tylko obiecaj, że będziesz ostrożna. – Zaciska szczęki. – Małymi kroczkami do przodu. Będę tuż za tobą, tylko... – Wypuszcza powietrze i przeczesuje włosy palcami. – Po prostu obiecaj.

Nie przypominam sobie, żeby ktoś kiedykolwiek tak bardzo się o mnie troszczył, nawet gdy byłam w wieku, w którym dorośli powinni byli się mną opiekować. Przełykam mocno ślinę

i kiwam głową.

– Obiecuję.

Ruszamy. Zbocze jest błotniste i śliskie. Poruszamy się naprzód w ślimaczym tempie, a gdy podchodzimy wyżej, odkrywamy, że wąska ścieżka jest prawie całkiem rozmyta.

– Jezu Chryste – syczy za mną Josh. – Zwolnij.

Zwykle wybucham w reakcji na nawet najdrobniejszą krytykę, ale teraz wiem, że Josh wcale mnie nie krytykuje. Po prostu panikuje z troski o mnie. Zwalniam.

Robimy niewielkie postępy i chociaż pominęliśmy śniadanie i nie marnujemy czasu, dotarcie do Krawędzi Padalca zajmuje nam całe wieki. Po drodze przytrzymuję się pnączy, drzew i wszystkiego, czego tylko mogę. Od adrenaliny trzęsą mi ręce, a serce wali tak głośno, że niemal słyszalnie. Kiedy za mną rozlega się podejrzanym dźwięk, odwracam się w panice, że Josh się osuwa.

– Patrz przed siebie! – warczy. – Nie martw się o mnie.

Przejście wąskimi ścieżkami biegnącymi wzdłuż krawędzi klifu zajmuje nam wiele godzin. Ziemia jest śliska, co jakiś czas zrywa się silny wiatr, a z nieba spływa tyle deszczu, że ściska mnie w klatce piersiowej. Wiem, że jeśli się poślizgnę, Josh spróbuje mnie uratować, i to właśnie przeraża mnie najbardziej. Nie chcę pociągnąć go za sobą w przepaść.

Zanim zaczynamy schodzić do doliny Hanakoa, gdzie zatrzymaliśmy się wczoraj na lunch, jest już późne popołudnie. Ścieżka jest śliska i błotnista, ale przynajmniej nie muszę się martwić, że za chwilę Josh może za mną spaść.

– Jaka jest pierwsza rzecz, którą zrobisz, kiedy dotrzesz do hotelu? – pytam go, jakbyśmy byli żołnierzami walczącymi od dawna na wojnie.

– Rzucę się na jedzenie – odpowiada. – Nie obchodzi mnie, jak bardzo będę brudny. Chcę tylko największego steka, jakiego kiedykolwiek widziałem. I ziemniaka. I może jeszcze kolejnego steka.

Śmieję się.

– A ja chcę tylko wziąć prysznic. Boże, tak bardzo pragnę gorącego prysznica.

– A potem?

– Wezmę kolejny.

Po trzydziestu minutach do naszych uszu dociera szum rwącej wody. Ramiona Kaia opadają.

– Pamiętacie wczorajszy potok? – pyta. – Teraz jest to wzburzona rzeka.

Kiedy docieramy do doliny, odkrywamy, że obozowicze, którzy zostali tu zeszłej nocy, zniknęli. Kai mówi nam, że przewodnik, który wczoraj wieczorem pomógł im przy kolacji, był na tyle dalekowzroczny, że przeprowadził ich przez rzekę, zanim pogoda się zepsuła. Ale my nie mamy takiego szczęścia i jesteśmy zmuszeni rozbić namioty pod wiatą niedaleko brzegu. Jest tam tak mało miejsca, że leżymy ciasno jedno obok drugiego. Gdybym wyciągnęła rękę z naszego namiotu, dotknęłabym nią drugiego, ale to i tak lepsze niż rozłożenie ich na deszczu. Nie obchodzi mnie, jak będziemy spać, dopóki pozostanę sucha.

Josh pozwala mi się przebrać pierwszej. Jęczę głośno, zdejmując kolejne warstwy mokrych ubrań.

– Wszystko w porządku? – pyta spod namiotu.

– Tak. – Udaje mi się w końcu zdjąć sportowy stanik i skarpetki. Jest zimno i jestem już naga, ale i tak jest mi znacznie lepiej niż w przemoczonych ubraniach. – Po prostu cudownie. Co najważniejsze, jestem prawie sucha.

Chrząka.

– Nigdy wcześniej nie wydawało mi się to takie sexy.

– Uwierz mi, bycie suchą jest lepsze niż seks. – Wycieram się zapasową koszulką. Śmieje się cicho z niedowierzaniem.

– W takim razie sypiałaś z niewłaściwymi ludźmi – mówi, a ja zastygam nieruchomo na chwilę, a mój żołądek aż skręca się z pożądania. Wyobrażam sobie Josha, jak przyciska mnie do podłogi swoim wielkim ciałem, podpierając się rękoma po moich obu stronach. I nie jest to coś, co powinnam sobie wyobrażać, kiedy mam spędzić z nim kolejną noc, sam na sam.

Kiedy już oboje jesteśmy przebrani, wieszamy mokre rzeczy na drugim końcu wiaty razem z innymi. Zjadamy to, co powinniśmy zjeść na lunch, a potem, chociaż ledwo zapadł zmrok, układamy się do snu. Nie mamy już nic więcej do zrobienia i nikt z nas nie planował siedzieć do późna. Wszyscy jesteśmy zbyt wyczerpani fizycznie i emocjonalnie po tym ciężkim dniu.

Anna podchodzi do namiotów, częstując wszystkich czekoladą. Sięgam do bocznej kieszeni i odkrywam, że Six schował tam wystarczająco dużo małych buteleczek z alkoholem, aby podzielić się nimi z całą grupą, co z pewnością nie posłużyłoby mojej reputacji, gdyby ktoś tu rozpoznał, kim jestem.

Chris gra kilka piosenek na ukulele, a następnie sięga przez wejście namiotu do pary obok.

– Przekażcie je dalej, aż dotrze do kogoś, kto potrafi na nim zagrać – mówi.

Dietrich próbuje coś brzdąkać, ale szybko się poddaje i przekazuje instrument nam. Już mam go przekazać Kathy i Samanthcie, kiedy Josh mnie powstrzymuje.

– Zagraj coś.

– Skąd pomysł, że umiem grać na ukulele?

– Jeśli umiesz grać na pianinie i gitarze, to gwarantuję, że na tym też.

– To coś zupełnie innego – odpowiadam. – Jest inaczej nastrojone.

– Nie radzę ci wkurzać jedyne gościa, który może cię ogrzać dziś w nocy. – Odchyła się do tyłu z rękami za głową.

– Podejrzewam, że Chris i Kai nie mieliby nic przeciwko ogrzewaniu mnie – zauważam, śmieję się z jego cichego warczenia, po czym kładę sobie ukulele na kolanach.

Próbuję kilku akordów, żeby wyczuć instrument. Każda struna jest nastrojona o ćwierćnutę wyżej niż gitara, ale poza tym nie różni się od niej zbyt wiele. Zaczynam od *Landslide* Fleet-wood Mac – utworu, który dawno temu nauczył mnie grać mój ojciec. Nie chcę śpiewać, żeby się nie zdradzić, ale Kathy mnie wyręcza i wkrótce wszyscy się dołączają. A potem klaszczą, kiedy piosenka się kończy.

– Jasna cholera, Lina – mówi Kai. – Dlaczego nic nie mówiłaś? Teraz czuję się jak idiota.

Gram *Wildest Dreams* w wykonaniu Ryana Adamsa, a potem przechodzę do piosenki, nad którą ostatnio pracowałam.

– Podoba mi się – mówi Samantha. – Czyje to jest?

– Nikogo znanego – odpowiadam. – Tylko takiej Rosjanki, którą kiedyś znałam.

Chcę przekazać ukulele dalej, ale nikt nie chce grać po mnie.

– Graj dalej, Lina! – krzyczą.

– Przepraszam – odpowiadam. – Jest mi za zimno.

– Kłamaczucha – mówi Kathy. – Chcesz się tylko przytulić do swojego seksownego chłopaka.

Śmieję się i Josh też.

– Chodź tutaj – mówi cicho. – Przytul się do swojego seksownego chłopaka – żartuje, ale i tak jestem zachwycona tym pomysłem. Kładę się plecami do jego klatki piersiowej, a kiedy jesteśmy już ułożeni, Josh bierze dwa śpiwory i naciąga je na nas.

Układa się tak, żeby nie dotykać mnie biodrami, ale czuję przy sobie jego ciepłą klatkę piersiową. Po chwili wahania wyciąga swoją wielką i zaborczą dłoń, dotyka mojej talii i przesuwając ją na biodro.

Pod wiatą robi się cicho, gdy obozowicze zamykają w końcu na noc wejścia do namiotów. Czuję oddech Josha na czubku głowy.

– Powiedz mi coś – szepczę. – Powiedz mi coś, czego nikt inny nie wie.

Przyciska twarz do czubka mojej głowy i trzyma ją tam przez chwilę, jakby się modlił.

– Byłem zazdrosny – szepczę.

– Co? – Odwracam się do niego, nie rozumiejąc, o czym mówi.

Patrzy mi w oczy tylko przez chwilę, po czym zamyka powieki.

– Tamtego wieczoru, kiedy się poznaliśmy. Chodzi o tę gównianą aluzję do kradzieży srebra. Byłem po prostu wkurzony i zazdrosny. Uznałem, że nie powinnaś być z kimś takim jak on, ale zamiast to powiedzieć, zasugerowałem, że to ty jesteś problemem. I jest mi cholernie przykro, że to usłyszałaś.

Wracam do swojej poprzedniej pozycji i przyciskam się plecami do jego klatki piersiowej. Chciałabym, żeby jego ręka spoczywająca teraz lekko na moim biodrze przesunęła się do moich piersi. I żeby przycisnął mnie do siebie mocno, tak jak obudziliśmy się dziś rano, a potem dotknął ustami mojej szyi. Wyobrażam sobie, że sięgam ręką do tyłu, żeby chwycić go dłonią, i słyszę jego coraz cięższy oddech.

A potem przewraca mnie na plecy, eksploruje dłońmi moje ciało, po czym ściąga mi szorty i powoli wsuwa się we mnie.

Wiercę się w miejscu. Nie powinnam pozwalać sobie nawet o tym myśleć. Wtedy Josh niespodziewanie przewraca się na plecy, a ja obracam się twarzą do niego, wtulając się w jego ramię.

Moja ręka opada na jego brzuch i ociera się o coś dużego. Josh syczy przez zęby i odwraca się na brzuch.

– Przepraszam – szepczę. – Nie chciałam...

– Wiem – warczy.

Milczymy. Nie mogę mu mieć za złe, że potrzebuje się wysikać.

– Minęło naprawdę sporo czasu – odzywa się w końcu.

– Tak, dla mnie też – odpowiadam.

Słyszę jego ponury śmiech.

– Miałem na myśli nieco dłuższą przerwę niż jedną noc.

– Nie spałam z twoim bratem – odpowiadam ledwo słyszalnym szeptem. – To był jeden z warunków, które postawiłam, zanim zgodziłam się tu przyjechać.

Wydaje z siebie ten znany mi już dźwięk, jakby nagle uszło z niego całe powietrze. Pozostaje na brzuchu, ale odwraca twarzą do mnie.

– Nie spotykacie się czasem od jakiegoś roku czy dwóch? Dlaczego nagle odmawiasz mi seksu? – pyta równie cichym i ostrożnym głosem jak mój.

– Wcześniej spotykaliśmy się bez zobowiązań, ale zakończyłam to w sierpniu zeszłego roku – wyjaśniam. – Six poprosił mnie o drugą szansę, a ja się zgodziłam. Nie chciałam tylko, żeby... Seks potrafi namieszać.

– Chyba wolałbym tego nie wiedzieć – mamrocze, chowając twarz w prowizorycznej poduszce.

Rozumiem go. Też bym tak myślała na jego miejscu.

Mimo wyczerpania jeszcze długo nie mogę zasnąć. Żałuję, że nie jestem Iliną Andreyev mieszkającą w jakimś gównianym mieszkaniu, na które ledwo ją stać. Ilina nigdy nie poznałaby

Sixa i teraz mogłaby spokojnie rozkoszować się leżeniem w namiocie z lekarzem o imieniu Josh, którego brat jest muzykiem.

JOSH

1 lutego

Budzę się rano twardy jak skała.

Nie żeby mnie to zaskoczyło, bo spędziłem w tym stanie większą część poprzedniej nocy.

Nie pomaga mi to, że mój penis przyciska się obecnie do pośladków Drew, pulsując natarczywie. Odsuwam się od niej, a ona się budzi.

– Czy mi się wydaje, czy temperatura spadła o jakieś czterdzieści stopni? – pyta, ziewając.

Niestety ma rację. I to kolejny powód, dla którego nie spałem przez większość nocy. Taka pogoda i znaczna zmiana temperatury mogą wywołać atak astmy. Przez całą noc na przemian sprawdzałem jej oddech i próbowałem pozbyć się swojej erekcji. Zapytałbym ją teraz, jak się jej oddycha, ale nie chcę wywołać niechcący ataku paniki swoim zmartwieniem. Z każdą chwilą moja wściekłość na Joela wzrasta.

Drew wtula się w moje plecy, żeby się ogrzać. Czuję jej sutki nawet przez jej bluzę i przeklinam swoje życie.

– Mówisz przez sen – odzywam się do niej.

– Zmyślasz – odpowiada, ale kiedy nie zaprzeczam, wzdycha i pyta: – Co powiedziałam?

– Mówiłaś o tym, jaki jestem seksowny – mówię i czuję, jak jej policzek unosi się w uśmiechu przy moich plecach. – No dobra. Mogłem to źle zinterpretować. Tak naprawdę to tylko powtarzałaś jakieś liczby.

– To by się zgadzało. Jestem bardzo dobra z matematyki. Udało mi się przejść aż do jedenastej klasy.

Śmieję się.

– To nie przypominało obliczeń, tylko raczej... składanie zamówień w chińskiej restauracji. Wciąż powtarzałaś te same liczby: sto dziewięćdziesiąt dziewięć i osiemdziesiąt osiem. Pamiętasz, o co chodziło?

– Nie. – Szttywnieje i się odsuwa.

Nie opowiada żadnych żartów na temat chińskiego żarcia ani nie sugeruje, że chodziło o jakieś pozycje seksualne.

Dlatego wiem, że mnie okłamuje.

RANKIEM NASI PRZEWODNICY UZNAJĄ, że damy radę przejść przez rzekę. Pakujemy się więc i zanurzamy się w wodzie, przywiązani do siebie liną. Woda jest zaskakująco zimna, a ja korzystam z okazji i kładę dłoń na ramieniu Drew – po części dlatego, aby wartki strumień nie zaciągnął jej do morza, a po części po to, żeby ponownie ocenić jej oddech. Dzięki Bogu nadal wydaje się oddychać normalnie.

Kiedy docieramy na drugi brzeg, wszyscy jesteśmy mokrzy i brudni, ale też uradowani tym, że nam się udało. Rozlega się śmiech i wiwaty. To wielka ulga, ale ja wcale nie mam ochoty świętować. Kiedy jutro pożegniam się z Drew na lotnisku, to będzie koniec... Chyba że zostanie z moim bratem, co byłoby jeszcze gorsze.

Rozmowy schodzą na sprośne tematy, kiedy schodzimy w kierunku plaży Hanakapiai

i naszej ostatniej przeprawy przez rzekę.

Dietrich, mąż Anny, mówi Kathy i Samancie coś o odgłosach dochodzących z ich namiotu i dodaje, że kusilo go, by je podglądać.

– My też was słyszałyśmy z waszego namiotu, Dietrich! – woła Kathy. – Wygląda na to, że rzeczywiście powinieneś się komuś poprzyglądać, bo zdecydowanie robisz to źle.

Śmiejemy się, a potem Kai mówi:

– Jeśli już mamy kogoś podglądać, to głosuję na Josha i Linę, bo, cholera, on jest jakieś dwa razy większy od niej.

– Założę się, że wychodzi im to na dobre – mówi Kathy z gardłowym śmiechem.

Zamykam oczy. Boże, wybacz, ale poświęciłem mnóstwo czasu na te fantazje. Drew chowa twarz w dłoniach, jednocześnie rozbawiona i zawstydzona.

– Właściwie to jeszcze tego nie robiliśmy – oznajmia.

– Josh, stary, powiedz mi, że to ściema – odzywa się Kai, jakby już sama ta perspektywa osobiście go uraziła.

– Ściemnia – mamrocze, bo tak, to było absolutnie niemożliwe, gdybyśmy byli razem.

Przekraczamy ostatni strumień, odbywamy ostatnią wspinaczkę i wreszcie schodzimy w dół. Na końcu szlaku kobiety przytulają się na pożegnanie, a Kathy odciąga Drew na bok i prosi o autograf.

– Ciemniejsze włosy nie robią aż tak dużej różnicy. – Mruga do mnie porozumiewawczo.

Idziemy na parking. Już z daleka dostrzegam Joela, który zeskakuje z maski jeepa i zmierza w naszą stronę z bukietem w jednej ręce i butelką tequili w drugiej. No i tym gównianym uśmiechem na twarzy, jakby już był pewien, że wszystko zostanie mu wybaczone.

To właśnie z tego powodu przyspieszam kroku. Drew próbuje mnie dogonić, utyskując, że znowu chce z nią rywalizować, ale nie o to chodzi.

Joel robi krok do przodu, wyciągając do mnie z uśmiechem butelkę tequili, zapewne w podziękę za opiekę nad jego dziewczyną.

Zamachuję się na niego pięścią, zanim to sobie przemyślę. Pochyla się i dyszy ciężko, a wtedy uderzam go ponownie.

– Stary, co do cholery? – krzyczy, ale ja jeszcze nie skończyłem. Rzucam nim o jeepa i w końcu uchodzi ze mnie całe to napięcie, które tłumiłem w sobie przez te dwa dni, a które zużyło całe moje pokłady cierpliwości.

– Miałaś jej pieprzony inhalator! – krzyczę. – Mogła umrzeć, bo nie raczyłeś się zjawić!

– Nie wiedziałem! – odkrzykuje Joel.

Nie mam pojęcia, czy mówi prawdę, ale to nie ma znaczenia. Powinien był o to zadbać. Zaryzykować swoim życiem, byleby tylko nie porzucać jej na pastwę losu.

– Josh – delikatnie mówi za mną wstrząśnięta Drew.

Puszczam go, a on idzie prosto do niej i przyciąga ją do piersi. Drew sztywnieje w jego ramionach.

– Tak mi przykro – zwraca się do niej Joel. – Nie miałem pojęcia. Nic ci nie jest?

– Nic mi nie jest. – Odsuwa się od niego. – Powinniśmy już iść. Chcę wziąć prysznic przed wyjazdem na lotnisko.

– Naprawdę przepraszam – powtarza mój brat. – Chciałem was dogonić, ale rozmowa się przedłużyła. – Jego ręka sięga do jej krzyża, jakby wcale nie potrzebowała pomocy na jednym z najbardziej niebezpiecznych szlaków na świecie, ale właśnie teraz, przechodząc trzy metry przez parking na płaskim terenie. Podnosi po drodze kwiaty, które upuścił, kiedy się na niego rzuciłem, i wręcza je Drew. – To dla ciebie.

– Jezu Chryste – mamrocze, pomagając jej zdjąć plecak.

Drew napotyka moje spojrzenie i uśmiecha się przepaszająco. Mam nadzieję, że to nie oznacza, że zamierza mu odpuścić.

CZEŚĆ IV

OAHU

„Mówcie, co chcecie o innych wyspach,
ale opieka medyczna na Oahu bez wątpienia
nie ma sobie równych”.

Oahu: The Adventure of a Lifetime

DREW

Straciłam rachubę, ile to już razy Six próbował mnie przytulić od naszego zejścia ze szlaku. Nawet nie przychodzi mu do głowy, że ktoś mógłby mu nie przebaczyć. Może nawet bym mu odpuściła, gdybym nie zobaczyła swoich przyborów toaletowych rozrzuconych w łazience, a wśród nich rzucającego się wręcz w oczy inhalatora.

Rozpłakałam się wtedy, ale nie z powodu Sixa. Zawsze wiedziałam, kim jest, a resztki nadziei na udany związek z nim umarły we mnie już kilka dni temu. Płakałam nad sobą, bo jestem na tyle popieprzona, żeby znosić takie traktowanie, i dlatego, że gdzieś na świecie Josh nadal będzie istniał beze mnie – wielki, przystojny i nieskończenie opiekuńczy – a ja jestem tylko kupą gówna, która nigdy na niego nie zasłuży.

– Co chciałabyś robić dziś wieczorem? – pyta Six, odgarniając mi kosmyk włosów z twarzy. Mam ochotę od niego odskoczyć i poprosić stewardesę o inne miejsce. Nie robię tego tylko ze względu na Beth, ale nie mam pojęcia, jakim cudem zdołam kontynuować ten teatrzyk przez ostatni wieczór naszej wycieczki.

– Twoi rodzice zarezerwowali nam już stół na kolację – odpowiadam. – I chcą obejrzeć zachód słońca.

– Jezu, znowu? – jęczy, jakby zachód słońca był czymś w rodzaju góry Mount Rushmore z wykutymi głowami prezydentów USA, którą jedzie się zobaczyć raz w życiu. – Przecież możemy chyba spędzić trochę czasu sam na sam.

– To by było trochę niegrzeczne wobec twoich rodziców – odpowiadam. – Pewnie chcą, żebyśmy spędzili ten ostatni wieczór razem.

– Jasne – prycha Six. – Żeby mój ojciec mógł rozmawiać tylko z Joshem. Nie ma mowy. Zastanawiam się, czy Six naprawdę ma pretensje do ojca, czy może po prostu znalazł sobie sposób, aby obwiniać go za swoje porażki.

– Ja zostaję z twoimi rodzicami – odpowiadam. – A ty rób, co chcesz.

A potem mój wzrok wędruje do Josha siedzącego samotnie po drugiej stronie przejścia. Wyjął z torby laptopa i pisze coś na nim zawzięcie.

Jest po prostu... wspaniały. Jak mogłam wcześniej nie zauważyć tego rumieńca na jego policzkach i tego, jak dotyka językiem wargi, gdy się głęboko zamyśla?

I te jego dłonie. Jezu. Wielkie, twarde od robienia Bóg wie czego. I ścięgnięta w jego przedramionach, które poruszają się podczas pisania.

Przecież już dawno zwróciłaś na to wszystko uwagę, myślę. Już na samym początku. I nienawidziłaś siebie za to, udając, że to jego nienawidzisz.

Docieramy do Oahu, łapiemy za swoje bagaże i wychodzimy do samochodu, który ma nas zawieźć do hotelu. Six zagaduje do naszego kierowcy i chce zająć przednie siedzenie.

– Po raz setny powtarzam... – cedzi przez zęby Josh – Drew ma chorobę lokomocyjną.

Oto jak to jest, myślę, kiedy komuś na tobie zależy. Pamiętaj, że masz chorobę lokomocyjną. Martwi się o twój inhalator.

Josh patrzy na mnie i nasze spojrzenia się spotykają. Znowu przypominam sobie tamten moment na plaży Kalalau, kiedy zobaczyłam jego prawdziwe oblicze, a on moje. A jutro wszystko się skończy.

ZAMELDOWUJEMY SIĘ w tych samych pokojach, które zajmowaliśmy wcześniej. Six znów próbuje mnie przyciągnąć do siebie, ale go odpycham.

– Przestań, proszę – mówię, a on wychodzi ze złością z pokoju.

Otwieram walizkę, ale większość moich ładnych ubrań jest pomięta i nie nadaje się do założenia. Pod wpływem impulsu dzwonię do recepcji i proszę, żeby dostarczyli mi tamtą białą sukienkę, którą razem z Joshem oglądaliśmy na wystawie. Chociaż tego jednego wieczoru chcę być dziewczyną, którą mogłabym być, gdybym wiodła inne życie.

W końcu biorę prysznic i wkładam sukienkę: śnieżno-białą, bawełnianą, bez rękawów, z dekoltem w kształcie litery V i z podniesioną talią, zwisającą luźno od klatki piersiowej do kostek. Wygląda bardziej dziewczęco niż seksownie, a w lustrze widzę kobietę, którą Josh zabrałby na przyjęcie i do której wracałby po długim dniu pracy. Kobietę, która zamiast być chodzącą katastrofą wiodącą skomplikowane życie, byłaby zadowolona z prostego życia.

Przez chwilę pragnę nią być tak bardzo, że czuję smak tego życia na języku.

Chwytam torebkę i klucz do pokoju i wychodzę na korytarz w tym samym momencie co Josh.

Zatrzymuje się i prześlizguje po mnie wzrokiem. Odgarnia wilgotne włosy z czoła i wypuszcza powietrze z płuc.

– Czy to sukienka z wystawy? – pyta aksamitnym głosem.

– Tak – odpowiadam. Czuję się głupio, jakbym posunęła się za daleko w udawaniu kogoś, kim nie jestem. Wzruszam ramionami. – Wszystkie moje ubrania były brudne i...

– Podoba mi się. To znaczy... – Kaszle, wyglądając na zakłopotanego. – Ładnie ci w niej.

Moje policzki płoną jak u nastolatki na pierwszej randce. Josh spogląda za mnie.

– Gdzie Joel? – Jego brwi ściągają się w konsternacji.

Wzdycham ciężko.

– Wybiegł jakiś czas temu z pokoju. Nie mam zielonego pojęcia, dokąd poszedł.

Nozdrza Josha rozszerzają się, a jego usta otwierają, ale potem zaciska szczęki, jakby z całych sił powstrzymywał się przed powiedzeniem czegoś. Wskazuje gestem w kierunku windy i idziemy ramię w ramię, a miękki materiał mojej sukienki ociera się o jego spodenki. Potem Josh przytrzymuje mi drzwi windy, a gdy wchodzimy do środka, wciska właściwe guziki.

– Jakie masz plany po powrocie do LA? – pyta.

Spoglądam na niego, nie wiedząc, czy pyta tak ogólnie, czy konkretnie o swojego brata.

– Zostanę tam tylko na weekend. Potem polecę do Nowego Jorku, żeby się spakować na wywiady z oficjalnymi przeprosinami, zanim skończę trasę.

– Nie rozumiem, dlaczego się na to zgadzasz – komentuje.

– Mam gdzieś, co ludzie o mnie myślą – odpowiadam. – Byleby nie poznali prawdy.

Wyjawienie całemu światu, że miewam ataki paniki, tylko zachęciłoby ludzi do szperania w mojej przeszłości i roztrząsania półprawd, które im podałam. Prędzej czy później odkryliby, skąd się wzięły moje problemy, dotarli do romansu mojej matki i samobójstwa ojca. Przeżycie tych doświadczeń w dzieciństwie było już dla mnie wystarczająco trudne – nie potrzebuję przeżywać ich na nowo w każdym udzielanym wywiadzie.

Docieramy do baru w chwili, gdy słońce chowa się za horyzontem, a tłum zaczyna się już rozpraszać.

Beth, Jim i Six siedzą razem przy stoliku, wyglądając na nieco nieszczęśliwych, ale Beth rozjaśnia się, gdy Josh wyciąga dla mnie krzesło.

– Wyglądasz uroczo – mówi do mnie tak szczerze i z taką czułością, że zbiera mi się na płacz.

Uśmiecham się do niej, próbując przełknąć gulę w gardle. Beth traktuje mnie znacznie

lepiej niż jakikolwiek członek mojej rodziny i jest mi rozpaczliwie smutno, że wkrótce się z nią rozstanę.

– Dziękuję – udaje mi się wykrztusić z siebie.

To taki miły moment. Niestety odnoszę wrażenie, że Six zaraz go zepsuje – odchyła się na krzesło i uśmiecha tak, jak to robi, gdy jest pijany lub przygotowuje się do rzucenia jakiegoś idiotycznego komentarza.

– Wyglądasz jak przedszkolanka – wypala.

Josh natychmiast sztywnieje.

– Lepiej zamknij tę swoją pieprzoną gębę – mówi Josh, sztywniejąc za mną. Kładzie mi rękę na ramieniu i nie spuszcza oczu z Sixa.

– No co? – pyta Six z zrozumiałym uśmieszkiem. – Nie miałem zamiaru jej ubliżyć. Lubię przedszkolanki.

– Wstawaj – rozkazuje bratu Josh, nadal stojąc za moim krzesłem.

– Josh – mówi łagodnie jego matka – usiądź, kochanie. Joel za dużo wypił i...

Nóżki krzesła Sixa drapią po cementcie, gdy odsuwa je do tyłu.

– Wychodzę – oznajmia i spogląda na mnie. – Idziesz?

To brzmi bardziej jak stwierdzenie niż pytanie. Po prostu z góry zakłada, że z nim pójdę, i tak to ustawił, żeby nikt nie mógł wygrać. Jeśli z nim odejdę, Beth będzie przykro, a jeśli zostanę, będzie się smuciła, że się pokłóciliśmy. Nie mogę uwierzyć, że to robi. Mnie i jej.

– To nasz ostatni wspólny wieczór – odpowiadam, nie ruszając się z miejsca. – Myślę, że powinniśmy zostać.

– Świetnie. – Zaciska usta. – Dobrej zabawy.

A potem odchodzi. Oczy Beth zamykają się, a jej ramiona opadają. Josh wypuszcza powietrze z płuc.

– Przykro mi, mamo.

– Chciałabym tylko, żebyście się dogadywali. – Beth macha ręką. – Pewnego dnia będziecie mieli tylko siebie.

Ostatnie słowa wypowiada zduszonym głosem, gotowa się rozpląkać, a Jim bierze ją za rękę.

– To były stresujące dni – mówi. – Może chodźmy już do pokojów.

– Nie – protestuje Beth i przełyka ślinę. – Drew ma rację. To nasz ostatni wspólny wieczór.

Wygląda na smutną i wyczerpaną. Widać, że ta podróż była dla niej sporym wysiłkiem.

– Czekaj nas jutro bardzo długa wspólna podróż – mówię do niej. – Nie zostawaj tylko ze względu na mnie. Sama też pewnie nie zostanę tu długo.

Beth ostatecznie pozwala Jimowi zaprowadzić się na górę, więc zostajemy tylko ja i Josh. Powiedział, że jestem klejem, który trzyma ich razem, ale teraz odnoszę zupełnie inne wrażenie. Gdybym wyjechała razem ze Sloane, to może cała czwórka siedziałaby teraz razem przy jednym stole. Josh opada na siedzenie naprzeciwko i szturcha mnie lekko stopą w stopę.

– Nic z tego nie jest twoją winą – mówi cicho.

– Odnoszę inne wrażenie.

– Za bardzo się przyzwyczaiłaś do bycia obwinianą – zauważa. – To mój brat zaczął. Zachował się jak bezmyślny, rozpieszczony bachor i jedynym problemem jest to, że naprawdę nim jest.

– Ale twoja mama...

– Zrobiłaby wszystko dla swoich synów. Pewnie jak każda matka. To nie twoja wina, że nie może im dać tego, co by chciała. – Posyła mi słaby uśmiech. – Już wcześniej się nie

dogadywaliśmy, więc nic dziwnego, że ta wycieczka się tak kończy.

Uśmiecham się niemrawo.

– Chcesz usłyszeć coś niepokojącego? – pytam, podejmując desperacką próbę poprawienia nam nastroju. – Twój rodzice są jedynymi na tej wycieczce dla par, którzy uprawiali seks.

– Naprawdę nie musiałem tego wiedzieć – odpowiada, a potem się śmieje i choć nasze plany spędzenia ostatniego wieczoru razem z jego rodziną spełzły na niczym, to jednak cieszę się, że zostałam z nim sama.

Zamawiamy napoje i jedzenie. Jest mi przyjemnie, a zarazem ciężko na sercu. Przebywanie z Joshem przypomina mi, jak bardzo mogłabym być szczęśliwa, gdybym urodziła się kimś innym.

– Nad czym się tak głęboko zamyśliłaś? – pyta.

– Nie jestem wystarczająco inteligentna na głębokie myśli. Zostają mi tylko płytkie. – Uśmiecham się.

– Nieprawda. – Kręci głową, napełniając winem mój kieliszek. – Chyba nigdy jeszcze nie poznałem nikogo, kto tak bardzo by się kamuflował, jak ty.

– Kamuflował? – pytam. Podnoszę kieliszek i przykładam go do piersi. – Jestem otwartą księgą.

– Ach tak? Więc skąd masz tę bliznę na nosie?

– To pamiątka po tym, jak załatwiliśmy Bin Ladena – odpowiadam, odgarniając włosy z twarzy. – Służyłam w siłach specjalnych, zanim zajęłam się muzyką.

– Imponujące. – Śmieje się. – Zwłaszcza że musiałś mieć wtedy jakieś dwanaście lat.

– Zawsze byłam w fantastycznej formie. – Wzruszam ramionami.

Znów się śmieje i odpuszcza, dzięki Bogu. Wcale nie jestem otwartą księgą, ale tak musi być, kiedy wiesz, że każda udzielona przez ciebie odpowiedź doprowadzi tylko do kolejnych pytań.

W pewnym momencie Josh mnie przeprosza i podchodzi do gościa grającego na gitarze na scenie. To nietypowe zachowanie jak na nietowarzyskiego Josha. Chyba nigdy jeszcze nie wiedziałam, żeby z własnej inicjatywy zagadał kogoś poza swoją rodziną.

– O co chodziło? – pytam go z uniesioną brwią, kiedy do mnie wraca.

– Chciał wiedzieć, skąd masz tę bliznę na nosie – odpowiada. – Powiedziałem mu, że jesteś w *Fight club* i nie możesz o tym rozmawiać.

– Pierwsza zasada *Fight club*... – Uśmiecham się szeroko.

– To nie rozmawiać o *Fight club* – kończy.

Facet ze sceny stuka w mikrofon, żeby zwrócić na siebie uwagę. Spoglądam na niego, a on patrzy prosto na mnie.

– Powiedziano mi, że mamy tutaj gitarzystkę – mówi do mikrofonu. – Lino, zapraszam.

Mrugam zakłopotana, patrząc na garstkę ludzi, którzy wciąż tu jeszcze siedzą, a potem odwracam się do Josha.

– Co, do cholery? – szepczę.

– Wczoraj wieczorem udało ci się zaskoczyć wszystkich, grając na instrumencie, na którym nigdy wcześniej nie grałaś. I zarabiasz na życie, śpiewając na scenie przed tysiącami ludzi. Dlaczego więc miałabyś się teraz stresować?

– To co innego. – Przetykam ślinę.

– Bo tamte występy nic dla ciebie nie znaczyły, prawda? – Wstaje i wyciąga do mnie rękę. – Może nadszedł czas, abyś zrobiła coś, co się dla ciebie liczy. Zaśpiewaj swoją nową piosenkę. Albo stare piosenki, które napisałaś. Cokolwiek, byle nie *Naked*.

- Boże, jesteś nieznośny. – Śmieję się.
- Ta piosenka to katastrofa. – Uśmiecha się.

Wciąż się śmieję, gdy idę przerażona na scenę. Tak naprawdę nie jest to nawet scena, tylko platforma o wysokości pół metra, na której zmieściłyby się maksymalnie cztery osoby.

Wręczają mi gitarę, a ja stroję ją tylko po to, żeby zagłuszyć chaos w mojej głowie. Kusi mnie, żeby zagrać coś starego – jakiś kawałek z lat siedemdziesiątych, którego nauczył mnie ojciec. Może Fleetwood Mac albo The Eagles. Widzę tu wielu starszych ludzi. Spodobałoby im się, a mi by się upiekło.

Ale Josh ma rację. To moja szansa na bycie inną wersją siebie – tą prawdziwą, którą tyle lat ukrywałam przed światem. Zaczynam więc od piosenki, która kiedyś grałam i dzięki której podpisałam kontrakt na swoją pierwszą płytę, choć na nią nie trafiła. „Nie jest dość seksowna”, zawyrokował Davis. Już wtedy wiedziałam, że mamy diametralnie różne wizje mojej kariery. Nie żeby miało to dla mnie jakieś znaczenie. Byłam głodna i zdesperowana, więc zaśpiewałabym wszystko, byleby tylko dostać ten kontrakt. Miałam już dość bycia spłukaną, ale przede wszystkim chciałam rzucić coś w twarz matce po tych wszystkich latach, podczas których powtarzała mi ciągle, że zmarnuję sobie życie.

Grałam ten utwór tak często, że przychodzi mi to teraz z łatwością, choć mam gęsią skórę na rękach. Kiedy słowa są twoje, to tak, jakbyś rozbierała się przed światem, nie mając pojęcia, czy na koniec będą klaskać, czy cię wygwizdzą.

Kiedy kończę, natychmiast rozlegają się entuzjastyczne, głośne oklaski. To taki rodzaj aplauzu, który dostajesz, gdy pozytywnie zaskoczysz czymś ludzi. Pamiętam to uczucie z czasów, gdy byłam nastolatką. I tę cichą nadzieję, że być może nie jestem aż tak beznadziejna, jak mi wmawiano i jak pozwoliłam sobie uwierzyć.

Oklaski jeszcze nie ucichły, ale ja odwracam się, chcąc oddać gitarę muzykowi.

– Grasz znacznie lepiej niż ja – mówi, zbywając mnie machnięciem ręki.

Waham się, ale potem zerkam na Josha, który uśmiecha się do mnie szeroko, i to wszystko, czego potrzebuję. Przewieszam pasek gitary przez ramię i znów zwracam się twarzą do tłumu.

Gram jeszcze dwie swoje wczesne piosenki, a potem robię głęboki oddech i brzdąkam kilka pierwszych akordów nowej, wczuwając się w nią.

Brzdąkanie dla przyjemności a wykonywanie swojego utworu po raz pierwszy przed prawdziwą widownią to ogromna różnica. Jak dotąd nuciłam tę piosenkę cicho, niemal szepcząc, bo grałam ją w pokojach hotelowych i nie chciałam zostać usłyszana.

– Mm, to coś, nad czym jeszcze pracuję, więc proszę o odrobinę wyrozumiałości – ostrzegam słuchaczy.

Serce bije mi mocno. Nie chodzi tylko o to, że to mój kawałek, ale też o to, że nigdy jeszcze nie napisałam niczego tak autentycznego, z głębi serca. Tekst mówi o dokładnie takim życiu, jakie bym wybrała, gdybym nie była tak uwikłana, i wiele ujawnia na mój temat.

Zaczynam niepewnie i z początku rozważam wycofanie się z tego, nawet gdy zaczynam już śpiewać. Ale pod koniec pierwszego wersu czuję się już naprawdę dobrze. Jakbym była dokładnie tam, gdzie powinnam być, i robiła dokładnie to, co powinnam robić, i jakby nic nie mogło pójść źle, bo... Kocham tę piosenkę. Nigdy niczego tak nie kochałam, jak jej, więc w pewnym sensie nie ma nawet znaczenia, czy inni poczują to samo.

Publiczność ledwo może usiedzieć na miejscu. Czuję unoszące się w powietrzu podekscytowanie. Kiedy przechodzę do refrenu, delikatne włoski na rękach stają mi dęba. Patrzę na Josha i coś sobie uświadamiam: te słowa są o nim. Myślałam, że piszę o swojej karierze, o tym, jakie życie bym wybrała, gdybym tylko mogła. Ale nie, to było o nim. To jego bym

wybrała.

Piosenka jest krótka, bo na razie napisałam tylko dwie zwrotki. Kiedy się kończy, ludzie zrywają się na równe nogi i klaszczą. Znaczy to dla mnie znacznie więcej niż wszystkie owacje na stojąco na stadionach, bo oklaskują prawdziwą mnie: Ilinę Andreyev, nieznaną nikomu córkę popaprańca, która zakochuje się w niewłaściwym facecie.

– To było niesamowite – mówi jakaś kobieta, chwytając mnie za ramiona, gdy schodzę ze sceny, żeby wrócić do Josha. – Nie pozwól, żeby twój talent się zmarnował.

Uśmiecham się do niej, a jednocześnie drżę. Jestem tak poruszona tym występem, że ledwo stawiam jeden krok za drugim. Potykam się, a ludzie poklepują mnie po plecach, kiedy zmierzam w stronę stojącego przy naszym stoliku Josha. Opieram się o niego, jakby był moją ostoją i jakby nic nie mogło mnie przy nim zranić, a on obejmuje mnie ramionami.

– Byłaś doskonała, Ilino Andreyev – mówi cicho.

Nie spieram się z nim, choć mogło być lepiej i zaczęłam pierwszy wers za późno. W niedoskonałym życiu – i w tym momencie – ten występ był naprawdę bliski ideału.

Powoli wracamy do naszego skrzydła hotelu. Wiatr szumi w palmach, a świerszcze cykają. Szkoda, że rano nie wybierzemy się pobiegać – za wcześniej odlatujemy.

– Więc co zamierzasz zrobić? – pyta Josh, gdy wchodzimy do windy.

Mrugam zdezorientowana, nie potrafiąc myśleć o niczym, co nie ma związku z nim. Czy mam mu wyznać, co czuję? Czy po wyjeździe stąd będę o nim myśleć każdego dnia?

– Z czym?

– Z tą piosenką – mówi, sprowadzając mnie na ziemię. Ale jakiego pytania się właściwie spodziewałam? O nas? – Umie-ścisz ją na swoim nowym albumie?

Uśmiecham się do niego smutno. Musiałabym zaciekle o to walczyć, a potem czterech dupków z wytwórni, których przysłałoby mi do „pomocy”, i tak zamieniłoby ten utwór w jakąś przekombinowaną szmirę i przypisało sobie wszystkie zasługi. A to moja piosenka. Poza tym nie jest materiałem na hit. To raczej kawałek, który wszyscy by przewijali, żeby przejść do jakiegoś kolejnego *Naked*.

– Nie. To i tak by nie wypaliło.

– Nie rozumiem – mówi. – Nie jesteś zadowolona ze swojej obecnej kariery, twój menedżer to dupek, zmuszają cię do śpiewania gównianych piosenek, których nie znosisz, a ty tylko się na to zgadasz. Dlaczego nie wysiądziesz z tego autobusu i nie wsiądziesz do innego, żeby pojechać tam, dokąd chcesz?

Mrugam zaskoczona. Właśnie użył mojej metafory związków miłosnych, przenosząc ją na grunt mojej kariery. Cóż, najwyraźniej tutaj też pasuje.

– Bo ten drugi autobus zawiózłby mnie do bardzo złej dzielnicy i tam zostawił.

Kiedy podchodzimy do moich drzwi, nagle dociera do mnie, że to może być nasza ostatnia chwila sam na sam. Chcę mu powiedzieć coś głębokiego i ważnego, ale nic takiego nie przychodzi mi do głowy.

– Dziękuję, że wywołałeś mnie na scenę – mówię tylko. – Cieszę się, że mogłam tam zagrać.

Patrzy mi w oczy i przygryza wargę.

– Drew. – Przeczesuje dłonią włosy. – Ja...

Wtem drzwi mojego pokoju się otwierają i staje w nich Six. Wodzi wzrokiem między nami dwojgiem.

– Co jest grane? – pyta łagodnie, zaledwie z odrobiną podejrzliwości. Chyba tylko przez moje własne poczucie winy czuję się, jakbym została przyłapana na czymś niewłaściwym.

– Nic – mówię. – Dobranoc – szepczę, rzucając spojrzenie Joshowi.

Omijam Sixa i wchodzę do pokoju, ledwo ciągnąc za sobą nogi. Zostać tu z Sixem, zamiast być z Joshem, wydaje mi się jakimś poważnym błędem.

Six zamyka drzwi i próbuje mnie przytulić.

– Nie rób tego – warczę. – Byłeś dla mnie okropny i doprowadziłeś swoją matkę do łez. Może ją ugłaska twój uścisk, ale nie mnie.

Odchodzę od niego pospiesznie, żeby przygotować się do snu, i dopiero gdy wślizguję się do łóżka, Six dołącza do mnie i obejmuje mnie w talii. Ja jednak nie mogę myśleć o niczym innym, tylko o ramieniu Josha i jego szerokiej piersi przyciśniętej do moich pleców. Biorę krótkie oddechy przez nos, marząc, by ta noc się skończyła i żebyśmy wrócili już do domu.

– Drew... – szepcze Six. – Przepraszam. Wiem, że nawaliłem. Byłem dupkiem. Ale naprawdę chcę z tobą być. Zawsze chciałem, tylko po prostu... Nie byłem gotowy, okej? Ale teraz jestem. Teraz będzie już inaczej.

– Późno już. – Nie chcę, żeby ta rozmowa zamieniła się w kłótnię z pijanym Sixem. Nie chcę znaleźć się w sytuacji, w której musiałabym prosić w recepcji o osobny pokój. – Czy możemy porozmawiać o tym jutro?

Kiedy przyciąga mnie bliżej, muszę się powstrzymać, żeby od niego nie odskoczyć.

– Tak, skarbie – mówi. – Co tylko zechcesz. Teraz to ty ustalasz zasady.

Dopiero gdy zasypia, chwytam za poduszkę i ruszam na kanapę. Six wszystko psuje, ale ja też. Które z nas tak naprawdę wprowadziło więcej chaosu podczas tej wycieczki? Z czyjego powodu Sloane wyjechała, a Beth nie udało się pogodzić swoich synów?

Może jednak idealnie do siebie pasujemy? Oboje niszczyliśmy wszystko, czego się dotkniemy.

DREW

2 lutego

O świcie zbieramy się przed hotelem, żeby wyruszyć na lotnisko. Six nagle jest opiekuńczy, troskliwy i kochany.

Otwiera przednie drzwi samochodu.

– Ma chorobę lokomocyjną – oznajmia kierowcy i przycisnęła usta do mojego czoła. – Musi tu z panem usiąść.

Zajmuję przednie siedzenie, lewo wytrzymując napięcie w swoim wnętrzu i ból gardła od powstrzymywanego płaczu. Mam wrażenie, że w każdej chwili mogę wybuchnąć szlochem. Wyglądam przez okno, żegnając się z tą wyspą i żalując, że nie będę mogła odtworzyć tysiąca chwil z ostatnich dni – chwil spędzonych z Joshem.

Siedzi teraz z tyłu, a jego ojciec wypytuje go o jego plany na najbliższe kilka tygodni. Już sama myśl o tym, że Josh i ja będziemy na tym samym wybrzeżu, ale już się więcej nie zobaczymy, wydaje mi się niemożliwa do zniesienia. Co jednak miałabym powiedzieć? „Hej, kończę z twoim bratem. Masz ochotę na drinka, zanim wyjedziesz na rok do Somalii?”

Nawet gdyby jakimś cudem przyszły mi na myśl właściwe słowa – choć nie istnieje żaden przyzwoity sposób na poderwanie brata swojego byłego – to i tak okazałyby się bezsensowne. Josh wyjeżdża wkrótce do Afryki i nigdy nie powiedziałaby o nas swojej rodzinie, a ja nawet nie wyobrażam sobie, jak by mnie obsmarowano, gdyby wyszło na jaw, że porzuciłam Sixa dla jego rodzonego brata. Ludzie postrzegają często mężczyzn jako niegrzecznych chłopców, ale kobiety oceniają równie surowo jak samych siebie. A mi jest już wystarczająco trudno radzić sobie z osądami na temat tego, czego nawet nie zrobiłam.

Przybywamy na miejsce, oddajemy bagaże, a potem idziemy do poczekalni pierwszej klasy. Six od razu kieruje się do baru na drinka, a ja siadam obok Beth.

– Wyglądasz na zmęczoną, kochanie – mówi, głaszcząc mnie po głowie. – Myślałam, że będziesz spać tej nocy jak dziecko.

Mrugam, żeby stłumić łzy. Jak to jest być wychowywanym przez kogoś takiego jak Beth, kto się o ciebie troszczy i martwi? Jak to jest po nieprzespanej nocy lub złym dniu spotykać się z troską zamiast z oskarżeniami o fochy lub dramatyzmowanie?

– Nic mi nie jest. To były wspaniałe wakacje. Naprawdę nie wiem, jak ci dziękować, że mnie zaprosiłaś – mówię, a tak naprawdę mam na myśli: Bardzo ci dziękuję za to, że mogłam się poczuć tak chcianą i ani przez chwilę nie wydawać się ciężarem. Dziękuję, że pokazałaś mi, jak to jest.

Obejmuje mnie ramieniem i opiera głowę o moją.

– Zawsze marzyłam o spędzeniu czasu na Hawajach z chłopcami – wyznaje. – Ale z tobą było jeszcze lepiej, niż to sobie wyobrażałam.

Six wraca z ginem z tonikiem dla nas obojga. Beth się odsuwa, żeby mógł mnie objąć. Josh mruży oczy i nie spuszcza z nas wzroku, podczas gdy usta Sixa przyciskają się do mojej głowy. Potem Six mówi o tym, co będziemy robić w tym tygodniu w LA, a ja marzę, żeby ziemia mnie pochłonęła. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że nie będę się już z nim spotykać.

Znosiłam to wszystko tylko ze względu na Beth, ale już nie wytrzymuję.

– Wrócę za chwilę – mówię.

Wychodzę z poczekalni i wchodzę do części ze sklepami, próbując stłumić płacz i rozglądając się dookoła. Moje życie pozostało takie samo jak wtedy, gdy przyjechałam na Hawaje dwanaście dni temu, ale teraz nie dostrzegam w nim nic, co miałoby dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Kupuję coś dla Tali, a potem się zatrzymuję i patrzę na ludzi tłoczących się przy bramce, żeby wejść na pokład samolotu. Jakiś mężczyzna obejmuje żonę w pasie i rzuca ostrzegawcze spojrzenie napierającym od tyłu ludziom, a ona wtula się w niego, jakby zawsze był przy niej. Pewnie nadejdzie dzień, kiedy się przeliczy i upadnie, bo on jej nie podtrzyma, ale i tak czuję się bardzo samotna, gdy tak na nich patrzę.

Powoli kieruję się z powrotem do poczekalni pierwszej klasy, kiedy nagle jakaś postać odsuwa się od ściany. Josh przygląda mi się ze zmarszczonymi brwiami.

– Muszę zaraz wejść na pokład – mówi. – Chciałem się tylko pożegnać.

– Nie rozumiem – szepczę, jakbym została uderzona. Nie spodziewałam się, że będziemy siedzieć w samolocie razem, ale myślałam, że mam jeszcze przynajmniej sześć godzin, żeby na niego popatrzeć. – Nie lecisz do LA?

Potrząsa głową ledwo zauważalnie i patrzy mi w oczy, jakby wiedział, że mnie to zasmuca i dlaczego.

– Muszę wygłosić jutro wykład w Stanford. Lecę prosto do San Francisco.

– Och. – Zastygam, próbując odeprzeć falę żalu, która we mnie uderza.

Z głośnika nawołują do wejścia na pokład i Josh podchodzi bliżej. Na tyle blisko, że czuję jego oddech na mojej twarzy.

– Powiedz mi coś prawdziwego – mówi.

Próbuję się uśmiechnąć, ale wychodzi z tego jakiś smutny grymas. Podarowałabym mu cały świat, gdybym tylko mogła. Chciałabym, żeby istniało coś, co mogłabym mu kupić za swoje pieniądze. Ale on chce ode mnie tylko odrobiny praw-dy. Może dlatego, że wie, że najtrudniej mi jest ją zaoferować.

– Kiedy miałam jedenaście lat, mój tata się upił i rzucił mi butelką w twarz – mówię. Mój ojciec był wtedy jedyną osobą, która wydawała się mnie lubić, ale nawet on nie lubił mnie na tyle, by nie robić mi krzywdy. – Utracił prawo do widzenia się ze mną. To był ostatni raz, kiedy go widziałam, i to stąd mam tę bliznę.

Co za smutny, żaloszny podarunek z mojej strony. W ten sposób komunikuję mu: „Ufam ci, Josh, jak nikomu innemu”. Odwracam się i chcę odejść, żeby nie zobaczył moich łez, ale wykonuję tylko jeden krok, kiedy wypowiada moje imię i sięga po mnie.

I to wszystko, czego potrzeba: Josh przyciąga mnie do siebie, ujmując moją twarz w dłoń i jego usta już łączą się z moimi, jakby pragnęły tego od zawsze. Przez jedną długą, zapierającą dech w piersiach chwilę nie istnieje nic poza nim i tym, jak mnie całuje.

– Oddałbym wszystko, żeby sprawy potoczyły się inaczej – oznajmia, a potem odchodzi, znikając w tłumie ludzi wchodzących na pokład samolotu.

Chcę dotknąć swoich ust, żeby się upewnić, że ten pocałunek naprawdę się wydarzył.

Chcę za nim pobiec.

Ale zamiast tego wracam do poczekalni na chwiejnych nogach, czując, jakby coś we mnie właśnie umarło.

Beth, Jim i Six siedzą tam z nosami w telefonach. Podróżowaliśmy razem przez dwa tygodnie z rzędu, ale to Josh był tym elementem naszej wycieczki, która mnie uszczęśliwiła. To przy nim czułam się jak w domu.

Kiedy wchodzimy na pokład samolotu, Six chwyta za swój koc i przykrywa nas nim, po

czym odnajduje pod nim moją dłoń. Zostało mi pewnie jakieś trzydzieści sekund, zanim spróbuje poprowadzić ją do swojego penisa. Nie mogę na to pozwolić, ani na chwilę.

– Hej – mówi. – Wiem, że musimy jeszcze porozmawiać.

– Nie, nie musimy. – Odciągam rękę i sięgam po słuchawki. – Cokolwiek było między nami, to już koniec.

Szczerze mówiąc, nie mogę uwierzyć, że w ogóle się z nim spotykałam.

CZEŚĆ V

Z POWROTEM W DOMU

„Trudno omówić tak obszerny temat
w jednej książce”.

Mainland US: Adequate Medical Care and Lots to See

DREW

Budzą mnie promienie słońca przebijające się przez sięgające od podłogi do sufitu okna chatki, którą wynajmuję w Chateau Marmont. Mam piętnaście nieodebranych połączeń od Davisa. Ani jednego od Josha.

Wyślizguję się spod kołdry tylko po to, by zaciągnąć zasłony, a potem wracam do łóżka i opadam twarzą na materac.

Nie mam pojęcia, jak wrócić do normalnego życia. Nie potrafię sobie przypomnieć, co mnie wcześniej napędzało do działania. Chyba tylko wydawało mi się, że wiem, co to jest. Myślałam, że chcę udowodnić swoją wartość, zarabiać więcej pieniędzy niż mój ojczym, zyskać sławę i większe wpływy niż cała rodzina razem wzięta i ewentualnie jeszcze to wykorzystać do zrujnowania firmy mojego ojczyma. Ale teraz to wszystko wydaje mi się... żałośnie małostkowe. Odnoszę wrażenie, że napędzała mnie tylko moja frustracja, bo nie miałam nic innego, co mogłoby mnie wyciągnąć z łóżka rano.

W końcu wstaję tylko po to, żeby zamówić dla Beth szal marki Hermés. Zaznaczam, aby doręczono jej go do rąk własnych wraz z liścikiem z podziękowaniem za podróż. Załączam tam kilka słów o tym, jak miło było spędzić z nią czas, i wyrażam żal z powodu tego, jak potoczyła się moja relacja z Sixem. Na tym etapie powinna już wiedzieć, że rozstałam się z jej synem, ale jakaś mała część mnie chce się co do tego upewnić. Zależy mi też, żeby Josh się dowiedział, chociaż to absolutnie niczego nie zmieni. Jakżeby miało? Nie mogę tak po prostu przeskoczyć sobie z jednego brata na drugiego, a Josh, nawet gdyby miał zostać w Stanach, zbytnio przejmuje się swoją mamą, aby zrzucić na nią taką bombę.

Odbieram w końcu telefon od Davisa, bo to tylko kwestia czasu, zanim stanie w moich drzwiach – wie, że to jedyne miejsce, w którym przebywam w LA.

Następnego ranka wchodzę do sali konferencyjnej mojej specjalistki od PR-u na spotkanie strategiczne, w którym wcale nie mam ochoty uczestniczyć. Nie znoszę tego wielkiego, bezdusznego kompleksu biurowego z szarego cementu i szkła. Pokój na pierwszym piętrze wygląda, jakby mógł przetrwać wybuch bomby. Niestety. To samo dotyczy siedzących przy stole ludzi z obojętnym wyrazem twarzy.

– Co, u diabła, zrobiłaś z włosami? – naskakuje na mnie Davis, jakbyśmy byli tam sami, bez tych wszystkich nadgorliwych nieznajomych w garniturach przysłuchujących się zachłannie każdemu słowu.

Jeszcze dwa tygodnie temu czułabym się zmuszona go przeprosić, jakbym obcięła bez pozwolenia czyjeś włosy, a nie swoje. Teraz jestem tylko zirytowana.

– To się nazywa strzyżenie, Davis. Nie znasz tego terminu? Poproś jednego ze swoich sługusów w garniturze, żeby to dla ciebie sprawdził.

Stephanie, specjalistka od PR-u, marszczy brwi na te słowa i kładzie Davisowi rękę na ramieniu. Często bawi się w rozjemczynię, ale w końcu i tak mu ulega.

– Spokojnie. Może to i dobrze. Pokażemy nową, poważniejszą Drew. Przekonamy, że rozpoczęła nowy rozdział swojego życia.

– Ale nikt nie będzie chciał jej takiej wypieprzyć. – Davis osuwa się na swoim krześle.

Wyobrażam sobie, co by się stało, gdyby Josh to usłyszał. Pewnie poderwałbym się

gwałtownie. Co powiedział tamtemu instruktorowi surfingu? „Chodź, powtórz to na brzegu, dupku”. Chciałabym usłyszeć, jak mówi tak do Davisa.

– Przecież tak właśnie wyglądałam, kiedy mnie poznałeś – przypominam mu, siadając przy drugim końcu stołu. Oboje ze Stephanie mrugają, jakby przez chwilę zapomnieli, że potrafię mówić. – Wtedy uznałeś mnie za wystarczająco ładną.

– A czy byłaś wtedy sławna? – pyta. – Nie, nie byłaś.

– Musimy ogłosić, że poszła na odwyk – zwraca się do niego Stephanie. – Nikt nie uwierzy, że w grę nie wchodziły jakieś nielegalne substancje.

– Za dużo już wypłynęło zdjęć z Hawajów. – Davis kręci głową. – Po prostu zastrzeżmy, że nie będziemy poruszać tego tematu w wywiadach, i wydajmy oświadczenie sugerujące, że była na odwyku, nie stwierdzając tego wprost. Nazwijmy to „niezwykle potrzebnym wyczynkiem”. Wszyscy uznają, że to odwyk, ona przeprosi i ludzie jej darują.

Opieram się na krześle i słucham, jak rozmawiają o mnie, jakby mnie tu nie było. Jakbym była przedmiotem, a nie osobą. Jak długo to już trwa i dlaczego im na to pozwalałam? Z początku czułam się szczęściarą i nie chciałam tego zepsuć. Ale teraz sytuacja się zmieniła. Wcale nie jestem szczęśliwa i nie dbam już tak bardzo o to, że mogłabym to spieprzyć.

– Nikogo nie przeproszę – oznajmiam stanowczo. – I nie pozwolę nikomu sugerować, że ćpam.

Patrzę na mnie zdziwieni i zirytowani. Ich twarze mówią: „Sekslalka się odezwała! Wydaje jej się, że ma prawo dyktować warunki”.

– Pozwól nam, proszę, wykonywać naszą pracę – mówi Stephanie. – Próbujemy cię wyciągnąć z bałaganu, którego narobiłaś.

Wstaję, a oni wyglądają na zaskoczonych. Znowu.

– Co ty wyprawiasz? – pyta Davis.

– To się nazywa wychodzenie – odpowiadam. – I jeśli nie zaczniesz mnie słuchać, możesz przygotować się na więcej.

W pomieszczeniu panuje zupełna cisza, kiedy idę do drzwi. Chciałabym poczuć się teraz lepiej, ale świat wydaje mi się nagle wielki i zbyt pełny, a jednocześnie straszliwie pusty. Problem z paleniem za sobą mostów polega na tym, że musisz mieć dokąd pójść.

W DESPERACJI dzwonię do Tali. Spotykamy się w słonecznej kawiarni na patio w Huntington Beach, w połowie drogi między Laguna Beach a LA. Na jej widok chwilowo zapominam o wszystkich swoich nieszczęściach.

– Jasna cholera – mówię, gapiąc się na jej brzuch. Kiedy ostatni raz ją widziałam, nie był aż tak duży. – To niemożliwe, że zostały ci jeszcze dwa miesiące.

Śmieje się i siada na krześle naprzeciwko, z ręką na brzuchu, jak każda kobieta w ciąży, jakby chciała się upewnić, że dziecko usiądzie razem z nią.

– Wiem, też nie mogę w to uwierzyć.

– A jeśli dzieciak będzie tak wielki, jak Hayes? – pytam. – Twoja pochwa ulegnie trwałej destrukcji.

– Czyżbyś zapoznała się z listą najgorszych rzeczy, jakie można powiedzieć kobiecie w ciąży? – Unosi brew.

– Przepraszam – mówię potulnie. – Mam niewyparzoną gębę.

Śmieje się.

– Hayes też się tym martwi. Zapytał mojego lekarza, czy nie moglibyśmy po prostu zaplanować cesarskiego cięcia, „aby wszystko pozostało w takim rozmiarze, w jakim jest”. Tyle o mnie i mojej pochwie... To z którym Baileyem teraz jesteś?

Przewracam oczami. Wysłałam jej SMS-a ze szlaku Kalalau, ale nie wie, co wydarzyło

się później, i naprawdę nie ma powodu, żeby jej o tym mówić. Przecież i tak nic z tego nie wyjdzie.

– Z żadnym.

– Cóż. – Wzdycha. – Chyba mogło być gorzej.

– Josh mnie pocałował – wypalam. To tyle, jeśli chodzi o zatrzymanie wszystkiego dla siebie. – Na lotnisku.

– To takie... – Otwiera szeroko oczy zachwycona.

– Nie mów tego – proszę ją.

– Romantyczne – mówi mimo to.

– Dla ciebie wszystko jest romantyczne. – Odchylam się na krzesło i rozpuszczam niedbały kok.

– Oj, uwierz mi, o Sixie nie powiedziałaś nigdy ani jednej rzeczy, którą uznałabym za romantyczną. No i... – Wyciąga telefon. Z jakiegoś powodu trzyma w nim zdjęcia Josha. – Spójrz tylko na niego.

Josh nie uśmiecha się na zdjęciu, które pokazuje mi Tali. Nawet do niego nie pozuje. Po prostu stoi w swoim lekarskim fartuchu i z kimś rozmawia. Wygląda na rozkojarzonego i wkurzonego. Jest idealny, a ja... za nim tęsknię. Brakuje mi go tak bardzo, że wszystkie moje pozostałe odczucia błędą w porównaniu z tą tęsknotą. To właśnie dlatego nie chciałam szukać Josha w internecie – wiedziałam, że zaboli mnie jego widok, a w mojej piersi pojawi się ten wir tęsknoty, której nie będę mogła stłumić.

– Nie wiem, co robić – szepczę.

– Czy on wie, że nie jesteś już z jego bratem? – pyta Tali. – To mogłoby pomóc.

Przytakuję.

– Beth na pewno wygadała to Joshowi. Wygląda na to, że to on jest jej najbardziej zaufanym powiernikiem.

Chcę, żeby Tali podsunęła mi jakieś wytłumaczenie, dlaczego Josh jeszcze się do mnie nie odezwał, ale moja przyjaciółka milczy. W jej oczach widzę jedynie współczucie, jakby ta historia już dobiegła końca.

WRACAM DO HOTELU, wchodzę do łóżka i tam już zostaję. Nie idę biegać, jem byle co i nie dbam o higienę, ale to już ostatnie chwile takiej laby: kiedy znów wyjadę w trasę koncertową, będę musiała się głodzić i świetnie wyglądać dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jak zawsze.

W niedzielę, na dzień przed wyjazdem, nadal leżę w łóżku, kiedy nagle dzwoni moja komórka. Gdy tylko zauważam imię Beth na ekranie, wisząca nade mną mgła natychmiast znika. Siadam i do końca ściągam z oczu zaciemniającą opaskę. Nie mogę zapanować nad dreszczykiem emocji w mojej klatce piersiowej, chociaż prawdopodobnie dzwoni tylko w sprawie szala lub żeby porozmawiać o moim rozstaniu z Sixem.

– Drew! – wykrzykuje. – Jak dobrze, że cię złapałam. Mam nadzieję, że nie spałaś?

Zmuszam się do śmiechu.

– Oczywiście, że nie – odpowiadam. – Jest... – Spoglądam na zegar. – Po trzynastej.

– Jemy właśnie lunch w Chateau i ktoś powiedział, że się tu zatrzymałaś. Jesteś gdzieś w pobliżu? Może mogłabyś przyjść się przywitać?

Chcę zapytać, kto z nią jest, ale tego nie robię.

Zamiast tego dosłownie wbiegam pod prysznic, krzyczę pod zimną wodą i już po chwili, szorując się mydłem, zaczynam się besztać.

– Josha tam nie będzie – oznajmiam ścianom prysznic. – A ty jesteś idiotką, która niepotrzebnie robi sobie nadzieję.

Nawet jeśli go tam zobaczę, to co miałabym mu w ogóle powiedzieć? Przecież nie mogę mu wyznać w obecności jego rodziców, że nic poza nim nie ma dla mnie znaczenia od tamtego momentu na lotnisku, a właściwie to już prawdopodobnie na długo wcześniej. Nie będę mogła mu nic powiedzieć, a poza tym on sam już dawno odezwałby się do mnie, gdyby moje rozstanie z Sixem miało dla niego jakieś znaczenie.

Odgarniam mokre włosy z twarzy i związuję je w kok, nakładam odrobinę błyszczyka i tuszu do rzęs, a następnie wyciągam z szafy jedwabną koszulkę i spódnicę, które mogłaby założyć moja specjalistka od PR-u, ale nie Drew Wilson.

Podoba mi się dziewczyna, którą widzę w lustrze. Wygląda egzotycznie, jak Francuzka. Taka Audrey Hepburn, ale z jaśniejszymi włosami i przyzwoitą opalenizną. Tak bardzo chcę, żeby Josh tam był i mógł mnie taką zobaczyć. Tak bardzo tego pragnę, że nie wiem, czy zniosę rozczarowanie, jeśli go tam nie będzie.

Idę na patio restauracji znajdujące się pod wdzięcznym łukiem palm, które chronią głowy gości przed słońcem. Donice z palmami oddzielają dyskretnie stoliki w restauracji, ale i tak przyciągam spojrzenia, kiedy przez nią przechodzę. Moja nowa fryzura nadal działa cuda: choć ludzie podejrzewają, że jestem kimś znanym, to jednak pozostaję anonimowa. A teraz właśnie anonimowości pragnę najbardziej na świecie, bo za chwilę będę albo zachwycona, albo zdruzgotana. Nic pomiędzy.

Już mam podejść do kelnerki, kiedy go dostrzegam.

Josh.

W swoich spodniach khaki i zapinanej na guziki koszuli z podwiniętymi rękawami wygląda niemożliwie pięknie. Pamiętam, jak wyśmiałam jego strój po przylocie do Honolulu. Teraz myślę, że nigdy nie widziałam nikogo seksowniejszego. Jakby nagle stał się prototypem, w oparciu o który kształtują się moje upodobania – gdyby nagle zaczął nosić koszulki z krótkim rękawem i sportowe krótkie spodnie (choć to zupełnie nieprawdopodobne), zapewne uznałabym, że to mój ulubiony męski strój.

Wbija we mnie wzrok i w moim brzuchu pojawia się mocne ukłucie pożądania.

– Dziękuję, już ich widzę – mówię do kelnerki cudownie spokojnym i dojrzałym tonem.

Kieruję się w stronę stołu z dziwną mieszanką euforii i strachu, jakiej nigdy jeszcze nie czułam, nawet występując na scenie. Obym tylko nie miała tego wypisanego na twarzy.

Baileyowie wstają, gdy do nich podchodzę. Ściskam Beth, a nawet i Jima, po czym odwracam się do Josha. Jak mogłam zapomnieć, jaki jest wysoki? Włożyłam buty na małym obcasie, a on i tak wygląda przy mnie jak olbrzym.

Robi krok do przodu. Nie wygląda bynajmniej na uszczęśliwionego moim widokiem. Sprawia raczej wrażenie, jakbym była czymś, od czego nie może odwrócić wzroku, choć bardzo by chciał. Obejmuje mnie zdecydowanie zbyt krótko.

– Jak się masz? – pyta chłodnym, obojętnym tonem.

Czuję się, jakbym dostała pięścią w brzuch, i wściekam się na siebie, że w ogóle czegokolwiek od niego oczekiwałam.

– Dobrze – kłamię ochryłym głosem. – Naprawdę dobrze. Jutro wyjeżdżam do Nowego Jorku.

Kiwa głową i wysuwa dla mnie krzesło obok siebie. Zjedli już prawie cały lunch. Żałuję, że nie darowałam sobie tego cholernego prysznicza, bo mogłabym spędzić z nim więcej czasu, a jednocześnie żałuję, że w ogóle się zjawiłam.

Beth zaczyna opowiadać o nadchodzącym wystąpieniu Jo-sha przed Kongresem, które ma wygłosić pod koniec tygodnia.

– Musisz go zobaczyć w rządowej stacji C-SPAN, jeśli tylko będziesz mogła – nalega

z dumą w oczach.

Josh jęczy cicho, przesuując dłonią po twarzy.

– Mamo, musisz przestać namawiać ludzi do oglądania C-SPAN. Zwłaszcza tych, którzy tego samego dnia pojawiają się w telewizji w najlepszym czasie antenowym.

Zna mój harmonogram. Boże, chciałabym, żeby to coś znaczyło. Ale on ledwo na mnie patrzy.

– Po prostu jestem z ciebie dumna, kochanie – mówi do niego Beth, odchylając się do tyłu, aby kelnerka mogła zabrać jej talerz. – Poza tym Drew to praktycznie rodzina. – Ścisną moją dłoń. – Dziękuję bardzo za szal i słodką karteczkę. Przykro mi, że nie ułożyło ci się z Joelem, ale oboje jesteście młodzi. Jeszcze wszystko może się zdarzyć.

Josh gwałtownie kieruje na mnie wzrok. Dostrzegam w jego oczach zaskoczenie i... coś jeszcze innego.

Nie wiedział. Nie mam pojęcia, czy to coś zmieni między nami, ale biorąc pod uwagę sposób, w jaki teraz na mnie patrzy, istnieje taka możliwość.

Jim reguluje rachunek, podczas gdy Beth wypytuje o moje plany. Chwilę później wszyscy wstajemy już od stołu. Obawiam się, że moja szansa na zmianę cegokolwiek między mną a Joshem przepadła.

– Josh, kochanie, chcę jeszcze pójść do sklepu z pamiątkami – oznajmia Beth. – Odbierzesz samochód? Spotkamy się przed hotelem.

Kiwa głową, nie odrywając ode mnie wzroku. Ścisną jego rodziców na pożegnanie i zostajemy tylko we dwoje.

– No więc... – mówię nerwowo. To dla mnie za wiele. Wpatruję się w jego koszulę i skupiam na jej fakturze. Pewnie przypomina w dotyku papier ścierny, a gdybym jej dotknęła, poczułabym pod nią jego twardą klatkę piersiową.

– Chodźmy stąd – oznajmia nagle z taką stanowczością, że miękną mi kolana. Pozwalam mu się wyprowadzić z restauracji. – Gdzie jest twój pokój?

Ledwo udaje mi się wskazać w stronę domków, do których mnie prowadzi z dłonią na moich plecach, jakbyśmy byli parą. Otwieram nerwowo zamek. Domki w Chateau są dziwacznie staromodne: przypominają miejsca, w których jakieś gwiazdki z lat pięćdziesiątych w satynowym szlafroku mogłyby się zapaść na śmierć. Teraz żałuję, że nie zatrzymałam się w jakimś bardziej nowoczesnym miejscu dla zrównoważonych ludzi.

Otwieram drzwi, a Josh wchodzi za mną do środka, nie zwracając najmniejszej uwagi na pokój, w którym się zatrzymałam. Patrzy tylko na mnie. Chcę zapamiętać jego skórę, piękne usta, głęboko osadzone oczy. Przyglądam mu się uważnie, próbując znaleźć w jego twarzy wyjaśnienie, dlaczego tu ze mną przyszedł, żeby nie musieć o to pytać.

Robi krok do przodu. Ja też. Jakbyśmy byli magnesami i nie mogli przestać się do siebie zbliżać, dopóki nie przyciśniemy się do siebie mocno, skóra do skóry.

– Czemu mi nie powiedziałaś, że zerwałaś z Joelem? – pyta.

– Czy to by coś zmieniło?

Wsuwa mi rękę we włosy i ujmuję moją twarz w sposób, który mnie zaskakuje i zapiera mi dech w piersiach.

– Chyba nie pytasz poważnie.

A potem mnie całuje. Ale nie tak, jak na lotnisku. Tym razem całuje mnie tak, jakbyśmy odnaleźli drogę do siebie poprzez wojny, pustynie i dekady i jakby przez cały ten czas modlił się o tę chwilę.

Usadawia mnie na małym stoliku za mną, opiera dłonie o mojego nagie uda i zaczynamy całować się gorączkowo. Wydaję z siebie jęk, a on się cofa.

– Drew – szepcze z zamkniętymi oczami. Zaraz się ze mną pożegna. Nie mogę mu na to pozwolić.

– Zostań.

Jego usta zatrzymują się na moich, a dłonie prześlizgują się po mojej skórze – wędrują po udach, pośladkach i wyżej – jakby próbował mnie całą wydotykać.

– Muszę odwieźć rodziców. Tata nie jeździ po mieście.

I oczywiście nie może im powiedzieć, dlaczego chciałby tu zostać.

– Będziesz mógł tu wrócić? – pytam, chwytając go za koszulę.

– Tak, wrócę – mówi, a jego usta unoszą się lekko w uśmiechu. – Na pewno.

DWIE GODZINY PÓŹNIEJ słyszę pukanie do drzwi.

Od jego wyjścia posprzątałam pokój i zaścieliłam łóżko, ukrywając wszystkie dowody swojej depresji. Znowu wzięłam prysznic, ogoliłam każdy centymetr skóry, nawilżyłam ją balsamem, włożyłam lepszą bieliznę, a potem założyłam to samo ubranie, żeby się nie poznał.

Jestem niedorzecznie zdenerwowana i zdecydowanie zbyt trzeźwa. Chciałabym się czegoś napić. Żałuję, że nie wypiałam jakichś dziesięciu drinków.

Jest w szortach i koszulce. To mój nowy ulubiony strój. Próbuje stłumić uśmiech, ale jego oczy się mrużą, a w policzku ukazuje się dołeczek. Nigdy nikogo tak nie pragnęłam, jak jego, i nikt mnie tak nie onieśmielał.

– Podać ci coś? – pytam. – Muszę się napić.

Chwytam butelkę szampana z wiadra z lodem dostarczoną przez Bóg wie kogo i Bóg wie z jakiej okazji, ale Josh wyjmuję mi ją z ręki.

– Nie potrzebuję alkoholu. – Wyciąga zręcznie korek, czym mnie zaskakuje. Nie spodziewałam się po nim dużego obycia z szampanem. – Mam się martwić, że musisz się napić w chwili, gdy tylko tu wszedłem?

Wskakuję na blat i wyjmuję kieliszek szampana, jakbym była tamtą dziewczyną, której nic nie obchodzi. Ale on łapie moje spojrzenie i jego wzrok zmusza mnie do szczerości.

– Jestem zdenerwowana. Denerwuję się przy tobie.

Jego górna warga unosi się z zadowoleniem na pół sekundy, kiedy nalewa mi trunek.

– Dopiero co spędziłaś ze mną kilka dni, brnąc w błocie i ryzykując życiem. Spaliśmy nawet razem w namiocie. Dlaczego denerwujesz się właśnie teraz?

– Bo wtedy nie miałam zamiaru się z tobą przespać.

Drzę na widok jego ciemniejszego, dzikiego, niebezpiecznego i pewnego siebie spojrzenia.

– A teraz masz?

– Możemy zagrać w Monopoly, jeśli wolisz.

– Monopoly to głupia, popieprzona gra – oznajmia, stając między moimi nogami. Postanowił coś. Znowu drzę.

– Rozumiem, że nie jesteś w niej zbyt dobry.

– Skopałbym ci w niej tyłek. – Wyjmuję kieliszek szampana z mojej ręki.

Przyciąga moje biodra do swoich, prześlizguje się wzrokiem po mojej twarzy, a potem pochyła się i mnie całuje. Ale ten pocałunek przypomina miłosne szepty, muśnięcie warg delikatne jak oddech.

– Tak naprawdę nigdy wcześniej tego nie robiłam – szepczę. – To znaczy nie byłam w tym w pełni obecna. Zwykle musiałam coś wypić lub wziąć. Byłam na wpół śpiąca lub po prostu... odpływałam.

Zatrzymuje się na chwilę i mi się przygląda.

– Dlaczego?

Wzruszam ramionami. Wiem, że to brzmi dziwnie. Połowa moich piosenek jest o seksie, a prawda jest taka, że mnie on przeraża.

– To zbyt... intymne. Nie potrafiłam z nikim być tak blisko, ale z tobą chciałabym inaczej.

– Chcę prawdziwej ciebie – Odgarnia mi włosy z twarzy. – Nie udawaj, że wszystko jest w porządku, jeśli tak nie jest, dobrze?

Kiwam głową i przyciągam go z powrotem do siebie. Moje napięcie znika, gdy znów mnie całuje, bo jest w tym cholernie dobry. Tysiące razy byłam całowana przez mężczyzn, którzy traktowali to jedynie jako irytujący przystanek przed rozpoczęciem prawdziwej podróży, a Josh całuje tak, jakby to całowanie było wszystkim, czego mu trzeba.

Czuję się, jakbym była z ciepłego powietrza i niczego więcej. Jakbym mogła odfrunąć, gdyby nie trzymał mnie w ramionach, lub roztopić się w kałużę u jego stóp.

Jego dłonie wędrują do mojej jedwabnej koszulki, wsuwają się pod nią i przesuwają po mojej skórze. Stwardniałe kciuki muskają moją klatkę piersiową i piersi od dołu. I już samo to muśnięcie wystarcza, abym poczuła jego dotyk na całym swoim ciele.

Żaden mężczyzna nie sprawił jeszcze, aby zaparło mi dech w piersiach od tak delikatnego dotyku, ale nikt mnie nigdy nie uwodził tak jak on: jakbym była czymś cennym i kruchym, czymś, czym należy się delektować.

– Wszystko w porządku? – pyta. Napiera teraz na mnie twardy jak stal.

– Tak, to było westchnienie przyjemności – odpowiadam bez tchu.

Jego palce przesuwają się na moje plecy i rozpinają mi stanik bez ramiączek, po czym wyjmują go spod koszulki z wyćwiczoną łatwością.

Odchyła głowę na tyle, by spojrzeć na moje piersi. Moje stwardniałe sutki przebijają teraz mocno przez gładki jedwab, ocierając się o niego z każdym oddechem.

Kręci głową.

– Torturowałaś mnie podczas tych przeklętych wakacji. – Przesuwa dłonią po śliskim materiale na wysokości sutka, a potem muska go kciukiem i drażni palcem wskazującym. Wyginam się pod jego dotykiem, a moje uda zaciskają się po jego bokach. Czuję jego dotyk na całym ciele. – Przechodziłem męki, starając się na ciebie nie patrzeć – mruczy i pochyla się, żeby wziąć jeden z moich sutków w zęby przez jedwabny materiał. Jest coś dziwnie erotycznego w tym, że jeszcze mnie nie rozebrał, i w dotyku mokrego jedwabiu na mojej wrażliwej skórze.

Zaciskam nogi wokół jego talii, próbując przyciągnąć go do siebie bliżej. Kołyszę biodrami, ocierając się o niego desperacko. Nie wytrzymam nawet dziesięciu sekund bez niego w moim wnętrzu. Sięgam po guzik jego szortów.

Jego usta wciąż są na mojej piersi. Unosi brew i zatrzymuje moją rękę.

– Spiesz ci się?

– Jestem gotowa – mówię, żeby nie użyć znacznie prymitywniejszych słów, których zwykle używam w takich sytuacjach. Nie mam pojęcia, dlaczego nagle zrobiłam się taka nieśmiała. Może po prostu nie chcę być dzisiaj Drew Wilson? Bezwstydna gwiazdą popu, która śpiewa o seksie bez cienia zażenowania? Z Joshem pragnę być po prostu prawdziwą sobą. I ta dziewczyna jest zawstydzona, a nawet trochę przestraszona tym wszystkim.

Przesuwa ręką po moim udzie i wkłada ją między nogi, a wyraz jego twarzy zmienia się w chwili, gdy wyczuwa palcami moje wilgotne stringi. Jakby przepływała między nami elektryczność.

– Rzeczywiście jesteś – mówi, odsuwając dłoń, po czym bierze mnie na rękę i niesie do sypialni. – Ale marzyłem o tym tak długo, że chcę się tym delektować.

Owijam nogi wokół jego talii. Niesie mnie tak, jakbym była lekka jak piórko.

– Jeszcze tydzień temu nawet mnie nie lubiłeś – prychnęłam.

– Nieprawda. – Kładzie mnie na łóżku. – Poza tym oddałbym za to wszystko, co mam, nawet gdybym cię nie lubił.

– Może by mi to nawet schlebiało, gdybyś cokolwiek miał.

Śmieje się, klękając między moimi nogami, żeby w końcu zdjąć mi koszulkę. Prześlizguje się wzrokiem po mojej nagiej skórze. Nikt jeszcze tak na mnie nie patrzył: jakbym była legendarnym za-gubionym Graalem.

– Czuję się nieco zbyt naga – mówię. – I nie obracaj tego w żart o tej pieprzonej piosence, bo cię zabiję. To znaczy najpierw bym cię zabiła, a potem uprawiała seks z twoimi zwłokami, jeśli to w ogóle możliwe, ale nie ulega wątpliwości, że skończyłbyś martwy.

Śmieje się cicho, rozpina koszulę i rzuca ją za siebie.

– Teraz lepiej? – pyta.

Jedyne, co mogę zrobić, to pokiwać głową z aprobatą, nie odrywając oczu od jego idealnej klatki piersiowej. Widziałam go bez koszulki już wiele razy, ale nie w taki sposób. Nigdy nie unosił się nade mną, taki duży i taki... mój. To niemalże zbyt wiele do zniesienia, a jednocześnie za mało. Nigdy nie zdołam się nim nasycić.

– Chodź tutaj – mówię, wyciągając rękę. Jego naga klatka piersiowa dotyka mojej, a skóra ociera się o moją skórę. To takie upojne i odurzające uczucie. Chciałabym móc zatrzymać go przy sobie na zawsze, ale to wszystko prawdopodobnie dzieje się tylko dlatego, że nie mogę tego zrobić. Dzięki temu Josh jest dla mnie bezpieczny.

Jego usta przesuwiają się na moją szyję, a ręka wsuwa pod majtki. Z ust wydobywa mi się jęk, którego nie mogę powstrzymać.

– Jezu – szepcze. Ruchy jego silnych palców odbierają mi zdolność racjonalnego myślenia. Zsuwa mi majtki na uda, a ja zrzucam je z siebie, sięgając ku niemu. Odpinam guzik jego szortów i zsuwam mu bokserki na tyle, aby zobaczyć tatuaż, którego fragment kiedyś podglądnałam: to dziwna gwiazda z węzłem owiniętym wokół jakiejś laski pośrodku.

– Zastanawiałam się, co to jest – mówię mu głosem ochryplym z pożądania.

Spogląda na moje palce przyciśnięte do tatuażu i jego nozdrza rozszerzają się, jakby już ten niepozorny dotyk był dla niego zbyt intensywny.

– To Gwiazda Życia – mówi. – Symbol medycyny ratunkowej. Przegrałem zakład i taki tatuaż wybrali dla mnie przyjaciele.

Dobrze wybrali.

– A do czego mnie zaprowadzi dalsza eksploracja? – pytam, wsuwając rękę głębiej w jego bokserki, aż chwytam go w dłoń, gorącego i mocnego.

Nieruchomieje na chwilę, a jego powieki opadają.

– Kurwa – mruczy. – Drew... Minęło naprawdę sporo czasu. – Ledwo wydobywa z siebie słowa zduszonym głosem.

– To dobrze – szepczę. – Bo będziemy mogli to wkrótce powtórzyć.

Śmieje się boleśnie, gdy głaszczę go dłonią, od nasady do czubka. Jest długi, gruby i gładki. Jego dłoń owija się wokół mojego nadgarstka, aby mnie powstrzymać.

– Nie sądzę, abyś musiała się o to martwić.

Muszę go puścić, bo cofa się i schodzi z materaca. Zrzuca szorty i bokserki, po czym wyjmuję z portfela prezerwatywę. Łóżko zapada się pode mną, gdy Josh klęka między moimi nogami, żeby ją sobie nałożyć. Jestem podniecona i lekko oszołomiona widokiem jego męskości między moimi udami. Jest doskonały. Wszędzie.

I choć leżę teraz naga z szeroko rozstawionymi nogami, pod wygłodniałym, gorącym spojrzeniem Josha czuję się seksowna i pełna mocy, a nie odsłonięta i podatna na zranienie.

Pochyla się i składa pocałunek na moim brzuchu, a potem między piersiami. Unosi się

nade mną, napierając na mnie między nogami i przyglądając mi się z powagą, jakby to wszystko było najważniejsze na świecie. Trudno mi znieść taką intymność, więc zamykam oczy, kiedy zaczyna we mnie wchodzić.

– Nie – protestuje. – Chcę, żebyś mnie widziała. Żebyś nie miała wątpliwości, z kim teraz jesteś.

– Widzę – szepczę, a on wciska się we mnie. Powoli. Czuję każdy kolejny centymetr, aż w końcu jest cały we mnie – tak duży i doskonały, że odczuwam wręcz przytłaczającą przyjemność. Jakimś cudem udaje mi się nie opuścić powiek i cieszę się z tego, bo mogę obserwować jego reakcję. Jego długie rzęsy opadają na chwilę, a usta wypowiadają bezgłośnie: „Boże”.

Mruczy, wsuwając się we mnie. Patrzę, jak wciąga powietrze przez zęby, gdy się wycofuje, i przymyka oczy, kiedy znów mnie wypełnia. Kryje twarz w mojej szyi i przyciska usta do skóry.

– Teraz to ty na mnie nie patrzysz – mówię z zapartym tchem, gdy się wycofuje.

– Przez cały czas widzę tylko ciebie – odpowiada.

Ach. Rozkoszuję się tym, bo wiem, że to prawda, ale Josh wypowiada ją, jakby wołał się do niej nie przyznawać. Nie mówi tego, żeby mnie oczarować, ale po prostu dlatego, że nie chce kłamać.

Idealnie do siebie pasujemy. Gdybym nie była taka mokra, mogłabym być dla niego zbyt ciasna, ale moja wilgoć sprawia, że rozkoszuję się tarciami.

W moim wnętrzu narasta cudowne napięcie. Chcę to z nim robić całą noc, tak wolno, jak to tylko możliwe, aż w końcu rozpląnę się cała z rozkoszy.

Obejmuję go nogami, przyciskam się do niego mocniej i teraz to napięcie zaczyna żyć własnym życiem.

– Szybciej – błagam.

– Jezu, zaraz dojdę. – Krzywi się, ale spełnia moją prośbę. Gwiazdy pojawiają mi się przed oczami, kiedy Josh wchodzi we mnie coraz szybciej i głębiej z każdym kolejnym pchnięciem. Przywieram do niego, trzymając się go rozpaczliwie. A potem nie mogę już dłużej utrzymać oczu otwartych i światło wybucha pod moimi powiekami. Dochodzę, wykrzykując jego imię, i moja głowa opada do tyłu. Ledwo zdaję sobie sprawę z jego ostatnich mocnych pchnięć, a już kilka sekund później czuję nad sobą jego drżące ciało.

Pada obok mnie i krzywi się, zdejmując i zawiązując prezerwatywę. A potem przyciąga mnie do siebie.

– Pragnąłem tego od tak dawna, że gdybyś zapytała mnie o to godzinę temu, powiedziałbym, że to nie może spełnić moich oczekiwań – wyznaje. – Ale było lepiej, niż mogłem to sobie wyobrazić.

Zerkam na niego.

– Jakoś nie chce mi się wierzyć, że pragnąłeś tego od tak dawna – odpowiadam. – W końcu jeszcze kilka tygodni temu twoim głównym zmartwieniem było to, żebym na ciebie nie wymiotowała.

Śmieje się.

– Pragnąłem cię od pierwszego wieczoru, kiedy cię zobaczyłem – mówi. – Zeszłego lata na przyjęciu.

– A zachowywałeś się na nim, jakbyś mnie nienawidził.

Krzywi się na samą wzmiankę o tym. Grymas na jego twarzy przypomina smutny, przepraszający uśmiech.

– Czasem łatwiej jest kogoś nienawidzić, niż przyznać, jak bardzo jesteś wściekły, że ta

osoba jest poza twoim zasięgiem – mówi, naciągając na nas kołdrę.

I wtedy oboje przypominamy sobie, dlaczego tak myślał. Czy dręczą go teraz wyrzuty sumienia? Bo mnie tak, chociaż Six nigdy nie postępował jak należy i trudno mnie winić za zerwanie z nim.

– Co powiedziałaś rodzicom? – pytam.

– Myślę, że wyszedłem z przyjaciółmi – odpowiada, przeczesując włosy palcami. – Nie znoszę tajemnic, ale mama nie może się o tym dowiedzieć. Ciągle się ludzi, że pewnego dnia zbliżymy się do siebie z Joelem. Chyba przede wszystkim zależy jej na tym, żeby miał kogoś, na kim będzie mógł polegać, kiedy ona odejdzie. Byłaby zdruzgotana, gdyby się o nas dowiedziała.

Zmuszam się do uśmiechu. Jego słowa nie powinny mnie tak boleć, ale jakaś część mnie zastanawia się, czy aby na pewno chce zachować to w tajemnicy wyłącznie ze względu na Beth. Nie jestem typem kobiety, o którą staraliby się jego koledzy lekarze.

– Nic nikomu nie powiem – mówię. – Przeskakiwanie od jednego brata do drugiego nie poprawiłoby mojego wizerunku.

Nie mogło się nam udać, ale dopiero teraz dociera do mnie, że kiedy już wyjdzie z tego pokoju, prawdopodobnie nigdy więcej go nie zobaczę. Mieszka w jakimś okropnym, targanym wojną kraju i nie planuje go opuścić, a gdyby nawet planował, musiałby okłamywać wszystkich swoich bliskich, abyśmy mogli być razem.

Unosi się na przedramieniu i odgarnia mi włosy z twarzy.

– Naprawdę cię lubię, Drew. Gdybym teraz nie wyjeżdżał... Nie wiem, czy byłbym w stanie trzymać się od ciebie z daleka.

Co do mnie, to nie wiem, czy bym sobie na to wszystko pozwoliła, gdyby właśnie nie wyjeżdżał. Ale to trochę za dużo prawdy jak na ten moment, a czas ucieka.

Dlatego zamiast mu to wyznawać, przyciągam go do siebie i staram się nie myśleć o tym, że to się zaraz skończy.

JOSH

Trudno mi uwierzyć, że jeszcze kilka tygodni temu nie mogłem się doczekać tego wystąpienia w Waszyngtonie. Co prawda już wtedy wiedziałem, że przebywanie z politykami udającymi autentyczną troskę o stan obozów somalijskich uchodźców będzie straszliwie nużące, a oni ledwo zdołają się zmusić do wysłuchania mojej przemowy. Byłem jednak podekscytowany możliwościami, jakie może to przed nami otworzyć. Gdyby udało się uzyskać większe fundusze, moglibyśmy wzmocnić bezpieczeństwo na tyle, aby sprowadzić tam przynajmniej przyzwoity zespół medyczny.

A jednak nawet to błędnie teraz na tle wspomnienia nagiej Drew rozciągniętej na łóżku w poniedziałek rano pod cienkim prześcieradłem.

Jak by zareagowała, gdybym jej powiedział, że muszę się z nią jeszcze zobaczyć przed wyjazdem? Prawdopodobnie wpadłaby w panikę.

Od kiedy się z nią rozstałem cztery dni temu, wymieniliśmy zaledwie kilka zwyczajnych, dowcipnych SMS-ów, choć tak naprawdę mam ochotę do niej pisać co minutę. Chciałbym jej wyznać, że nie mogę zapomnieć tamtej niedzielnej nocy i że już wcześniej miałem na jej punkcie obsesję, a teraz czuję się tak, jakbym już nigdy nie miał zaczerpnąć pełnego oddechu, jeśli nie uda mi się jej znów zobaczyć.

Po porannych przemówieniach przechodzimy do standardowego cholernie nudnego lunchu w jadalni Senatu, gdzie telefony są zakazane, a menu wygląda jak z lat czterdziestych – same dania mięsne z sosem.

– Dotarła do mnie plotka – zagaduje siedzący obok mnie senator – że twój brat jest gitarzystą w Breaking Milk.

Wszyscy podnoszą głowy i nagle jestem obiektem zainteresowania przy stole.

Wzdycham. Co jest nie tak ze społeczeństwem, że mój brat idiota jest dla nich fascynujący, a nudzi ich trudna sytuacja głodujących dzieci i osób po amputacji kończyn dokonywanych bez odpowiedniego sprzętu medycznego?

– Tak – odpowiadam, krojąc pieczeń. – To prawda.

– O Boże – mówi siedząca po drugiej stronie stołu kobieta przed trzydziestką. Sprawiała wrażenie rozsądnej osoby... Aż do teraz. Patrzy na mnie z szeroko otwartymi oczami i ustami, jak nastolatka. – Właśnie spędził urlop na Hawajach. Byłeś tam z nim?

– Tak, na rodzinnych wakacjach. – Próbuję się uśmiechnąć, ale przypomina to raczej drgnienie ust.

– A więc znasz Drew Wilson? – pyta i nagle wszyscy zastygają w milczeniu.

Zgrzytam zębami. Nie podoba mi się, że ktokolwiek łączy Drew z moim bratem. Nie powinna z nim być nawet przez chwilę.

– Poznaliśmy się – odpowiadam ostrożnie.

– Czy są zaręczeni? – dopytuje kobieta. – Słyszałam, że zaręczyli się na Hawajach.

Śmieję się z irytacją.

– Nie – odpowiadam i zmuszam się do poprzestania na tym, zanim powiem za dużo. Zanim wypalę, że go rzuciła, a on już nigdy jej nie dotknie.

Tylko że... Czy to w ogóle prawda? Obracają się w tych samych kręgach. Czy wpadną na

siebie na jakiejś imprezie? Czy zapomni o tych wszystkich powodach, dla których straciła nim zainteresowanie? Już wcześniej sama myśl o nich razem mnie irytowała. Teraz mam ochotę przebić pięścią ścianę.

Wstaję, kładę serwetkę na krześle i przepraszam zebranych. Wychodzę na korytarz i wyciągam telefon. Nie wiem, co mam jej napisać ani co w ogóle chciałbym osiągnąć. „Przysięgnij mi, że nigdy nie wrócisz do Joela” zabrzmiałoby okropnie zazdrośnie i desperacko, chociaż właśnie to chciałbym jej teraz powiedzieć. Zaglądam do skrzynki z wiadomościami. Najnowszy SMS jest od niej.

DREW: Właśnie widziałam cię w telewizji.

To wystarczy, żebym się uśmiechnął mimo całej swojej idiotycznej zazdrości. I żebym uświadomił sobie dobitnie, jak bardzo za nią tęsknię, a ta jedna wspólna noc w LA absolutnie mi nie wystarczyła.

JA: Nie sądziłem, że oglądasz C-SPAN.

DREW: Och, namiętnie. Oczywiście gdy tylko nie śpiewam o tym, jak bardzo kocham nagość. Masz na sobie garnitur!

JA: Wiedziałem, że będziesz się ze mnie naśmiewać.

DREW: Kusiło mnie to, ale wyglądasz naprawdę dobrze. To mój nowy ulubiony strój. Chociaż, szczerze mówiąc, wyobrażam sobie głównie, jak go zdejmujesz.

Mój umysł natychmiast podsuwa mi obraz Drew leżącej na hotelowym łóżku i przyglądającej się, jak zdejmuję krawat. Podnosi przy tym spódnicę coraz wyżej i rozsuwa szeroko nogi. Kurwa.

JA: Teraz i ja to sobie wyobrażam.

DREW: Wyobrażasz sobie, jak się rozbierasz? To chyba dla ciebie nic nowego, nieprawdaż?

Śmieję się.

JA: Ty też tam jesteś.

DREW: Przyjedź do Nowego Jorku, a twoja fantazja się ziści.

Nagle brakuje mi tchu, a serce bije mi mocno. Czuję ten dziwny przypływ testosteronu, jakbym znów był nastolatkiem. Minęło bardzo dużo czasu, odkąd olałem swoje obowiązki dla kobiety.

To byłoby niewiarygodnie nieodpowiedzialne z mojej strony, ale i tak wiem, że do niej pojadę, jeśli naprawdę mnie tam chce.

Odpisuję jej, że mogę przyjechać, a potem czekam na jej odpowiedź, wstrzymując oddech i patrząc na podskakujące na ekranie kropki.

DREW: Peninsula. Zostawię ci klucz pod hasłem „seksowny wiking”. NIE ZDEJMUIJ garnituru, dopóki nie przyjdę.

DREW

Programy typu talk show to dla mnie zwykle istna zmora – przypominają tory przeszkód z minami lądowymi i ruchomymi piaskami. Prowadzący zarzucają mnie przeróżnymi pytaniami o moje życie miłosne i dzieciństwo, a nawet zastanawiają się na głos, jak udało mi się osiągnąć tak wielki sukces, skoro tysiącom bardziej utalentowanych kobiet to nie wyszło. Nie wolno mi źle o nikim mówić i muszę być ogromnie wdzięczna wszystkim, których nienawidzę: mojemu menedżerowi, rodzinie, wytwórni płytowej. Jeden niewłaściwy ruch i w ciągu kilku godzin obsmarują mnie w wiadomościach i mediach społecznościowych.

Dziś jednak schrzanienie wywiadu nie wydawało mi się wcale najgorszą rzeczą, jaka mogła mi się przytrafić. Zamiast tego martwiłam się raczej, że coś może zatrzymać Josha albo mnie i nie zdołam się z nim zobaczyć. Gdyby w trakcie programu okazało się, że grozi nam atak nuklearny, moim głównym zmartwieniem byłby jego wpływ na rozkłady jazdy pociągów.

Nie rób sobie nadziei, powtarzam sobie. Pewnie się już opamiętał. A jednak nie mogę się wyzybyć nadziei na spotkanie z Jo-shem. Udzielam jak najkrótszych odpowiedzi, z roztargnieniem odrzucam zaproszenie gospodarza na jakieś przyjęcie i praktycznie rzucam się biegiem do czekającego na mnie samochodu.

Wybieram jego numer, zanim jeszcze się usadowię na siedzeniu.

– Jesteś już w hotelu? – pytam bez zbędnych wstępów.

– Nie – mówi z lekką irytacją. – Coś się wydarzyło na torach w pobliżu Philly. Mamy opóźnienie. Wjeżdżam dopiero na stację.

– Jesteś na stacji Penn? Właśnie wracam samochodem do hotelu. Przyjadę po ciebie.

– Nie musisz – mówi, a dobiegające mnie odgłosy potwierdzają, że jest już na stacji. –

Wezmę taksówkę.

Nie wiem, jak mu wytłumaczyć, że nie chcę tracić ani minuty więcej bez niego. Nie potrafię wyjaśnić też związanego z tym dziwnego niepokoju ani paniki na myśl, że mógłby błąkać się o tak późnej porze po tej stacji, chociaż sama się po niej błąkałam, nie martwiąc się zupełnie o swoje bezpieczeństwo. Czy to możliwe, że on też czuł coś podobnego, gdy zobaczył, jak wychodzę pobiegać w nocy na Waikiki?

– Będziemy tam za dwie minuty – mówię, nawiązując kontakt wzrokowy z kierowcą w lusterku wstecznym, który kiwa głową. – Wyślij mi swoją lokalizację. I nie daj się napaść.

Śmieje się.

– Spokojnie pokonałbym dziesięciu facetów naraz. Co najmniej. Filmy Tarantina wypadają cholernie słabo przy moich umiejętnościach.

– Brzmisz nedorzecznie – odpowiadam, odczuwając niezrozumiałe rozdrażnienie.

Docieramy do wejścia w pobliżu skrzyżowania Ósmej i Trzydziestej Pierwszej. Wpatruję się w morze ludzi, pragnąc, aby jeden z mrocznych kształtów wokół nas nagle zamienił się w Josha. Kiedy w końcu go dostrzegam – w garniturze i płaszczu, z torbą przewieszoną przez ramię – czuję się, jakbym została stworzona z wystrzeliwującego we mnie konfetti i musującego szampana.

Opuszczam tylną szybę.

– Hej, wielkoludzie. Chcesz się zabawić?

Jego twarz rozjaśnia się w półśmiechu. Podchodzi do samochodu, otwiera drzwi i wsuwa się na siedzenie obok mnie wraz z podmuchem zimnego powietrza połączonym z ciepłym jego oddechem.

Kierowca taktownie podnosi przyciemnianą szybę wewnątrz taksówki.

– Hej – mówi Josh. Odwraca głowę w moją stronę i splata lodowate palce z moimi ciepłymi, po czym przyciska mocno usta do moich ust, jakby nie mógł się powstrzymać.

Kiedy się ode mnie odsuwa, dotykam dłonią jego twarzy. Chciałabym wpatrywać się w nią już całą wieczność. Wydaje się, że on też nie może odwrócić ode mnie wzroku.

– Naprawdę się cieszysz, że mnie widzisz – szepczę.

– Odbylem właśnie trzyipółgodzinną podróż pociągiem, żeby spędzić z tobą noc. Naprawdę cię to dziwi? – Unosi brew.

Odpowiedź brzmi zarówno tak, jak i nie.

Nie, kiedy myślę o facecie, z którym biegałam i który czuwał nade mną jak jastrząb przez całą drogę błotnistym, zdradliwym szlakiem Kalalau, a potem pocałował mnie na lotnisku, jakby miał umrzeć, gdyby tego nie zrobił.

Ale kiedy myślę o doktorze medycyny Joshui Baileyu, chłodnym, błyskotliwym i onieśmielającym, przemawiającym przed senatorami z ledwo skrywaną pogardą, hojnym, bezinteresownym i zdecydowanie dla mnie za dobrym – tak, to trochę zaskakujące.

– Chyba nie – odpowiadam. – Robię naprawdę dobrego lodzika. – Uśmiecham się, ale on nie podłapuje żartu.

– Nie dlatego tu jestem – mówi, patrząc mi w oczy. Coś w jego wyrazie twarzy i tonie głosu napomina mnie: „Nie spływaj tego. Nie rób z tego nic nieznaczącej przygody, jakie miałaś wcześniej”.

– Tak, wiem. – Przelykam ślinę. – Przepraszam.

Unosi mój podbródek palcem wskazującym. Jego usta ocierają się o moje, a potem przyciskają do moich warg i tam pozostają, jakby mną oddychał.

– Nie przepraszaj. Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie liczyłem na lodzika w ciągu najbliższych siedmiu godzin.

– Mogę poprosić kierowcę, żeby zrobił jeszcze jedno okrążenie. – Zerkam na przyciemnianą szybę.

– Kurwa. – Zamyka oczy. – Wystarczyło, że o tym wspomniałaś, Drew, a ja już jestem twardy.

Puszczam jego dłoń i przesuwam nią po jego biodrze, aż do pachwiny. Nie kłamie. Rzeczywiście jest cudownie duży i twardy. Udaje mi się ścisnąć go mocno, zanim odsunie moją rękę.

– Nie tutaj – mówi przez zaciśnięte zęby.

– Nie? – pytam.

– Mam pewną konkretną fantazję na ten temat i prawdopodobnie będziesz chciała być przy tym naga.

Joshua Bailey o mnie fantazjuje. Mięsień w moim wnętrzu zaciska się tak mocno, że aż mnie to boli.

PRZYCIĄGA MNIE DO SIEBIE, gdy tylko zamykamy za sobą drzwi pokoju hotelowego. Zrzucamy z siebie płaszcze, a jego ręce przesuwają się na moje uda, gdy ściągam buty na obcasach.

Szarpię go za pasek, ale zaraz się zatrzymuję.

– Poczekaj – mówię, po czym podchodzę do łóżka i kładę się na poduszkach. – Teraz możesz się rozebrać.

Uśmiecha się szeroko. Powoli, uwodzicielsko ściąga z siebie marynarkę, patrząc mi prosto w oczy. Jego koszula jest gładka jak szkło dopasowujące się do jego umięśnionej klatki piersiowej. Unosi brew.

– Wystarczy?

– Nie ma mowy. – Śmieję się. – Teraz koszula.

Kąciaki jego ust unoszą się w uśmiechu.

– Czuję się uprzedmiotowiony – mówi, rozpinając szybko guziki, a potem szarpie za pasek, zanim jeszcze go o to poproszę, i rozpina zamek błyskawiczny w swoich starannie wyprasowanych spodniach. Przez cały ten czas obserwuje mnie z leniwym uśmiechem na twarzy.

Jego koszula spada na podłogę, a spodnie podążają za nią. Wybrzuszenie w jego bokserkach przyprawia mnie o zawrót głowy.

– Już... – zaczynam.

– Nie – kręci głową, podchodząc do łóżka. – Teraz moja kolej, Drew. Podciągnij sukienkę.

To krótka sukienka. Nie wymaga zbytniego podciągania. Zdejmuję majtki, zanim zdąży mnie o to poprosić, i rozkładam szeroko nogi. Przymyka powieki na chwilę, po czym klęka na krawędzi łóżka. Jego usta lądują na moim lewym udzie i poruszają się po nim w górę.

– Ja... – zaczynam.

– Ćśś – mówi i liże mnie po najwrażliwszym miejscu. – Twój czas dowodzenia się skończył.

Ściskam dłońmi prześcieradło po bokach, bo jedyne, co mi pozostało, to się go trzymać.

Z całych sił.

JEST ŚRODEK NOCY, a ja leżę z głową na jego klatce piersiowej i jego ręką na moim biodrze – tak jak wtedy w namiocie, tylko że teraz jesteśmy nadzy. Oboje powinniśmy się przespać, ale to nasze ostatnie wspólne chwile. Więcej go już nie zobaczę.

– Co będziesz robić przez resztę tygodnia? – pyta.

Mówię mu, że wkrótce czekają mnie kolejne wywiady na miejscu, potem wyjazd do Londynu na dwudniową imprezę prasową na rzecz organizacji charytatywnej, koncert, wywiady w Paryżu, kolejna impreza charytatywna, znowu wywiady, jeden wolny wieczór, a następnie dalsza trasa koncertowa zgodnie z planem.

– To sporo. – Przesuwa dłonią po moich plecach z brwiami ściągniętymi ze zmartwienia. Moje serce rozplywa się w reakcji na jego troskę.

– Dopiero co spędziłam dwa tygodnie na Hawajach, więc nie można powiedzieć, że nie miałam ostatnio czasu dla siebie. – Uśmiecham się.

– Co nie zmienia faktu, że to naprawdę morderczy harmonogram. Jak zamierzasz w ogóle funkcjonować w Londynie przez cały dzień po nieprzespanej nocy?

Patrzę na niego i wiem, że nie spodobałaby mu się odpowiedź na to pytanie. Spojrzałby na mnie z góry, gdyby wiedział, że gdy oczy zamykają mi się ze zmęczenia, Davis załatwia mi trochę kokainy lub czegoś podobnego, co postawi mnie na nogi. A przez wiele tych wydarzeń przechodzę niczym zwłoki z *Weekendu u Berniego*, wystrojone i przenoszone z miejsca na miejsca przez innych ludzi. Chcę, żeby pozostał tą jedyną osobą na świecie, której nie okłamuję, ale w tej chwili nie jestem jeszcze gotowa wyznać mu brzydkiej prawdy.

– Poradzę sobie – odpowiadam tylko krótko.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego to robisz. Nie powiedziałaś ani jednego słowa o tym gościu Davisie, z którego wynikałoby, że chciałabyś z nim przebywać.

– To Davis uczynił mnie tym, kim jestem. – Wzruszam ramionami. – Gdyby nie on, nadal grałabym na gitarze w jakiejś speluncie i spała na podłodze u znajomych.

– To nie byłoby takie złe w porównaniu z twoim obecnym życiem. Może byłabyś szczęśliwsza?

Może rzeczywiście bym była, ale zabrnęłam już za daleko. Powrót do tego, co było wcześniej, byłby teraz zbyt wielkim upadkiem.

– To trochę tak, jakbym skręciła w niewłaściwy zjazd na autostradzie. Chciałabym zawrócić, ale na razie nie ma takiej możliwości – wyjaśniam. – Ciągłe czekam, aż pojawi się wyczekiwana droga. Ty masz podobnie ze swoim obozem. Tutaj też mógłbyś zrobić dla tych ludzi wiele dobrego, wiesz? Byłeś wczoraj taki przekonujący. Gdybym tylko miała wam do zaoferowania wiedzę lub umiejętności, zaoferowałabym pomoc.

W słabym świetle dostrzegam dołeczek w jego policzku.

– Obawiam się, że nie jesteś obiektywna – mówi, a w jego niskim głosie słyszę czułość.

Tak, ma rację. Poszłabym za tym głosem wszędzie, gdzie tylko by chciał. A tym bardziej za tym dołeczkiem.

– Cóż, nigdy się nie dowiesz, jeśli nie spróbujesz – mówię. – Co powiesz na to? Zostawisz swoją ważną misję ratowania ludziom życia, a ja nagram piosenkę na gitarze akustycznej, która może się nie spodobać moim fanom.

– Tak, to brzmi uczciwie. – Śmieje się.

Wiem, że nie zmieni zdania. A poza tym nawet gdyby zmienił, i tak nie bylibyśmy razem.

Nic się nigdy nie zmieni. A ja jestem tym obrzydliwie rozczarowana.

JOSH

To ja zawożę mamę do onkologa. Mój ojciec – który przez lata głądził mi i Joelowi o honorze i byciu mężczyzną – jest zbyt zajęty pracą i pieprzeniem swojej sekretarki.

Zamieszkanie jak najdalej od mojego ojca było czymś w rodzaju mojej osobistej zemsty. Takim „wal się, stary”. Ale teraz moja matka umiera i moja zemsta obraca się przeciwko mnie. Tysiące kilometrów stąd nie będę mógł jej pomóc.

Czekałem na oficjalnie potwierdzenie z jej strony po powrocie do domu, choć domyśliłem się wszystkiego już w chwili, gdy wyszedłem na lotnisko w Honolulu i zobaczyłem tę desperację w jej oczach. Jej wyraz twarzy mówił: „Pozwól mi spędzić z wami te ostatnie wakacje. Pozwól mi udawać”.

Więc udawaliśmy razem. A teraz musimy się zmierzyć z faktami.

Onkolog wchodzi do gabinetu. Sugeruje wycięcie chorych części wątroby i poddanie mamy eksperymentalnemu leczeniu, a ona zgadza się na wszystko. Wie, że wkrótce umrze, ale chce jeszcze zyskać trochę czasu, żeby przed odejściem naprowadzić nas wszystkich na właściwą drogę.

Po raz kolejny pozwalam jej wierzyć w coś, co się nigdy nie wydarzy.

– Udało mi się przedłużyć trochę urlop – mówię jej w drodze do domu. – Mogę cię zabrać na założenie portu.

– Szkoda, że nie możemy zrobić razem czegoś przyjemniejszego, ale dziękuję. – Ścisną moją dłoń.

Zaciskam zęby. Nie mogę znieść myśli, że wkrótce wyjadę.

– Czy Drew się do ciebie odzywała? – pyta niespodziewanie.

Wypycham policzek językiem. Odkąd spędziliśmy razem czas w Nowym Jorku, Drew i ja piszemy do siebie setki razy dziennie. Jakbyśmy odkorkowali butelkę szampana i teraz nie wiem, jakim cudem miałbym ponownie umieścić w niej korek. Myślę o niej po przebudzeniu, biegając, jedząc i robiąc sobie dobrze.

Nigdy jeszcze nie miałem takiej obsesji na niczym punkcie. I nie chodzi tylko o seks, choć muszę przyznać, że gdy w przerwie jakiegoś wywiadu do mnie dzwoni i widzę ją na ekranie telefonu lub laptopa, a ona szepcze coś do mnie z łazienki i ma na sobie niemożliwie cienki podkoszulek, takie myśli wysuwają się na pierwszy plan.

Chcę wiedzieć, jak mija jej dzień, dlaczego wygląda na tak zaniepokojoną na samą myśl o wyjściu na scenę i dlaczego ciągle powtarza te same liczby przez sen. Pragnę ją rozbierać, warstwa po warstwie, aż dotrę do jej serca. A potem złożyć wszystko z powrotem, gdy już się upewnię, że nic jej nie jest.

– Drew? – Staram się przybrać obojętny wyraz twarzy. – Dlaczego miałyby się ze mną kontaktować?

– Tak dobrze się dogadywaliście pod koniec naszej wycieczki. Po prostu pomyślałam... – Przerzywa i wzrusza ramionami, a ja przez chwilę mam nadzieję na ulaskawienie.

„Pomyślałam, że coś mogło zajść między wami dwojgiem”, mogłaby powiedzieć. „Może gdyby nie spotykała się wcześniej z Joelem, moglibyście... no wiesz”.

– Myślałam, że mogła ci się zwierzyć – mówi zamiast tego matka. – Nadal wierzę, że ona

i Joel jeszcze się zejdą. Mogłaby być dla ciebie jak siostra, której nigdy nie miałaś.

– Mamo, zapewniam cię, że tak się nie stanie. – Moje ręce zaciskają się na kierownicy.
Zrobiłbym dla matki niemal wszystko, ale tego jej nie dam. Po prostu nie mogę.

DREW

Zgodnie z planem przybywam do Londynu po nieprzespanej nocy. Tutaj jest teraz ponury, szary poranek i godzina szczytu, a ja nie czuję się gotowa stawić czoła nadchodzącemu dniu.

Nie chodzi tylko o brak snu. Wczoraj Josh powiedział mi, że rak Beth wrócił i sytuacja nie wygląda dobrze. W zasadzie lekarze wydali już na nią wyrok śmierci. Nie mogę przestać myśleć o naszej wspólnej podróży po Hawajach. Przypominam sobie determinację Beth, aby wciąż robić coś, na co nie miała siły, jej wzruszenie, kiedy Six wreszcie do nas dołączył, i obsesję na punkcie jak najszybszego ożenku synów. Teraz jej zachowanie nabiera dla mnie większego sensu i odczuwam ból na samą myśl o jej bezinteresowności. Wielu ludzi w takim momencie skupiałoby się na sobie, ale Beth troszczyła się o swoje dzieci i miała jeszcze wystarczająco dużo miłości w swoim sercu, aby okazać ją mnie.

Wyciągam z torebki okulary przeciwsłoneczne i je nakładam, próbując ukradkiem wytrzeć łzy tak, żeby kierowca nie zauważył.

Joshowi zależy, aby jego matka mogła odejść ze spokojem, wiedząc, że on i Joel mogą na sobie polegać. Ja też chcę jej to dać, chociaż to właśnie z nią najbardziej na świecie chciałabym porozmawiać o Joshu. Kiedy pisze, że widziała mnie w telewizji, życzy mi szczęścia lub wysyła zdjęcia swoich psów – najbardziej na świecie pragnę jej odpisać: „Szalęję za Joshem. Jest najlepszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek poznałam, a ty naprawdę dobrze go wychowałeś”.

Łudzę się, że w innym życiu byłaby zachwycona.

Ocieram łzy i szykuję się do wyjścia, gdy samochód podjeżdża pod Mandarin Oriental. Davis i Ashleigh to pierwsi ludzie, których zauważam, kiedy wchodzę do środka. Wolalabym, żeby byli ostatnimi.

– Umówiłem cię z fryzjerką – mówi Davis. – Jest w twoim pokoju.

Mrugam w reakcji na te słowa. Część mnie jest już gotowa się podporządkować, jak zawsze, ale inna, z którą mam kontakt dopiero od niedawna, krzyczy: Za kogo ty się masz, do cholery? Wiadomość o nowotworze Beth zmieniła nieco moje podejście. Jej fatalny stan zdrowia przypomina mi, że są w życiu gorsze rzeczy niż narażenie się na gniew Davisa.

– W takim razie możesz jej powiedzieć, żeby wyszła – odpowiadam.

Zaciska szczęki z wściekłości i wyraźnie chce mi zagrozić pozwem, ale nasz kontrakt nie wspomina ani słowem o moim kolorze włosów. Nie mam jednak najmniejszych wątpliwości, że znajdzie jakiś sposób, żeby się za to na mnie zemścić.

MUSZĘ PRZYZNAĆ, że Davis jest cholernie konsekwentny. Aby ukarać mnie za ten ciężki grzech, którym jest fakt, że preferuję swój naturalny kolor włosów, zasypuje mnie kolejnymi zobowiązaniami: dodatkowymi wywiadami i spotkaniami. Padam na łóżko dopiero o drugiej w nocy, a już o piątej puka do moich drzwi, żeby przygotować mnie na kolejny morderczy dzień.

Kiedy trzeciego dnia docieramy do Paryża, jestem już tak wyczerpana, że wyglądam i mówię jak pijana, odpowiadając na pytania.

– Jak ktokolwiek miałby pomyśleć, że nie bierzesz narkotyków? – warczy Davis. – Nie

rozpoznajesz nawet nazwy swojego cholernego albumu.

Wyjmuje małą srebrną fiolkę i wkłada mi ją do ręki.

– Weź kreskę w łazience i doprowadź się do porządku.

Zaciskam mocno powieki sfrustrowana, przybita i na granicy płaczu. Całe moje życie wydaje mi się teraz nieskończonym ciągiem problemów stworzonych przez Davisa, które następnie rozwiązuje w równie problematyczny sposób.

Ale biorę kreskę, bo nie widzę teraz innego rozwiązania, a potem powtórzę to przed wyjściem na scenę wieczorem, ponieważ – jak zawsze – najważniejsze jest zachowanie pozorów, że jakoś się trzymam.

Jestem tak zmęczona, że zapominam, w jakim mieście się znajduję.

– Dziękuję... – krzyczę do publiczności pod koniec występu. Już mam dodać „Berlinie”, ale nie jestem pewna, czy to właściwe miasto, więc na tym kończę i udaję się za kulisy.

Mijam pospiesznie członków ekipy i czekających fanów, zmierzając prosto do garderoby z Ashleigh depczącą mi po piętach. Obecnie wydaje się bardziej moją strażniczką niż asystentką, ale nie będę jej miała tego za złe, o ile przyniosła mi brioszkę z mojej ulubionej piekarni na Polach Elizejskich. To jedyna rzecz, o którą ją dzisiaj poprosiłam.

Nie jadłam wczoraj kolacji, a dziś lunchu. Od rana tylko bez przerwy bie-gam, ale jeśli uda mi się zdjąć wreszcie te buty na obcasach i włożyć sobie małą brioszkę do ust, jakoś to wszystko przetrwam.

Wchodzę do pokoju za kulisami, gotowa paść na stojącą pod ścianą długą, czarną, skórzaną kanapę, ale zatrzymuję się gwałtownie w miejscu. Na stole stoi tylko butelka wody.

– Gdzie moja brioszka? – pytam, odpinając pasek w bucie.

– Och. – Ashleigh unika mojego wzroku. – Davis zabronił mi ją dla ciebie kupić.

Taka drobnostka, a mi zbiera się na płacz.

– Podał jakiś powód? – pytam przez zęby, ledwo nad sobą panując.

– Uważa, że przytyłaś na Hawajach – odpowiada i dodaje z wahaniem: – Zakazał ci jeść słodczyce aż do zakończenia trasy.

Nie ulega wątpliwości, że to on jest jej szefem, a nie ja.

Czuję płonący we mnie gniew. Zaciskam usta i szczęki, zamykam oczy i jakoś udaje mi się stłumić płacz. Nie powinnam się już chyba temu dziwić, a jednak jestem wstrząśnięta. Czy naprawdę nie ma już w moim życiu niczego, o czym mogłabym zdecydować?

Zdejmuję drugi but i opadam na kanapę, po czym chowam twarz w dłoniach i próbuję się uspokoić. Jestem cholernie zmęczona, a w stanie takiego wyczerpania wszystko wydaje się dużo gorsze, niż jest w rzeczywistości. Tylko że dziś nie potrafię przywołać się do porządku. Ashleigh zbiera jakieś rzeczy po pokoju, po czym spogląda na mnie jakby zaskoczona, że jeszcze tu siedzę.

– Nie przygotowujesz się na przyjęcie? – pyta. – Samochód czeka już na zewnątrz.

– Nikt mi nic nie mówił o żadnym przyjęciu.

Wzdycha ciężko. Pewnie myśli, że jestem zbyt roztargniona, żeby o tym pamiętać. I może mieć rację.

– Urządza je jakaś szacha z LVP – mówi. – To wielkie wydarzenie.

Tylko że ciągle dzieje się coś wielkiego. A ja będę musiała się tam uśmiechać, pozować i starać się nie zasnąć przez długie godziny, jak zresztą każdego wieczoru. Mam tego dość. Jest tylko jedna osoba na świecie, z którą chcę teraz porozmawiać.

Sięgam po telefon i piszę do Josha.

JA: Możesz rozmawiać? Masz chwilę?

JOSH: Dla ciebie zawsze.

JA: Daj mi dziesięć minut.

Może trochę za bardzo na nim polegamy, ale co złego może z tego wyniknąć? I tak wyjeżdża nazajutrz do Somalii, więc to nie tak, że nagle mogłabym zapragnąć czegoś więcej.

– Dołączę do ciebie za minutę. – Zwracam się do Ashleigh.

– Naprawdę musimy już iść... – zaczyna, ale widząc mój wyraz twarzy, wzrusza tylko ramionami. – Dobra, poczekam na zewnątrz.

Daję jej trzydzieści sekund przewagi, a potem biorę telefon i torebkę i ruszam w drugą stronę, przyspieszając kroku.

Wybiegam tyłem z butami na obcasach w dłoni, przebiegam przez ulicę i wskakuję do taksówki. Dziesięć minut później wchodzę do swojego pokoju hotelowego i wybieram numer Josha.

Jego głos i cichy wydech są jak ciepła kąpiel, w której mogłabym się moczyć godzinami. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego sam dźwięk jego oddechu po drugiej stronie linii wystarczy, aby rozbudzić we mnie tę idiotyczną frustrację z powodu głupiej brioszki, ale nie potrafię już powstrzymać łez.

– Wszystko w porządku? – pyta, jakby już wiedział, że wcale nie jest w porządku.

– Tak – odpowiadam ochryplym głosem, jak zawsze kiedy jestem rozbita.

Wbijam stopy w pluszowy dywan, jakbym próbowała utrzymać równowagę. Teraz kiedy wreszcie zostałam sama, nie mam pojęcia, dlaczego do niego zadzwoniłam. Może nie powinnam była tego robić?

– Jesteś wyczerpana – zauważa takim tonem, że nie próbuję nawet protestować, chociaż i tak nie mogłabym go teraz okłamać. Wszystko wydaje się mnie przytłaczać, a ja nawet nie wiem, czym właściwie jest to „wszystko”. Przecież nie rozkleiłam się chyba z powodu głupiej bułeczki.

– Płaczesz?

– Nie – szepczę i upuszczam obcasy na podłogę. – Ja nie płaczę.

– Oczywiście, że nie. – Śmieje się czule i z jakiegoś powodu łzy spływają mi po twarzy jeszcze szybciej. – To powiedz mi, dlaczego nie płaczesz.

Przełykam ślinę i przekręcam zamek w drzwiach.

– Nie wiem. Jestem po prostu zmęczona. Nie miałam dzisiaj żadnej przerwy, a potem musiałam wystąpić na scenie i po prostu... Nie chciałam tego robić.

– Okej – mówi. – Tyle że to dla ciebie codzienność. A dlaczego tym razem nie płaczesz?

– To z powodu tej durnej brioszki. – Wydaję z siebie zduszony śmiech. – Jest tu taka cukiernia, Brioche Dorée, która przypomina 7-Eleven.

To takie głupie, że płaczę z powodu bułeczki. Po tym wszystkim, co przeszłam, powinnam mieć gdzieś takie drobiazgi. Czuję się przez to jak wariatka.

– Poprosiłam asystentkę, żeby kupiła mi brioszkę, ale Davis jej zabronił, ponieważ przytłamałam na Hawajach i...

– Tak powiedział? – pyta Josh, a jego wściekłość zdaje się przecinać linię telefoniczną niczym nóż. – Nie mogę uwierzyć, że przyczepił się do twojej wagi. Jezu Chryste.

Zaczynam szlochać w reakcji na jego oburzenie, bo wreszcie dociera do mnie, w jak niedorzecznej sytuacji się znajduję. Jak bardzo muszę być popieprzona, że do tego dopuściłam? Bez Josha czuję się jak samotny satelita. Przed tą podróżą na Hawaje nie miałam nawet pojęcia, że jestem aż tak osamotniona, a teraz nie mogę się wyzbyć tego uczucia.

– Nie spałam – mówię dalej. – Davis ciągle podawał mi dziś kokę, żeby nie zasnęła, i...

– Wsiadaj do samolotu – szepcze. – Po prostu wracaj.

„A ja się tobą zajmę”. Nie mówi tego na głos, ale i tak słyszę to w jego głosie.

– Gdzie miałabym wrócić? – pytam. – Nie mam nawet domu.
– Przyjedź do mnie.
– Nie mogę – szepczę. – Nie masz pojęcia, jak bardzo bym chciała, ale nie mogę. Jutro mam kolejny wywiad dla prasy, wieczorem impreza charytatywna, a potem lecę do Berlina. A ty i tak wyjeżdżasz.

– Gdzie teraz jesteś? – Wzdycha.
– W swoim pokoju hotelowym – odpowiadam. – Powinam być na jakiejś imprezie, więc Davis da mi jutro popalić. Będzie utrudniał mi życie tylko po to, żeby mnie ukarać.
– Rozbierz się. Tylko się nie rozłączaj.
– Ta rozmowa przybrała nieoczekiwany obrót. – Śmieję się przez łzy.
– Obiecuję, że nie wykorzystam twojego wyczerpania, żeby uprawiać z tobą seks przez telefon. Rozbierz się i wejdź do łóżka.

Nadal mam na sobie cały makijaż i moje włosy są sztywne od lakieru jak hełm, ale jestem taka zmęczona i... Chrzanić to. Zrobię wszystko, co tylko zasugeruje. Mam gdzieś ten cholerny makijaż i włosy. Rozpinam sukienkę i oddycham z ulgą, kiedy ją z siebie zdejmuję. Biustonosz bez ramiączek, który godzinami wpijał mi się w klatkę piersiową, bezgłośnie podąża za nią.

– Przełącz mnie na głośnik – mówi Josh. – I zgaś światło.
Stąпам na palcach po dywanie, gaszę światła i w końcu wchodzę do łóżka, na najgładsze prześcieradło, na jakim kiedykolwiek w życiu leżałam.

– O Boże, to takie wygodne łóżko, Josh. Chciałabym, żebyś tu był.
– Ja też – mówi.
– I co byś zrobił? – Uśmiecham się sugestywnie w ciemnościach.
– Biorąc pod uwagę, że wciąż płaczesz, nie zrobiłbym nic szczególnie ekscytującego – odpowiada z cichym śmiechem. – Położyłbym się z tobą, przyciągnął cię do piersi i tulił do siebie, aż byś zasnęła.

Czy ktoś jeszcze oprócz mnie zdaje sobie sprawę, jaki jest kochany? I ile dobroci skrywa się pod jego marudną powierzchownością? Kładę telefon na poduszce i odwracam się twarzą do niego, jakby leżał obok mnie.

– Dostałbyś erekcji – odpowiadam. – Jestem naga.
– W razie potrzeby pomyślałbym o amputacjach.
– Zawsze marzyłam o facecie, który myślałby o amputacjach, kiedy leżę obok niego nago. – Uśmiecham się szeroko.
– W takim razie najwyraźniej jestem twoim księciem z bajki. – Znowu wydaje z siebie cichy śmiech. – Dobra. Jesteś już w łóżku i wyłączyłaś światło, to teraz zamknij oczy.

Jego głos i miękkie łóżko usypiają mnie, ale nie jestem jeszcze gotowa zapaść w sen. Mam wrażenie, że dopiero co się z nim połączyłam.

– Nie chcę kończyć z tobą rozmawiać – szepczę.
– Będę cały czas przy tobie.
W Kalifornii jest teraz popołudnie. Pewnie pakuje się na wyjazd do Somalii, a kiedy już tam dotrze, to będzie dla nas koniec.
– Żałuję, że nie spędziliśmy razem tych dwóch tygodni po Hawajach. Chciałabym, żeby było inaczej.

– Ja też – mówi. – Ale na swój sposób było doskonale.
– Masz na myśli małą replikę pomnika Waszyngtona przy moich plecach w namiocie? – Uśmiecham się. – W chwili gdy zdałam sobie sprawę, że tak naprawdę mnie lubisz?
– Kochanie, nie podoba mi się określenie „mała”.
Śmieję się, a moje serce rozgrzewa się w reakcji na jego czułość. Josh nie obdarza nią

byle kogo. A potem czuję, że zapadam w sen.

– Tęsknię za tobą – mówię mu jeszcze. – Chciałabym, żebyś tu był.

– Ja też – wzdycha. – Nie masz pojęcia, jak bardzo.

RANO BUDZI MNIE HOTELOWY TELEFON. Moja komórka padła. Zastanawiam się, czy Josh nadal byłby na linii, gdyby się nie rozładowała.

Biorę prysznic i zabieram się za włosy i makijaż. Kiedy mój telefon jest już naładowany, piszę do Josha, żeby mu podziękować, ale nie odpisuje. To zrozumiałe. Pewnie jest już w drodze do Somalii. A jednak czuję się obnażona, jakbym wczoraj wieczorem zbyt wiele zdradziła i poprosiła o zbyt wiele. Za mocno się na nim oparłam.

Przez cały dzień raz po raz zapadam w drzemkę. Jestem dorosłą kobietą, pożądaną i żyjącą w luksusie, ale za każdym razem, gdy zamykam oczy, znów mam jedenaście lat i jadę autobusem, oddalając się coraz bardziej od domu, i nie mając pojęcia, jak do niego wrócę.

Dzisiejsze wieczorne wystąpienie nie sprawia mi większego problemu. Dzięki Bogu jestem tylko jednym z kilku wykonawców, więc śpiewam zaledwie kilka piosenek. Potem prowadzą mnie do pokoju, gdzie zdejmują ze mnie jedną skąpą sukienkę i ubierają w inną, po czym wpychają do limuzyny – z parasolem nad głową, żeby osłonić moją fryzurę przed grubymi płatkami śniegu spadającymi na miasto. Dostarczają mnie na imprezę charytatywną odbywającą się w jakiejś luksusowej sali balowej.

Otocza mnie tu mnóstwo bogaczy w strojach koktajlowych – ludzi, którzy przyszli mnie poznać, ale są zbyt starzy, aby być moimi fanami. Miałam ich tu tylko zwabić niczym współczesny odpowiednik kobiety z brodą lub karzełka z cyrku, a oni płacą za to, by się na mnie pogapić i wymienić między sobą komentarze na mój temat.

Przytulają mnie, dotykają, chwytają i ciągną. Moja sukienka jest za ciasna, a obcasy za wysokie. Przez cały ten czas uśmiecham się sztucznie, zastanawiając się, jak mogłam do tego wszystkiego dopuścić. Pozwoliłam, żeby zamieniono mnie w przedmiot, i nawet nie wiem dlaczego. Po to, by zasłużyć sobie na szacunek matki? Aby przywrócić honor mojemu ojcu? Jeśli takie były moje cele, to ich nie osiągnęłam. Zresztą to nie mogło się udać. Jakim cudem tego wcześniej nie dostrzegałam? Wszystkie powody, dla których znosiłam tę całą farsę, wydają mi się teraz takie młodzieńcze i bezsensowne. Czuję ból w klatce piersiowej i pocieram ją, próbując go stłumić.

Podpisuję jedno zdjęcie za drugim i pozwalam wystrojonym nieznajomym mnie obejmować, ale w środku jest mi coraz zimniej.

Wyobrażam sobie Josha siedzącego w samolocie do Somalii, piszącego coś na laptopie w swoich spodniach khaki. Wydaje się taki nudny. A jednak ciągle zerkam na zegar na ścianie, marząc, by wysłał mi SMS-a.

Ale on nie może tego zrobić. I nie tylko dlatego, że jest w samolocie, ale także dlatego, że z nami już koniec. Wiem o tym, a jednak kiedy prowadzą mnie od jednej grupy bogaczy do drugiej, po raz setny wyciągam telefon, żeby sprawdzić, czy do mnie nie napisał.

Napisał!

JOSH: Jestem na zewnątrz.

Boję się wziąć te słowa dosłownie, ale serce bije mi mocno, gotowe wyskoczyć z piersi. Josh tu jest. Przyjechał. Dla mnie.

Dwie sekundy wcześniej czułam pustkę i zniechęcenie, a teraz nagle w moich żyłach wybuchają fajerwerki, gorące i zimne jednocześnie, tak ekscytujące, że niemal bolesne.

– Potrzebuję chwili dla siebie – oznajmiam przydzielonej mi dziewczynie, a jej oczy otwierają się szeroko. Najwyraźniej harmonogram nie uwzględniła dla mnie żadnej przerwy. – Przy drzwiach czeka mój przyjaciel, Josh. Czy mogłabyś poprosić portiera, żeby go wpuścił?

– Nie przedstawiłam cię jeszcze wszystkim donatorom – zauważa.

Zjawiłam się tu jedynie z dobroci serca, czy cokolwiek mam w klatce piersiowej zamiast niego, i poświęciłam temu wydarzeniu już dwie godziny. Nie wiem, co obiecano tym wszystkim ludziom, ale czy naprawdę nie ma żadnych granic?

– Potrzebuję przerwy – powtarzam z większą stanowczością. – I z nikim się nie spotkam, dopóki nie zobaczę Josha.

– Mam im powiedzieć, że wrócisz za pięć minut? – pyta.

– Mów, co chcesz.

Dziewczyna wygląda na zadowoloną z mojej odpowiedzi, ale najwyraźniej nie rozumie, co tak naprawdę jej komunikuję: „Mam gdzieś, co im powiesz, bo i tak zrobię, co chcę”. A najbardziej na świecie chcę teraz zobaczyć Joshuę Baileyę.

Wracam do zielonego pokoju i już po niecałych trzydziestu sekundach rozlega się pukanie do drzwi. Josh wchodzi do środka w ciężkim płaszczu. Ze śniegiem topniejącym we włosach wygląda najbardziej apetycznie na świecie. Już drzę z pragnienia, żeby mnie dotknął.

– Byłem w okolicy. – Podaje mi małą białą torebkę, a jego usta wyginają się w górę. – Podobno chciałaś brioszkę.

Wpatruję się w niego przez chwilę, powstrzymując łzy. Dostawałam już w życiu ekstrawaganckie prezenty, diamenty i designerskie sukienki. Ktoś podarował mi nawet kiedyś samochód. Ale nic nie ujęło mnie tak bardzo, jak ta mała brioszka w białej papierowej torebce.

Wskakuję na niego, owijam nogi wokół jego talii i zarzucam mu ręce na szyję. Obejmuje mnie z zadowolonym uśmiechem na twarzy, śmiejąc się cicho, a potem go całuję. Jego twarz, włosy, wszystko, co tylko mogę.

– Mam nadzieję, że to łyzy szczęścia – mówi w końcu, ocierając mi je dłonią z policzków, a ja jestem zbyt wzruszona, żeby cokolwiek powiedzieć, więc kiwam tylko głową.

Ujmuje moją twarz w dłonie, a potem się całujemy i żadne z nas już się nie śmieje ani nie płacze. Sięgam za niego do drzwi, żeby zamknąć je na klucz, i ześlizguję się z niego na nogi, żeby rozpiąć mu płaszcz i musnąć ustami obojczyk. Jest w dżinsach i butach na grubej podeszwie. Nigdy bym nie przypuszczała, że to połączenie może wzbudzić tyle pożądania.

Przyciąga mnie do siebie, jego usta odnajdują moje, a palce wbijają się w mój krzyż. Czuję się taka mała i bezpieczna, jakby był kokonem, który mnie owija, z tym płaszczem opadającym na ziemię i erekcją przebijającą się przez cienką tkaninę mojej sukienki.

– Mamy pięć minut, zanim zaczną walić w te drzwi – ostrzegam go.

Jego absurdalnie duże dłonie obejmują moje biodra. Czuję się małeńka w jego uścisku.

– To zdecydowanie za mało – oznajmia, a ja znowu przyciągam go do siebie za poły płaszcza.

– To cudowne, że przyjechałeś się tu ze mną zobaczyć.

– Nie miałem wyboru. – Jego usta przesuwają się po moich, a potem wędrują po mojej szczęce. – Za cholerę nie potrafiłem się trzymać od ciebie z daleka.

– Poczekasz na mnie? – pytam. – Skończę z tym górą za godzinę. Mniej, jeśli będę nieuprzejma.

– Pewnie. Ale jestem za byciem nieuprzejmą.

Rozpinam mu koszulę i pasek od dżinsów. Uwielbiam ten widok: Josh jest w ubraniu, a ja powoli rozpinam zamek jego spodni.

– Cholera jasna, Drew, nie – mówi ostrzegawczym tonem. – Nie jeśli ktoś ma tu za chwilę przyjść. Poza tym i tak nie mam przerwy.

Osuwam się na kolana i ściągam mu dżinsy razem z bokserkami. Jego penis pręży się przy mojej twarzy, wielki i piękny, błagając o moje usta.

A ja mu je zapewniam.

– Jezu – jęczy Josh. Podnoszę wzrok i widzę, jak opuszcza głowę do tyłu, jakby te pieszczoty sprawiały mu ból, ale chwilę później znów otwiera ciemne, jakby odurzone oczy, żeby popatrzeć na mnie spod na wpół przymkniętych powiek. Z lekko uchylonymi ustami obserwuje, jak przesuвам dłonią wzdłuż jego członka, a potem wciągam go do ust i zasysam.

Jestem tak mokra, że majtki przyklejają mi się do skóry. Nie mam pojęcia, jak przetrwam następną godzinę, odczuwając tak silne pożądanie.

Oczy Josha zaczynają się zamykać, a głowa odchyła się do tyłu, jakby był pijany.

– Drew. Boże. Zaraz dojdę.

Zatapiam palce w jego biodrach, aby utrzymać go w miejscu, a on dochodzi ze zduszonym okrzykiem. Opiera się o drzwi z pomrukiem, którego nie może stłumić, a jego uda drżą. Wstaję i ocieram usta jak przystało na prawdziwą damę.

– Odnoszę wrażenie, że przypadł mi lepszy kawałek tortu – komentuje Josh z drżącym śmiechem.

Biorę go za rękę i przyciągam ją między swoje nogi, pod majtki, żeby mógł poczuć, co mi zrobił.

– To za to, że przywiozłeś mi brioszkę. Ale jeszcze będziesz miał mi okazję to wynagrodzić.

Jego oczy znów wyglądają na odurzone. Odsuwa materiał na bok i wbija we mnie swój najdłuższy palec, przyciskając go dokładnie we właściwym miejscu.

– Och – szepczę.

– Chyba mogę ci to wynagrodzić już teraz. – Klęka przede mną i rozsuwa mi nogi. Podnosi na mnie wzrok i te jego na wpół przymknięte, głodne oczy to najseksowniejszy widok, jaki w życiu widziałam. Chowa twarz między moimi rozchylonymi nogami i drażni mocno językiem moją łechtaczkę, jednocześnie wbijając się we mnie palcem.

Wtem ktoś wali w drzwi.

– Chwileczkę! – krzyczę zduszonym głosem.

Josh śmieje się przy moim udzie. Zwykle za nic w świecie nie mogłabym dojść w takiej sytuacji – ludzie pod moimi drzwiami, presja, chaos. A tymczasem wszystko dookoła jakby wiruje, a ja skupiam się jedynie na Joshu mruczącym przy mojej skórze.

– Tak, tak, tak – szepczę, jakbym powtarzała modlitwę, a on wie, że to oznacza: więcej, szybciej, mocniej. Doprowadza mnie na skraj rozkoszy i dochodzę, ciągnąc go za włosy. Kolana mi się uginają, aż opadam koło niego na podłogę i oboje się śmiejemy, leżąc na dywanie.

Josh znów jest twardy.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo chcę cię teraz wypieprzyć – szepcze mi do ucha.

– Nie mamy prezerwatywy – przypominam mu.

– Coś bym wymyślił. Zamieniłbym się w pieprzonego MacGyvera i stworzyłbym ją ze sznurowadła i prawa jazdy.

– Brzmi bardzo higienicznie. – Śmieję się.

Ktoś szarpie mocno za klamkę i uderza pięścią w drzwi.

– Drew, to ja, Davis – ogłasza niepotrzebnie. – Proszę, żebyś natychmiast stamtąd wyszła. Organizatorzy się niepokoją.

– Chciałbym zamienić kilka słów z twoim menedżerem – mówi Josh, a jego nozdrza się rozszerzają.

Uśmiecham się. Chociaż część mnie chciałaby zobaczyć, jak Josh uciera nosa Davisowi, wiem, że tylko pogorszyłyby to moją sytuację.

– Lepiej nie. Widziałam już, jak to u ciebie wygląda w praktyce. Lepiej, żebyś nie

wyzywał Davisa od dupków i nie zachęcał go do bójki jak tamtego instruktora.

Powoli wykrzywia usta w uśmiechu i patrząc na mnie, bierze w dłoń moją twarz. Jego uśmiech i spojrzenie są inne niż wcześniej. Nie jestem już dziewczyną, z którą właśnie szczytował, ale kobietą, którą bezgranicznie uwielbia. Chcę tu z nim zostać na zawsze.

Hm. To chyba tak się czują zakochani, myślę.

Josh poprawia ramiączka mojej sukienki i zakłada mi włosy za uszy.

– Jeśli chcesz mi się jakoś przysłużyć, kup prezerwatywy – szepczę, kierując się w stronę drzwi. – Ach, Josh? Kup dużo.

JOSH

Przytula się do mnie, mała i miękka.

– Hej – mówię.

– Hej – odpowiada. Nadal ma zamknięte oczy, ale się uśmiecha. A potem się śmieje.

Nie muszę nawet pytać dlaczego. Kiedy wczoraj wieczorem wróciła do swojego pokoju hotelowego, w którym na nią czekałem, chwyciła szybko za jedną walizkę i gitarę i oznajmiła mi, że wychodzimy. Gdybyśmy nie wyszli, lada moment Davis wparowałaby do środka, doprowadzając mnie do szału.

Dopiero gdy zameldowaliśmy się po drugiej stronie ulicy pod innym nazwiskiem, Drew zostawiła Davisowi wiadomość, że odwołuje swoje wywiady na ten dzień. I teraz się z tego śmieje.

– Davis ciska się pewnie z wściekłości – mówi. – Obawiam się, że mózg może mu eksplodować. Dosłownie.

– Odnoszę niepokojące wrażenie, że chciałabyś na to patrzeć. – Odgarniam jej włosy z twarzy.

– Nie udawaj, że cię to dziwi. – Wzrusza ramionami. – Wiesz, jaka jestem.

– Tak – mówię, przyciągając ją do siebie. – Ale chyba potrzebuję małego przypomnienia.

PATRZYMY PRZEZ OKNA na dachy Paryża oświetlone bladym popołudniowym światłem i pokryte świeżą warstwą śniegu.

– Mogłabym tu zamieszkać – oznajmia Drew, odsuwając tacę z jedzeniem.

– W tym hotelu? – pytam. – Przypominam, że nie na tym polega „życie z ziemi”.

– Zamknij dziub. – Śmieje się. – Miałam na myśli Paryż. Może mogłabym być baristką. Myślę, że dałabym sobie radę. W Stanach zwolniliby mnie za arogancję, ale tutaj bym się odnalazła.

– A co ze mną? – Całuję ją w czubek głowy. – Co ja bym tu robił?

– Ty... Hm. – Zastanawia się chwilę, stukając palcem w dolną wargę. – Pracowałbyś jako grabarz.

– Grabarz? To najlepsze, co mogłaś wymyślić?

– To zwyczajna praca od dziewiątej do siedemnastej i pozwoli ci utrzymać dobrą formę. Będę potrzebowała sporo uwagi po powrocie do domu z kawiarni. Masaże stóp i takie tam.

– W takim razie muszę sprawdzić przed wyjazdem, czy nie szukają tu gdzieś grabarza – mówię i od razu tego żałuję. Niepotrzebnie wspomniałem o swoim wyjeździe i chociaż uśmiech nie zniknął jej z twarzy, nie jest już aż tak promienny, jak wcześniej. Wylatuję dziś wieczorem. Nie mogę już dłużej odkładać wyjazdu, chociaż zostawia to nam zdecydowanie za mało czasu.

– Ale wiesz, że możemy wyjść na zewnątrz? – pyta Drew. – Jeśli będę cała opatulona i nieumalowana, nikt nas nie zaczepi. Tylko proszę, nie mów, że chcesz iść do Luwru. Wiesz, co myślę o rozrywkach inteligencji.

– Tak, pamiętam. – Śmieję się, przesuwając palcem po jej mostku. – Jak na dziewczynę, która potrafi recytować kodeks karny, z zadziwiającym uporem usiłujesz przekonać innych, że nie jesteś inteligentna. Ale nie martw się. Mam inne pomysły.

Pochylam się, składając pocałunek między jej zębami, a ona mruczy, wyginając się

w moją stronę.

– Chyba wiem, co to za pomysły. I nie mam nic przeciwko zostaniu w pokoju.

– Nie martw się. To nie seks. No cóż, to oczywiście też – mówię, ustawiając się nad nią i sięgając po prezerwatywę. – Ale nie tylko.

DREW

Po południu śnieg nagle przestaje padać.

– Oto mój plan – oznajmia Josh, trzymając dla mnie płaszcz. – Idziemy na spacer.

– Tak po prostu na spacer? – Unoszę brew.

– Tak. – Jego usta drżą w tłumionym uśmiechu.

Na zewnątrz panuje osobliwa cisza i spokój, a ulice są niemal zupełnie puste. Kupujemy tanie rękawiczki i czapki w kiosku, a potem Josh splata swoje palce z moimi i przyciąga mnie do siebie. Kiedy się całujemy, między nami unoszą się małe białe chmurki naszych oddechów.

Idziemy w kierunku Wyspy Świętego Ludwika położonej na samym środku Sekwany, tuż za Notre Dame. Josh wciąga mnie do kawiarni i zamawiamy *chocolat chaud*, która nie przypomina typowej amerykańskiej gorącej czekolady znanej mi z domu. Jest gęsta, aksamitna, słodko-gorzka. To coś, czym należy się delektować małymi łyżkami, jak przysmakiem dla koneserów, ale w ten nietypowy, niebanalny dzień smakuje naprawdę dobrze.

Siedzimy ze swoimi napojami na ławce, którą Josh oczyścił dla nas ze śniegu. Promienie zachodzącego słońca rozchodzą się po Sekwanie, oświetlając ją odcieniami pomarańcza, karmazynu i złota. Opieram się o Josha i kładę głowę na jego ramieniu. Gdyby nie jego nadchodzący wyjazd, fruwałabym teraz ze szczęścia. Uniosłabym się do nieba, grawitacja nie zdołałaby mnie utrzymać na tej ławce.

– Zrobiłabym wszystko, żeby przez cały czas czuć się tak wolna – wyznaję.

– Nie musisz nic robić, żeby czuć się wolna. – Josh składa pocałunek na czubku mojej głowy.

Ma rację. Ten spacer prawie nic nas nie kosztował – z łatwością moglibyśmy sobie na niego pozwolić w mojej fantazji o baristce i grabarzu – a jednak nigdy nie byłam szczęśliwsza. Niczego mi teraz nie brakuje, ale pewnie nie czułabym się tak, gdyby nie było go tu ze mną.

– Nie sądzę, żeby moja matka doświadczyła kiedykolwiek takiego spokoju – mówi, obejmując mnie ramieniem. Powiedział mi już wcześniej, że prawdopodobnie zostały jej tylko dwa, może trzy lata życia. Świadomość, że mają tak niewiele czasu, ciąży mu ogromnie na sercu. Josh chciałby wykorzystać ten czas na zapewnienie Beth wszystkiego, czego jej brakowało, ale na wiele z tych rzeczy i tak jest już za późno. – A nawet jeśli poznała ten stan, mój ojciec go zakłócił.

– Dlaczego w ogóle z nim została? – pytam.

– Ze względu na nas – odpowiada. – Dowiedziałem się, że ją zdradza, kiedy byłem jeszcze nastolatkiem, i już wtedy nie była to dla niej nowość. Była gotowa udawać, że wszystko jest w porządku, żebyśmy tylko czuli się jak jedna, wielka, szczęśliwa rodzina.

Nie zdawała sobie sprawy, jakie to będzie obciążenie dla jej starszego syna, który za wszelką cenę stara się zasłużyć sobie na jej wszechogarniającą miłość. Wdanie się w romans ze mną i zatajenie tego przed matką jest prawdopodobnie jedynym nieuczciwym posunięciem ze strony Josha, jakiego kiedykolwiek się dopuścił.

Gdy zapada zmierzch, znów bierzemy się za ręce i idziemy w stronę hotelu.

– Ile zostało ci jeszcze czasu? – pytam, a mój głos brzmi cicho i dziecinnie. Chciałabym, żeby mógł ze mną zostać. Chcę tylko jeszcze jednego dnia razem. To wydaje się tak niewiele,

a jednak jest niemożliwe dla nas obojga.

– Kilka godzin. – Ściska moją dłoń.

W drodze powrotnej do hotelu zatrzymujemy się jeszcze w barze. Josh zamawia dla nas małże, frytki i dwa kieliszki czerwonego wina.

– Mogłabym całymi dniami słuchać, jak mówisz po francusku – wyznaję.

– Gdybyś pracowała w Doosze, prawdopodobnie byś słuchała. – Uśmiecha się szeroko. –

Gwarantuję, że wtedy nie wydawałoby ci się to aż tak ekscytujące.

– Udawaj, że jestem twoją pielęgniarką. – Podnoszę głowę i zamykam oczy. – Powiedz coś.

– *Je pense qu'il y a une hémorragie interne* – mówi głosem miękkim jak aksamit, a moje sutki twardnieją pod czterema warstwami ubrań.

– Brzmiało seksownie. Co to znaczy?

– Myślę, że to krwotok wewnętrzny – odpowiada, a ja się śmieję.

Przynoszą nam jedzenie i jemy szybko, nagle czując głód. Jesteśmy dopiero w połowie, gdy w lokalu robi się tłoczno. Nastrój jest uroczysty – paraliz miasta związany z opadami śniegu to niecodzienna sytuacja. Ludzie napierają na nas z każdej strony i ostatecznie, za sugestią Josha, ja zostaję na krześle, a on stoi, osłaniając mnie przed tłumem swoimi absurdalnie szerokimi ramionami.

Upijam łyk wina, delektując się nim jak gorącą czekoladą. Kiedy jego wzrok pada na moje usta, moja krew się rozgrzewa.

– O czym myślisz tam na górze? – pytam.

– Nigdy nie widziałem nic piękniejszego od ciebie pijącej wino – odpowiada, znów wpatrując się w moje usta. Jego nozdrza rozszerzają się lekko, jakby próbował mną oddychać.

Przetykam ślinę. Nagle pragnę, aby znalazł się na mnie, zupełnie nagi. Żeby jego wielkie dłonie chwyciły za moje biodra i przyciągnęły mnie po materacu na spotkanie z jego biodrami.

– Może powinniśmy wrócić do pokoju – mówię z zapartym tchem.

Kiwa głową. Po uregulowaniu rachunku oboje wydostajemy się na ulicę i kierujemy się z powrotem do hotelu, zbyt mocno przyciśnięci do siebie, aby móc iść z wdziękiem. Na ulicy Josh przyciska mnie do rozpadającego się kamiennego budynku i całuje. Powietrze jest mroźne, ale jego usta ciepłe i spragnione. Przytulam się do niego i wsuwam mu rękę pod płaszcz.

– Chciałbym wniknąć w ciebie tak głęboko, żebyś nigdy o mnie nie zapomniała – szepcze.

Już to zrobiłeś, myślę, ciągnąc go za sobą ulicą.

W końcu wracamy do naszego pokoju i zrzucamy z siebie ubrania, jakby nas dusiły. Już po chwili jesteśmy w łóżku rozkosznie nadzy. Josh przygniata mnie swoim ciężkim ciałem, poruszając się we mnie, jakby od tego zależało jego życie.

Z łatwością doprowadza mnie do orgazmu, ale już po chwili dąży do zaspokojenia mnie po raz kolejny. Czuję narastającą gorącą kulę w brzuchu i dochodzę na widok Josha za wszelką cenę powstrzymującego się od szczytowania, żeby na mnie zaczekać.

I potem szczytuje, wydając z siebie desperacki, ochryply pomruk prosto do mojego ucha i drżąc na mnie.

– Nigdy nie zapomnę, nigdy – szepczę przy jego skórze. – Obiecuję.

Zostało nam już niewiele czasu. Josh każe mi zostać w łóżku i zaczyna zbierać swoje rzeczy. Patrzą, jak chodzi po pokoju, a potem nakłada bokserki i naciąga koszulkę przez głowę.

Kiedy jest już ubrany i spakowany, podchodzi do łóżka i przyciska usta do mojego czoła. Pozostajemy tak przez dłuższą chwilę i żadne z nas nie mówi ani słowa.

Pewnie już nigdy go nie zobaczę. Ta myśl wstrząsa mną mocno, wzbudzając we mnie

desperackie pragnienie zatrzymania tej chwili.

Dopiero gdy drzwi się za nim zamykają, pozwalam sobie poczuć cały ciężar tej straty. Boli mnie klatka piersiowa. Chce mi się płakać, ale łzy jakby utknęły w moim wnętrzu, zbyt bolesne, by mogły wypłynąć.

NASTĘPNEGO DNIA po przebudzeniu nie znajduję żadnego powodu, dla którego miałabym otworzyć oczy.

Wkrótce – a właściwie za kilka godzin – będę musiała zapłacić cenę za swój bunt i stawić czoło Davisowi. Przy Joshu byłam odważna i radosna, bo się na nim opierałam, nawet jeśli nie przyznawałam się do tego sama przed sobą. A teraz czeka mnie upadek. Wytwórnia napadnie na mnie za olanie wywiadów, a Davis oznajmi, że naruszyłam warunki umowy, i będę musiała im to wszystko zrekompensować poprzez dodatkowe koncerty i zobowiązania. Davis będzie woził mnie po świecie, aż stracę orientację, w jakim mieście się znajduję, i znów zemdleję gdzieś na scenie, bo zapomnę, że jednak nie jestem maszyną, tylko człowiekiem.

Po południu docieram na lotnisko. W trakcie trasy koncertowej zawsze podróżujemy prywatnym samolotem. Teoretycznie jest to luksus, ale w praktyce oznacza to, że Davis przez cały lot będzie mnie ochrzaniał. Zamykam oczy i tym razem nie widzę tamtej samotnej i przestraszonej dziewczynki siedzącej w autobusie, tylko tę wolną siebie podziwiającą z Joshem zachód słońca na Wyspie Świętego Ludwika.

Oddałabym wszystko za to uczucie, ale Josh miał rację: nie muszę niczego oddawać. Zasługuję na to jako istota ludzka. Każdy ma prawo być szczęśliwym i odczuwać spokój w sercu. I nawet jeśli mój trzeci album odniesie najbardziej oszałamiający sukces w historii wszystkich albumów muzycznych, i tak nie przebije to wczorajszego dnia.

Może nadszedł czas, abym wysiadła z tego cholernego autobusu.

Kiedy już lokuję się w swoim pokoju, biorę za telefon i piszę do Bena Tate'a – adwokata, do którego skierowała mnie Tali. Umawiamy się na spotkanie w Nowym Jorku w przyszłym miesiącu. Zapisuję informacje w notatniku hotelowym, odczuwając osobliwe przerażenie. Jakbym próbowała uciec z sekty.

A jestem tak uwikłana, że ucieczka z sekty mogłaby okazać się łatwiejsza niż wypłatanie się z moich wszystkich kontraktów.

JOSH

Jednego dnia podziwiam zachód słońca w ośnieżonym Paryżu i mój gorący oddech miesza się z oddechem Drew, a drugiego uzbrojeni strażnicy celują do mnie z karabinów na linii celnej. I to jest ta bezpieczniejsza część Mogadiszu.

Przyjeżdżając tu, nigdy nie miałem poczucia, abym zrezygnował z czegoś ważnego. Mam ciekawą pracę i lubię swój zespół. Dziś jednak nie cieszę się wcale na myśl o poznawaniu nowych rodzin w obozie, koleżeńskich relacjach z personelem ani spędzeniu, od czasu do czasu, upojnej nocy z uroczą pielęgniarką. Chcę udowodnienia, że nie jestem taki jak mój ojciec, nie jest już dla mnie wystarczającą motywacją.

Chcę odzyskać z powrotem swoje weekendy i choć odrobinę bezpieczeństwa. Pójść do cukierni po śniadanie dla czekającej na mnie w łóżku dziewczyny. I tak, chcę wielkiego miękkiego łóżka, na którym będzie leżała i sugerowała, żebym został grabarzem.

Koszula przykleja mi się do pleców, kiedy za miastem wzbijają się z suchych równin pierwsze tumany piasku. Droga do Doohy i z powrotem to najniebezpieczniejszy odcinek podróży. Zwykle wypatruję czujnie wszelkich oznak potencjalnych kłopotów na tej trasie, ale dzisiaj patrzę tylko na zdjęcie Drew, które zrobiłem jej przed *patisserie* – para unosi się z kubka przy jej twarzy, na której widnieje słodki, zdziwiony uśmiech.

Znaleźliśmy się w naprawdę gównianej sytuacji, której nijak nie sposób naprawić. Wkrótce Drew znajdzie kogoś, kto będzie mógł się z nią spotykać i przyznać przed całym światem, że z nią jest. Powinienem to przerwać już teraz, żeby nie musieć za tydzień czy miesiąc czytać o niej i facecie, który mnie zastąpił. A jednak nie posiadam się ze szczęścia, kiedy do mnie pisze.

To znaczy, że wciąż istnieję w jej świecie.

Ogromnie cieszy mnie też fakt, że umówiła się na spotkanie z prawnikiem, który ma jej pomóc pozbyć się Davisa. Gdy tylko docieram do swojego namiotu, nie mogę się powstrzymać przed nawiązaniem z nią połączenia wideo. Drew uśmiecha się do mnie szeroko z pokoju hotelowego. Nigdy nie widziałem, żeby uśmiechała się tak do mojego brata.

– Oprowadź mnie po swoim namiocie!

– Naprawdę nie ma tu czego zwiedzać. – Śmieję się.

– Jak ci minęła podróż? – Opada na duże łóżko, a jej włosy rozsypują się na miękkiej poduszce.

Postanawiam nie wspominać o zbombardowanym hotelu, który mijaliśmy po drodze, a w którym się kiedyś zatrzymałem, ani o nielegalnej blokadzie drogowej, na którą się natknęliśmy.

– Bez przygód – odpowiadam. – Ale nie zdążyłem na happy hour o zachodzie słońca.

– Żadnych problemów po powrocie? – dopytuje.

– Niezupełnie. – Opadam na krzesło obok swojego biurka. – Część zapasów została skradziona. To spory problem.

Nie wspomina o tym, że w każdym momencie grozi nam wybuch bomby. Ani o tym, że osoba, która wykradła większość leków przeciwbólowych z naszej szafy, miała do niej klucz, a wymiana zamka zajmie tydzień.

– Rzeczywiście nie jest tam bezpiecznie. – Przygryza wargę zmartwiona, a nie zna nawet

połowy prawdy.

W ciągu ostatniego roku sytuacja drastycznie się pogorszyła. A jednak nie myślę o wyjeździe z powodu stałego zagrożenia ani nawet choroby mamy, tylko ze względu na Drew. Nie mogę znieść myśli o tym, że mogłaby pójść ze swoim życiem naprzód beze mnie, a zapewne tak zrobi, skoro niczego nie mógłbym jej zaoferować, nawet gdybym tam z nią był.

Nie mogę uwierzyć, że rozważam porzucenie rozpaczliwie potrzebujących mnie ludzi dla kobiety, którą muszę ukrywać przed światem.

To brzmi dokładnie jak coś, czego dopuściłby się mój ojciec.

DREW

Jakoś udaje mi się przeżyć jeszcze dwa tygodnie w Europie. Rozmowa z Joshem jest dla mnie najważniejszym elementem dnia i jedynym, który nadaje sens mojemu życiu. Nawiązanie bliskiej więzi z drugim człowiekiem nigdy nie było na mojej liście marzeń, a tym bardziej utrzymywanie tej relacji w tajemnicy przed wszystkimi.

Dzwonię do niego późnym wieczorem po koncercie. To jedyny czas dla nas obojga, kiedy możemy swobodnie porozmawiać. Gdy tylko odbiera, w samym środku klatki piersiowej czuję ogromną tęsknotę za jego piękną, zmęczoną twarzą. Leży na czymś, co wygląda na łóżko polowe – nie przesadzał, jeśli chodzi o panujące tam warunki. Wchodzę do swojego łóżka i gaszę światło, żeby poczuć się, jakbyśmy byli tam razem.

– Gdzie teraz jesteś? – pyta.

Muszę się chwilę zastanowić nad odpowiedzią. Wyglądam przez okno.

– W Rzymie. Byłeś tu kiedyś?

Oczy mu się zamykają. Wygląda na wyczerpanego.

– Dawno temu. Latem po ukończeniu studiów.

– Powinieneś tu przyjechać – mówię. – Moglibyśmy się wybrać do Sorrento na limoncello i zakupy.

Jego oczy znów się zamykają, ale się uśmiecha.

– Drew, gdybym przyleciał do Rzymu, nie wyszlibyśmy nawet z hotelu.

Na samą myśl o tym krew rozgrzewa mi się w żyłach. Nie wyobrażam sobie nic lepszego niż spędzenie całego weekendu w łóżku z Joshem. Odczuwam coś na kształt rozgoryczenia, że inni ludzie dostają tak wiele od życia, a my tak mało. Jak długo będzie chciał się ze mną przyjaźnić na odległość, zanim znajdzie sobie kogoś, kto zajmie moje miejsce? Jeśli jeszcze nie znalazł.

– Wsiadaj do samolotu – rzucam żartobliwie, choć byłabym gotowa go o to błagać, gdyby istniał choć cień szansy, że mogę go przekonać.

Prześlizguje się wzrokiem po mojej twarzy.

– Tęsknię za tobą – mówi. – Nigdy nie było mi tak trudno tu wrócić, jak teraz.

To największe wyznanie, na jakie się dotąd zdobył, ale ja nie odpowiadam mu tym samym. Rozłączam się, czując wyrzuty sumienia, że tego nie zrobiłam. Dlaczego tylko on się tak dla mnie stara? Mogłabym wymienić ze sto rzeczy, które zrobił dla mnie, odkąd się poznaliśmy, ale czy ja zrobiłam coś dla niego? To już nie wygląda na ostrożność, tylko raczej na samolubstwo.

Biorę głęboki oddech. Te sny o podróży autobusem powtarzają się w kółko, odkąd Josh zaczął przedzierać się przez mur, który wokół siebie zbudowałam. Może przygotowywały mnie właśnie na ten moment? Już wiem, co mam zrobić, i jestem tym przerażona.

Muszę powiedzieć „tak” nieznanemu.

Jadę do Somalii.

– NIE, NIE POJEDZIESZ – oznajmia Jonathan, najlepszy przyjaciel Tali, asystent Hayesa i jedyna osoba, która wie, jak zdobyć wizę do Somalii. Powinnaś się była spodziewać, że mi tego nie ułatwi. Uwielbiam go, ale był niezdolny, gdy planowaliśmy wieczór panieński

Tali. Nadal uważam, że wyspa na wyłączność u wybrzeży Dubaju byłaby fajniejsza niż Vegas.

Podchodzę do okna mojego pokoju hotelowego i odsuwam zasłony, trzymając telefon w drugiej ręce. W oddali lśnią ośnieżone szczyty Zurychu, odbijając jasne promienie słońca. Tuż za oknem leniwie wije się rzeka. Gdyby Jonathan mógł zobaczyć ten widok, na pewno poważnie by się zastanawiał, dlaczego tak bardzo chcę stąd wyjechać. Prawdopodobnie zasugerowałaby, żebym lepiej poleciała do Vegas.

– W Somalii grozi ci śmiertelne niebezpieczeństwo – mówi. – Nikt tam nie jeździ.

– Jasne.

Jonathan na pewno przesadza. Josh jeździ tam i wraca bez najmniejszego problemu, a ja byłam już w zbyt wielu miłych, spokojnych miejscach uważanych za niebezpieczne, by traktować takie ostrzeżenia poważnie.

– Mają tam ambasady i ciągle jeżdżą tam jakieś organizacje pomocowe – kontynuuję. – Jeśli oni sobie poradzili, to tym bardziej kobieta z pieniędzmi na zakup najlepszego środka transportu na świecie.

– Drew – mówi z westchnieniem. – Czy ty w ogóle coś wiesz o Somalii? Musiałabyś zatrudnić wielu uzbrojonych ochroniarzy, aby się dostać w dowolne miejsce w mieście. A nawet oni nie byłiby w stanie zagwarantować ci bezpieczeństwa. Jeśli chcesz sobie poprawić wizerunek, są lepsze miejsca, do których możesz się udać.

Wstydzę się przyznać, że jadę tam dla faceta, ale odnoszę wrażenie, że Jonathan mi nie pomoże, jeśli mu tego nie powiem.

– Mam tam przyjaciela – wyznaję w końcu. – Spotykam się z nim.

– To słodkie... – Śmieje się Jonathan. – Zastanawiałem się, jaka będziesz, kiedy się w końcu zakochasz. Teraz już wiem.

– Nie powiedziałam, że jestem w nim zakochana.

– Drew, skarbie. Lecisz do Somalii, żeby się z nim zobaczyć. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że to miłość. No chyba że jesteś szalona.

Czuję się znacznie bardziej komfortowo z tą drugą możliwością.

NA POCZĄTKU MARCA wracam do Nowego Jorku, gdzie mam wystąpić w jednym z odcinków sitcomu, za którym specjalnie nie przepadam. Davis i Stephanie twierdzą, że to poprawi mój wizerunek, ale podejrzewam, że są bardziej zainteresowani swoimi.

Pod koniec pierwszego dnia wymykam się z planu w chwili, gdy Davis proponuje ekipie wspólną kolację. Jadę taksówką do Ritz Carlton, gdzie w prywatnym pomieszczeniu czeka na mnie Ben Tate z partnerką ze swojej firmy.

Potrzebowałam trochę czasu zeszłego lata, aby przekonać Tali, że Ben i ja nigdy się nie zejdziemy, ponieważ wysocy, seksowni faceci w garniturach mnie nie kręcą. Jakże słabo siebie znałam. Nie ulega wątpliwości, że Ben jest seksowny, tylko że w tej chwili interesuje mnie pewien szalenie niedostępny lekarz.

Ściska mi rękę i przedstawia mnie swojej partnerce, Amelii. Rozmawiamy przez chwilę o Hayesie, Tali i dziecku, a potem łączy ze sobą koniuszki palców nad notatnikiem.

– A zatem – zaczyna. – Rozumiem, że chcesz się rozstać z pewnymi ludźmi.

Serce mi wali jak młot i przyciskam dłoń do klatki piersiowej, czekając, aż powietrze wślizgnie mi się do płuc i wyleci z mojego gardła.

– Tak, i jestem tym przerażona – przyznaję i akurat w tym momencie mój telefon brzęczy na stole. To Davis do mnie dzwoni.

– Musisz odebrać? – pyta Ben, a ja kręcę głową i pytam ich po cichu:

– Zdajecie sobie sprawę, w jak chorej sytuacji się znajduję? On może nawet wiedzieć, gdzie teraz jestem. Davis wie o moim życiu więcej niż ja sama. To on kupił mi ten telefon,

zatrudnił mojego rzecznika prasowego, księgowego i asystentkę. Wszyscy mu podlegają. Ciągle mam poczucie, że zaraz otworzy drzwi i tu wejdzie.

– W takim razie powinnaś wyłączyć telefon, zanim przejdziemy do szczegółów. Tak na wszelki wypadek. – Ben odchyła się na krzesło i zdejmuje marynarkę.

Wcześniej obawiałam się, że wpadam w paranoję. Teraz jednak zastanawiam się, czy nie traktowałam tego zbyt lekko.

Ben i Amelia zadają mi pytania i robią obszerne notatki. Widząc ich dokładność i pewność siebie, zaczynam mieć nadzieję, że naprawdę mogą mnie wydostać z tego bałaganu. Ale wtedy Ben mówi, że musi przejrzeć moje umowy, i cała ta nadzieja ze mnie uchodzi.

Wszystkie umowy są w posiadaniu Davisa lub innych osób zatrudnionych przez Davisa. Nie mam pojęcia, jak miałabym je zdobyć dla Bena bez zaalarmowania ich wszystkich.

Kiedy im to mówię, czuję się jak idiotka.

– Miałam dwadzieścia lat, kiedy zaczęłam tę współpracę – wyjaśniam. – I byłam zupełnie splukana. Cieszyłam się, że ktoś chce zarządzać moją karierą i zajmować się wszystkimi organizacyjnymi szczegółami. Davis zawsze załatwiał wszystko, co trzeba, gdy tylko się z czymś do niego zgłaszałam.

– Tak – mówi Ben z westchnieniem. – Wierzę.

Słyszę w jego westchnieniu słowa, które zachował dla siebie: „Oczywiście, że na każdym kroku oferował ci pomoc – dobrze zadbał o to, aby nikt go nie sprawdzał”. Utrzymuję, że nie chcę na nikim polegać, a sama podłożyłam się Davisowi i pozwoliłam, by decydował o moim życiu.

– Jeśli chodzi o te umowy... – kontynuuje Ben. – Może mogłabyś powiedzieć, że kupujesz dom?

– Co? – Śmieję się.

– Planujesz kupić dom. Wspaniałą i bardzo drogą rezydencję w LA.

Odwraca się do Amelii, a ona kiwa głową, wyciąga telefon i zaczyna szukać posiadłości dla mnie.

– Zwrócimy się do twojego księgowego i innych osób po kopie twoich umów. Każdy bank chciałby je zobaczyć, zanim udzieli ci pożyczki.

– Ten jest ładny – mówi Amelia, podnosi telefon i pokazuje nam rezydencję za dwadzieścia dwa miliony dolarów z wieloma basenami i widokiem na miasto.

– Mieszkam teraz w apartamencie z jedną sypialnią. – Śmieję się. – To byłoby spore podniesienie standardu.

– Świetnie. – Ben obdarza mnie przelotnym uśmiechem. – Ale muszę cię ostrzec: istnieje duże prawdopodobieństwo, że źle zarządzał twoimi interesami.

– To znaczy? – Robi mi się słabo.

Ben marszczy brwi.

– Drew, władza i pieniądze mieszają w głowach nawet przyzwoitym ludziom. Nawet tacy znajdują usprawiedliwienie dla swoich kolejnych przekrętów. A Davis nie wydaje się przyzwoitym człowiekiem.

– Myślisz, że mnie okrada? – szepczę. Pewnie wydaję mu się szalenie naiwna, bo przecież sama opisałam właśnie Davisa jako dupka. Ale istnieje ogromna różnica między byciem dupkiem a złodziejem.

– Dałbym sobie za to głowę uciąć – odpowiada. – Pytanie brzmi tylko, ile ci zabiera i ilu ludzi mu w tym pomaga. Dołożył wszelkich starań, aby cię od siebie uzależnić i prawdopodobnie istnieje ku temu ważny powód.

– Tylko czy zdołacie się w tym wszystkim połapać? – pytam z zapartym tchem. Jasne,

mam pieniądze. Nawet dużo pieniędzy. Ale większość moich dochodów z ostatniego albumu i trasy koncertowej wciąż jest jeszcze „w obiegu” – do czasu, aż lokale, ekipy i tysiące innych podmiotów dostaną swój udział. Nie wiedziałabym, od czego zacząć, by oddzielić prawdę od kłamstw.

– Z pewną pomocą tak – odpowiada. Dobrze, że jest tak pewny siebie. W końcu jedno z nas musi być. – Ale jeśli moje podejrzenia są słuszne, będzie za wszelką cenę próbował utrzymać nad wszystkim kontrolę, a tobie bardzo przyda się wsparcie. Na pewno spróbuje cię przekonać, żebyś pozwoliła mu się zająć kupnem domu, i zrobi wszystko, żebyś tylko się z tego wycofała.

Chcę, żeby Ben się mylił, ale jego słowa dokładnie opisują zachowanie Davisa przez cały ten czas.

– PO JAKĄ CHOLERĘ ci dom za dwadzieścia dwa miliony dolarów? – ochrzania mnie Davis, kiedy następnego dnia zjawiam się na planie.

Nie powinnam się temu dziwić, a jednak jestem zdumiona. Ben skontaktował się z moim księgowym, a ten pobiegł prosto do mojego menadżera. Dla mnie to pierwszy gwóźdź do trumny dla nich obojga.

– Nie rozumiem – odpowiadam. – Chyba stać mnie na niego, prawda?

Wyczuwam w nim silną frustrację. Jego nozdrza rozchylają się, a wargi wykrzywiają.

– Jesteś sławna – mówi po chwili. – Nie musisz się zgłaszać do banku po pożyczkę jak jacyś Kowalscy z Wypizdowa w nadziei, że się załapiesz. Mamy od tego ludzi. Mogą się tym wszystkim zająć.

– Ale ja nie chcę, żeby się tym zajmowali. Mam dwadzieścia sześć lat i jak każdy dorosły chcę sama kupić swoją pierwszą nieruchomość.

– Normalni dorośli zajmują się takimi rzeczami sami, ale zaletą bycia gwiazdą jest to, że nie musisz tego robić. Skup się na pracy – wiesz, tej, którą ostatnio zawalasz.

Czuję coraz większy ucisk w piersi w trakcie tej rozmowy. Ciekawe, ile Davis przede mną ukrywa...

– Tyle że ja już się tym zajęłam – odpowiadam. – To ty marnujesz mój czas na kłótnie. I dlaczego w ogóle mój księgowy zadzwonił z tym do ciebie?

Wygląda na zaskoczony. Najwyraźniej myślał, że ustąpię równie szybko jak zawsze.

– Po prostu go to zaniepokoiło. Nie rozumie, dlaczego załatwiasz takie sprawy z nieznanymi.

– Każdy, z kim mam do czynienia, to dla mnie nieznanomy – odpowiadam.

Wzdycha ciężko, jakbym zachowywała się dziecinnie.

– Chodziło mi o osoby, których ja nie znam. Powinnaś polegać tylko na sprawdzonych przeze mnie ludziach. Znajdę ci kogoś innego.

– Nie – protestuję. – Dajcie Benowi wszystko, czego potrzebuje.

– Czuję się nieswojo z tym, że angażujesz w swoje sprawy osoby z zewnątrz – oznajmia.

Tak, myślę. Na pewno.

NASTĘPNEGO DNIA po spotkaniu z Benem rozmawiam przez telefon z Beth. Nie wspominam o jej raku, ponieważ nie powinnam nic o nim wiedzieć, ale pytam, jak się czuje. Beth odpowiada mi wymijająco i domaga się, żebym opowiedziała, co u mnie słychać. Dukam coś o trasie koncertowej i o sitcomie, w którym wystąpię. To trudne, kiedy najbardziej ekscytującą rzeczą w moim życiu – a właściwie jedyną – jest moja relacja z jej synem.

Planujemy się spotkać po moim powrocie do LA, a wtedy ona pyta, czy przed wyjazdem zobaczą się z mamą.

Mrugam zaskoczona. Nigdy wcześniej nie rozmawialiśmy o mojej rodzinie.

– Nie planowałam tego – odpowiadam, patrząc na Central Park przez okno pokoju hotelowego. Jest marzec, ale tu jeszcze panuje zima. Jest wiele rzeczy w Nowym Jorku, za którymi nie tęsknię, a pogoda znajduje się wysoko na tej liście. – Nie dogadujemy się.

– Jak ktoś mógłby się z tobą nie dogadywać? – dziwi się. – Jesteś aniołem.

Czuję gulę w gardle. Oczywiście muszę przyjąć słowa Beth z przymrużeniem oka – pewnie powiedziałyby to samo o Sixie – ale sam fakt, że nadal mnie lubi po tym, jak zerwałam z jej synem, wydaje mi się wspaniałym darem, za który nigdy nie zdołam się odwdziaczyć.

– Wcale nie – mówię cicho. – Często jestem żoną.

Beth cmoka z niedowierzaniem.

– Niczego takiego nie zauważyłam. Ale nawet jeśli to prawda, założę się, że zachowujesz się tak tylko wtedy, gdy masz ku temu ważny powód. I twoja mama pewnie też ma jakieś swoje powody, i prawdopodobnie nie mają one z tobą wiele wspólnego. Daj jej szansę, kochanie.

Uśmiecham się, a jednocześnie rozklejam. Odnoszę wrażenie, że Beth próbuje jeszcze przed śmiercią naprawić życie nie tylko swoich synów, ale także moje.

– Świat nie jest czarno-biały, Drew – dodaje. – Musisz się trochę bardziej oswoić z szarościami. Pogodzić się z tym, że życie jest doskonałe ze swoimi niedoskonałościami.

Wyłącznie ze względu na Beth umawiam się z mamą na lunch na dzień przed moim powrotem do Europy, gdzie mam zakończyć trasę koncertową.

Czeka już na mnie w restauracji. Czasem kiedy zjawia się na spotkanie ze mną w zwykły dzień tygodnia – z włosami ściągniętymi w schludny kok, ubrana w ten irytujący korporacyjny strój – trudno mi zobaczyć w niej kobietę, w której zakochał się niegdyś mój ojciec. Dziś udaje mi się jednak spojrzeć na nią, zanim jeszcze mnie dostrzeże. Zauważam na jej twarzy jakiś smutek i niespełnienie. Przypomina mi osobę, którą zapamiętałam: matkę z mojego wczesnego dzieciństwa, która budowała ze mną forty z poduszek i koców i śmiała się, gdy mój ojciec śpiewał te idiotyczne piosenki po rosyjsku. Z czasów zanim to wszystko zepsuła.

Podchodzę do stolika. Mama uśmiecha się i sztywnieje jednocześnie, jakby cieszyła się na mój widok, ale już szykowała się na to, że zepsuję jej tę chwilę.

– Podoba mi się twoja fryzura – mówi.

Oczywiście, że się jej podoba. Mogłabym teraz wejść do jej kancelarii, udając prawniczkę, i nikt nawet nie mrugnąłby okiem. Nastoletnia buntowniczką we mnie ma ochotę pójść do toalety i natychmiast się tam ogolić.

– Dzięki – odpowiadam ponuro, siadając naprzeciwko niej.

– I jesteś trzeźwa – dodaje.

– Powiedz mi coś, mam... – zaczynam, przeglądając menu. – Czy już zawsze będziemy sobie wypominać swoje najgorsze chwile? Bo ja też nie widzę, żebyś zdradzała teraz mojego ojca, ale jakoś udało mi się nie poruszyć tego tematu.

Przez jej twarz przebiegają intensywne emocje: zaskoczenie, złość, smutek, rezygnacja.

– Masz rację – przyznaje po raz pierwszy w życiu. – Przepraszam.

Kelnerka pyta ściszym głosem, czy podać wodę gazowaną czy niegazowaną. Mama wymienia jedną, a ja drugą. Najwyraźniej nie możemy się zgodzić nawet co do wody.

– Jak było na Hawajach? – pyta, gdy znów zostajemy same.

Moje wspomnienia o Hawajach zaczęły tracić na wyrazistości. W pamięci zostało mi kilka widoków i fragmenty rozmów, które muszą mi teraz zastąpić cały tamten czas. Najważniejsze, co mi zostało po tamtej podróży, to uczucie ciepła i nadziei, poczucie, że narodziłam się na nowo.

– Bardzo miło.

Pewnie powinnam zapytać o Stevena, o mojego przyrodniego brata dupka albo

przynajmniej o jej pracę, ale mam to wszystko gdzieś. Prawda jest taka, że nic mnie to nie obchodzi. Nie chcę być ciągle uprzejma, nie chcę niczego robić tylko dlatego, że ktoś tego ode mnie oczekuje.

– Media podają, że zerwałaś z tym gitarzystą.

Nie chcę wyznawać jej prawdy, bo znenawidziła Sixa od pierwszego wejrzenia (tego jedyne go raz, kiedy go spotkała) i byłaby zachwycona, że nam nie wyszło. Fakt, że zakochałam się w lekarzu, zachwyciłby ją jeszcze bardziej. To jeden z wielu powodów, dla których nigdy się o tym nie dowie.

– Tak. – Wzdycham.

– To dobrze – mówi. – Nigdy go nie lubiłam.

– Naprawdę, mam? – pytam z gorzkim śmiechem. – Rany, byłaś tak subtelna w okazywaniu mu swojej niechęci.

– Ma problem z alkoholem – kontynuuję ze zmarszczonymi brwiami. – Chyba rozumiesz, dlaczego tego dla ciebie nie chciałam.

– Bo tak trudno być wierną takiemu mężczyźnie? – pytam, zdając sobie sprawę, że to cios poniżej pasa.

Zaciska usta.

– Myślałam, że miałyśmy sobie nie wypominać różnych rzeczy? – pyta.

– Przepraszam – mamrocę i spuszczam wzrok na menu. Mama lubi takie lokale i fantazyjne sałatki z tak ohydnych składnikami, jak buraki i przepiórcze jaja. Wygląda na to, że ani jedzenie, ani rozmowa nie zapowiadają się przyjemnie.

– Za dnia pracowałam, a wieczorami chodziłam na zajęcia – przerywa ciszę mama. – Wszystko po to, żebyśmy mogli się przenieść do lepszej dzielnicy, a ty do lepszej szkoły. A potem wracałam do domu, do twojego ojca, który żywił do mnie o to urazę. Przez ostatni rok naszego małżeństwa próbowałam się jednocześnie uczyć, pracować i opiekować tobą, podczas gdy on szedł się upić. Wiem, że popełniałam błędy, ale tylko Steven potrafił docenić moje starania.

No jasne, myślę ponuro.

Liczył na seks i się nie prze-liczył.

Ale zaraz potem myślę o Joshu. Jedynej osobie, która naprawdę mnie docenia i mówi, że zasługuję na więcej. Naprawdę łatwo jest dać się uwieść komuś, kto jako jedyny staje po twojej stronie.

– Nie musimy do tego wracać.

Patrzy przed siebie, jakby mnie nie usłyszała.

– Nie mogę powiedzieć, że zachowałam się, jak należy. Steven też nie. Chciałabym tylko, żebyś spróbowała zrozumieć, że nawet jeśli w twojej opowieści jestem czarnym charakterem, to nie tylko ja zawałam.

Czyli jednak przeprowadzamy tę rozmowę tutaj, w trakcie obrzydliwego lunchu składającego się z wody i sałatki z jajami przepiórczymi.

– Mogłaś wysłać tatę na odwyk – zauważam.

Wybucho krótkim, smutnym śmiechem.

– Chyba zapomniałaś o pewnych cechach osobowości twojego ojca, skoro myślisz, że pozwoliłby się komuś zawieźć na odwyk. Jak myślisz, po kim masz ten upór?

Noszę w sobie ponad dekadę pretensji, ale nie są już tak głębokie, jak wcześniej. Coś się we mnie zmieniło w ciągu ostatnich kilku tygodni. Może zyskałam nieco więcej zrozumienia i empatii po tym, jak sama wdałam się w romans z Joshem?

– Może masz rację. Chyba po prostu chciałam, żeby sprawy potoczyły się inaczej.

Kładzie dłonie płasko na stole i wpatruje się w swoje kolana, przelękając ciężko ślinę.

– Nigdy sobie nie wybaczę tamtego dnia – wyznaje, a ja sztywnieję. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Chcę ją powstrzymać, ale nie potrafię. – Byłam w sądzie, kiedy zadzwonili do mnie ze szkoły, że się nie pojawiłaś. Nie odebrałam połączenia, więc nagrali się na pocztę głosową. Gdybym tylko odsłuchiwała wiadomość, może... – Głos jej się załamuje i milknie.

Czuję ból w klatce piersiowej, jakby zaciskały mi się płuca. Nie wiedziałam, że przez cały ten czas się o to obwiniała. Wiele zrobiła źle, ale nie to.

– To nie była twoja wina – mówię.

Rzadko przyznaję to przed samą sobą, ale doskonale zdaję sobie sprawę, że mój ojciec nie był święty. W końcu rzucił mi butelką w twarz, na litość boską. Ale mam jej za złe te wszystkie lata po ich rozstaniu.

– Zabrałaś mnie z mojego domu, mamo, z mojej szkoły i od taty. I tak po prostu... – Gula rośnie mi w gardle. – Zostawiłaś mnie samą. Nigdy nie było cię w domu. Wszyscy traktowali mnie jak psa i dawali mi odczuć, że nie jestem mile widziana, a ty po prostu udawałaś, że tego nie widzisz.

Czekam, aż zaprzeczy i zacznie się ze mną kłócić. W końcu jest prawniczką i to wychodzi jej najlepiej. Ale kiedy na nią patrzę, jej oczy są mokre od łez.

– Wiem – mówi ochrypłym głosem, wpatrując się w swoje dłonie. – I z tym właśnie najtrudniej jest mi żyć, bo nie wiem, co teraz z nami będzie, a nie wynagrodzę ci już tych wszystkich lat.

Nigdy jeszcze się tak przede mną nie otworzyła. Przelękam ślinę i zmuszam się do uśmiechu.

– Może zacznijmy od pójścia gdzieś, gdzie podają hamburgery? Wiesz, że nie znoszę sałatek.

Nasze spojrzenia w końcu się spotykają i obie się śmiejemy. Odnoszę wrażenie, że coś się zmienia. Sytuacja nie jest idealna i nigdy nie będzie, ale może nauczę się choć trochę akceptować te „szarości”.

DREW

Ben, po wielu ponagleniach i kilku groźbach, otrzymuje w końcu dokumenty, o które poprosił. Przybywają tak żałośnie niekompletne, że będę chyba potrzebować księgowego dochodzeniowego, żeby ustalić, co jest grane.

Właśnie wróciłam do Europy na kilka ostatnich koncertów w ramach mojej trasy, kiedy Ben dzwoni, żeby o tym porozmawiać. Muszę się zamknąć w łazience.

– Jeśli zachowują się tak ostrożnie już przy okazywaniu zwykłych dokumentów, to praktycznie nie ma szans, żeby nie ukrywali jakiegoś poważnego przekrętu – mówi.

Przysiadam na blacie, a mój żołądek zaciska się w supeł.

– Davis się wścieknie.

– Na pewno – mówi Ben. – Ale czy nie wydaje ci się alarmujące, że rozwściecza go coś, co nie powinno mieć z nim żadnego związku? Bo ja byłem poważnie zaniepokojony, gdy powiedziałeś, że zatrudnił wszystkich, którzy dla ciebie pracują, i że nie masz nawet kopii swoich umów. Potem tylko potwierdził moje przypuszczenia, gdy próbował mnie od tego odciąć, żeby samemu zająć się zakupem domu... Ale jak myślisz, co właściwie mógłby ci zrobić?

– On wie o mnie wszystko, Ben – szepczę. – Rzeczy, których wolałabym nie podawać do publicznej wiadomości. Chcę się z tego wszystkiego wyplątać, ale Davis mnie zniszczy, jeśli zwrócę się przeciwko niemu. Wie, że mam ataki paniki i jak zginął mój ojciec. To nie są jakieś straszne rzeczy, ale nie chcę o nich rozmawiać w każdym wywiadzie ani czytać o nich w internecie. A przede wszystkim nie chcę sobie robić z Davisa wroga, bo teraz, kiedy dla mnie pracuje, jest już wystarczająco okropny.

Ben milczy przez pół sekundy, a ja wyczuwam w tym milczeniu wyraźną dezaprobatę. Ale cóż, jest prawnikiem, lubi walczyć i nie o jego życie tu chodzi.

– W takim razie musisz zdecydować, jak bardzo zależy ci na zachowaniu tego wszystkiego dla siebie – mówi. – Wiedz tylko, że nic się nie zmieni, dopóki czegoś z tym nie zrobisz. Nadal będziesz nieszczęśliwa i zdana na jego łaskę i niełaskę.

Jeśli nic z tym nie zrobię, Davis podsunie mi pod nos następny kontrakt z wytwórnią na kolejne trzy płyty pełen wymogów dotyczących koncertów na całym świecie i wydarzeń promocyjnych. Czy naprawdę jestem gotowa poświęcić na to dziesięć lat swojego życia, tak jak ostatnie pięć?

Mówię Benowi, że dam mu jeszcze znać, ale kiedy odkładam telefon, czuję ciężar w klatce piersiowej. Jest tylko jedna osoba na tym świecie, z którą chciałabym o tym porozmawiać. Dzwonię do Josha, zanim zdążę się zastanowić, czy może nie za bardzo się na nim opieram, lub pomyśleć, że to zły znak.

– Drew? – Odbiera zaniepokojony po trzecim dzwonku. Znajduje się w jakimś wielkim namiocie, takim, w jakim można by urządzić wesele, i nagle dociera do mnie, że u niego jest teraz środek dnia. Nie ma tam nawet żadnej zasłony, która oddzielałaby go od reszty ludzi. Widzę ciała leżące na noszach i chaos panujący dookoła.

– Przepraszam – mówię. – Przez zmianę czasu pomieszały mi się godziny. Nie wiedziałam, że jeszcze pracujesz. Zadzwoń później.

Uśmiecha się, a coś w mojej klatce piersiowej się uspokaja.

– Mam jeszcze chwilę – mówi. – Gdzie jesteś?

Zanim zdążę odpowiedzieć, podchodzi do niego jakaś kobieta w fartuchu. Jest ładna – ma wysokie kości policzkowe i kruczoczarne włosy. Mówi do niego coś po francusku i chociaż nic nie rozumiem, brzmi to bardzo mądrze i elegancko. Wygląda na kogoś, z kim powinien być.

Kiedy Josh odpowiada jej po francusku, sprawia mi to ból. Po pierwsze dlatego, że jest tak cholernie seksowny z tym swoim doskonałym francuskim akcentem, a po drugie ponieważ jest po prostu doskonały. Mądry, wykształcony, o wiele lepszy ode mnie, pod każdym względem.

– Kto to był? – pytam, zastanawiając się, czy słyszy tę nutę zazdrości w moim głosie.

Ogląda się przez ramię, jakby już zdążył zapomnieć, z kim właśnie rozmawiał.

– To była Sabine. Jedna z pielęgniarek. Muszę zaraz kończyć, tylko powiedz mi, dlaczego zadzwoniłaś.

Nie potrafię. Teraz gdy widzę za nim tych wszystkich ludzi, a sama siedzę sobie w zaciszu apartamentu Canalejas w Four Seasons Madrid, nie mogę powiedzieć mu, że czuję się uwięziona w swoim okropnym życiu pełnym podróży, markowych ubrań i uwielbienia ze strony fanów. Ani wyznać, jak bardzo się boję, że Ben nie zdoła mnie z tego wyciągnąć.

– To nic takiego – odpowiadam. – Chciałam tylko porozmawiać.

Patrzy na mnie tym swoim surowym, oceniającym spojrzeniem, które kiedyś błędnie interpretowałam. Wiem, że próbuje mnie przejrzeć, ale nie mogę mu teraz na to pozwolić, bo już zbiera mi się na płacz.

– Ktoś puka – kłamię. – Muszę kończyć.

– Tęsknię za tobą, Drew – mówi, po czym się rozłącza, zanim zdążę mu odpowiedzieć.

– Ja też za tobą tęsknię – mówię w pustą przestrzeń.

Nie wiem, czy to jego wyznanie, czy moja zazdrość o ładną francuską pielęgniarkę, ale w końcu postanawiam, że czas przejść do działania.

Tego wieczoru po koncercie oznajmiam Davisowi, że potrzebuję tygodnia wolnego. Za dwa dni mieliśmy wrócić do Kalifornii i na pewno coś już dla mnie zaplanował, ale mam dość. Potrzebuję urlopu.

Urlopu, który planuję spędzić w Somalii.

– Masz wywiady. – Davis kręci głową ledwo zauważalnie, jak ojciec zbywający nierozsądne dziecko.

– Naprawdę potrzebuję wolnego – odpowiadam.

– Jasne. Jak my wszyscy. Takie jest życie. Zarezerwowałem już dla ciebie studio, żebyś po wywiadach mogła rozpocząć pracę nad następnym albumem, więc się z tym pogódź.

– Następnym albumem? Nie mamy jeszcze ani jednej przyzwoitej piosenki.

– Tym właśnie masz się zająć w studiu. Pobaw się z demami, które ci wysłałem. Zrób z nich coś swojego.

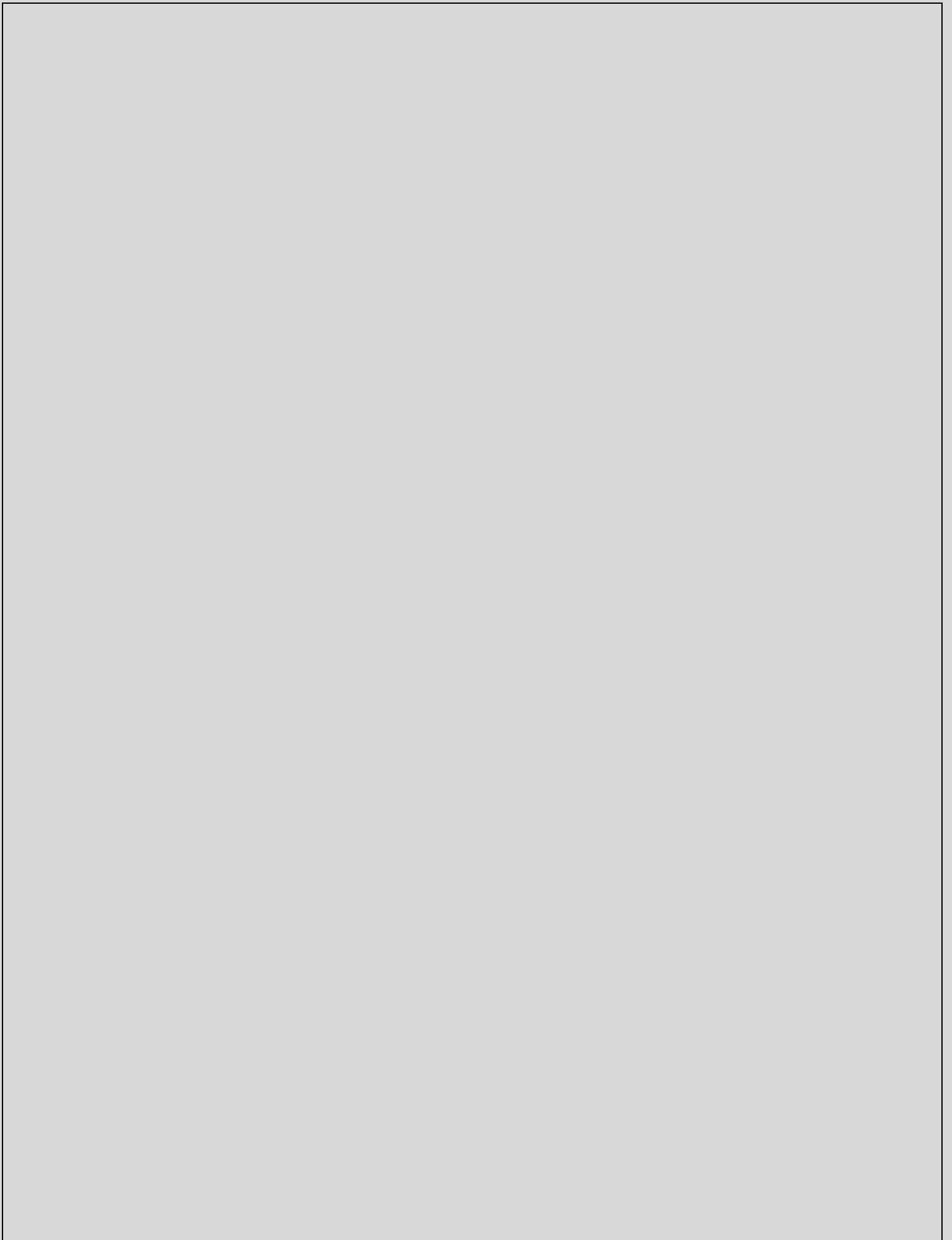
– Czy aby na pewno dobrze cię zrozumiałam? – odpowiadam, wyobrażając sobie, że przemawia przeze mnie Josh. – Umówiłeś mnie na wywiady, na które się nie zgodziłam, i zarezerwowałeś dla mnie studio, żebym popracowała nad demami, których również nie zaakceptowałam, tak?

Przewraca oczami.

– Gdybym miał czekać, aż sama przejmiesz inicjatywę, podawałabyś teraz hamburgery turystom w Planet Hollywood, Drew. Kiedy w końcu zrozumiesz, że utrzymanie cię na topie w tej branży wymaga odrobiny presji i podejmowania trudnych decyzji?

– W takim razie pomogę ci podjąć jedną trudną decyzję, Davis – odpowiadam. – Zastanów się, co się stanie, gdy się tam nie zjawię, ponieważ tego nie zrobię.

Wychodzę, a on krzyczy za mną o naruszeniu warunków kontraktu.



DREW

Dwa dni później wylatuję z Dubaju do Mogadiszu, stolicy Somalii. Mam najlepiej uzbrojonych ludzi, jakich można tu wynająć, wizę turystyczną, która wymagała wydania małej fortuny na łapówkę, oraz plecak z kilkoma ubraniami na zmianę. I bielizną.

Wiem, że Josh nie będzie miał dla mnie wiele czasu, ale już puściłam wodze fantazji. Wyobrażam sobie, że przez cały dzień będzie wykonywał poważne operacje, a ja znajdę jakiś sposób, żeby mu się przydać. Biorąc pod uwagę mój oszałamiający brak umiejętności (wątpię, żeby potrzebowali śpiewaczki lub modelki), nie mam pojęcia, co miałabym tam robić, ale coś wymyślę. Mogę niańczyć dzieci albo się z nimi bawić. Lub zakładać jakieś proste opatrunki na niewielkie i niezbyt obrzydliwe rany. Znajdę sposób, żeby nie zawracać mu głowy za dnia, ale noce będą nasze i na pewno wykorzystamy je jak najlepiej. Zwłaszcza gdy zobaczy mnie w staniku La Perla, który kupiłam w Nowym Jorku. Po prawie ośmiogodzinnym locie docieram na zaskakująco ładne lotnisko. Od razu przechodzi mi przez myśl, że ostrzeżenia Jonathana były zdecydowanie zbyt dramatyczne, gdy nagle dostrzegam rząd facetów z karabinami maszynowymi pod ścianą.

Mój przewodnik, Simon, też ma karabin maszynowy i jest podobno najlepszym człowiekiem, jakiego mogłam wynająć za swoje pieniądze.

– Witamy w Somalii – mówi. – Mam nadzieję, że masz na sobie kamizelkę kuloodporną.

Wpatruję się w niego zdezorientowana.

– Żartuję – Śmieje się. – Chociaż nie do końca. Mogadiszu pod żadnym względem nie przypomina Stanów Zjednoczonych. Pamiętaj o tym, proszę. To może uratować ci życie.

Ignoruję swój niepokój. Nie obchodzi mnie, co będę musiała dzisiaj znieść, bylebym tylko dotarła do namiotu Josha.

Simon prowadzi mnie do opancerzonych SUV-ów. Kiwa głową w kierunku tego pośrodku, gdzie stoi czterech facetów z karabinami AK-47.

– To ze względu na mnie? – pytam.

– W Somalii wszystko może się zdarzyć – Kiwa głową nieznacznie. – Musisz być przygotowana.

Biorę głęboki oddech, wkładam do ust tabletkę na chorobę lokomocyjną, ponieważ nie wolno mi usiąść na przednim siedzeniu, i wskakuję do samochodu.

Przez dwadzieścia minut jedziemy po nierównych ulicach Mogadiszu, która nie różni się zbyt wiele od innych afrykańskich miast poza oszałamiającą liczbą zniszczonych budynków.

– Bomby – wyjaśnia Simon.

Zatrzymujemy się w punkcie kontrolnym. Strażnicy przyjmują pieniądze, a następnie spoglądają w stronę pojazdu.

– Wszystko w porządku – zapewnia mnie Simon. – Nic ci nie zrobią. Sprawdzają tylko, kto jedzie.

Czuję ulgę, kiedy w końcu opuszczamy miasto, choć nie wiem, czy uzasadnioną. Wkrótce gruz ustępuje miejsca suchej ziemi i zaroślom pod ciemniejącym niebem.

Mam wrażenie, że jedziemy o wiele za szybko, biorąc pod uwagę stan tych dróg. Kiedy znów wjeżdżamy w dziurę, samochód podskakuje mocno i uderzam głową w dach.

– Nie lubimy wyjeżdżać o tak późnej porze – wyjaśnia Simon. – Jeśli wydaje ci się, że jedziemy za szybko, powinnaś nas zobaczyć w drodze powrotnej.

Jest tylko jeden moment, kiedy naprawdę odczuwam strach: kolejna blokada na drodze, tylko tym razem między ochroniarzami z pierwszego auta a strażnikami dochodzi do nerwowych krzyków i wrzasków. Mężczyźni z pierwszego samochodu wysiadają, trzymając palce na spuście swoich pistoletów.

– Proszę się schować – mówi mój ochroniarz, a ja robię, co mi każe.

Nie podnoszę się z podłogi jeszcze długo po przejechaniu przez punkt kontrolny. Może jednak Jonathan nie przesadzał z tymi zagrożeniami w Somalii.

Po kolejnych trzydziestu minutach w końcu zbliżamy się do Doohy. Domyślam się, że dojeżdżamy, bo zauważam ludzi powłóczyjących nogami po poboczu drogi i patrzących przez tumany kurzu na nasze zbliżające się samochody.

Przy bramie stoją strażnicy, którzy po chwili rozmowy wpuszczają nas do środka, i moim oczom ukazuje się zupełnie inny świat: miasteczko składające się z samych namiotów i gapiących się na nas miejscowych.

Simon mówi mi, żebym nie ruszała się z miejsca, dopóki nie zbada sytuacji. Wychodzi z samochodu z jeszcze innym mężczyzną, ale nikt z tutejszych nie wydaje się zaskoczony widokiem dwóch facetów uzbrojonych w karabiny maszynowe.

Po chwili otwiera moje drzwi.

– Jesteś na miejscu. Lekarze są w stołówce – mówi.

Jestem zarówno zachwycona, jak i przerażona. Nagle mam poczucie, że powinnam była to jednak skonsultować z Joshem. A jeśli nawet go tu nie ma? Ale przypominam sobie, jak zaskoczył mnie w Paryżu. Jakże byłam wtedy zachwycona! Mimo mnóstwa zobowiązań rzuciłam dla niego wszystko, bo liczył się tylko on. Mój przyjazd tutaj też powinien go mile zaskoczyć, nieprawdaż? Odbieram plecak od jednego z moich ochroniarzy, dziękuję Simonowi i idę na spotkanie z kobietą w sarongu z chustą na głowie. Lustruje mnie od stóp do głów i chyba uznaje, że czegoś mi brakuje.

– Tędy – mówi, marszcząc brwi. Stołówka znajduje się w dużym namiocie, podobnie jak szpital. To tylko jedno pomieszczenie z długimi stołami. Kobieta wskazuje na siedzącą w kącie grupę ludzi w fartuchach i odchodzi, wruszając ramionami. Jestem zdenerwowana i czuję się niezręcznie, ale gdy tylko dostrzegam Josha, wszystko znika. Słucha uważnie kobiety siedzącej naprzeciwko niego i kiwa głową. Serce mi się zatrzymuje, gdy zauważam siedzącą obok niego tę ładną pielęgniarkę, Sabine. Próbuję zignorować fakt, jak bardzo mnie to martwi.

W końcu jedna osoba z ich grupki się odwraca. Pozostali podążają wzrokiem za nią – wpatrują się we mnie, mrugając ze zdziwienia. A Josh wygląda na najbardziej zdumionego.

– Niespodzianka – mówię słabym głosem, podciągając plecak na ramieniu.

Po tym, jak się poznaliśmy, mieliśmy wiele kiepskich momentów, ale nigdy nie wyglądał na mniej uszczęśliwionego moim widokiem niż teraz. Podchodzi do mnie bez cienia uśmiechu na twarzy i staje przede mną tak, jakby chciał mnie zasłonić przed innymi. Po raz pierwszy się zastanawiam, czy się mnie nie wstydzi. Przechadzanie się ze mną po ulicach Nowego Jorku czy Paryża wśród zupełnie obcych ludzi to zupełnie inna sprawa niż pokazanie kogoś takiego jak ja kolegom po fachu – ludziom, których lubi i szanuje.

– Co ty tutaj robisz? – pyta cicho, tak żeby nikt go nie usłyszał, i zaciska mocno szczęki. Jego zespół wraca do rozmowy za nami, ale wciąż ukradkiem na nas zerka.

Czuję się mała i głupia. Jak zakochana nastolatka. Uświadamiam sobie przerażający fakt: Josh mnie tu nie chce. A skoro tak, to musiał mnie okłamywać – albo ja okłamywałam samą siebie. Zerkam na stolik i zauważam, że Sabine obserwuje nas z zainteresowaniem, które zdradza

jej uczucia do Josha. A jeśli on też jest nią zainteresowany? Już na samą myśl o tym mój żołądek zaciska się boleśnie.

– Myślałam, że to oczywiste, kiedy powiedziałam „niespodzianka” – odpowiadam, siląc się na swobodny i opanowany ton, chociaż wcale nie jestem spokojna. Chcę się cofnąć, ale Josh przytrzymuje mnie w miejscu, ściskając mnie za ramiona.

Zamyka oczy i dotyka językiem górnej wargi. Albo się nad czymś zastanawia, albo modli o cierpliwość. A może jedno i drugie.

Zerka przez ramię na swój zespół, a potem ciągnie mnie w stronę wyjścia.

– Chodź – warczy. Jego dłoń ściska mnie jak imadło. Pozwalam mu się pociągnąć za sobą, choć serce mi pęka. To oczywiste, że chce mnie stąd jak najszybciej i najdyskretniej wyprowadzić. I to cholernie boli. Myślałam, że jest inny. Myślałam, że coś nas łączy, ale oczywiście się myliłam, jak zawsze.

Kiedy wychodzimy ze stołówki, próbuję się mu wyrwać.

– Puść mnie – wykrztuszam z siebie. – Zrozumiałam. Wyjeżdżam. Nie musisz być takim dupkiem.

– Wyjeżdżasz? – pyta z gniewnym śmiechem. – Jesteś w jednym z najniebezpieczniejszych miejsc na świecie. Gdzie, do cholery, chcesz jechać o zmroku?

Nieważne. Nic już nie ma znaczenia. Tylko raz w życiu czułam się tak pusta, zagubiona i złamana. Ostatnim razem, kiedy to się zdarzyło, wyciągnęłam wnioski z tego doświadczenia i wyszłam z niego silniejsza. Ale teraz nie chcę się znów uczyć na błędach. Nie chcę odreagowywać kolejnej wielkiej straty.

Przypominam sobie pośpiech Simona na drodze i niechętnie przyznaję w myślach Joshowi rację. Oznacza to, że utknęłam tu do rana z kimś, kto wolałby, żebym w ogóle się tu nie zjawiała.

Ciągnie mnie obok uzbrojonych strażników do długiego szeregu namiotów, a potem rozpiną jeden z nich i wciąga mnie do środka. Josh ledwo mieści się tu na stojąco, namiot jest bardzo ubogo wyposażony. Po prawej znajduje się jedynie łóżko polowe, a z tyłu małe biurko i stojak na ubrania.

Gdybym nie była w tej chwili tak zdenerwowana, zdziwiłabym się, że może w ogóle tak żyć. Nic dziwnego, że był tak zniesmaczony hawajskimi luksusami.

– Powiesz mi, co ty sobie, do diabła, myślałaś? – mówi głosem napiętym ze złości.

Wpatruję się w jego klatkę piersiową, nie potrafiąc spojrzeć mu w oczy. Też chcę się wściec, ale jestem załamana i upokorzona.

– Niepotrzebnie ci uwierzyłam, kiedy powiedziałeś, że za mną tęsknisz – odpowiadam ochrypłym głosem. – Myślałam, że naprawdę chcesz się ze mną zobaczyć.

Wzdycha ciężko.

– Oczywiście, że chcę – mówi, ale wcale nie sprawia takiego wrażenia. Brzmi raczej na znużonego, jak moja matka, gdy udaje, że cieszą ją nasze spotkania. – Ale nie tutaj. Czy zdajesz sobie sprawę, jakie to niebezpieczne? Cholera wie, co mogło ci się przytrafić po drodze. Ciągłe porywają tutaj cudzoziemców. Gdyby ktoś cię rozpoznał... Jezu. Nie miałabyś szans wyjść z tego cało.

– Nikt mnie nie rozpoznał i wszystko poszło dobrze – odpowiadam cicho, wyciągając telefon. – Ale nie martw się, nie będę ci zawracać głowy. Byłeś wyraźnie zajęty.

Tak naprawdę mam na myśli: „Wyraźnie nie chciałeś być ze mną widziany”, ale nie mam zamiaru błagać go o puste zapewnienia. Nie jesteśmy sobie tak bliscy, jak myślałam. Zbyt wiele sobie wyobrażałam, a powinnam była wiedzieć lepiej. To wszystko.

– Przestań – rzuca. Przez jedną bolesną sekundę pozwalam sobie mieć nadzieję, że

w jakiś sposób to odkręci, chociaż nie mam pojęcia, co mógłby teraz powiedzieć, żeby uratować sytuację. – Nie ufam tym facetom, którzy cię przywieźli – mówi tylko. – Muszę do kogoś zadzwonić.

Przysiadam na skraju jego łóżka polowego, podczas gdy on prowadzi z kimś lakoniczną rozmowę o jakimś „liderze”. Wspomina Stambuł, a potem przeklina i rzuca coś o Dżibuti.

Dotarcie tutaj zajęło mi dziesięć godzin i kosztowało tysiące dolarów. A to wszystko po to, żeby mnie stąd wyrzucił. Bez choćby jednego uścisku czy zwykłego: „To takie miłe z twojej strony, że przyjechałaś”. Nigdy jeszcze nie czułam się tak głupio i nagle odczuwam tak silne wyczerpanie, że ledwo daję radę siedzieć. Chcę się zwinąć w kłębek, zasnąć i spać, aż będzie po wszystkim. A to oznacza, że z nami koniec. I to boli mnie najbardziej. Nigdy nie wrócimy już do tego, co było. Zresztą Josh nie sprawia wrażenia, że tego chce.

Kończy rozmowę, po czym opiera łokcie na kolanach, pochyla się do przodu i chowa twarz w dłoniach. W końcu na mnie pa-trzy.

– O co chodziło? – pytam.

Przygryza wargę zębami, jakby się wahał, czy mi powiedzieć.

– Znam tu paru ludzi. Nie mogę ci powiedzieć, kim są, i nie możesz mnie o to pytać, ale jutro przed świtem zabiorą cię na lotnisko w Mogadiszu. Poczekają tam z tobą, aż wsiądziesz na pokład samolotu. Polecisz do Etiopii, a stamtąd do Stanów.

Słyszając napięcie w jego głosie, zastanawiam się, czy to możliwe, że on tylko się o mnie martwi, czy też nie może się doczekać, kiedy się mnie pozbędzie? Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Wiem tylko, że boli mnie jego zachowanie. Czuję się mała, głupia i niechciana. Nie powinnam tu była przyjeżdżać. Powinnam była zakończyć ten bezsensowny romans na naszych wspólnych chwilach w Paryżu.

– Jadłaś? – pyta.

Mrugam zaskoczona, a potem kręcę głową. Nie jadłam i nie spałam, bo liczył się tylko on. Jakże to wszystko było jednostronne. Jestem taka głupia.

– Przyniosę ci coś – mówi. – Poczekaj tu. Nie możemy ryzykować, że ktoś cię rozpozna, jeśli jeszcze się to nie stało.

Patrzy na mnie przez chwilę i otwiera usta, a potem je zamyka. Cokolwiek chciał powiedzieć, zmienia zdanie i wychodzi, zapinając za sobą wejście do namiotu.

Boli mnie to, jak bardzo chce ode mnie uciec, ale nie powinnam być tym zaskoczona. Wtargnęłam w jego przestrzeń i teraz stanowią problem, który musi jakoś rozwiązać. Zamieniłam się w Sloane – niechcianego intruza psującego mu szyki. Zastanawiam się, czy położyłby się w nocy na kanapie, gdyby tu jakąś miał.

Jak mogłam sobie wmówić, że jestem kimś, z kim chciałby być, skoro spędziliśmy razem w sumie zaledwie kilka nocy? Jest lekarzem występującym przed Kongresem, a ja chodzącą katastrofą, która nie ukończyła nawet szkoły średniej. Każdy choć odrobinę wtajemniczony w naszą sytuację stwierdziłby, że nie jestem dla niego wystarczająco dobra i nigdy nie będę jego kobietą.

Kładę się na łóżku polowym. Poduszka pachnie Joshem, a ja dławię się od smutku. Samotna łza spływa mi po twarzy, ale szybko ją ocieram. Tak bardzo się łudziłam, że teraz będzie inaczej. Myślałam, że Josh jest inny. Nawet teraz, gdy pokazał swój prawdziwy stosunek do mnie, nadal nie mogę się z tym pogodzić.

Kiedy słyszę, jak otwiera wejście do namiotu, siadam gwałtownie i próbuję się wziąć w garść, wycierając oczy rękawem. Jakoś to wszystko przeżyję, ale nie zniosłabym jego litości.

Wchodzi do środka, marszcząc brwi na mój widok. Jakby nie minęła nawet minuta od dnia, w którym wylądowałam w Honolulu. Nagle wracam do bycia dziewczyną, której

towarzystwa sobie nie życzy. Podaje mi tacę.

– Nie było nic innego – mówi z westchnieniem. – Kuchnia jest już zamknięta.

– Dziękuję – odpowiadam sztywno. Zjadam trochę ryżu, ale nie potrafię w siebie wmusić nic innego. – Jestem tylko zmęczona.

Podchodzi do mnie i bierze ode mnie tacę. Przez chwilę oboje trzymamy ją w dłoni. Jest to nasz najbardziej intymny kontakt od mojego przybycia.

– Połóż się – mówi, wracając na swoje miejsce przy biurku.

– To łóżko jest za małe dla dwóch osób – zauważam cicho. – Położę się na podłodze.

– Nie będziesz spała na podłodze – protestuje. – I tak się nie położę, dopóki po ciebie nie przyjadą.

Naprawdę nie zamierza mnie dotknąć. Nie może nawet na mnie patrzeć.

Kładę się plecami do niego, żeby nie widział łez spływających mi po twarzy.

JOSH

Ona śpi, a ja czuwam. Jestem zbyt przerażony, żeby się położyć. Kusi mnie, żeby jej dotknąć, ale nie chcę ani na chwilę stracić czujności. Bóg jeden wie, kto ją rozpoznał na lotnisku lub po drodze. Mam poczucie, że w każdej chwili ktoś może rozerwać nasz namiot i wparować do środka.

To wszystko moja wina. Nie chciałem, żeby wiedziała, jak bardzo jest tu niebezpiecznie, a... jest naprawdę fatalnie. W obozie są informatorzy. Ktoś na pewno pojechał już powiedzieć miejscowym terrorystom, że mamy gościa. Nawet jeśli jej nie rozpoznali, z pewnością nie umknęło ich uwadze, że jest ładną, młodą Amerykanką, która wygląda na bogatą. I już jedna z tych rzeczy by wystarczyła, żeby chcieli ją porwać, a wszystkie razem... Muszę przestać o tym myśleć.

Chowam twarz w dłoniach i biorę głęboki oddech, starając się zachować spokój.

A jednak nie potrafię stłumić niepokoju – to niemożliwe. Nawet jeśli przeżyjemy tę noc, Drew i tak musi wrócić do Mogadiszu. Droga powrotna przez pustkowia będzie najbardziej niebezpieczna, ale tamtejsze lotnisko też nie należy do najbezpieczniejszych. Będę w rozsypce, dopóki nie wyląduje w bezpiecznym miejscu.

Przez następne kilka godzin słucham, jak powtarza przez sen te same liczby: siedem, dziewięćdziesiąt dziewięć, osiemdziesiąt osiem. Chciałbym, żeby mi powiedziała, co oznaczają. Zwykle słyszę je raz, może dwa razy, ale tej nocy powtarza je w kółko, jakby była uwięziona w koszmarze, z którego nie może znaleźć wyjścia.

Nie powinienem był ciągnąć tego romansu. Przede wszystkim jednak nie powinienem był go zaczynać. Pewnie i tak wszystko teraz zepsułem przez to, jak ją dziś potraktowałem. Może to i lepiej? Nie potrafię jej sobie odpuścić, a to najlepszy dowód na to, że powinienem.

DREW

Josh budzi mnie, gdy jest jeszcze ciemno.

– Drew – mówi – przyjechali po ciebie.

Jest w tych samych ubraniach co wczoraj. Jeszcze do końca nie oprzytomniałam, ale jestem wystarczająco przytomna, aby poczuć kolejny przyływ wstydu. Nikt jeszcze tak bardzo nie chciał się mnie pozbyć jak on zeszłego wieczoru.

Podnoszę się z łóżka polowego i chwytam za swój plecak, nie potrafiąc spojrzeć mu w oczy.

– Jestem gotowa – mówię bez cienia emocji w głosie. Czuję złość, ale głównie na siebie. Powinnam była wiedzieć, że przyjazd do niego to fatalny pomysł. Przez całe życie obiecywałam sobie, że nigdy więcej nie zrobię czegoś tak głupiego. I proszę, co zrobiłam przy pierwszej nadarzającej się okazji?

– Masz – mówi, wręczając mi swoją bluzę Georgetown z kapturem.

– Jest gorąco – protestuję. I nie chcę twojej pieprzonej bluzy. Chcę zapomnieć o twoim istnieniu.

– Musisz ją założyć – upiera się. – I kaptur też. Nikt nie może cię rozpoznać.

Robię, jak mi każe.

– Odeślę ci pocztą – odpowiadam chłodno.

Wróciliśmy do punktu, w którym byliśmy tamtego pierwszego ranka w Oahu – Josh niechętnie stara się postąpić właściwie, a ja mówię mu, najgrzeczniej jak potrafię, żeby się odpieprzył.

– Zatrzymaj ją – mówi.

– Nie chcę jej – odpowiadam, a on na pewno słyszy w moim głosie ból, który wylewa się ze mnie wraz z tymi słowami. Mój Boże, z każdą mijającą sekundą brzmie coraz bardziej jak Sloane.

– Drew – Dotyka moich bioder i przyciąga mnie do siebie. – Słuchaj...

Ktoś stuka w namiot.

– Hej, Bailey? – mówi jakiś Amerykanin. – Musimy już jechać.

– Zadzwoń do ciebie. – Josh przyciska usta do mojego czoła.

Patrzę na niego przez sekundę, bo tylko tyle potrafię wytrzymać, i wiem, że wspomnienie o nim będzie łamać mi serce do końca życia.

– Żegnaj, Josh – mówię i rozpinam wejście do namiotu. Chce wyjść ze mną, ale kręcę głową. – Nie idź za mną, dobrze? – Głos mi drży.

Po chwili wahania kiwa głową. I to wszystko.

Jakichś dwóch facetów w moro czeka na zewnątrz.

– To chyba przesada – mamrocze, patrząc na czekającą na mnie opancerzoną ciężarówkę. Jeden z facetów unosi brew na moje słowa i odpowiada:

– Tylko ktoś, kto nie spędził tu zbyt wiele czasu, może tak powiedzieć.

Droga na lotnisko przebiega bez żadnych przygód. Nie zauważam nic niepokojącego, przez co nie wydaje mi się bardziej niebezpieczna niż jazda na tylnym siedzeniu taksówki w Nowym Jorku. Najgorsze w całej podróży jest to, że odczuwam mdłości, zanim tabletka na

chorobę lokomocyjną zacznie działać.

Po raz kolejny zastanawiam się, na ile Josh naprawdę bał się o moje życie, a na ile nie chciał być ze mną widziany.

Ale to nie ma już chyba znaczenia. Tak czy inaczej, z nami koniec.

Jeden z uzbrojonych facetów eskortuje mnie aż do samolotu.

– Dziękuję – mówię, kiedy dochodzę do drzwi.

– Chyba powinnaś wiedzieć, że poprosił dla ciebie o przysługę, o jaką nigdy nie poprosiłby dla samego siebie – mówi do mnie facet, z którym przyjechałam. – Może to sprawi, że poczujesz się lepiej.

Co to właściwie znaczy?

To naprawdę nie jest już istotne. Bo wszystko wskazuje na to, że cały mój wysiłek był cholernie niepotrzebny.

DREW

Kiedy następnego dnia ląduję w końcu w LA, odbieram SMS-a od Tali. Wysłała mi zdjęcie, na którym Hayes trzyma na rękach maleńkiego człowieka.

TALI: To dziewczynka! Audrey Bell Flynn.

Zachwycam się małą na zdjęciu. Nigdy jeszcze nie widziałam małego człowieka zrobionego przez ludzi, których znam, i to jeszcze od początku ich związku, ze wszystkimi jego wzlotami i upadkami. To... prawdziwy cud. Przebyli naprawdę długą podróż, ale wszystkie ich trudy się opłaciły i powstała z tego ta wspaniała dziewczynka.

Ja nie miałam aż tyle szczęścia.

Idę do poczekalni pierwszej klasy na lotnisku w LA, żeby wziąć prysznic i się przebrać, bo jestem teraz zbyt brudna, żebym mogła się komukolwiek pokazać, a tym bardziej przebywać w obecności noworodka.

Odbieram SMS-y od Davisa o czekających mnie wywiadach i premierze jakiegoś filmu za kilka tygodni, na którą znalazł mi randkę. W tym momencie nie mam chyba powodu, żeby protestować, nieprawdaż? Widzę też kilka nieodebranych połączeń od Josha i parę SMS-ów z prośbą o powiadomienie go, kiedy wrócę do LA. Cały Joshua, jak zawsze odpowiedzialny i opiekuńczy.

„Wróciłam”, piszę tylko, a potem wciskam „wyślij”.

Spełnił swój obowiązek, ja spełniłam swój. Ale dzwoni do mnie, gdy tylko docieram do kabiny prysznicowej i zamykam za sobą drzwi.

– Jak ci przebiegła podróż? – pyta. – Nie miałaś żadnych problemów?

– Kapitalnie – odpowiadam. – Właśnie idę pod prysznic, więc...

– Drew, poczekaj. – Wzdycha głęboko. – Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało. Wiem, że chciałaś dobrze, i...

– Spokojnie, wyciągnęłam wnioski – przerywam mu. – Tylko ty możesz zaskoczyć mnie odwiedzinami. Może za pięć lat znów zechcesz mnie zobaczyć. Poczekam, aż zapukasz do drzwi, i rzucę wszystko, żeby spędzić z tobą czas.

– Chyba nie mówisz poważnie. Czy masz pojęcie, na jakie niebezpieczeństwo się naraziłaś? Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę...

– Przestań, proszę. – Gardło mnie boli od tłumionego płaczu. – Już wystarczająco dobitnie dałeś mi do zrozumienia, że pojawienie się tam było szaleństwem z mojej strony. Nie muszę tego słuchać od nowa. Poza tym z nami koniec, więc nie musisz się już o mnie martwić.

– Drew – mówi ochryplym głosem. – Nie rób tego. Wiem, że to popieprzona sytuacja, ale oddałbym wszystko, aby...

„Oddałbym wszystko...”. Słyszałam te słowa już wcześniej. Wtedy też nic nie znaczyły. Teraz zmuszają mnie do przerywania mu jego wywodu.

– Nie, Josh, nie oddałbyś niczego, bo gdyby to była prawda, tobyś tu ze mną był. Nie ukrywałbyś mnie przed swoją rodziną ani kolegami po fachu. Nazwijmy rzeczy po imieniu: nie chcesz zrezygnować dla mnie z ani jednej pieprzonej rzeczy.

A potem się rozłączam, blokuję jego numer i wchodzę pod prysznic, gdzie płaczę długo jak dziecko.

PIEŁĘGNIARKA WPROWADZA MNIE do sali mojej przyjaciółki. Tali wygląda wspaniale i promiennie, jak zawsze. Uśmiecha się szeroko na mój widok.

Tylko Tali może wyglądać tak ślicznie tuż po porodzie. Hayes siedzi w kącie w fartuchu, trzymając w ramionach dziecko tak maleńkie, że wydaje się wręcz nieprawdziwe. Dostrzegam w jego twarzy coś miękkiego, coś, co zobaczyłam w dniu jego ślubu z Tali. Posyła mi przelotny uśmiech i jego spojrzenie znów skupia się na zawiniątku. Jest tak zauroczony malutką Audrey, że nie może odwrócić od niej wzroku.

– Biedactwo – mówi Tali. – Dopiero co wylądowałaś? Wyglądasz na bardziej zmęczoną ode mnie.

– Chciałam ją zobaczyć, zanim zapadnę w stugodzinny sen – odpowiadam. – Jak twoja pochwa? Jak bardzo jest uszkodzona w skali od jednego do dziesięciu?

Hayes rzuca nam szybkie, zaniepokojone spojrzenie, a Tali się śmieje.

– I tak potrzebowałam cesarskiego cięcia, więc pewnie pozostała nienaruszona – odpowiada, po czym zwraca się do męża. – Hayes, musisz się dzielić dzieckiem.

Jej mąż uśmiecha się zakłopotany i wstaje z niemowlęciem w ramionach.

– Chcesz ją przytulić? – pyta.

Mrugam niepewnie, wzdając wzrokiem między nim a Tali. Naprawdę chcą powierzyć dziecko komuś takiemu jak ja?

– Nie wiem – odpowiadam. – Ja nigdy... Ona jest taka malutka.

– Dasz sobie radę – uspokaja mnie Hayes.

Myję ręce i siadam, a on podaje mi dziecko. Jest najśłodszym małym człowieczkiem, jakiego w życiu widziałam, z tymi usteczkami jak pączki róży, które układa przez sen tak, jakby śniła o ssaniu piersi. Jej zaciśnięte w maleńkie pięści paluszki są nieprawdopodobnie małe i coś budzi się w moim sercu, gdy na nią patrzę.

– Jest doskonała – szepczę i ku mojemu przerażeniu głos mi się łamie.

– Myślisz, że jest głodna? – pyta Hayes, zerkając na Tali. – Znowu ssie ustami.

Tali uśmiecha się do niego z uwielbieniem.

– Za bardzo się martwisz – mówi. – Zapewniam cię, że nie omieszka upomnieć się o pokarm.

Hayes siada obok niej i ich spojrzenia się spotykają. Przez krótką chwilę jest tak, jakby byli jedynymi osobami w pokoju. Kiedyś twierdziłam, że nie chcę takiego związku jak ich ani tym bardziej takiej małej dziewczynki jak ta, którą trzymam w ramionach, ale mówiłam tak tylko dlatego, że to wszystko wydawało mi się nieosiągalne.

No i okazało się, że miałam rację.

Tylko że teraz boli mnie to znacznie bardziej niż kiedyś.

JOSH

Zablokowała mój numer. Codziennie usiłuję zwalczyć w sobie ten szalony impuls, aby wsiąść do samolotu, polecieć do niej i błagać, żeby do mnie wróciła. Mogła tu zginąć, ale gdyby do tego doszło, byłaby to wyłącznie moja wina. I to przede mną czuje się teraz zraniona. Nie powinienem był zaczynać tego romansu, a już na pewno nie powinienem był go kontynuować.

Jakoś udaje mi się wykonywać moje codzienne obowiązki, ale nie mam już serca do tej pracy. Przede wszystkim jednak żałuję, że w ogóle poszedłem na medycynę, bo inaczej nigdy bym tu nie przyjechał i nie byłbym tu potrzebny.

Powiedziałem już dyrektorowi operacyjnemu, że chcę wrócić, ale poprosił mnie, żebym dał mu rok na znalezienie zastępstwa. Wczoraj znów groziła nam bomba, jeden z naszych strażników został rano zastrzelony, a w trakcie moich wakacji na Hawajach zaatakowano obóz dla uchodźców na południu. Żaden lekarz z choćby odrobiną rozsądku nie zdecyduje się tu teraz przyjechać.

Został mi więc jeszcze rok. Gdy wrócę, będzie już za późno, żeby odzyskać Drew. Ale co mam zrobić w tych okolicznościach?

– Wyglądasz okropnie – mówi mama na przywitaniu, kiedy do niej dzwonię.

Ona też nie wygląda dobrze, ale zachowuję to dla siebie.

– Po prostu mam dużo pracy. Jak się czujesz?

– Czułabym się znacznie lepiej, gdybyś był tu w domu, a twój brat miał się dobrze.

Rozmawiałeś z nim może?

– Pisaliśmy tylko do siebie – odpowiadam, choć tak naprawdę nie odpisałem mi na SMS-a z prośbą, aby zajął się mamą.

– Rozstanie z Drew naprawdę mocno go zabolowało – mówi mama. – Podejrzewam, że pije. Śmieję się, drapiąc się po twarzy. Po raz pierwszy coś mnie łączy z moim bratem.

– A czy on w ogóle kiedykolwiek nie pije, mamó? Na Hawajach ciągle chodził wstawiony. Pomijając początek wakacji, który spędził w więzieniu za narkotyki.

– Twój ojciec uważa, że powinien iść na odwyk, ale myślę, że gdyby Drew do niego wróciła, to... – Wzdycha ciężko.

– Nie wciągaj jej w jego bagno, mamó – przerywam jej, a ona rozszerza oczy w reakcji na mój ton. – Drew ma już dość problemów. Nie musi się jeszcze użerać z nałogowcem.

– Ale... On też mógłby ją wesprzeć – argumentuje. – Mogliby wspierać się nawzajem. Małżeństwo i dziecko zmieniłyby ich życie.

– Dziecko? – powtarzam osłupiały. Pomijając już fakt, że małżeństwo i dzieci nie pomogły moim rodzicom uratować ich związku, z pewnością nie jest to idealne rozwiązanie dla faceta z uzależnieniem, którego niedawno aresztowano za narkotyki. A jednak chciałbym wybić matce ten pomysł z głowy głównie z samolubnych pobudek.

– Wspominał mi o tym – mówi mama. – Przyszedł tu któregoś dnia. Ta przyjaciółka Drew, pisarka, właśnie urodziła dziecko i zamieściła o tym post. Joel myśli, że Drew mogłaby do niego wrócić, gdyby zdobył się na wielki gest.

Syrena obozowa wyje już po raz trzeci w ciągu trzech ostatnich dni.

– Przepraszam mamó, muszę kończyć. – Rozłączam się i ruszam do szpitala.

Prawdopodobnie znów będziemy zamknięci przez całą noc i może grozić nam śmierć, ale po telefonie od matki jestem tak przybity, że niewiele mnie to obchodzi.

DREW

Przez następne dwa tygodnie robię, co mi każą.

Udzielam wywiadów, przymierzam sukienkę na premierę i chodzę do studia, żeby popracować nad demami. Śpiewanie idzie mi tak słabo, że Davis w końcu traci cierpliwość i wybucha. Każę mi wziąć sobie parę dni wolnego, żeby dojść do siebie.

Nawet nie jest mi smutno. Czuję się tylko odrętwiała. LA jest wciąż słoneczne i ruchliwe, a ja czuję się jak duch snujący się ulicami miasta. Życie nie ma już dla mnie żadnego sensu. Ben wciąż zapytuje o księgowego dochodzeniowego, ale do tego też nie potrafię się zobowiązać. Nie wiem, jak moje życie może być tak puste, a jednocześnie tak nieznośnie ciężkie.

Ktoś podesłał mi filmik, na którym wykonuję swoją nową piosenkę tamtego ostatniego wieczoru w Oahu i na którym w końcu zostałam rozpoznana. Opinie są podzielone. Jest tyle samo komentarzy pozytywnych: „To jest znacznie lepsze od *Naked!*”, co negatywnych: „Powiedzcie jej, żeby trzymała się tego, co zna”. Nie mogę na siebie patrzeć. W moich oczach było tyle miłości, kiedy śpiewałam ten utwór Joshowi. Tak bardzo w niego wierzyłam i już nigdy nie odzyskam tego uczucia.

Jedynym jasnym punktem mojego życia i znośnym momentem dnia są dla mnie codzienne wizyty u Tali i jej dziecka. Przebywają teraz całą rodziną w swoim domu w Hollywood Hills, ponieważ – ku rozczarowaniu Tali – Hayes tymczasowo odmawia opuszczenia LA.

– Wiesz, na wypadek gdyby Audrey potrzebowała pilnej operacji mózgu na UCLA – wyjaśnia Tali ze śmiechem, przyciągając dziecko do ramienia, żeby mu się odbiło, jak stary zawodowiec. – Jest szalony.

– Ale to słodkie z jego strony – mówię, patrząc, jak Tali podaje Audrey mały palec, a ona go chwyta. Chyba tak to właśnie jest z matkami – nie przestają szukać kontaktu z dzieckiem, nawet gdy ono go nie potrzebuje. I nawet gdy, jak w przypadku mojej mamy, ten kontakt przynosi mu więcej szkody niż pożytku.

Tali wpatruje się we mnie przez chwilę.

– Rozmawiałaś z Joshem?

– Już ci mówiłam. – Przełykam ślinę. – Zablokowałam go. Ten nasz romans nie miał najmniejszego sensu. Ciągnąłby się tylko w nieskończoność.

– Nie wszystko, co ciągnie się w nieskończoność, musi przez cały czas boleć – mówi ze smutnym uśmiechem.

Mam ochotę się sprzeczać, ale tego nie robię. W jej życiu wszystko się układa, a w moim wszystko się pieprzy.

W DNIU PREMIERY FILMU wstaję niechętnie z łóżka i przygotowuję się do dnia, którym nie mogłabym być mniej zainteresowana. Przypomina to przygotowania od rana do ślubu o piętnastej, po którym miliony ludzi będą komentować twoją wagę, pory na twarzy i życie miłosne. Zmarnuję dziś cały dzień na układanie fryzury i makijaż, po czym przejdę czerwonym dywanem, obejrzę film, którego nie mam najmniejszej ochoty oglądać, i wezmę udział w imprezie, na którą nie chcę iść. Tysiące kobiet byłoby gotowych zabić za możliwość zamienienia się ze mną miejscami. Nie ma w tym nic złego, tak jak i w tym, że ja oddałabym

wszystko, żeby zamienić się z jedną z nich i móc zostać w domu. Mam dość ciągłego udawania ekscytacji i wdzięczności.

Musiałam się przenieść do apartamentu w hotelu Beverly Hills, bo moja mała chatka nie pomieściłaby tych wszystkich tych ludzi, którzy mają mnie odpowiednio przygotować. Kosmetyczka przychodzi już o dziewiątej rano i od razu narzeka na popękane naczynka i zaskórniki, których nawet nie zauważam. Potem zjawia się reszta ekipy – manikiurzystka, fryzjerka, wizażystka, stylistka.

Stephanie i Davis ulokowali się w pokojach obok z przyjaciółmi i rodziną, którzy co jakiś czas wpadają, żeby się na mnie pogapić. Panuje uroczysta atmosfera. Rozlegają się wiwaty i śmiechy, strzelają korki od szampana, a mi przez cały czas jest niedobrze. Jestem tak napięta, że nawet uśmiechanie się przychodzi mi z trudem.

Stół jest cały zastawiony przysmakami, ale ja czuję takie mdłości, że nie mogłabym nic przełknąć.

– Nie denerwuj się, skarbie – mówi fryzjerka. – Będziesz wyglądać cudownie. Ten facet, z którym się spotykałaś, zzielenieje z zazdrości, kiedy zobaczy cię z Lukiem Powellem.

Chcę mi się śmiać i płakać jednocześnie. Oczywiście ma na myśli Sixa, a nie jego brata, na którym to mi zależy. Ile czasu minie, zanim Josh zobaczy moje zdjęcia u boku innego mężczyzny i pomyśli, że już znalazłam sobie kogoś innego? Kiedy zacznie spotykać się z tamtą ładną pielęgniarką, jeśli jeszcze tego nie robi? Zapewne wkrótce. Moje zdjęcia znajdą się na tysiącach plotkarskich stron internetowych. Wystarczy, że choć jedna osoba z jego zespołu zajrzy na portal poświęcony celebrytom typu TMZ, aby Josh też się dowiedział. Sabine prawdopodobnie ma już ustawiony alarm i czeka na ten moment.

Ja też bym go ustawiła, więc nie mogę mieć jej tego za złe.

Trudno, najwyżej wszystko teraz zepsuję, myślę. W końcu i tak nic już między nami nie będzie. Ale i tak skręca mnie w żołądku z nerwów.

Myją mi włosy, suszą, dokładnie prostują i na koniec kręcą. Kiedy sprawdzam potem telefon, widzę dwa nieodebrane połączenia z nieznanego numeru, który zaczyna się od kierunkowego Somalii. Czyżby to był Josh?

Ale w Somalii jest teraz wpół do drugiej w nocy. Dlaczego dzwoni do mnie o tak późnej porze? Zaciskam powieki i biorę głęboki oddech, starając się zachować spokój. Nie wierzyłam, kiedy mówił o tym, jak bardzo niebezpieczne jest życie w obozie, ale na samą myśl o tym, że mogłoby mu coś zagrażać, czuję się, jakbym dostała cios w sam środek klatki piersiowej. Przechodzę gorączkowo do odsłuchania jego wiadomości.

Przez chwilę nie słyhać nic, jakby nie zorientował się jeszcze, że już może się nagrywać. A potem słyszę jego głos i mój świat zatrzymuje się w miejscu.

– Hej... – zaczyna szeptem i przerywa. – Hej, wiem, że...

Na tym urywa się jego wiadomość, zostawiając mnie w całkowitej niewiedzy. Zupełnie nie wiem, co to mogło oznaczać. Dlaczego się tak rozłączył? Czy coś poszło nie tak, czy po prostu zmienił zdanie i postanowił nic nie nagrywać?

Oddzwaniam pod ten numer, ale nikt nie odbiera. Potem dzwonię na jego komórkę, z tym samym skutkiem. Przyciskam dłonie do brzucha. Może chciał tylko porozmawiać, a potem zmienił zdanie i poszedł spać? A może stało się coś strasznego? Wspominał, że ewakuowano ich zeszłego lata. Wygląda na to, że czasem naprawdę dzieją się tam złe rzeczy.

– Chyba potrzebujesz drinka – mówi wizażystka. – To do ciebie niepodobne, żeby się tak denerwować.

– Nie, wszystko w porządku. – Kręcę głową, zmuszając się do uśmiechu.

Gdyby nie resztki samokontroli, urządziłabym tu taką scenę, że upadek z estrady

w Amsterdamie byłby przy niej jedynie dziecinną igraszką.

Ekipa wciąż się przy mnie uwija, malując mnie i spryskując z każdej strony, a tymczasem ja walczę ze sobą, żeby nie zadzwonić do Beth. To pewnie ją pierwszą powiadomiliby, gdyby wydarzyło się coś złego, ale nie chcę jej niepotrzebnie martwić. No i jak wytłumaczyłabym fakt, że to Josh, a nie Six zadzwonił do mnie w środku nocy?

O piętnastej jestem już prawie gotowa. Stoję tylko w samej bieliźnie marki Spanx, podczas gdy stylistka i jej asystentka naciągają mi sukienkę przez głowę. Kiedy w grę wchodzi założenie wypożyczonej sukni Christiana Siriana tak, by nie pobrudzić jej makijażem, trzeba zapomnieć o takich rzeczach jak wstyd.

Sukienka jest w rozmiarze trzydzieści sześć.

– Wcześniej też była taka ciasna? – pytam, kiedy mnie zapinają.

– Powinna być ciasna. – Stylistka się śmieje. – Gdybyś mogła swobodnie oddychać, miałybyśmy problem.

Tyle że nie oddychałam swobodnie, zanim jeszcze ją włożyłam. Mój telefon zaczyna brzęczeć akurat w chwili, gdy otwierają sejf z wypożyczonymi klejnotami.

– Ashleigh! – wołam. – Sprawdzisz, kto to?

– Jakaś Beth – odpowiada moja asystentka i już odkłada komórkę na stół. Pewnie myśli: „Nikt o imieniu Beth nie może być ważny”.

– Podaj mi telefon! – Zachłystuję się powietrzem i kiedy Ashleigh z nim do mnie podchodzi, udaje mi się odebrać w ostatniej chwili.

– Drew? – woła do słuchawki Beth, a w jej głosie słychać panikę. Beth, która zlekceważyła fakt, że jej syn był przetrzymywany w zagranicznym więzieniu, a także wszelkie inne niebezpieczeństwa i wysoki Joela na Hawajach, z jakiegoś powodu wpadła teraz w histerię. – Próbuję odnaleźć Joela. Jest może z tobą?

– Ze mną? Nie. Czemu? Wszystko w porządku?

Wypuszcza z siebie zdławiony szloch.

– Chodzi o Josha – mówi, ale Jim odbiera jej telefon.

– Próbujemy zlokalizować Joela – informuje mnie wyważonym, ale napiętym głosem. – Jakąś godzinę temu zaatakowano obóz Josha. Nie wiemy jeszcze, co się stało, ale nie chcemy, żeby Joel dowiedział się o tym z mediów.

Opadam na podłogę. W pokoju rozlega się zbiorowe westchnienie, ale nic mnie ono nie obchodzi. Stylista podbiega do mnie, a ja podnoszę rękę, żeby go zatrzymać.

– Co jeszcze wiecie? Czy ktoś próbuje ich stamtąd wydostać?

– Nic nam nie mówią – odpowiada. – Sloane wykonała kilka telefonów... Wygląda na to, że personel medyczny został ewakuowany, gdy tylko rozpoczął się atak, ale dwóch lekarzy zostało w tyle. Myślą, że Josh był jednym z nich.

Nie mogę złapać tchu. Zadzwonił do mnie, kiedy to się stało. Może myślał, że zaraz umrze?

Ręce mi się trzęsą, a płucom brakuje powietrza.

– Co to oznacza? Dla niego. Co to oznacza? – powtarzam bez ładu i składu, a jednak Jim doskonale rozumie, o co pytam.

– To znaczy, że prawdopodobnie wzięli go na zakładnika... Albo gorzej – mówi cicho. – Próbujemy skontaktować się z ambasadą w Etiopii, bo tam się udali podczas ostatniej ewakuacji.

Kręci mi się w głowie. Nie mogę się skupić.

– Musimy lecieć do Etiopii – oznajmiam. – Musimy... – przerywam i przyciskam dłoń do twarzy, bo nie mam bladego pojęcia, co powinniśmy zrobić ani do kogo się zwrócić po pomoc w odnalezieniu Josha. Jediną osobą, na której mogłabym się w tym momencie oprzeć, jest on

sam. Wybucham płaczem na tę myśl. – Oddzwonię do was – szepczę.

Oddałabym całą swoją fortunę, żeby tylko temu zapobiec i żeby znów było wczoraj. Nieważne, że miałam złamane serce. Najważniejsze, że Josh był bezpieczny.

Davis i Stephanie wpadają do środka, zapewne wezwani przez Ashleigh.

– Co się tu dzieje? – warczy Davis.

– Chyba będziemy musieli wyprasować jej sukienkę – mówi stylistka, gdy podrywam się z podłogi. – Ile mamy czasu?

– Nie – mówię cicho. – Nigdzie nie idę.

– Nie idziesz?! – krzyczy Davis. – Nie ma, kurwa, mowy, żebyś nie poszła. Masz się tam pokazać. Nie możesz tak po prostu sobie nie przyjść.

– Oczywiście, że mogę – odpowiadam, patrząc na niego i po raz pierwszy odczuwając w końcu pełną jasność umysłu. – Ashleigh, potrzebuję prywatnego samolotu z LA. Takiego, który może pokonać duże odległości. Ale już.

Moja asystentka nie rusza się z miejsca. Gapi się tylko na Davisa.

– Poważnie, Ashleigh? – Śmieję się niemal histerycznie. – To ja ci płacę. Nie on.

– Ja... – Spogląda to na mnie, to na Davisa. – Musisz być na scenie za dwie godziny.

Nagle doskonale wiem, co mam zrobić. Boże, to zawsze było takie oczywiste. Nie chciałam wcześniej pogarszać swojej sytuacji, ale nic, co mogliby mi zrobić ci wszyscy ludzie, nie wzbudziłoby we mnie teraz większego przerażenia niż to, które teraz czuję.

– Zwalniam was – odpowiadam, odwracając się w stronę sypialni. Davis chwyta mnie za sukienkę i ciągnie tak mocno, że zrywa mi ją z pleców. Wszyscy obecni wydają z siebie zduszone okrzyki.

– Nigdzie się nie wybierasz – oznajmia, chwytając mnie za ramię. – To naruszenie warunków umowy. Mogą cię pozwać. I ja też.

Patrzę na jego dłoń na moim ramieniu.

– Właśnie podarłeś mi sukienkę i złapałeś mnie w niewłaściwy sposób na oczach piętnastu świadków. Nie mam żadnych wątpliwości, że ja też mogłabym cię pozwać.

Odsuwam się od niego i wchodzę do swojego pokoju. Sięgam po inhalator i zdejmuję sukienkę, a potem dzwonię do Bena.

– Daję ci zielone światło. Na wszystko. A tak przy okazji, nie wiesz, jak mogę załatwić samolot?

DZWONIĘ Z SAMOCHODU do Beth i Jima i informuję ich, że załatwiłam dla nas samolot. Wylatujemy do Etiopii za dziewięćdziesiąt minut. Albo szybciej, jeśli nam i pilotowi uda się tam szybciej dotrzeć. Dzwonię do wszystkich, których znam, aby się upewnić, że zostanie to potraktowane poważnie.

– To takie miłe z twojej strony – mówi Beth. – Naprawdę nie musisz tam z nami lecieć. Wiemy, że jesteś zajęta.

Nadal myślę, że robię to tylko ze względu na mój dawny związek z Sixem. Tak bardzo chciałabym wyznać jej prawdę, ale nie mogę tego zrobić. Może to i lepiej. Musiałabym jej powiedzieć, że Josh próbował się ze mną skontaktować tuż przed atakiem, ale coś przerwało połączenie, co nie brzmi dobrze.

– Może zdołam wam tam jakoś pomóc – mówię. – Może będę mogła do kogoś zadzwonić.

– Masz rację. – Znów wybucham płaczem. – To bardzo miłe z twojej strony. Nigdy ci tego nie zapomnę. Nadal próbuję skontaktować się z Joelem. Mam nadzieję, że z nami poleci.

W innych okolicznościach pomyślałabym, że obecność Sixa jedynie pogorszyłaby sytuację. Tyle że tej sytuacji nie można już pogorszyć. Nie wiemy nawet, czy Josh jeszcze żyje.

Wpisuję w wyszukiwarce „porwania w Somalii” i od razu tego żałuję. Josh nie przesadzał w kwestii tamtejszych zagrożeń. Porwania są tam normą, zwłaszcza lekarzy. Optymista skupiłby się na tym, że przynajmniej połowie z nich udaje się przeżyć. Ale ja, jako pesymistka, zauważam, że spora część tej drugiej połowy ginie, a reszta jest przetrzymywana przez lata, zanim zostanie uratowana. Zamykam Wikipedię. Nie chcę już nic wiedzieć.

Samolot jest gotowy do startu, zanim Beth i Jim docierają na lotnisko.

– Dodzwoniłam się do Joela – mówi Beth, ściskając moją dłoń. – Wylatuje dziś wieczorem.

Wciąż żywi wielkie nadzieje w związku z nami. Czuję, że krew odpływa mi z twarzy, ale nic nie mówię. Zresztą to nie ma znaczenia. Teraz liczy się tylko to, żeby Josh był cały.

Odstępuję Jimowi i Beth sypialnię z tyłu samolotu. Drzemię niespokojnie na jednym z rozkładanych siedzeń, kiedy Beth siada obok ze ściągniętą twarzą.

– Właśnie dostaliśmy wiadomość od Sloane – mówi, a łzy spływają jej po policzkach. – Znaleźniono ich. Kilka osób jest rannych, a Amerykanin nie żyje.

Ciasny węzeł w moim brzuchu zamienia się w wielką otchłań, a ja czuję, jakbym w nią wpadała. Byli tam jeszcze inni Amerykanie, ale większość personelu stanowili Francuzi. I wiem, jak niewiele dobrego daje w takich chwilach nadzieja na najlepsze. Beth zaczyna szlochać, a ja dołączam do niej z twarzą ukrytą w dłoniach i drżącymi ramionami.

– Co z ocalałymi? – pytam, kiedy wreszcie udaje mi się wykrztusić z siebie słowa.

– Zostaną przetransportowani do Etiopii, gdy tylko ich stan będzie stabilny – mówi. – Reszta personelu już tam leci.

Zaciskam powieki. Nawet jeśli to nie Josh zginął, nie oznacza to, że nic mu nie jest. A jeśli przeżył i nic mu się nie stało, muszę mieć pewność, że to się nigdy więcej nie powtórzy. Beth wraca do sypialni, a ja chwytam za telefon.

– Hej, Ben – nagrywam mu się na pocztę głosową. – Czy możesz coś jeszcze dla mnie zrobić w sprawie Somalii? Chcę przekazać piętnaście milionów dolarów na tamten obóz dla uchodźców. – Wiem, że mam teraz tyle aktywów płynnych, ale potem doślę więcej. – A połowa z tego musi być przeznaczona na bezpieczeństwo.

Jestem teraz gdzieś nad Oceanem Atlantyckim i tracę grunt pod nogami. Wkrótce stracę menedżera, wytwórnę płytową, asystentkę i pewnie większość swoich pieniędzy. Ale nic z tego nie ma znaczenia. Zależy mi tylko na Joshu i tylko jego chciałabym zatrzymać w swoim życiu.

DOCIERAMY DO ETIOPII wczesnym wieczorem. Jest niemożliwie gorąco. Beth wydaje się wyczerpana i kiedy już zaczynam besztać się w myślach za to, że nie zorganizowałam dla nas transportu, dostrzegam kierowcę trzymającego w ręku tabliczkę z nazwiskami „Bailey/Andreyev”. Ben zadbał o wszystko.

Beth dowiedziała się, że część ocalałego personelu jest już w samolocie do Etiopii, więc jedziemy prosto do szpitala. Pierwszą osobą, którą zauważam, kiedy wchodzimy do izby przyjęć, jest Sabine. Jej oczy rozszerzają się na mój widok, a potem rzuca się na mnie, jakbym była jej rodziną.

– Dziękuję, że przyjechałaś – mówi i zaczyna płakać. – Nic nam nie mówią. Masz jakieś wieści? Powiedz mi, proszę.

Cichy, przerażony głos w mojej głowie mówi: Nie zachowuje się jak koleżanka czy przyjaciółka. Ale tu chodzi o Josha, a ja po prostu chcę, żeby był szczęśliwy, nawet jeśli nie ze mną.

– Niestety nic nie wiem.

Sabine chowa twarz w dłoniach.

– Powinnam była z nim zostać – Znów wybucha płaczem. Koleżanki ją pocieszają, a ja

odchodzę z Beth.

– Kto to był? – pyta. – Czy to jego dziewczyna?

Serce mi się zatrzymuje. Nawet Beth podejrzewa, że coś ich łączy.

– Nie wiem – odpowiadam z ciężkim od bólu sercem. – Pracują razem.

Gdy tylko słyszę zniesmaczone westchnienie Jima, domyślam się, że Six przybył na miejsce. Nienawidzę Jima za to, ale rozumiem jego reakcję – Six już z daleka wygląda fatalnie. Zmierza do nas w okularach przeciwsłonecznych i z odległości dwóch metrów czuć od niego zapach piwa i marihuany.

Najpierw przytula matkę, a potem mnie.

– Dzięki, że pomogłaś moim rodzicom – szepcze mi do ucha. – Czy możemy później porozmawiać, kiedy już dowiemy się czegoś o Joshu?

– Nie mamy o czym – odpowiadam, odsuwając się od niego. – Nie zrobiłam tego dla ciebie.

Zanim Six zdąży mi odpowiedzieć, w drzwiach robi się jakieś zamieszanie. Dwóch facetów w kombinezonach lotniczych wnosi kogoś na noszach. Pacjent jest podłączony do tlenu. Chwytam Beth za ramię i trzymam do momentu, w którym dostrzegamy twarz tego mężczyzny.

– To nie on – szepczę z ulgą, choć jestem jednocześnie zdruzgotana. Nie chcę, żeby Josh okazał się poważnie ranny, ale wolałabym to niż inne alternatywy. Nagle pod Beth uginają się nogi. Podtrzymuję ją, a Jim podbiega do nas, żeby pomóc mi usadowić ją na krześle.

– Przepraszam – płacze Beth z twarzą w dłoniach. – Byłam tak przerażona, ale okazało się, że to nie on, a teraz chciałabym, żeby to jednak był on. To moje dziecko.

Jim kładzie jej dłoń na plecach, a moje oczy znów zachodzą łzami. Znam Josha dopiero od niedawna, a jestem zdruzgotana. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, co muszą przeżywać jego rodzice.

Kiedy drzwi znów się otwierają, czekam w napięciu. To nie będzie on. Nie rób sobie nadziei, myślę.

A potem wstaję, żeby się lepiej przyjrzeć. Trzymam się mocno plastikowego krzesła w poczekalni, żeby nie upaść, i zakrywam usta, kiedy z mojego gardła wydobywa się zduszony szloch. To Josh.

Ma nagą klatkę piersiową, a na ramieniu założony prowizoryczny bandaż przesiąknięty krwią. Pchają go przez drzwi na wózku inwalidzkim. Łzy spływają mi po twarzy na jego widok. Jest blady, wyczerpany, bosy i brudny. Ale żywy. Dzięki Bogu.

Jego rodzina rzuca się ku niemu, a ja stoję w miejscu i patrzę, jak wstaje z wózka inwalidzkiego, ignorując krzyki żołnierza, który próbuje go znów na nim usadowić. Potem przytula mamę, ojca, a nawet Sixa. Sabine i dwie pozostałe pielęgniarki również rzucają się w jego stronę.

Chcę tu stać i wpatrywać się w niego, dopóki się nie nasycę jego widokiem. Oczywiście pragnę znacznie więcej, ale jestem gotowa się tym zadowolić. Na tym kończy się mój udział. Dowiedziałam się, że jest cały, i to będzie mi musiało wystarczyć. Nie zamierzam pogarszać i tak niezręcznej sytuacji.

Cofam się więc o krok i szukam wyjścia. Od początku planowałam się ulotnić, gdy tylko się czegoś o nim dowiemy. Nie zdawałam sobie jednak sprawy, jak trudno mi będzie go znów zobaczyć i tak po prostu odejść.

Nagle jego matka wskazuje na mnie i zaskoczony Josh spogląda w moją stronę. Kiedy nasze spojrzenia się spotykają, jestem szczęśliwa, a jednocześnie zupełnie zdruzgotana.

Macham mu lekko i żałośnie, z równie żalonym bladym uśmiechem. Takim, który mówi: „Cześć, cieszę się, że wszystko w porządku” i „Wiem, że to dziwne, ale muszę grać dalej”.

A potem przepycha się między nimi i przedziera przez tłum, żeby do mnie dotrzeć. Zatrzymuje się jakieś trzydzieści centymetrów ode mnie, a ja stoję jak wryta, nie wiedząc, jak się zachować, będąc tak blisko niego. Bo nie mogę przecież przycisnąć twarzy do jego klatki piersiowej ani go objąć. Wiedziałam, że to nigdy nie wypali. Nie mogło.

– Przeżyłaś dla mnie taki szmat drogi – mówi.

Przełykam ślinę.

– Oczywiście – odpowiadam szorstko, a po twarzy spływają mi łzy.

– Bo mnie kochasz.

– Tak. – Kiwam głową. – Ale twoja rodzina...

Podchodzi bliżej i sięga ku mnie. Jedna jego dłoń łąduje na mojej talii, a druga ujmuję moją twarz.

– Pisziesz się na dalszą podróż ze mną, dokądkolwiek nas zaprowadzi?

Moje oczy się rozszerzają.

– Tak – szepczę zdławionym głosem.

W oddali ktoś krzyczy: „Co, do cholery?“, ale Josh się uśmiecha. Świat wokół nas się rozpada, a on się uśmiecha.

– Ja też – mówi i mnie całuje. Na oczach całej swojej rodziny i wszystkich zgromadzonych tam ludzi. Całuje mnie, jakby myślał, że już nigdy mnie nie zobaczy. A potem znów zaczynam płakać, bo nawet w najśmielszych snach nie spodziewałam się, że dostanę tu wszystko, czego pragnę.

JOSH

Czasem trzeba być ostrożnym i zachowywać się dyplomatycznie, żeby załatwić sprawy we właściwy sposób. Ale to nie jest ten czas. Nie po tym, jak prawie umarłem i zdałem sobie sprawę, że nie chcę opuszczać tego świata, nie wyznawszy jej swoich uczuć.

– Kocham cię – mówię Drew. Powinienem ją puścić lub przynajmniej przestać całować na tyle długo, żeby to wszystko z siebie wyrzucić, ale w tym momencie chcę zbyt wiele rzeczy naraz. – Tak cholernie mocno cię kocham.

– Ja też cię kocham – odpowiada, brząc, jakby śmiała się i płakała jednocześnie. – Byłam taka głupia. Nie wiedziałem, że to takie niebezpieczne i...

– Nie byłaś głupia – przerywam. Skąd mogła wiedzieć? Postarałem się, żeby myślała, że sytuacja w obozie jest znośna. – Zraniłem cię. Byłem tak przerażony, że w ogóle nie myślałem o tym, jak się czujesz.

– Powinam była pozwolić ci to wyjaśnić. Może umknęło to twojej uwadze, ale jestem trochę popaprana.

– Naprawdę? Tak dobrze to ukrywałaś. – Uśmiecham się przy jej ustach, ale tak naprawdę myślę: „Wcale nie jest popaprana. Jest silna”. Drew to mała wojowniczką i to w niej uwielbiam. Kocham w niej wszystko, wady i zalety. Chcę jej to wyznać i opowiedzieć o tym ponurym momencie, kiedy byłem pewien, że zaraz umrę, i myślałem tylko o niej. Chcę jej złożyć tysiące obietnic, a potem zostać z nią sam na sam.

Ale to chyba będzie musiało poczekać. Najpierw jestem winien przeprosiny kilku osobom.

Trzymam ją w objęciach i odwracam twarzą do mojej rodziny. Mój tata jest przy drzwiach wejściowych, gdzie razem z ochroniarzem powstrzymuje mojego brata przed rzuceniem się na mnie, podczas gdy mama zmierza w naszym kierunku.

Były chwile, kiedy miałem nadzieję, że o nas wie i próbuje nas do siebie zbliżyć – jak wtedy, gdy nalegała na wspólny lunch w hotelu, w którym zatrzymała się Drew. Ale teraz widzę na jej twarzy autentyczne zaskoczenie. Nie miała o niczym pojęcia.

– Przepraszam, mamie – mówię. – Kocham ją. Nic nie mogłem na to poradzić. Ale w końcu jakoś się dogadam z Joelem.

Łzy napływają jej do oczu, a potem się uśmiecha.

– W porządku. – Obejmuje nas oboje ramionami. – Wiedziała, że Drew ma być częścią naszej rodziny. Jakoś sobie z tym poradzimy.

Cichy szloch wydobywa się z Drew i wiem, że słowa mojej matki głęboko ją poruszyły. Przyciągam ją jeszcze bliżej i przyciskam usta do jej włosów. Rodzina. Zrobię, co w mojej mocy, aby dać jej wszystko, czego nigdy nie miała. Cieszę się, że mama jest po naszej stronie i też chce jej to zaoferować.

LEKARZ WYCIĄGNĄŁ MI KULĘ W SOMALII, ale muszą jeszcze zbadać tu ranę, zanim będę mógł wyjechać. Moja rodzina zostaje w poczekalni, a ja czekam na wizytę w gabinecie. Oczywiście zabieram ze sobą Drew, bo jej obecność tutaj wciąż wydaje się zbyt piękna, aby była prawdziwa.

Siadam na stole lekarskim, a ona zajmuje jedyne krzesło w pomieszczeniu. Rozmawiamy

o minionym dniu. Drew opowiada mi o ich wspólnej podróży i jakiejś bezpodstawnej plotce, że zginął Amerykanin. Podaję jej jak najmniej szczegółów na temat tego, co się wydarzyło. W końcu muszę jeszcze tam wrócić, a ona nie powinna wiedzieć, jak niewiele brakowało, żebym nie wyszedł z tego żywy.

– Na pewno nie masz nic przeciwko temu? – pyta w końcu. – To znaczy... chodzi mi o nas.

Śmieję się.

– Naprawdę mnie o to pytasz? Dostałem wszystko, czego chciałem, a mama nie ma nic przeciwko.

– W przeciwieństwie do twojego brata. I Sabine.

– Sabine? – Marszczę brwi. – Ta pielęgniarka?

– Żartujesz sobie? – Uśmiecha się szeroko. – Siedziała obok ciebie na stołówce w Somalii, a teraz rzuciła się przez cały hol, żeby cię przytulić. Chyba się temu nie dziwisz?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Wstaje i rusza w moją stronę.

– Drew, obiecałaś, że zostaniesz na swoim krześle.

Całuje mnie raz, po czym wraca na miejsce.

– To wszystko, czego chciałam. Nie planowałam zrobić ci dobrze.

Wydaję z siebie jęk.

– Nie masz pojęcia, jak niewiele trzeba, żeby mnie podniecić. – Mam na sobie tylko fartuch, na litość boską. W każdej chwili może wejść lekarz i zobaczyć więcej mojej anatomii, niż chciałbym mu pokazać.

– Dobrze, to opowiem ci o swoich uczuciach – proponuje. – To zabija każdą erekcję.

– Nie bądź tego taka pewna. – Uśmiecham się. – Długo czekałem, żeby usłyszeć o twoich uczuciach.

W końcu lekarz bada moje ramię, przepisuje mi środki przeciwbólowe i zaleca dużo odpoczynku. Tylko że po tym, jak zobaczyłem Drew, doskonale wiem, że nie będę odpoczywać.

– W każdym razie proszę się postarać – podsumowuje.

Dostaję fartuch i szpitalne kapcie, a potem wychodzimy, trzymając się z Drew za rękę. W poczekalni znajdujemy czekających na nas rodziców. Joela z nimi nie ma, ale martwi mnie to tylko dlatego, że pewnie martwi to mamę. W tej chwili jest jednak nami tak zachwycona, że chyba nic nie zepsuje jej humoru.

Tata proponuje, żebyśmy poszli razem na kolację, ale mama spogląda na nasze splecione palce i sugeruje, żebyśmy spotkali się wszyscy jutro. Odchodząc, mój ojciec narzeka: „Lecieliśmy do niego całą noc”, ale ona zbywa go tylko machnięciem ręki.

– Chcę mieć wnuki – odpowiada. – Nie przeszkadzajmy im.

Drew to słyszy i się śmieje.

– Myślę, że twoja mama trochę się zapędza.

Wyobrażam sobie Drew w ciąży i dziecko, które moglibyśmy mieć. Uśmiecham się i przyciągam ją bliżej. Nie jestem pewien, czy moja mama rzeczywiście aż tak się zapędza, ale lepiej pozostanę na razie przy małych kroczkach.

DREW

Kiedy dojeżdżamy do hotelu (kolejna rzecz, którą zaaranżował dla nas Ben), pomagam Joshowi zdjąć koszulę przez zabandażowane ramię. Kiedy stoi przede mną bez koszuli, z fartuchem lekarskim zwisającym nisko w pasie, wygląda tak seksownie, że ledwo się powstrzymuję przed dotknięciem go.

– Muszę wziąć prysznic – Podchodzi i zbliża usta do mojego ucha. – Mogę potrzebować pomocy. Wiesz... postrzelone ramię i te sprawy.

– Ach tak? – Kładę dłonie na jego klatce piersiowej.

Kiwa głową. Jego oczy są już całkiem zamglone, jak zawsze, gdy wcale nie myśli o czystości, a z przodu jego fartucha pojawiło się wybrzuszenie.

– Lekarz zalecił ci odpoczynek – przypominam mu.

Josh pochyla się i całuje mnie w usta.

– Nawet on przeczuwał, że to nierealne. Musiałbym zaliczyć znacznie więcej kul, żeby odpoczynek stał się teraz dla mnie priorytetem.

Zdejmuje ze mnie bluzę z kapturem i podkoszulek. Nie jest to łatwe zadanie z tylko jedną sprawną ręką, ale z moją pomocą całkiem nieźle sobie radzi. Potem sama zsuwam dzinsy, a on przyciąga mnie do siebie, jakby nie mógł się tego doczekać.

– Tęskniłem za tobą.

– Ja też za tobą tęskniłam – wzdygam. Bo brakowało mi go bardziej, niż kiedykolwiek byłabym skłonna przyznać. Jego sutek znajduje się na wysokości moich ust. Zamykam je na nim i chwytam go zębami.

– Boże – mruczy. Jego biodra odruchowo zbliżają się w moją stronę, pragnąc się o mnie ocierać. – Prysznic – przypomina, co brzmi bardziej jak prośba niż żądanie. Pozwalam mu się prowadzić, po drodze zrzucając stanik i majtki, a potem z zapartym tchem patrzę, jak ściąga fartuch na swoje wąskie biodra.

Jego okazały penis zdecydowanie nie wygląda, jakby potrzebował odpoczynku, raczej jego przeciwieństwa. Chcę go chwycić, ale Josh wymyka mi się ze śmiechem, wchodząc pod strumień wody. Idę za nim, biorę do ręki hotelowe mydło i namydlam dłonie.

– Hm... Od czego powinnam zacząć? – pytam.

Znowu się śmieje. Ostatni raz widziałam go tak wolnego i beztroskiego w dniu, w którym dotarliśmy do plaży Kalalau. Jakby nagle wszystkie jego marzenia się spełniły.

– Lepiej zacznij od góry – proponuje. – W przeciwnym razie to będzie bardzo krótki prysznic.

Najpierw namydlam mu szyję, a potem przesuwam dłońmi po jego klatce piersiowej i plecach, unikając jego ramienia. Nasłuchuję, jak zasysa powietrze, za każdym razem, gdy jego penis ociera się o mój brzuch. Napina się przy tym, jakby ten dotyk był tak przyjemny, że aż bolesny. Moje ścianki zaciskają się w odpowiedzi na jego reakcje. Klękam, żeby umyć mu nogi, i powoli wędruję w górę po jego skórze.

– Teraz mnie torturujesz – mówi.

W końcu staję za nim i przesuwam dłońmi po jego plecach w dół do pośladków. Wkładam jedną rękę między jego nogi, aby chwycić dłońią za jądra, podczas gdy moja druga

ręka wędruje po jego biodrze, żeby pogłaskać jego penisa. Josh wypuszcza powietrze przez zęby w reakcji na te pieszczoty. Staję twarzą do niego i kiedy znów chcę go chwycić, powstrzymuje mnie.

– Kurwa – mruczy. – Nie mam prezerwatyw.

– Jestem... czysta – szepczę. – I biorę pigułki antykoncepcyjne.

Chcę mu dać coś, czego nigdy, ani razu, nie dałam jego bratu.

Jego oczy powoli się zamykają.

– Drew, nie wytrzymam nawet dwóch sekund bez prezerwatywy.

– Jeśli pamięć mnie nie myli, szybko będziesz gotowy na drugą rundę. – Uśmiecham się. – Poczekam.

Odsuwa nas od strumienia i opiera mnie plecami o ścianę.

– Zamoczysz sobie bandaż – ostrzegam.

– Nie szkodzi – mówi z półuśmiechem. – Mam kontakty.

Jego dłoń ześlizguje się po mojej nodze. Chwyta mnie za kolano, żeby zarzucić sobie moje udo na biodro. Zgina kolana, aby móc ocierać się o moją łechtaczkę pod odpowiednim kątem i z odpowiednią siłą, a potem wchodzi we mnie i zachłystuje się powietrzem z przyjemności.

– O Boże, jak dobrze – szepcze. Wyginam się, by się do niego zbliżyć, a on podciąga moje biodra ku sobie i zaczyna się we mnie wbijać w idealnym, równym tempie.

Nie spodziewałam, że będzie aż tak inaczej. W końcu to te same ruchy wykonywane z tą samą siłą. Ale jest wspanialej, goręcej, prawdziwiej. Kiedy po raz pierwszy wbija się we mnie mocno, stopy prawie odrywają mi się od podłogi.

Kładzie jedną rękę na moim biodrze, a drugą przesuwając po mojej szyi aż do piersi, a potem niżej. W końcu jego palce wślizgują się między moje nogi.

– Uważaj, bo to się szybko skończy. – Śmieję się.

– I tak zaraz się skończy – mruczy. – Dlatego to robię.

Jest cały zeszywniały od wysiłku, jakiego wymaga od niego powstrzymywanie się, aby nie wbijać się szybciej i mocniej i nie wziąć sobie tego, czego potrzebuje.

– Szybciej – domagam się.

– Drew – mówi ostrzegawczym tonem, ale kiedy wyginam się w jego stronę, poddaje się i jakby mimowolnie przyspiesza ruchy bioder, wbijając się we mnie mocno. Krew rozgrzewa mi się w żyłach i całkowicie odpływa z głowy. Napięcie w moim brzuchu zaczyna narastać.

– Jestem blisko – ostrzegam.

– Dzięki Bogu – mruczy i wykonuje kolejne pchnięcie: bezlitosne i zupełnie samolubne, a jednak doprowadza mnie na sam szczyt. Krzyczę, a on wbija się we mnie raz jeszcze i słyszę jego stłumiony krzyk, gdy chowa twarz w mojej szyi.

W końcu wycieramy się ręcznikami i docieramy do łóżka, gdzie powtarzamy to wszystko w znacznie spokojniejszym tempie, a potem śpimy jak zabici przez kilka godzin, budzimy się i robimy to jeszcze raz.

Jest już ciemno, kiedy zbliża się do mnie i prosi:

– Opowiedz mi o tych liczbach.

Marszczę brwi. Jesteśmy teraz szczęśliwi, a to nie jest wesoła historia.

– Znowu mówiłam przez sen? – pytam.

– Nie. – Kręci głową. – Nie tutaj. Ale w Doosze tak. Przez całą noc.

Przez chwilę zastanawiam się, jak mogłabym zmienić temat lub obrócić wszystko w żart, ale nie mogę tego zrobić. W tym momencie brak odpowiedzi wydawałby się kłamstwem.

– To linie autobusowe – mówię, wpatrując się w jego klatkę piersiową. – Z ostatniej

wizyty u taty.

– Myślałem, że umarł, kiedy byłeś dzieckiem. – Sztywnieje.

– Tak – odpowiadam, a potem zamykam oczy i pozwalam tej historii wypłynąć ze mnie, choć każdy kolejny jej fragment jest gorszy od poprzedniego.

Mój ojciec był zrozpaczony, gdy ta butelka uderzyła mnie w twarz. Powiedziałam mamie prawdę, bo w swojej naiwności łudziłam się, że zrozumie, jak zagubiony jest mój tata i jak bardzo nas potrzebuje.

– Oznajmiła, że odbierze mu prawo do widzenia się ze mną – mówię Joshowi, który gładzi mnie dłonią po ramieniu, zachęcając do kontynuowania. – A on powiedział, że zrobi wszystko, co w jego mocy, aby temu zapobiec.

Uwierzyłam mu jak mała idiotka. Spakowałam się, nauczyłam na pamięć rozkładów jazdy autobusów i wyjechałam sama z Nowego Jorku. Przez całą drogę byłam cholernie przerażona. Wcześniej nie jeździłam nawet autobusami miejskimi i byłam pewna, że ktoś w końcu zapyta, dlaczego nie jestem w szkole, albo wysiądę na niewłaściwym przystanku lub zapomnę, że mam się przesiąść z linii M7 na 199, a potem 88. I wciąż o tym śnię, o tamtych chwilach, kiedy wciąż jeszcze byłam pełna tej ślepej, głupiej nadziei.

Josh kręci głową.

– I udało ci się do niego dotrzeć? – Słyszę troskę w jego głosie, jakby to była historia, której zakończenie można jeszcze zmienić.

– Tak – odpowiadam i biorę głęboki oddech. – Strzelił sobie w głowę.

Josh nieruchomieje. Pewnie się zastanawia, czy nie jest to czasem kolejny mój szalenie niestosowny żart. W końcu już wiele razy tak sobie żartowałam. Po chwili słyszę, jak wypuszcza gwałtownie powietrze z płuc.

– Jezu, Drew.

– Właściwie to tego nie pamiętam – mówię, kręcąc głową. – Sąsiad wszedł od tyłu do środka i mnie stamtąd wyciągnął.

Pamiętam z tamtego momentu głównie uczucie totalnego zaskoczenia i oszołomienia, że nie spróbował o mnie zawalczyć tak, jak obiecywał. Nigdy nie zamierzał spróbować, a ja, głupia, wierzyłam w jego zapewnienia.

Josh tuli mnie nocno w ramionach. Nie jestem pewna, czy robi to dla mnie, dla siebie czy dla nas obojga.

– To chyba dlatego tak zareagowałam, kiedy przyjechałam do ciebie do Doohy – wyznaję. – Wszystkie twoje słowa nagle wydały mi się kłamstwem.

Usunęłam Josha ze swojego życia, bo to wydawało mi się najmniej bolesnym rozwiązaniem. Dopóki nie zdałam sobie sprawy, że mogłabym cierpieć bardziej.

– Chciałbym cofnąć czas i wszystko naprawić – mówi. – To, co się stało z twoim tatą, i to, jak się zachowałem, kiedy do mnie przyjechałaś.

– Nie jestem pewna, czy bylibyśmy teraz razem, gdyby sprawy nie potoczyło się tak, jak się potoczyły – mówię i zamykam oczy. – Teraz cała prawda wyjdzie na jaw. Davis wie o mnie wszystko. Kiedy dotrze do niego, że naprawdę go zwolniłam, rozpowie całemu światu moje największe sekrety i ukaże mnie w jak najgorszym świetle. Chyba muszę sama wszystko wyznać, zanim on to zrobi.

Wciąż mnie to przeraża, ale już nie tak bardzo, jak wcześniej. Wszystkie moje problemy i tak błędą w obliczu tych godzin, podczas których nie wiedziałam, czy Josh żyje, czy nie.

– Będę przy tobie podczas wywiadów, jeśli chcesz – mówi, przyciskając usta do czubka mojej głowy. – Mam teraz tylko dwa tygodnie wolnego, ale znajdę jakiś sposób, aby wydostać się z Somalii na dobre. Już złożyłem prośbę o rozwiązanie umowy, ale teraz zamierzam tego

zażądać.

– Naprawdę? – mrugam zaskoczona, czując rosnącą gulę w gardle. – Ale... Myślałam, że to niemożliwe. Co się zmieniło?

– Zmieniło się to, że się zakochałem – oznajmia. – I nie chcę spędzać bez ciebie kolejnych dni i nocy. To może trochę potrwać, ale nie jesteś już sama, Drew, nawet jeśli będziemy musieli jeszcze trochę wytrzymać z dala od siebie.

Przyciskam twarz do jego piersi i płaczę. Nie chodzi o mojego ojca ani o przerażenie i napięcie z ostatnich godzin, ale o wszystkie te samotne lata, które mam za sobą.

I o to, jaką ulgę odczuwam, wiedząc, że ta koszmarna samotność dobiega końca.

DREW

Dziewięć miesięcy później

Nasz nowy taras wygląda spektakularnie.

Nad głowami migoczą rozwieszona świecące. Na długim, drewnianym stole stoi dziesięć nakryć, butelki wina i wazon z hortensjami. A najbardziej podoba mi się w tym wszystkim to, że po drugiej stronie stołu stoi Josh.

Uśmiecha się teraz do mnie, pomagając Audrey, córce Tali, stawiać niepewne, niezdarne kroki na trawie. Gemma, starsze dziecko Jonathana, próbuje nauczyć małą fikania koziołków, nie zdając sobie sprawy, że jest to nieco zbyt zaawansowany manewr dla malucha, który zaczął chodzić dopiero miesiąc temu.

Mamy co świętować dziś wieczorem: nasz nowy dom, drugą książkę Tali i drugie dziecko Jonathana i jego partnera.

I może przede wszystkim pierwsze, lecz znaczące zwycięstwo Bena nad Davisem – a zatem także moje. Odkręcenie wszystkich matactw mojego menedżera zajęło nam wiele miesięcy. W tym tygodniu w końcu odzyskałam swoje jedenaście milionów, a teraz będziemy walczyć z Davisem i moim byłym księgowym o kolejne dziesięć milionów, które zdefraudowali. Nie potrzebuję tych pieniędzy, ale nie mogę się doczekać, aż ich zrujnuję – a przynajmniej jeszcze bardziej niż do tej pory.

Wywiady, których udzieliłam z Joshem u boku na temat śmierci mojego ojca, podkreśliły rolę Davisa w ukrywaniu tego wszystkiego, a także wyjaśniły, dlaczego tak długo milczałam i mu się podporządkowywałam. Pozostali klienci jego firmy wycofali się ze współpracy, gdy tylko jego matactwa wyszły na jaw, ale dla mnie najważniejsze było to, że wreszcie mogłam się wypłatać z tej nieszczęsnej współpracy. Bolesne historie z mojego dzieciństwa zbyt długo miały nade mną władzę i wyjawienie ich pomogło mi się wyzwolić. Chyba nawet nie miałabym nic przeciwko opowiadaniu o nich w kolejnych wywiadach, ale moja nowa specjalistka od PR-u wymusza na wszystkich traktowanie mnie z szacunkiem, więc ten temat już nawet się nie pojawia.

– Dobra robota – mówi Tali, podchodząc do mnie.

– Dzięki, ale to głównie zasługa Beth. – Wzruszam ramionami.

Mama Josha chciała, żebym przyrzadziła na to przyjęcie jego ulubione potrawy, które uparcie próbuje nauczyć mnie gotować, ale moje domatorstwo ma swoje granice.

– A tak przy okazji, poznałaś już randkę Bena? Nie uzyskałam jednoznacznej odpowiedzi na temat tego, jak zarabia na życie.

– Myślę, że po prostu zarabia na życie byciem seksowną i robieniem sobie zdjęć. – Tali przewraca oczami. – Z kim mogłybyśmy go umówić? Musi się w końcu ustatkować.

Ben nie wykazuje najmniejszych chęci ustatkowania się, ale teraz, gdy Tali jest szczęśliwie zamężna, uparcie próbuje wszystkich zeswatać. Razem z Beth zarzucają mnie oszałamiającą liczbą aluzji na temat ślubu.

– Masz chyba dwie siostry, prawda? – pytam.

– Jedna jest mężatką, a druga ledwo skończyła dwadzieścia lat – odpowiada. – A twoja

nowa znajoma, która pomagała ci przy albumie... Juliet?

Juliet spadła mi z nieba, kiedy wreszcie uwolniłam się od moich zobowiązań wobec wytwórni płytowej. Teraz współpracuję z jej wytwórnią i producentem, a ona zaśpiewała nawet w dwóch moich utworach. Nie widzę jej jednak z Benem.

– Jest już w kimś zakochana. A poza tym to raczej dziewczyna w typie Sixa.

– Ech, ten Six... – Tali marszczy nos.

Śmieję się. Odkąd Six dowiedział się o raku Beth, stara się poprawić. Wkrótce będzie potrzebował wokół siebie ludzi, którzy go wesprą po śmierci matki. Zamierzam być w tym gronie.

– Nie jest taki zły – odpowiadam. – Zgodził się nawet zagrać w jednej z moich nowych piosenek, skoro, jak to ujął, jestem już praktycznie członkiem rodziny.

– Członkiem rodziny, tak? – Jej oczy się rozjaśniają. – Czyżby wiedział coś, czego ja nie wiem?

– Nie – odpowiadam stanowczo. – Po prostu słucha Beth, która, tak jak ty, ciągle za bardzo się zapędza.

– I to mówi kobieta, która twierdziła, że nie będzie się z niczym spieszyć po powrocie swojego chłopaka z Somalii, a tydzień później się do niego wprowadziła.

Uśmiecham się bez cienia zażenowania. Naprawdę nie chcieliśmy się z niczym spieszyć, ale po trzech miesiącach czekania, aż obóz dla uchodźców znajdzie jakieś zastępstwo za Josha, miałam już dość rozłąki. A jednak po zamieszkaniu z nim wciąż mam poczucie, że nie spędzamy razem wystarczająco dużo czasu – tylko Josh mógł przenieść się z jednej placówki medycznej z niedoborem personelu do drugiej. Fakt, że „marnuje swój talent” w państwowym szpitalu doprowadza jego ojca do szału, z czego oboje się cieszymy.

– O Boże – mówi Tali, patrząc przed siebie. – Hayes właśnie zabrał dziecko od Jonathana. Musimy natychmiast interweniować.

– Jest najbardziej nadopiekuńczym ojcem, jakiego kiedykolwiek widziałam. – Śmieję się. – Maluchowi nic nie będzie.

– No jasne, że nie. To o siebie się martwię. Jeśli Hayes potrzyma to niemowlę dłużej niż trzydzieści sekund, zapragnie następnego dziecka.

Przechodzimy przez podwórko. Tali taktownie odbiera dziecko Hayesowi, a Josh zwraca Audrey ojcu i obejmuje mnie w talii. Właśnie opowiada chłopakom o moim ostatnim wyskoku na Twitterze. Okazało się, że to idealne miejsce do wkurzania ludzi, którzy się mi narazili. Po tym, jak mój przyrodni brat Richard wysłał mi SMS-a o treści: „Nie dziwię się, że wytwórnia z ciebie zrezygnowała”, opublikowałam krótki tweet o przestępcy w białym kołnierzyku, którego akurat bronił, starając się dla niego o ugodę.

Nagle cała ta sprawa wypłynęła w wiadomościach i wcale nie wyrażano się o niej w pozytywny sposób. To była narracja w stylu: „Kolejny bogaty bubek wymyka się sprawiedliwości”. Okazało się, że trudno walczyć o klienta w sądzie, gdy jego wykroczenia stają się przedmiotem uwagi całego narodu. Któż by się spodziewał?

Ben zakrywa twarz dłonią.

– Tylko błagam, nie zachęcaj do tego ludzi, Drew – mówi. – Nie każdy, kogo reprezentuję, jest, ekhm, równie porządnym człowiekiem jak ty.

– To jeszcze nie koniec – kontynuuje Josh, przyciskając usta do czubka mojej głowy i pękając z dumy z mojej zemsty. – Jej ojczym zbeształ ją za to w SMS-ie, więc Drew napisała na Twitterze o jednym z jego klientów.

Ben wydaje z siebie głośny jęk, a pozostali się śmieją. O dziwo, mojej matki jakoś szczególnie to nie zdenerwowało. Powiedziała tylko, że w ich firmie panuje teraz spore

zamieszanie, a kiedy odparłam, że nie jest mi z tego powodu przykro, skomentowała: „Nie oczekiwałam, że będzie ci przykro. Zjedźmy razem lunch następnym razem, jak przyjedziesz. Mogą być nawet hamburgery”.

Zasiadamy do kolacji i wznosimy toasty. To piękny wieczór, ale kończy się dość wcześnie ze względu na niemowlę, dziesięciomiesięczne dziecko i troszkę większe dziecko, które padają jak kawki przed dwudziestą pierwszą.

Wchodzę potem do łóżka i czekam na Josha.

– Było miło, prawda? – woła do mnie z łazienki.

– Tak, ale Ben wydawał się trochę... zasmucony, kiedy wychodził. Nie znasz czasem kogoś, z kim moglibyśmy go...

Josh wychodzi z ręcznikiem owiniętym wokół talii, jeszcze mokry po prysznicu, i w ułamku sekundy moje myśli kierują się ku cielesnym uciechom.

– Mmm, witaj, prawie nagi nieznajomy.

– Mam coś dla ciebie. – Uśmiecha się szeroko.

– Miałam nadzieję, że to powiesz – odpowiadam, zrzucając z siebie kołdrę. – Zdejmuj ręcznik.

– To nie to. To znaczy do seksu przejdziemy za jakieś trzydzieści sekund... – mówi ze śmiechem. – Ale jeszcze nie teraz. – Podchodzi do kredensu i wyciąga z niego kartkę papieru. – Pamiętasz tę dziennikarkę, która przyszła do ciebie do studia, kiedy nagrywałaś? Właśnie opublikowała o tobie artykuł.

Patrzę na niego przez chwilę, a potem wybucham śmiechem.

– Jakaś blogerka napisała o mnie artykuł, a ty go wydrukowałaś? Ale z ciebie staruszek.

– Nigdy nie wiadomo, jak długo to będzie w sieci... – Unosi brew.

– Wiadomo. – Nie mogę przestać się śmiać. – Pozostanie tam już na zawsze. Nie muszę tego czytać, ale to bardzo miłe z twojej strony.

– Przedstawia Davisa jako dupka – kontynuuje Josh. – Co, naturalnie, nie było szczególnie trudne. Ale napisała też naprawdę miłe rzeczy o utworach, nad którymi pracowałaś.

Właściwie wcale mnie nie obchodzi, co ludzie mówią o Davisie czy nawet o moim nowym albumie, ale ujmuje mnie zainteresowanie Josha moimi sprawami. Jestem zachwycona tym, że lubi moje nowe piosenki, a nawet tym, że wydrukował ten artykuł – jak ktoś, kto wciąż uważa internet za jakąś chwilową modę.

Przechodzi przez pokój, żeby odłożyć kartkę, ale nagle zatrzymuje się w miejscu, kiedy ściągam koszulkę. Nieruchomieje, mrugając szybko, jakby zapomniał, co miał zamiar zrobić, a potem odwraca się powoli i wkłada kartkę do szuflady na skarpetki – tuż obok czarnego aksamitnego pudełka, do którego jakimś cudem udało mi się nie zajrzeć. I wcale nie szperałam w jego rzeczach. Czasami robię mu pranie.

– Chodź tutaj – mówię. Jego oczy są już tak ciemne i odurzone, jak zawsze, gdy myśli o seksie. Wyciągam się na łóżku, rozkoszując się widokiem jego wybrzuszony od penisa ręcznika. Na tym kończy się moja praca.

Wchodzi na łóżko, a ja go obejmuję.

– Powiedz mi coś – szepczę. – Powiedz mi coś, czego nikt nie wie.

– Jestem w tobie szaleńczo zakochany – mówi, przyciskając usta do mojej szyi.

– Wszyscy to wiedzą. – Uśmiecham się. – I oczywiście, że jesteś. Jak miałbyś nie być zakochany w takiej uroczej osobie jak ja? Powiedz mi coś innego.

Śmieje się i przewraca na bok, z ręką na moim biodrze.

– Pomyślałem, że powinniśmy się wybrać na Maui. W przewodniku mojej mamy jest napisane, że to najpiękniejsza ze wszystkich hawajskich wysp.

– Jasne, ale co z lokalną opieką medyczną? – pytam.

Przyciąga mnie do siebie z tłumionym uśmiechem.

– Nie wiem, ale wygląda na to, że kilka miejsc idealnie nadaje się na ceremonię ślubną.

– Tak? – Serce wali mi w piersi. – Znasz kogoś, kto planuje się pobrać?

Jego usta muskają moją skroń, kość policzkową i szczękę.

– Chyba tak. Zależy, czy przyjmie oświadczyzny.

Zdejmuję z niego ręcznik.

– Na pewno przyjmie. Byłaby szalona, gdyby nie zgodziła się za niego wyjść.

– Jesteś pewna? – pyta, a ja wyginam się, żeby ułatwić mu ściągnięcie mi szortów. – To dość długa podróż. A wiem, że za nimi nie przepadasz.

– Tak, jestem pewna. – Przyciągam go do siebie. – Nie mam nic przeciwko długim podróżom od czasu do czasu.

To spora różnica, gdy nie wybierasz się w nie zupełnie sama.

KONIEC

PODZIĘKOWANIA

Kiedy w ostatniej chwili postanawiasz skasować wszystko, co napisałaś, i zacząć od nowa (w oparciu o jedną stronę, którą napisałaś o Hawajach rok wcześniej)... potrzebujesz trochę wsparcia.

Przede wszystkim stokrotne dzięki mojej przyjaciółce Sallye Clark, która od lat pozwala mi towarzyszyć sobie w wyjazdach służbowych na Hawaje. Zatrzymywałyśmy się w hotelach, na które nigdy nie mogłabym sobie pozwolić, i podziwiałymy widoki, których nigdy bym nie zobaczyła, gdyby nie ona. (Kiedy opowiadam innym o tych podróżach, zawsze pytają, czy Sallye potrzebuje jeszcze jednego towarzysza podróży. Odpowiedź brzmi: Nie, nie potrzebuje. Podoba mi się tak, jak jest).

Pragnę również podziękować wspaniałej Sali Benbow-Powers, której genialne sugestie i sympatia do tej książki dodały mi pewności siebie. Sali, już nigdy nie opublikuję niczego, co nie trafi najpierw w twoje ręce.

Dziękuję moim wspaniałym beta-czytelniczkom Michelle Chen, Christine Estevez, Katie Meyer, Jen Wilson Owens i Tawannie Williams, które w ostatniej chwili przeczytały tę książkę i pomogły mi ją dopieścić. Wasze sugestie i zaufanie do mnie były nieocenione.

Bardzo dziękuję Staci Frenes z Grammar Boss za znalezienia czasu na redakcję mojej książki, Julie Deaton i Janis Ferguson za korektę, Lori Jackson za kolejną seksowną okładkę, Ninie i wszystkim z Valentine PR za niestrudzone wsparcie oraz niesamowitej Christine Estevez za zajęcie się wszystkim, w czym jestem okropna, żebym mogła oddać się pisaniu.

Na koniec dziękuję moim dzieciom i rodzinie za to, że nie przewracali oczami za każdym razem, gdy mówiłam: „Nie mogę, muszę oddać książkę na czas”. Chciałabym wam obiecać, że nie będę już więcej szaleńczo próbować się wyrobić na ostatnią chwilę, ale zbyt dobrze mnie znacie, żeby uwierzyć w takie zapewnienia.

O AUTORCE



Elizabeth O’Roark wiele lat była pisarką medyczną, zanim w 2013 roku opublikowała swoją pierwszą powieść. Ukończyła studia licencjackie z dziennikarstwa i sztuki na Uniwersytecie Tekszańskim oraz zdobyła tytuł magistra poradnictwa psychologicznego na Uniwersytecie Notre Dame. Mieszka w Waszyngtonie z trójką dzieci. *Diabeł na Hawajach* to jej dziesiąta książka.

